

ZESZYT PIĘCDZIESIĄTY SZÓSTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1981

ZESZYT PIĘCDZIESIĄTY SZÓSTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1981

BIBLIOTEKA « KULTURY »
TOM 338

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Janusz RAKOWSKI

ZETOWCY I PIŁSUDCZYCY (dok.)

V. W PRZEDEDNIU DRUGIEJ WOJNY (1935-1939)

Kryzys polityczny 1935/1936

Zgon Piłsudskiego w niespełna trzy tygodnie po wejściu w życie nowej Konstytucji z 23 kwietnia 1935 był wydarzeniem, które wstrząsnęło niezwykle mocno reorganizującym się na podstawie tej Konstytucji państwem polskim. Do chmur kumulujących się na horyzoncie stosunków ze światem zewnętrznym dołączyła nadciągająca burza w wewnętrznej sytuacji kraju.

Sprowadzanie zaistniałego na przełomie lat 1935 i 1936 kryzysu politycznego li tylko do personalnych walk w obozie pomajowym o „schedę po Piłsudskim”, nagminne w publicystyce krajowej, jest chwytem zbyt powierzchownej analizy historycznej. „Dekompozycja obozu” — termin ukuty przez Bogusława Miedzińskiego — odbywała się nie tylko i nie tyle na tle rywalizacji personalnych i walk o władzę — te zawsze i nieodłącznie towarzyszą wszelkiej działalności politycznej na całym świecie — ile na tle rozdzźwięków ideologicznych i programowych. Trudno ukrywać nabrzmiewanie tych rozdzźwięków nie tylko między obozem pomajowym i opozycją, lecz również wewnątrz samego obozu. Dekompozycji obozu rządzącego towarzyszył równoczesny proces wewnętrznych polaryzacji i różnic w partiach opozycyjnych, szczególnie prawicowych. Następowaty różne rozłamy, cały układ polityczny zmieniał się niezależnie od formalnego podziału na rząd i opozycję¹.

1. W cieniu marszałka Piłsudskiego, op. cit., str. 294.

Zetowcy, nie mając swych przedstawicieli w najwyższych władzach państwowych, nie byli wciągani do rozgrywek personalnych i — na szczęście dla nich — nie brali w nich udziału. Zainteresowani byli jednak jak najbardziej w rozwoju ideologii państwowej po dokonaniu reformy ustrojowej, którą w zasadzie poparli, choć nie przeprowadzili wszystkich swych postulatów, jak również w polityce gospodarczej, krytykowanej coraz mocniej na łamach *Przełomu* i *Frontu Robotniczego*.

Trzeba przypomnieć, że zetowcy, zwalczając partyjniactwo, zawsze zmierzali do oparcia państwa na zorganizowanych masach społecznych „ludzi pracy”. W tym drugim punkcie nigdy nie mogło dojść do uzgodnienia poglądów z „piłsudczykami miarodajnymi”, uważającymi się za interpretatorów, a później spadkobierców i wyrazicieli wskazań Marszałka. Spór na ten temat odżył znów po śmierci Piłsudskiego w związku z drogą realizacji nowej Konstytucji i wyborami do izb ustawodawczych.

W dniu 8 lipca 1935 roku Sejm uchwalił większością głosów nową ordynację wyborczą, opracowaną pod kierownictwem Sławka. Ułożył on ordynację tak, aby „odebrać sztabom partyjnym faktyczny monopol na stawianie kandydatów”. Nie partie polityczne, ale „zgromadzenia przedwyborcze”, w których brać mogli udział przedstawiciele samorządów terytorialnych i gospodarczych, związki zawodowe, stowarzyszenia i organizacje społeczne wszelkiego typu — kulturalne, oświatowe, naukowe, kobiece. Również każda dowolna grupa, złożona z 500 co najmniej obywateli uprawnionych do głosowania, wysłać mogła swego delegata na zgromadzenie przedwyborcze. Senat wybierany miał być teraz przez „elitę” społeczeństwa, a więc — kawalerów orderów, obywateli z wyższym wykształceniem lub ze stopniem oficerskim, nauczycieli oraz obywateli, którzy pracowali w jakichkolwiek ciałach kolegialnych. W swoim idealizmie Sławek niewątpliwie wierzył, że w ten sposób społeczeństwo będzie się mogło swobodnie wypowiedzieć. Bezpartyjnemu Blokowi Współpracy z Rządem polecił całkowitą bezczynność na okres wyborów; „przyszły Sejm — mówił — powinien być prawdziwym odzwierciedleniem nastrojów społeczeństwa. A więc — nie robić żadnej akcji, wyznaczyć kandydatów, ale nie wpływać na wybory!²”.

W związku z tym poleceniem Władysław Pobóg-Malinowski pisze, że „wezwania tego nie usłuchało lewe skrzydło bloku, związane z 'Naprawą'. Rozwinęło ono energiczną akcję i wobec bez-

2. Pobóg-Malinowski, *op. cit.*, str. 587.

czynności Bloku oraz bojkotu wyborów przez opozycję zdołało zdobyć sporo mandatów... To działanie wbrew Sławkowi było wyrazem nadziei na poważniejszą w nowych warunkach rolę w życiu państwowym...”

Słowa te są zgodne z prawdą, ale interpretacja czynu zetowców-„naprawiaczy” wymaga sprostowania. Historyk obozu piłsudczykowski najnieśluszniej interpretuje ten czyn jako swojego rodzaju „żądze władzy”, bowiem — jak pisze — „Naprawa”, choć związana z pomajowym obozem rządzącym, przed rokiem 1935, mimo stałych zabiegów, nie mogła uzyskać dla siebie ani jednej teki ministerialnej, a zdobyte przez nią stanowiska wyższe wewnątrz ministerstw i w województwach należały raczej do nielicznych wyjątków”. W otoczeniu Piłsudskiego uporczywie przypinano zetowcom łatkę ludzi rzekomo pnących się do władzy dla władzy samej, z pomijaniem motywów ideowo-politycznych. Pobóg-Malinowski ten sam zarzut postawił również zarzewiakowi Eugeniuszowi Kwiatkowskiemu, pisząc, że „dusił się” w zbyt szczupłych ramach stanowiska wicepremiera i „pchał do władzy szefa rządu”³.

Zetowcy już w czasie dyskusji nad reformą konstytucji przeciwni byli zmianie ordynacji wyborczej opartej na pięcioprymiotnikowym prawie głosowania i wyznaczaniu kandydatów przez ugrupowania polityczne. Zdania tego byli również najbardziej zagorzali syndykaliści, zdając sobie sprawę, że — zanim ustrój syndykalny nie zostanie zrealizowany — odstępstwo od tych zasad obrócić się może na niekorzyść klasy robotniczej. Pozostający pod wpływem zetowców Związek Związków Zawodowych (ZZZ) już w marcu 1935 roku opracował memoriał przeciwko projektowi nowej ordynacji wyborczej, skierowany z listem J. Moraczewskiego do premiera Sławka⁴. Moraczewski i Szurig wypowiadali się z całą opozycją za zbojkotowaniem wyborów odbywanych na podstawie nowej ordynacji⁵.

Prawdą jest jednak, że część „naprawiaczy”-zetowców, należących wówczas do Klubu Poselskiego BBWR, podporządkowała się wymaganej w Bloku dyscyplinie i głosowała za sławkową ordynacją. Sprawa wywołała polaryzację zdań również w Związku Patriotycznym. Większością głosów postanowiono wziąć udział w wyborach, ale nie dlatego aby „pchać się do rządów”, lecz dla stworzenia w Sejmie pewnego ośrodka przeciwwagi wo-

3. *Ibidem*, str. 593.

4. Janusz Żarnowski i A. Micewski, *ibidem*, str. 297, na podstawie archiwum Moraczewskich.

5. A. Micewski, *op. cit.*, str. 297.

bec idealistycznych, ale w gruncie rzeczy bezprogramowych koncepcji Sławka w zakresie organizacji społeczeństwa oraz dla zażoścuzynienia naciskowi dołów organizacyjnych. Sławek włożył całą swą duszę i serce w konstytucję kwietniową (ostatecznie opracowaną i wygładzoną przez Bohdana Podoskiego* i Stanisława Cara), ale miał mgliste pojęcie o siłach społecznych mających zapewnić „harmonijne współdziałanie na rzecz dobra powszechnego”. Odrzucał dogmatyczne koncepcje państwa syndykalistycznego. Przez ordynację wyborczą dążył do przedstawicielstwa narodowego w Sejmie i w Senacie, złożonego z ludzi dzielnych, mądrych i zasłużonych, nie zdając sobie sprawy, że w praktycznym wykonaniu ordynacja pozbawiała szerokie masy społeczne, nie tylko partie polityczne, wpływu na bieg pracy państwowej. Tego też obawiali się zetowcy-„naprawiacze” podejmując decyzję udziału w wyborach.

10 lipca 1935 roku, w dwa dni po uchwaleniu przez Sejm nowej ordynacji wyborczej, Prezydent Mościcki rozwiązał Sejm i Senat, pochodzące z wyborów 1930. Nowe wybory z 8 i 14 września 1935, przeprowadzone przy zbojkotowaniu ich przez stronnictwa opozycyjne, dały w tych warunkach olbrzymią większość obozowi prorządowemu. W głosowaniu do Sejmu wzięło udział 46,5 % uprawnionych wyborców w porównaniu z 75 % w wyborach poprzednich. Marszałkami zostali w Sejmie Stanisław Car, a w Senacie Aleksander Prystor.

Teraz dopiero, po przeprowadzonych wyborach, wybuchł nabrzmiewający konflikt personalny, który był — jak zaznaczyć — nie tylko „personalny”, ale i ideologiczno-programowy.

Chodzi o konflikt Walerego Sławka z Prezydentem Ignacym Mościckim. Konflikt ten utrzymywany był wówczas w wielkiej tajemnicy, dziś jednak — w świetle opublikowanych materiałów i pamiętników Władysława Pobóg-Malinowskiego, Janusza Jędrzejewicza, Kazimierza Świtalskiego i innych — wydaje się być dostatecznie naświetlony. Sławek miał się zwrócić do Prezydenta z żądaniem ustąpienia, powołując się na wolę Piłsudskiego. Mościcki odmówił ustąpienia i zarządzenia nowej elekcji, co Sławek

* Bohdan-Czesław-Karol Podoski, ur. 1894, był członkiem PETU i OMN w Szkole Podlaskiej w Siedleach, a podczas studiów na Wszechnicy Bato-rowej w Wilnie w latach 1919-1920 jednym z przywódców lewicy akademickiej, grupującej przeważnie młodzież piłsudczykowską. Był wybitnym działaczem obozu pomajowego, posłem i w kadencji 1935-1938 wicemarszałkiem Sejmu. Na emigracji w Londynie wspólnie z dr. Michałem Grażyńskim brał czynny udział w pracach scalenia emigracji. Po śmierci Grażyńskiego był od 1966 roku przez dłuższy czas prezesem Ligi Niepodległości Polski.

uznać za pogwałcenie woli zmarłego Marszałka. W tej sytuacji nie chciał być szefem rządu z ramienia Mościckiego i w dniu 12 października 1935 roku złożył dymisję swego gabinetu, wkrótce po ukonstytuowaniu się nowych izb ustawodawczych. Prezydent jednak nie chciał dymisji przyjąć i zaproponował Sławkowi, by pozostał na stanowisku premiera, z tym wszakże, by Eugeniusz Kwiatkowski wszedł do rządu i to w podwójnym charakterze — ministra skarbu i wicepremiera gospodarczego. Sławek takie wysuwanie Kwiatkowskiego na czołową w rządzie pozycję uznał za „nowy dowód braku poszanowania dla woli zmarłego Marszałka⁶”. Wynikłe stąd przesilenie rządowe trwało krótko, miało jednak przebieg niezwykle dramatyczny.

Dlaczego Mościcki upierał się przy Kwiatkowskim? Niewątpliwie dlatego, że w tym czasie — już od paru lat — głęboko zatroskany był sytuacją gospodarczą kraju. Deflacyjna polityka gospodarcza rządów „pułkownikowskich” w latach kryzysu 1930-1935 nasuwała zastrzeżenia w szerokich kołach obozu pomajowego. Poczęto wątpić w słuszność drogi wyznaczonej przez Ignacego Matuszewskiego i coraz głośniej domagano się nie tylko reformy polityczno-ustrojowej ale i reformy polityki gospodarczej. Na czoło rewizjonistów w tym gospodarczym zakresie wysunął się nie kto inny, ale właśnie Prezydent Mościcki.

Mościcki jeszcze wiosną 1929 roku podsuwał Piłsudskiemu osobę Kwiatkowskiego, pragnąc — jak pisał w swych „Wspomnieniach” — „powołać na ministra skarbu kogoś zdolniejszego, kto by potrafił zwiększyć nasze możliwości finansowe”, spotkał się jednak „z tak zdecydowanym brakiem zaufania Piłsudskiego do finansowych kwalifikacji kandydata, że już nie próbował nawet szerzej uzasadniać swojej inicjatywy⁷”.

Mościcki nie miał wykształcenia ekonomicznego — jego poglądy w tej dziedzinie były mocno niedojrzałe — ale interesował się bardzo gospodarką kraju, a w szczególności polityką finansową. W czasie pogłębiania się kryzysu lansował koncepcję „bonów inwestycyjnych” i miał pretensje do ministrów skarbu, Matuszewskiego i Władysława Zawadzkiego, że idei tej nie zrealizowali, tak jak tego chciał. Po zgonie Piłsudskiego i ukonstytuowaniu się nowego Sejmu i Senatu Mościcki powrócił do swych koncepcji i wysunął zasadę prymatu gospodarki w obsadzaniu stanowisk rządowych. Na kierownika rewizjonistycznej polityki

6. Pobóg-Malinowski, *op. cit.*, str. 589.

7. *Wspomnienia*, rozdział XX, maszynopis tego rozdziału w moim posiadaniu. Patrz również mój artykuł „Polityka finansowa Eugeniusza Kwiatkowskiego”, *Niepodległość*, tom 11/1978.

upatrzył sobie Eugeniusza Kwiatkowskiego (1888-1974), z którym współpracował i zaprzyjaźnił się w latach 1923-1926 w Chorzowie, jako naczelny dyrektor fabryki chemicznej, i który dał się już poznać jako energiczny minister przemysłu i handlu w pomajowych gabinetach K. Bartla.

Inaczej patrzył na sprawę obsadzenia stanowisk rządowych Sławek, dla którego „wola” Marszałka była na pierwszym miejscu. Czynniki czysto personalne przeważały (a przynajmniej wydawały się wówczas przeważać) nad czynnikami kwalifikacji rzeczowej. „Wiadomo było — pisał Janusz Jędrzejewicz — że Piłsudski był w stosunku do Kwiatkowskiego bardzo niechętnie usposobiony i mimo nalegań Mościckiego sprzeciwiał się powołaniu go na stanowisko rządowe... Dla Sławka było to nie do przyjęcia. Godził się na kompromis, oddanie Kwiatkowskiemu skarbu, ale nie wicepremierostwa...⁸”.

Tym razem Mościcki nie ustąpił. Po odmowie Sławka zwrócił się do Kazimierza Świtalskiego, ściśle związanego ze Sławkiem i jego grupą, a gdy ten odmówił, powierzył misję utworzenia rządu Marianowi Zyndram-Kościałkowskiemu. Gabinet Kościałkowskiego, z Kwiatkowskim jako ministrem skarbu i wicepremierem, utworzony 12 października 1935 roku, nie utrzymał się długo. Został mocno zaatakowany w *Gazecie Polskiej* z 17 kwietnia 1936 roku przez Ignacego Matuszewskiego. Do sprawy wmieszał się Edward Śmigły-Rydz (1886-1943), który na nocnej naradzie po śmierci Piłsudskiego wysunięty został przez Sławka — wówczas premiera — na stanowisko Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych. Jest bardzo prawdopodobne, że z tego tytułu również Śmigły-Rydz począł uważać się za kandydata na prezydenta, ale Mościcki wyperswadował mu to, ofiarowując drugie miejsce w państwie obok siebie.

W poufnym układzie między Śmigłym i Mościckim ustalono, że rząd Kościałkowskiego ustąpi i na jego miejsce powołany będzie nowy gabinet z kompromisową kandydaturą gen. Felicjana Sławoja-Składkowskiego (1885-1962) jako premiera. I w tym rządzie, którego pierwsze posiedzenie odbyło się 15 maja 1936 roku z udziałem Śmigłego-Rydz, Mościcki zdołał utrzymać Kwiatkowskiego jako ministra skarbu i wicepremiera gospodarczego. Ten gabinet prowadził sprawy państwowe do pamiętnych dni katastrofy wrześniowej.

Zetowcy nie brali udziału w tych sporach personalnych. Nie byli też konsultowani i zapraszani na stanowiska ministerialne.

8. Janusz Jędrzejewicz, *W służbie idei*, Londyn 1972, str. 221.

Poparli jednak wysiłki Mościckiego idące w kierunku zapewnienia prymatu gospodarce i rozszerzenia bazy rządzenia państwem. Przede wszystkim, nie tyle ze względów personalnych ile rzeczowych, poparli osobę Eugeniusza Kwiatkowskiego, byłego zetowca i zarzewiaka, który wprawdzie po rozwiązaniu Zarzewia — jako jeden z najstarszych uczestników tego ruchu — nie powrócił do organizacji i nie był członkiem Związku Patriotycznego, ale którego zetowcy uważali za ideowo z nimi związanego. Do gabinetu Składkowskiego, obok liberałów i demokratów, Kościatkowskiego (min. opieki społecznej) i Juliusza Poniatowskiego (min. reform rolnych), weszli też dawniej bliżej z zetowcami związani: zarzewiak Juliusz Ulrych (min. kolei) i wychowanek PETU i OMN w Lublinie Edmund Kaliński (min. poczt i telegrafów). Z mieszanymi uczuciami przyjęto wejście do gabinetu Witolda Grabowskiego, narzuconego Składkowskiemu przez Śmigłego-Rydza w kontekście jego rozpoczynających się już wówczas kontaktów z ugrupowaniami pravicowymi.

Obóz Zjednoczenia Narodowego (OZN)

Po dokonanej zmianie rządu drugim doniosłym wydarzeniem politycznym było podjęcie próby nowej konsolidacji społeczeństwa. W dniu 30 października 1935 roku Walery Sławek rozwiązał Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem, uzasadniając to tym, że z chwilą wprowadzenia w życie nowej Konstytucji główne zadania Bloku zostały spełnione. Życie nie znosi pustki i trzeba było na miejsce BBWR stworzyć jakąś nową organizację, mogącą być oparciem dla rządu. W tym czasie wzrastało zagrożenie kraju od zewnątrz, przede wszystkim od Niemiec, które w latach 1933-1935 wyszły z dotychczasowego stanu słabości militarnej i po dojściu do władzy Adolfa Hitlera wybijały się na pierwsze miejsce jako potęga militarna w Europie.

Mając na uwadze oba te aspekty, wewnętrzny i zewnętrzny, Generalny Inspektor Sił Zbrojnych Edward Śmigły-Rydz w głosnej swej mowie z dnia 24 maja 1936 na Zjeździe Delegatów Związku Legionistów Polskich zwrócił uwagę na potrzebę konsolidacji narodowej przy hasle „obrony Polski”. Próba tej konsolidacji znalazła swój wyraz programowy w deklaracji ideowo-politycznej, ogłoszonej w dniu 21 lutego 1937 roku przez płk. Adama Koca, prezesa Związku Legionistów. Deklaracja ta stała się podstawą utworzenia Obozu Zjednoczenia Narodowego. Z dniem 1 marca rozpoczęły się właściwe prace organizacyjne. Zmar-

wano dużo czasu w dyskusjach nad przygotowaniem deklaracji i obmyśleniem struktury organizacyjnej nowego ugrupowania.

D e k l a r a c j a O Z N, wychodząc z „nakazu patriotycznego obowiązku” i „dobrej woli służenia jak najlepiej Ojczyźnie”, nawiązując do „wczoraj” odrabiania szkód i błędów polskiej przeszłości i do „dzisiaj” jako dzieła Józefa Piłsudskiego, formułowała „pogląd na najważniejsze zagadnienia i zasady, wytyczające drogę ku jutru”.

Za podstawową normę życia wewnętrznego deklaracja uważała konstytucję kwietniową 1935, a siłę obronną za „najkardynalniejszą ideę, pod którą społeczeństwo powinno się skupić, zapominając o jałowych i demoralizujących sporach, osobistych urazach, porachunkach przeszłości i mędrkującym pieniaczwie”.

Państwo uznawała deklaracja za jedyną formę prawidłowego i zdrowego bytu narodu, stwierdzając, że „nie ma sprzeczności między interesem narodu a interesem państwa”. Kościół katolicki — stwierdzała — winien być „otoczony należytą opieką”, naród polski bowiem z Kościołem tym „związał się duchowo już u progu swego cywilizacyjnego rozwoju”.

Świat przeżywa okres wielkich przemian gospodarczych i społecznych, ale Polska musi przejść przez ten okres bez wstrząsów, „okupowanych tak często strumieniami krwi i ruiną kultury”. „Komunizm w założeniach swych, celach i metodach jest tak obcy duchowi polskiemu, że w Polsce nie ma dla niego miejsca” — pisali autorzy deklaracji.

Siła obronna państwa wymaga zasobów nie tylko moralnych, ale i materialnych, a więc „dobrze zorganizowanego, bijącego silnym tętnem życia gospodarczego”. Zachowując zasady własności prywatnej, jak też prywatnej inicjatywy — deklaracja postulowała „prawo wpływu państwa na harmonijny rozwój całości kształtu produkcji”. „Stosunki między pracodawcą i pracownikiem muszą się tak ułożyć, by zapewnić warsztatom racjonalne warunki produkcji, a rzeszom pracowniczym pewność jutra i stopniowy, ale stały wzrost poziomu życia”.

Przebudowę ustroju rolnego przez „znaczne zwiększenie sumy globalnej własności ziemskiej” uważała deklaracja za konieczną, podkreślała jednak, że na to, by uzyskać „pożądany rezultat” niezbędne jest zastosowanie „całego zespołu środków zaradczych” (komasacja, melioracje, organizacja kredytów, zatrzymanie procesu rozdrabniania własności, podniesienie kultury rolnej, odpływ ludzi ze wsi do miast i przemysłu).

W stosunku do mniejszości narodowych podkreślała deklaracja „chęć bratniego współżycia; uznawała odrębności — „jak długo nie godzą w interesy państwa i o ile nie są rozmyślnie wyzyskiwane dla gruntowania nienawiści”. W stosunku do Żydów: potępiała „akty samowoli i brutalnych odruchów antyżydowskich”, za zrozumiała jednak uważała zarówno „instynkt samoobrony kulturalnej”, jak i „naturalną dążność społeczeństwa polskiego do samodzielności gospodarczej”...⁹.

Na podstawie tej deklaracji OZN, popularnie odtąd nazywany OZONEM, chciał nie tylko zjednoczyć i zreorganizować rozpraszające się po zgonie Piłsudskiego szeregi, ale — to trzeba uczciwie przyznać — dążył do rozszerzenia bazy rządzenia w obliczu grożących krajowi niebezpieczeństw. Treść deklaracji była patriotyczna i zamiary chwalebne. Dziś jednak wiemy, że OZON nie osiągnął zamierzonej konsolidacji. Po pierwsze dlatego, że marszałek Śmigły-Rydz, który patronował tworzącemu się obozowi, wybrał dla jego organizacji nieodpowiednich ludzi. Po drugie — że ludzie ci, z polecenia czy z błogostawieństwem Śmigłego, chcieli osiągnąć konsolidację ponad głowami nie tylko opozycyjnych, ale i własnych ugrupowań, wchodzących dotychczas w skład BBWR lub przyznających się do obozu piłsudczykowskiego. Słusznie podniesiono zarzut, że akcja konsolidacyjna, by przynieść oczekiwane efekty, nie może być narzucana z góry, choćby to były jak najbardziej szlachetne autorytety, ale odbywać się musi przy wolnej wymianie poglądów¹⁰.

Temu postulatowi przeprowadzenia negocjacji konsolidacyjnych w wolnej wymianie poglądów nie mógł zadośćuczynić Adam Koc (1891-1969), jeden z najbardziej oddanych Piłsudskiemu ludzi, desygnowany przez Śmigłego na szefa OZONU. Nawet tak stuprocentowy piłsudczyk jak Pobóg-Malinowski pisze o nim: „W roku 1936 był to już tylko sybaryta, wytrawny w kunszcie kulinarnym, rozmiłowany w wygodzie, nieskłonny do wysiłków, a przy tym snob, garnący się do ludzi z nazwiskiem czy tytułami rodowymi. Z jego ładnego w młodości radykalizmu społecznego nie zostało już ani śladu — był to teraz z przekonania konserwatysta krańcowy, nawet o reakcyjnym zabarwieniu”¹¹”.

9. Moje streszczenie deklaracji na podstawie jej tekstu oryginalnego.

10. M.in. Jacek Majchrowski, *Czynniki jednoczące naród w myśli politycznej Obozu Zjednoczenia Narodowego*, Uniwersytet Jagielloński, Rozprawy habilitacyjne Nr 19, Kraków 1978, str. 52. Pracę tę recenzjowałem obszernie w tomie XIII *Niepodległości*, Nowy Jork - Londyn, 1980.

11. *Najnowsza Historia...*, op. cit., tom II, str. 606.

Nie wchodząc w szczegóły deklaracji ideowej OZN, genezy tej organizacji i ludzi, którzy ją montowali — wypada powrócić do zasadniczego tematu tego szkicu i zapytać się, jak zachowali się zetowcy wobec tej nowej koncepcji.

Trzeba przypomnieć, że „Naprawa” — zgodnie z oceną wszystkich historyków — była najsilniejszym ugrupowaniem w obozie piłsudczykowski¹². Utworzony przez zetowców „Związek Naprawy Rzeczypospolitej” („Zjednoczenie Pracy Wsi i Miast”) uzyskał z listy BBWR w wyborach do Sejmu 1930 roku 24 mandaty¹³. W ramach podjętej akcji konsolidacyjnej ZPWM doprowadziło w roku 1930 do zjednoczenia Centralnego Towarzystwa Rolniczego i Centralnego Związku Kółek Rolniczych oraz do połączenia dwóch centrali pracowniczych: Federacji Związku Zawodowego Pracowników Umysłowych i Konfederacji Pracowników Umysłowych¹⁴. Później zetowcy główny swój wysiłek kierowali na odcinek robotniczy, w Generalnej Federacji Pracy i późniejszym Związku Związków Zawodowych. Naturalną kolejną rzeczą Zjednoczenie Pracy Wsi i Miast poczęło zamierać. Nowe „naprawiackie” czy półnaprawiackie organizacje nawiązywały bezpośredni kontakt z BBWR.

Po zgonie Piłsudskiego zetowa grupa działaczy pracujących w Związku Związków Zawodowych poczęła usamodzielniać się na tyle, że harmonizowanie tej działalności z pracą na innych odcinkach stawało się coraz trudniejsze. Zetowcy-syndykaliści

12. Doskonali, zwięźli przegląd organizacji politycznych wchodzących do obozu pomajowego daje praca w języku niemieckim Niny Kozłowskiej pt. *Die politischen Gruppierungen innerhalb des Piłsudski-Lagers 1926-1939*, Osteuropa-Institut München, 1978. Autorka opiera się w swym zestawieniu i informacjach na wielu przedwojennych i powojennych badaczach polskiej historii politycznej, m.in. na pracach T. Selimowskiego (*Polskie legalne stronnictwa polityczne*, Warszawa 1930), Jerzego Holzera (*Mozaika polityczna drugiej Rzeczypospolitej*, Warszawa 1974), A. Micewskiego, T. Jędruszczyka i wielu innych.

Do obozu wchodziły lub popierały go poza „Naprawą”: konserwatyści (grupy krakowska, poznańska, Org. Zachowawczej Pracy Państwowej i *Słowa Wileńskiego*), Stronnictwo prawicy narodowej (krakowski *Czas*), od 1930 r. Zachowawczy Zw. Org. Politycznych i Gospodarczych, Narodowa Partia Robotnicza - lewica, Stronnictwo Katolicko-Ludowe, Partia Pracy, PPS — dawna Frakcja Rewolucyjna (Moraczewski, Malinowski), Zjedn. Ludu Polskiego (J. Bojko) i inne grupy rozłamowe stronnictw ludowych, ugrupowania przy czasopismach *Głos Prawdy*, *Droga*, *Bunt Młodych*, *Jutro Pracy* i wiele innych.

13. M. Wierzbicka, *op. cit.*, str. 280.

14. *Ibid.*, str. 281.

najwyraźniej emancypowali się, a w zetknięciu z problematyką robotniczą w okresie szalejącego kryzysu gospodarczego — radykalizowali.

Na zjeździe braterskim Związku Patriotycznego w roku 1935 — po zgonie Piłsudskiego — zaznaczyły się już pewne poważne różnice w ocenie sytuacji i dróg dalszego działania politycznego między zetowcami-syndykalistami i większością członków ZP. Czołowy zetowiec-syndykalista, Jerzy Szurig, był od paru lat redaktorem *Przełomu*, który pod jego redakcją nie tylko nie odzwierciedlał przekonań większości zetowców, ale też zamierał wobec zaabsorbowania redaktora pracą w ZZZ i jednoczesnym redagowaniem *Frontu Robotniczego*. Na tle tych ideologiczno-programowych rozdzwinków postanowiono zlikwidować *Przełom* i wydawać nowe czasopismo pod nazwą *Naród i Państwo*, powierzając jego redakcję Stanisławowi Groniowskiemu (1895-1939). Groniowski, historyk i archiwista, w swej działalności publicystycznej znany był ze spokoju i rozwagi. Zginął w kampanii wrześniowej 1939 roku jako porucznik rezerwy. Głównym publicystą — piszącym często anonimowo — był w *Narodzie i Państwie* nadal Bolesław Srocki.

Jednocześnie — po wyborach wrześniowych 1935 roku — zetowcy postanowili związać z sobą bliżej działaczy organizacji samorządowych i społecznych, które kontrolowali, nie wiedząc jeszcze co stanie się po rozwiązaniu BBWR. Nowa organizacja przyjęła nazwę Związku Działaczy Społecznych. Grupowała ona działaczy nie zaangażowanych na odcinku pracy robotniczej w ZZZ i nie przyjmujących syndykalistycznych koncepcji Szuriga i Zakrzewskiego za zasadnicze wyznaczenie wiary ruchu zetowego. Większość zetowców stopniowo oddalała się od koncepcji „państwa syndykalistycznego” w jego sorelowskim wydaniu, nie widząc możliwości jej realizacji w stosunkach polskich. Nie zaprzestano jednak poszukiwania bardziej praktycznych koncepcji organizacji sił społecznych na miejscu zajmowanym dotychczas przez partie polityczne. Ogromna większość byłych „naprawiaczy” przedstawiała się na ten kierunek, również zetowa młodzież z ZPMD.

Aczkolwiek prace nad deklaracją ideową OZN i montowaniem nowego obozu utrzymywane były w tajemnicy, odgłosy odnośnych narad i strzępy projektów dochodziły do zetowców, wzbudzając zaniepokojenie. Już w pierwszym numerze tygodnika *Naród i Państwo* z 8 lutego 1936, na rok przed ogłoszeniem deklaracji, we wstępnym artykule redakcyjnym pod tytułem „Pod sztanda-

rem wiary w lepszą przyszłość” zetowcy dali wyraz swym poglądom. Pisano w tym artykule:

„... Do najważniejszych zagadnień współczesności polskiej należy znalezienie właściwego rozwiązania sprawy stosunku obywatela do państwa i państwa do obywatela...

...Pamiętać należy, że przewyciężenie anarchii nie powinno być osiągnięte jedną tylko metodą — metodą łamania sił negatywnych. Musi ono być związane również i z drugą stroną programu — organizowaniem pozytywnej siły społeczeństwa... Z punktu widzenia przejściowej wygody rządzenia, ten punkt ostatni może budzić wątpliwości...

...Do najważniejszych problemów polskiej współczesności należą niewątpliwie zagadnienia socjalno-gospodarcze...

Prawem reakcji dzisiaj stoimy często wobec programowego lekceważenia strony socjalnej zjawisk gospodarczych. Przez wysunięcie hasła solidaryzmu społecznego oraz skłonność do ujmowania zjawisk socjalnych jako pewnego rodzaju kłopotliwego powikłania w normalnym trybie życia państwowego — cofamy się w tej dziedzinie niestety daleko, dochodzimy do planowego niejako zapoznania istotnego znaczenia troski socjalnej w dzisiejszych warunkach życia polskiego...”.

W tym samym artykule programowym nowego organu zetowców powiedziano, że w ostatnich latach zapomniane zostało tak niegdyś popularne hasło reformy rolnej... Również „w dziedzinie ustawodawstwa robotniczego żyjemy stopniowym pomniejszaniem dorobku lat dawniejszych. W odniesieniu do strony socjalnej zagadnienia kryzysu gospodarczego zachowujemy niemal doskonałą obojętność, pozycję wyłącznie defensywną...”¹⁵.

Ze sformułowań tych nie widać, aby zetowcy sprzeniewierzali się swym podstawowym założeniom ideologicznym i programowym, liberalnej tradycji, zainteresowaniom problematyką robotniczą i włościańską. Gdy w rok później ukazała się deklaracja OZONU (do której opracowania zetowcy — rzecz jasna — i tym razem nie zostali zaproszeni), tygodnik *Naród i Państwo* w nr 9 z dnia 28 lutego 1937 w artykule „Deklaracja płk. Koca” pisał:

„... Nie możemy uznać za fakt pomyslny, że wynikiem opublikowanej w dniu 21 lutego 'Deklaracji' było przeważające skomentowanie celów organizacyjnych inicjatywy płk. Adama Koca, jako próby odbudowania obozu konserwatywnego w Polsce. Nie będziemy tutaj powtarzali argumentów, dla których nie wydaje nam się możliwe, by w dzisiejszych warunkach europejskich zachowawczość i konserwatyzm mogły stanowić najlepszą i najmocniejszą podstawę pod budowę zdrowej i wewnętrzzną harmonią silnej Polski”.

15. W braku tygodnika *Naród i Państwo* w dostępnych mi bibliotekach podaje to streszczenie za A. Micewskim, *W cieniu Marszałka...*, op. cit., str. 276-277.

A jednak, mimo tych krytycznych uwag i zastrzeżeń, zetowcy — poprzez Centralną Radę Działaczy Społecznych — postanowili przystąpić do OZN. Na zjeździe CRDS w dniu 7 marca 1937 przyjęto „wniosek o wzięcie udziału w ogólnej akcji konsolidacyjnej z zachowaniem świadomości kierunku własnych dążeń”.

Komentując tę decyzję Andrzej Micewski zarzuca „głównym siłom 'Naprawy'” „kapitulowanie w imię mirażu udziału we władzy politycznej”, „realizmu politycznego, który w gruncie rzeczy nie był żadnym realizmem”. Docenia wprawdzie, że grupa „Naprawy” odgrywała w pewnych latach w sanacji funkcję lewicowej grupy nacisku, ale „wejście jej do Ozonu z tą samą intencją było — jego zdaniem — ... zdradą własnych założeń czy, jak by powiedział Talleyrand, czymś jeszcze gorszym, bo błędem¹⁶”. Można rozumieć, choć Micewski nie pisze tego wyraźnie, że raczej podziela decyzję Kongresu Związku Związków Zawodowych, w którym „naprawiacze” mieli także swoje wpływy. Kongres ten, obradujący w tym samym dniu 7 marca 1937, odrzucił wniosek o przystąpienie do OZONU, powołując się zresztą na zawsze przyświecającą ZZZ zasadę niezależności ruchu zawodowego od organizacji politycznych.

Zetowcom często zarzucano kompromisowość. Tak już ich wychowywano od Jeża-Miłkowskiego w ruchu niepodległościowonarodowym, który był ruchem łączenia, a nie dzielenia społeczeństwa. Nie uprawiali bezpłodnej opozycji i zawsze rozważali w posunięciach politycznych możliwe alternatywy. Wiedzieli, że polityka jest zawsze sztuką rozsądnych kompromisów dla wyciągnięcia w powstających sytuacjach najlepszych dla narodu korzyści, przy zapewnieniu sobie możliwości dalszego oddziaływania na zmianę stosunków w imię ideologicznych wartości długofalowych.

W momencie przystąpienia do OZN, w dwa tygodnie po ogłoszeniu deklaracji Koca, nie wiadano jeszcze dokładnie o dalszych jego zamiarach. Sama deklaracja utrzymana była w tonie wysoce patriotycznym, dalekim od faszyzmu. Zagadnienia społeczne i gospodarcze sformułowane zostały ostrożnie, ale nie drażniąc z punktu widzenia odnośnych światopoglądowych założeń zetowców. Wiele spraw aktualnych, mogących wywołać kontrowersję, m.in. w zakresie polityki zagranicznej, zostało świadomie pominiętych. Czuć było w deklaracji pióro Bogusława Miedzińskiego, z którym zetowcy mogli się jeszcze najlepiej dogadać.

Historycy krajowi, przyjaźnie ustosunkowując się do decyzji

16. *Ibidem*, str. 282.

zetowców-syndykalistów, woleliby aby cała „Naprawa” odmówiła przystąpienia do OZONU, zachowując w pełni swą „lewicową” postawę. O to można się spierać, ale spór ten — rozważanie następstw takiej decyzji, czy też możliwości innych alternatyw — nie ma dziś najmniejszego sensu. Osobiście nie brałem bezpośredniego udziału w odnośnych rozmowach, będąc wówczas całkowicie zaabsorbowany pracą gospodarczą w Ministerstwie Skarbu, podzielałem jednak zasadniczo argumenty większości zetowców. Podobnie myślał również E. Kwiatkowski, który miał duże kłopoty z OZN ale nie mógł odmówić współpracy. Dla nas wszystkich zagadnienie obrony państwa i konieczność konsolidacji społeczeństwa pod tym hasłem wysuwały się na plan pierwszy przed dogmatyzmem takich czy innych orientacji polityczno-społecznych czy wypominaniem sobie grzechów przeszłości.

Sytuacja międzynarodowa komplikowała się. W początkach 1935 roku armia niemiecka nie przekraczała jeszcze 300 tysięcy ludzi, ale na jesieni tegoż roku liczyła już 800 tysięcy. 24 sierpnia 1936 roku okres służby został przedłużony w Rzeszy Niemieckiej do 2 lat i stany pokojowe wojska osiągnęły półtora miliona. Po Nadrenii, przyłączeniu Austrii i Sudetów stany te rosły dalej i Polska czuła się bezpośrednio zagrożona. Sojusz z Francją był rozluźniony, stosunki z Anglią słabe.

Zetowcy zdawali sobie oczywiście sprawę z niebezpieczeństwa ześlizgu akcji konsolidacyjnej pod auspicjami wojska w kierunku tendencji dyktatorskich. Ale w większości swej nie widzieli możliwości przeciwdziałania tej tendencji przez przejście z rozwiniętymi sztandarami do skłóconych z sobą grup opozycyjnych. Natomiast poparcie akcji konsolidacyjnej Śmigłego-Rydza „z zachowaniem świadomości własnych dążeń” wydawało się dawać po temu lepsze szanse.

Pod tym względem „główne siły 'Naprawy' ” — jak je nazywa Micewski — nie pomyliły się. Dalsze wypadki wykazały, że przez przystąpienie do akcji konsolidacyjnej na gruncie deklaracji OZN zetowcy nie zdobyli władzy, bo im na tej władzy nie zależało, ale wybitnie przyczynili się do usunięcia Adama Koca z szefostwa organizującego się obozu i zahamowania procesu faszyzacji Polski.

Zaczął się od kategorycznego sprzeciwu, jaki zetowcy wyrazili w stosunku do zamysłów Koca ujęcia całego ruchu młodzieżowego w jednolitą i poddaną zwierzchnictwu OZONU organizację, na wzór faszystowskiego czy hitlerowskiego.

Kierowane przez zetowców organizacje młodzieżowe, Związek Młodzieży Wiejskiej „Siew” i Związek Polski Młodzieży Demo-

kratycznej (ZPMD) kategorycznie odmówiły współdziałania, strzegąc tradycyjnej niezależności od partii politycznych. Wówczas szef OZN podjął rozmowy z przywódcami Ruchu Narodowo-Radykalnego, znanego pod popularną nazwą ONR-Falanga, rozłamowej grupy Stronnictwa Narodowego, poddanego wówczas jeszcze większej „dekompozycji” niż przegrupowania w obozie pomajowym.

Wojciech Wasiutyński, działacz tej grupy, pisze w *Wiadomościach* londyńskich (nr 1720 z 18 marca 1979) w artykule o Bolesławie Piaseckim, wówczas przywódcy ONR-Falangi, a po drugiej wojnie współpracowniku Bieruta i partii komunistycznej w rozbijaniu Kościoła i katolickich organizacji: „Oczarował [Piasecki] tak dalece Adama Kocą, że komendant OZN, jak to sam określił, czuł się w jego towarzystwie, „jakby znowu był w Legionach”. A druga osoba w państwie, generalny inspektor sił zbrojnych, marszałek Rydz, słuchał poważnie i uważnie sugestii ledwie pełnoletniego polityka”.

„Piasecki — pisze Wasiutyński — ułożył plan opanowania od wewnątrz wszystkich młodych organizacji, od 'Wici' poprzez 'Strzelca' do Stronnictwa Narodowego”. Podjęcie współpracy wyprowadziło RNR ze stanu nielegalności na szczyt ówczesnego życia politycznego, co w przyszłości mogło otworzyć możliwość objęcia rządów lub też choćby w nich partycypacji. Koncepcja połączenia miała więc ze strony Ruchu charakter przede wszystkim taktyczny¹⁷.

Oczarowany koncepcją Koc zgodził się na udzielenie Piaseckiemu mandatu na założenie organizacji młodzieżowej pod egidą OZN. Organizacja ta powołana została do życia 23 czerwca 1937 roku pod nazwą „Z w i ą z e k M ł o d e j P o l s k i”, zawłaszczając sobie tę nazwę, pod którą zetowcy prowadzili pracę polityczną w latach 1918-1922. Na jej czele stanął osobiście Adam Koc, jego zaś zastępcą, sprawującym praktycznie kierownictwo organizacją — które potem przejął oficjalnie — był Jerzy Rutkowski. Pełnił on również funkcję redaktora naczelnego głównego pisma Związku, *Młodej Polski*¹⁸.

ONR-Falanga, poczuwszy się przy wpływach, wystartowała w Związku Młodej Polski z programem typowo hitlerowskim i totalitarnym. Wysunęła hasło „przełomu narodowego”, którego realizację rozpoczęła od demolowania lokali przeciwników i walki z tzw. „żydokomuną”. Dla zastraszenia i sterroryzowania społe-

17. Porównaj Jacek Majchrowski, „Ideologia miesięcznika *Młoda Polska*”, *Zeszyty Naukowe UJ.* nr 10/1977.

18. *Ibidem*, str. 105.

czeństwa „falangiści” zapowiadali urządzenie „nocy św. Bartłomieja” wszystkim tym, którzy będą przeciwstawiać się OZON-owi. Groźby te były obliczone w pierwszym rzędzie na zastraszenie legionistów, opornych w stosunku do kierunku OZN, oraz Centralnego Związku Młodej Wsi („Siew”), jako organizacji masowej o dużych wpływach, uważanej za główną przeszkodę w koncepcji totalitarnego Związku Młodej Polski¹⁹. Słusznie pisze Jacek M. Majchrowski, podsumowując rzeczową analizę ideologii miesięcznika *Młoda Polska* w okresie współpracy Obozu Zjednoczenia Narodowego z Ruchem Narodowo-Radykalnym: ... „program i hasła głoszone przez Młodą Polskę i ZMP pokrywały się w całej rozciągłości z zasadami prezentowanymi przez Ruch. Stwarzało to dziwną sytuację — Ruch, a w tym ZMP, będący jego ekspozyturą, popierał sanację, operując jednocześnie hasłem przełomu, którego jednym z celów było odebranie jej władzy jako ugrupowaniu, które jest rządzone przez nieodpowiedzialnych: prezydenta i premiera, którzy doprowadzili do „przehandlowania Polski Żydom i Niemcom”²⁰”.

Tego wszystkiego było już zetowcom za dużo. Dla pohamowania zapędów organizowania społeczeństwa w twory posłuszne odgórnemu, choćby najbardziej życzliwie traktowanemu kierownictwu, prezes „Młodej Wsi” Stanisław Gierat zorganizował w lecie 1937 roku wielki kongres „Młodej Wsi” na Polu Mokotowskim w Warszawie. Organizacja liczyła już około 200.000 członków we wszystkich województwach. W obecności zaproszonego marszałka Śmigłego-Rydza (buławę marszałkowską otrzymał 10 listopada 1936 roku) została przedstawiona deklaracja ideowa, różna od tej, na jakiej OZON chciał budować życie polityczne. Deklaracja ta stwierdzała, że Ruch Młodowiejski jest wyrazem dążenia młodych chłopów, zmierzających do odrodzenia całości życia Rzeczypospolitej, współ z ogółem młodego pokolenia Polski Pracy. Domagała się utrzymania dobrowolnych organizacji społecznych, gospodarczych i kulturalnych, których naturalną nadbudową byłaby reprezentacja polityczna, oparta w swej większości o chłopskie i robotnicze związki zawodowe²¹. W sformułowaniach deklaracji uderza wyraźny wpływ zetowo-„naprawiackiej” ideologii syndykalistycznej w nieco już zmodyfikowanej formie.

Centralny Związek Młodej Wsi, zagrożony w swej podstawie, szukał sprzymierzeńców dla obrony idei swobodnego kształtowania się oblicza społecznego. Zostały zacieśnione stosunki przy-

19. Stanisław Gierat, *Młoda Wieś*, Londyn 1951, str. 17.

20. Artykuł cytowany, *Zeszyty Naukowe U.J.* nr 10/1977, str. 113.

21. Stanisław Gierat, *broszura cytowana*, str. 15.

jażni z Centralnym Towarzystwem Organizacji i Kółek Rolniczych, ze Związkiem Kół Gospodyń Wiejskich, ze Związkiem Spółdzielczości Rolniczej i ze Spółdzielnią Spożyców „Społem”, jak również ze Związkiem Nauczycielstwa Polskiego. Byli to naturalni sprzymierzeńcy w obronie samodzielności organizacyjnej.

Najważniejszym posunięciem zetowców było tzw. „trójporozumienie” zawarte 14 października 1937 roku między Młodą Wsią (Stanisław Gierat), Związkiem Harcerstwa Polskiego (Michał Grażyński) i Związkiem Strzeleckim (Franciszek Paschalski), które niebawem przekształciło się w „czwórporozumienie” przez przystąpienie do niego organizacji młodzieży robotniczej „Orle”. W tym antyozonowym porozumieniu Grażyński był przedstawicielem starszej, Gierat młodszej generacji zetowozarzewiackiej, a Paschalski następcą Kazimierza Kierzkowskiego. Związek Młodzieży Robotniczej „Orle” był starą organizacją kierowaną przez dawną OMN i późniejszy ZPMD.

Stanisław Mackiewicz (CAT) pisał, że Grażyński przez porozumienie Związków Harcerstwa, Nauczycielstwa, Młodzieży Wiejskiej i Strzeleckiego chciał stworzyć ze swej strony organizację popierającą rząd po rozwiązaniu BBWR, sięgając po „kadyceusz” w tej organizacji. To twierdzenie nie jest słuszne, gdyż zawarte „czwórporozumienie” nosiło charakter jak najbardziej obronny i nie pretendowało do stworzenia nowej organizacji politycznej. Mackiewicz ma jednak pewną rację gdy pisze, że „Rydz bał się supremacji inteligentnych „naprawiaczy” w obozie, którego miał być bóstwem²²”.

Pod wpływem nacisku Śmigły-Rydz musiał zrewidować swój stosunek do Adama Koca i metod akcji konsolidacyjnej przez niego zainicjowanej. Porozumienie z ONR-Falangą nie trwało długo. Bogusław Miedziński relacjonuje: „Na życzenie Śmigłego starałem się w rozmowach poufnych z nim (tj. Kocem) a potem na konferencjach u Śmigłego wytłumaczyć Kocowi konieczność zerwania z Falangą. Gdy to wszystko nie dało rezultatów, Śmigły zdecydował się na ультимatywne postawienie sprawy: albo zerwanie OZN z Falangą, albo zmiana na stanowisku Szefa. Koc wybrał swoją dymisję²³”.

Rydz-Śmigły wyciągnął więc wnioski z kryzysu i w styczniu 1938 roku usunął Adama Koca ze stanowiska szefa OZN, powołując na jego miejsce generała Stanisława Skwarczyńskiego. Grażyński, do którego pośrednio i bez serca zwracano się, posterun-

22. *Historia Polski...*, op. cit., str. 298.

23. Bogusław Miedziński, „Sprostowania spoza grobu”, *Zeszyty Historyczne* nr 22, str. 144.

ku tego nie chciał przyjąć. Zerwana też została współpraca z ONR-Falangą. Niebawem kierownik Związku Młodej Polski z ramienia Bolesława Piaseckiego, Rutkowski, dokonał rozłamu w związku, za co został z OZN wykluczony. Skwarczyński powołał tzw. „Służbę Młodych OZN”, powierzając jej kierownictwo majorowi Edmundowi Galinatowi. Dokonał też zmian w szefostwie obozu i przeprowadził jego reorganizację.

Po względnym odprężeniu spowodowanym tymi zmianami zetowcy postanowili współdziałać w dalszej organizacji OZN, zachowując nadal krytyczny do niego stosunek.

W kwietniu 1938 roku nowy szef OZN powołał Radę Naczelną obozu, do której weszło kilku wybitnych „naprawiaczy”, m.in. zetowcy Zdzisław Lechnicki z Chełma, jego przyrodni brat Tadeusz, b. podsekretarz stanu (ten był co prawda bliżej związany z grupą „pułkownikowską”), Władysław Kamiński, prezes Izby Rolniczej w Wilnie i poseł na Sejm, Piotr Olewiński, senator, wybitny działacz społeczny w Pińszczyźnie i na kresach wschodnich, zasłużony w ruchu harcerskim i w Związku Młodzieży Wiejskiej, dr Bronisław Wojciechowski, poseł na Sejm, przemysłowiec i działacz społeczny we Lwowie. Nie można też było pominąć „naprawiaczy” w województwach i powiatach. Prezesami wojewódzkimi OZN byli m.in. zetowcy Felicjan Lechnicki w Lublinie i dr Leon Surzyński w Poznaniu.

Właściwie z tą datą kwietnia 1938 roku można mówić o zaangażowaniu się zetowców — z wyjątkiem syndykalistów — w prace OZONU. Miało to i swoje dalsze reperkusje. Marian Marek Drozdowski pisze: „Skwarczyński wprowadził do Rady Naczelnej Ozonu wielu 'naprawiaczy', co z kolei spowodowało frondę elementów prawicowych (grupa Jutra Pracy)²⁴”.

Wspomniana przez Drozdowskiego grupa „Jutra Pracy” związana była w latach dwudziestych przez kilku urzędników Zakładu Ubezpieczeń Pracowników Umysłowych (Artur From, Kazimierz Golde i Jan Hoppe). Związana była ze Sławkiem oraz Adamem Skwarczyńskim, ale wielu jej ludzi zbliżyło się do syndykalistycznej ideologii zetowców. W praktycznej działalności politycznej przyjęła kurs zygzakowaty, który nieprzekonywująco starał się usprawiedliwić i podnieść na koturny wysokiego patriotyzmu jej główny reprezentant Jan Hoppe (1902-1969)²⁵. Hoppe, b. sekretarz „Straży Przedniej”, poseł na Sejm z ramienia BBWR, przystąpił ze swą grupą do OZN i był sekretarzem gene-

24. Piłsudzcy bez Piłsudskiego, *op. cit.*, str. 222.

25. Jan Hoppe, *Wspomnienia, przyczynki, refleksje*, Londyn 1972.

ralnym sektora miejskiego obozu w Warszawie u boku komisarzycznego prezydenta Stefana Starzyńskiego. Po objęciu funkcji szefa obozu przez Stanisława Skwarczyńskiego i Zygmunta Wendę Hoppe wycofał się i przeszedł z całą grupą do opozycji.

Doskonałą charakterystykę grupy „Jutra Pracy” daje rozprawa Jacka M. Majchrowskiego, opublikowana w roku 1977 w *Studiach Historycznych*. Autor stwierdza, że grupa zarzucać począła OZONOWI nierealizowanie w praktyce nacjonalistycznych haseł deklaracji ideowej. Polami zainteresowań grupy, a więc także i krytyki, były „problematyka społeczno-gospodarcza i — dzięki czemu grupa zyskała szczególny rozgłos — problematyka nacjonalistyczna wyrażająca się głównie w wystąpieniach antyżydowskich i antymasońskich²⁶”. Słynne stały się odnośne mowy sejmowe posłów Dudzińskiego i Budzyńskiego [*enfants terribles* wśród legionistów — J.R.]. Na gruncie nacjonalizmu rodziła się współpraca grupy z Ruchem Narodowo-Radykalnym; „Dudziński należał do działającej pod kierownictwem Wojciecha Wasiutyńskiego Rady Programowej Falangi²⁷”. Nic dziwnego, że działaczom „Jutra Pracy” miłsza była współpraca z Kocem niż ze Skwarczyńskim, czego nie tai Hoppe w swoich „Wspomnieniach i refleksjach”.

Wplotłem te parę uwag o grupie „Jutra Pracy” dlatego, że organizacja ta po zmianie frontu i przejściu — faszyzując — do rozbijackiej roboty bez jakiegokolwiek pozytywnej koncepcji, z zaciętością zaczęła atakować również „Naprawę”, a w rządzie wicepremiera E. Kwiatkowskiego. Tygodnik *Naród i Państwo* nie mógł pozostawić tych ataków bez odpowiedzi. W numerze 15-16 z 24 kwietnia 1938 roku w artykule pod tytułem „Komedianci” dano grupie „Jutra Pracy” ostrą odprawę, pisząc: „zgłosili się na wezwanie Obozu jako pasażerowie, którzy nigdzie się nie wybierają, lecz mają nadzieję — będąc na okręcie — nie dopuścić do ruszenia z miejsca”.

Zetowcy uczciwie chcieli, aby praca konsolidacyjna ruszyła z miejsca i objęła szersze kręgi społeczne. Popierali starania Kwiatkowskiego sprowadzenia do kraju i amnestionowania Wincentego Witosa²⁸, porozumienia z ludowcami i socjalistami celem wciągnięcia przedstawicieli tych stronnictw jeśli nie do rządu, to przynajmniej do komitetów obrony narodowej. Stanowisko Śmi-

26. „Grupa 'Jutra Pracy' wobec Obozu Zjednoczenia Narodowego”, *Studia Historyczne*, R. XX, 1977, Z. 2, str. 297.

27. *Ibidem*, str. 272 na podstawie listu Wojciecha Wasiutyńskiego do Majchrowskiego z dnia 7. 3. 1973 r.

28. Patrz W. Witos, *Moje wspomnienia*, tom III, Paryż 1965.

głęgo-Rydzę było niestety w tej sprawie negatywne, co piszącemu te słowa oświadczył Kwiatkowski w czasie jednej z prywatnych rozmów. Śmigły stawiał całkowicie na OZON i nadal kontynuował politykę konsolidacji ponad głowami przywódców stronnictw politycznych.

W miarę narastania niebezpieczeństwa zewnętrznego konieczność zmian w systemie rządzenia krajem była dla zetowców oczywistością. Tadeusz Katelbach w „Spowiedzi pokolenia” opisuje w rozdziale „Zmierzch reżymu” rozmowy, jakie prowadzono z dawnymi kolegami uniwersyteckimi w przededniu nowych wyborów do Sejmu, wyznaczonych na 6 listopada 1938 roku. Przez Związek Byłych Zarzewiaków czynił to samo Kwiatkowski. Mimo krytykowanej ordynacji wyborczej szereg działaczy politycznych z różnych ugrupowań, głównie z rozłamowych grup Stronnictwa Narodowego (grupa „Podbipięty” Jana Rembieleńskiego) nie przyłączyło się do bojkotu i zgłosiło swoje kandydatury na posłów i senatorów. „Naprawiacze — pisze Katelbach — postanowili wziąć udział w wyborach listopadowych, chcieli przy tym wprowadzić do obu ciał parlamentarnych nie tylko własnych ludzi... Dbaliśmy o to, aby tacy kandydaci jak Rembieleński czy Jan Dębski byli murowani. Do obecności w Senacie Dębskiego przywiązywaliśmy szczególne znaczenie. Był on jednym z dawnych przywódców 'Piasta'...”²⁹.

W wyborach z 6 listopada 1938 roku poszło do urn ponad 67 % uprawnionych do głosowania, mimo ponownego bojkotu opozycji. Mandaty do nowego Sejmu, na ogólną ilość 208, uzyskało 182 Polaków, 19 Ukraińców, 5 Żydów, 1 Rosjanin i 1 Białorusin. Sejm zwołany i otwarty 24 listopada dokonał wyboru marszałka w osobie Wacława Makowskiego. Senat, złożony z 96 członków, w 2/3 wybranych w głosowaniu według obowiązującej ordynacji, w 1/3 mianowanych przez Prezydenta, ukonstytuował się tegoż dnia, powołując na swego marszałka Bogusława Miedzińskiego. Układ sił w nowym Sejmie wyrażał się w bezwzględnej przewadze OZN (166 mandatów na 208); Sławek poniósł klęskę całkowitą — w trakcie wyborów rozwinęto przeciwko niemu akcję dyskretną, ale energiczną — nie uzyskał też mandatu ani dla siebie, ani dla żadnego ze swych przyjaciół³⁰.

Do Senatu zetowcy zdolali wprowadzić swych czołowych ludzi z terenów Lubelszczyzny, Chełmszczyzny, Polesia, Wileńszczyzny, Poznańskiego i Śląska, gdzie rozporządzali najpoważ-

29. *Spowiedź pokolenia*, str. 227/28 i następne.

30. Pobóg-Malinowski, *Najnowsza historia...*, str. 662.

niejszymi wpływami, w osobach Felicjana Lechnickiego, Władysława Kamińskiego, Piotra Olewińskiego, Mariana Drozdowskiego, Feliksa Rosady i Tadeusza Katelbacha. Ta zetowo-„naprawiacza” grupa zaraz nawiązała kontakt z wcale poważną kilkunastoosobową grupą „niezależnych”, do której weszli ludzie różnych przekonań (jakich zdołano przeprowadzić z wyboru lub nominacji) jak: Kobyłański, Miłaszewski, Olchowicz, Rembieliński, Fudakowski, Dębski i jeszcze kilku.

Równie małą grupę stanowili zetowcy-„naprawiacze” w Sejmie na czele z wicemarszałkiem Sejmu dr. Leonem Surzyńskim (z Poznania) i płk. Tadeuszem Lechnickim (Lublin). Tutaj walka wyborcza była bardzo ciężka, gdyż wielu zetowców znanych w pracy społecznej i państwowej nie chciało się zgodzić na wystawienie ich kandydatur, nie mając zainteresowania dla mandatów poselskich. W dodatku Związek Związków Zawodowych uchwalił większością głosów powstrzymanie się od wyborów i zetowcy-syndykaliści podporządkowali się tej uchwale. Jednakże, choć w Senacie i w Sejmie grupa zetowo-„naprawiacza” rozporządzała zaledwie kilkunastu ludźmi, wysunęła się szybko na czoło, zajmując poważne pozycje w komisjach. Zetowiec Tadeusz Żenczykowski, jeden z najmłodszych posłów, został sekretarzem Sejmu.

Zetowcy-syndykaliści — Grupa Frontu Robotniczego

Gdy pod wpływem rosnącego niebezpieczeństwa zewnętrznego, po osiągnięciu reorganizacji OZN i powstrzymaniu jego zapędów totalitarnych większość zetowców poparła ideę konsolidacji narodowej w ramach tego obozu, inną drogą poszła mniejszość, związana z ZZZ i jego organem *Front Robotniczy*.

Z zastrzeżeniem krytycznego stanowiska w odniesieniu do polityki gospodarczej Związek Związków Zawodowych do roku 1936 popierał rządy „pułkowników”, nie był zwalczany przez administrację państwową i korzystał nawet z jej pomocy. Mimo zastrzeżeń i sprzeciwów wzięto udział w wyborach 1935 roku; wysunięto własnych kandydatów przez „zgromadzenia przedwyborcze” na podstawie nowej ordynacji i uzyskano w Sejmie reprezentację pracowniczoro-botniczą — około 20 mandatów. Stało się, jak zetowcy-syndykaliści przewidywali, ale rezultat nie był tak zły, zważywszy, że liczba posłów w nowym Sejmie zredukowana została z 444 do 208. ZZZ liczył jeszcze wówczas około 150.000 członków, ale liczebność ta zmniejszała się na korzyść socjalistycznych związków klasowych. Związki te w tym czasie

podjęły kurs antykomunistyczny i energiczną obronę gospodarczych interesów robotniczych, osłabiając pozycję ZZZ jako organizacji o reputacji prorządowej.

Ogłoszenie deklaracji ideowej OZN w dniu 21 lutego 1937, skomentowanej przez lewicową opozycję jako „reakcyjna”, postawiło ZZZ w niezwykle trudnej sytuacji. Zwołany w dniach 7 i 8 marca 1937 III Kongres ZZZ obradował w atmosferze wybitnie „antyozonej”. Większością 282 głosów przeciwko 5 odrzucił wniosek posła Tomasza Gduli w sprawie wyrażenia solidarności z Deklaracją Adama Koca. Głównym mówcą przemawiającym przeciwko temu wnioskowi był zetowiec Stefan Kapuściński, broniący zasad „niezależności, bezpartyjności i walki klasowej”. „Otaczamy marszałka Śmigłego-Rydza szacunkiem i ufnością jako Wodza Armii i na jego rozkaz pójdziemy walczyć, ale tu, w cywilu, naszym wodzem jest Moraczewski...³¹”. Przyjęta rezolucja głosiła:

„Legitymując się programowymi zasadami i sześcioletnią pracą z nich wynikającą, nie uważamy za potrzebne składanie dopiero teraz wyznania naszej wiary państwowej na wzór tych wszystkich organizacji, które dotąd nie miały ani interesów Państwa, ani jego obronności na uwadze i którym dopiero deklaracja ideowa nowego stronnictwa politycznego, założonego przez płk. Koca przypomina ich obowiązki wobec Rzeczypospolitej (...). Nie widzimy obecnie żadnego powodu do (...) nadwerężania politycznej organizacji o charakterze monopartyjnym, zbudowanej na wzorze rozkazodawstwa przez płk. Koca. Walka nasza o nowy ustrój i o nowe warunki bytu polskiego robotnika nie może być uzależniona od żadnego stronnictwa politycznego, nawet jeżeli przybierze sympatyczną nazwę: Obóz Zjednoczenia Narodowego”...

W rezolucji tej uderza, że Związek Związków Zawodowych miał całkowicie odmienny punkt widzenia w ustosunkowaniu się do deklaracji ideowej OZN niż Związek Działaczy Społecznych, który w tym samym dniu uchwalił przystąpienie do deklaracji Koca. W rezolucji ZZZ, powziętej w niespełna 3 tygodnie po ogłoszeniu deklaracji OZN, jeszcze zanim wyszły na światło dzienne konszachty Koca z ONR-Falangą, pominięto całkowicie motywy (apel Śmigłego-Rydza, hasło obrony Polski) i istotne cele podjętej akcji konsolidacyjnej. Oparto się na pogłoskach „od roku tworzonej organizacji”, której z góry przyklepiono pieczęć organizacji „monopartyjnej, zbudowanej na wzorze rozkazodawstwa”. W wewnętrznych dyskusjach na terenie konspiracji Związku Patriotycznego zetowcy-syndykaliści nie dali się przekonać, że należy podjąć walkę z zakusami totalitarnymi przez włą-

31. S. Ajzner, *Związek Związków Zawodowych*, str. 321. *Ibidem*, zacytowana następnie uchwała.

czenie się do podjętej akcji. Z góry uznali tę walkę za przegraną i zasłoniли się formalnym argumentem „apolityczności” syndykalistycznego ruchu zawodowego. Tymczasem „apolityczność” ta była aktem jak najbardziej politycznym. ZZZ uznał OZN za nową partię polityczną o orientacji totalitarnej. Określał się jako bezpartyjny i apolityczny, gdy praktycznie przechodził na jak najbardziej polityczną pozycję opozycji antyrządowej i rewolucyjnego, klasowego syndykalizmu. Cały przebieg III Kongresu ZZZ daje temu jak najlepsze świadectwo.

Oczywiście nie można było przejść od razu do tej opozycji z rozwiniętymi sztandarami, tym bardziej, że nie bardzo widziano sojuszników. J. Moraczewski, zagajając Kongres, nie zapomniał oddać hołdu pamięci Piłsudskiego. Ale depeszę hołdowniczą wysłano tylko do prezydenta Mościckiego z pominięciem Śmigłego i szefa rządu, Składkowskiego.

Aby uprzytomnić sobie ewolucję, jaka pod względem ideologiczno-programowym dokonała się w grupie zetowców-syndykalistów po przystąpieniu do ZZZ, trzeba przytoczyć odnośne wypowiedzi i uchwały III Kongresu, którym Jerzy Szurig i Kazimierz Zakrzewski, główni ideolodzy syndykalizmu, dali wyraz i *placet*. Przytaczam je w wielkim skrócie na podstawie pracy Seweryna Ajznera.

Szurig podobnie jak Moraczewski podkreślił w swym sprawozdaniu generalnego sekretarza, że ZZZ przeżywa moment przełomu. Gdy przestał istnieć BBWR — „dopiero teraz hasła bezpartyjności i niezależności od partii politycznych uzyskały treść jednoznaczną” (str. 315). Twierdził, że w trzyletnim okresie od II Kongresu w roku 1934 ZZZ zaczął ideowo krzepnąć; odpadli od Związku ludzie „typu solidarystycznego”: Zbigniew Madeyski [członek grupy Jutra Pracy — J.R.], Leopold Tomaszewicz [b. prezes Gospodarczych Związków Zawodowych w Krakowie, poseł ściśle związany z BBWR — J.R.] i inni. Ostali się jako trzon ludzie o „nastawieniu zdecydowanie klasowym”, typu ideowego, który na zachodzie znany jest pod nazwą syndykalistycznego...”.

Szurig przypominał „masakry krakowskie” i wydarzenia we Lwowie, po których ZZZ „podjął walkę jeszcze mocniejszą” (wliczył szereg wygranych akcji strajkowych, prowadzonych przez Związek lub z udziałem Związku), wyrażając przekonanie, że jego działalność przyczyniła się do wzbudzenia wśród robotników wiary w skuteczność „walki przeciwko faszyzmowi i kapitalistycznej reakcji” oraz zwiększyła zaufanie do ZZZ. Obecnie ZZZ dąży do „zjednoczenia proletariatu miast i wsi do walki z kapi-

talizmem”, rozumiejąc dobrze, że jedynie poprzez siłę proletariatu i związanie go z „demokratyczną Polską Ludową” można zbudować trwałą niepodległość kraju. Podstawą zjednoczenia będzie organizacja zawodowa, która zniweluje „sztucznie rozdmuchiwane różnice partyjno-polityczne”.

W pierwszym dniu Kongresu przyjęto jednogłośnie deklarację ideową ZZZ, mającą zastąpić „założenia kierunkowe” uchwalone na poprzednim Kongresie, której skróconą do najważniejszych sloganów treść podają również za S. Ajznerem (str. 316-318). Tym razem, po patriotycznej inwokacji, stwierdzającej że „proletariat polski jest gotowy do nieugiętej walki o Polskę i jej wielkość”, i że „klasa robotnicza bierze na siebie pełną odpowiedzialność za dobro i potęgę Polski” — kierownictwo Związku zrezygnowało z rozważań historycznych i teoretyczno-światopoglądowych i zwróciło uwagę głównie na aktualną problematykę społeczno-gospodarczą i polityczną.

W zakresie pierwszego działu mocniej podkreślono zasadę walki klas, dobitnie sformułowano pogląd, że „walka klas stanowi motor historii”, odgradzając się całkowicie od ideologii solidaryzmu społecznego. W deklaracji znalazł się cały dotychczasowy program minimum (wielkie roboty publiczne, skrócenie czasu pracy, reforma finansowa etc.), poszerzony o szereg postulatów dotyczących zasady planowej gospodarki społecznej i kontroli państwa nad wytwórczością. Domagano się stopniowego wywłaszczania wielkich przedsiębiorstw.

Radykalizm nowego programu społeczno-gospodarczego ZZZ wyrażały jeszcze inne postulaty, jak nacjonalizacja Banku Polskiego i banków prywatnych, zabieg, przez który obiecywano sobie politykę szerokiego kredytowania wytwórczości, a także upaństwowienia całego handlu zagranicznego oraz wielkich hurtowni handlowych; część detalicznego handlu, związanego z wytwórczością samorządów, miały przejąć samorządy lub spółdzielnie spożywców. Dla polepszenia sytuacji ludności wiejskiej żądano wywłaszczenia całej prywatnej wielkiej własności ziemskiej. S. Ajzner zauważa, że „pod tym względem Deklaracja szła dalej niż uchwały styczniowego (1937) kongresu Stronnictwa Ludowego” (str. 317).

Wszystkie te postulaty, mające podważyć cały istniejący ustroj społeczno-gospodarczy, formułowano właśnie w okresie gdy ster polityki gospodarczej ujął w swe ręce Eugeniusz Kwiatkowski. Jego bardziej konkretny i do rzeczywistości polskiej dostosowany program uprzemysłowienia kraju i wprowadzenia do polityki gospodarczej elementów planowania dawał już widoczne rezultaty.

Postulaty ekonomiczne ZZZ formułowali ludzie ideowi, ale nie mający najmniejszego pojęcia o praktycznej działalności gospodarczej, funkcji pieniądza i kredytu, związku rozmachu inwestycyjnego z kapitalizacją swobodną lub przymusową, zazębiania się gospodarki wewnętrznej z zewnętrzną etc. Dogmatyzm ideologiczny syndykalizmu zaciemniał moim zetowym kolegom w ZZZ spojrzenie na możliwości realizacyjne. To właśnie, jako ówczesnie już współpracownika Eugeniusza Kwiatkowskiego, skłoniło mnie do ostatecznego wycofania się z pracy w ZZZ.

Również część polityczna deklaracji ZZZ wykazywała różnice w porównaniu z poprzednimi i dotychczas wspólnymi zetowcom sformułowaniami. Nadal wspólnym dla obu grup zetowych, „Narodu i Państwa” oraz Frontu Robotniczego, było opowiedzenie się w nowej deklaracji ZZZ przeciwko powrotowi do systemu parlamentarnego sprzed 1926 r., a także sprzeciw wobec wszelkich prób przenoszenia na front polski ustrojów państw obcych. Zasadnicze zastrzeżenia do komunizmu i do Związku Sowieckiego — jak to stwierdza Ajzner — pozostawały w mocy (*op. cit.*, str. 318). Zgodnie z dotychczasowymi poglądami deklaracja ZZZ domagała się reformy systemu politycznego i parlamentarnego w kierunku przywrócenia zasady równości obywateli wobec prawa i obowiązków państwowych. Podnosiła również stary postulat „Naprawy” wybierania prezydenta R.P. w głosowaniu powszechnym oraz ograniczenia na jego rzecz praw parlamentu w sprawach armii i obrony narodowej, stosowania w wyborach parlamentarnych czteroprzymiotnikowego prawa wyborczego i zapewnienia nieograniczonej swobody kandydowania. Nowością było natomiast w deklaracji III Kongresu ZZZ odbiegające od dotychczasowej syndykalistycznej ideologii oświadczenie, że „klasa pracująca” może osiągnąć swe cele „jedynie przez łączne prowadzenie walki... na płaszczyznach i gospodarczo-społecznej i politycznej”, wysunięcie hasła bliżej niesprecyzowanej „demokracji ludowej”, oraz wspomniane już wyraźne ustawienie się ZZZ w politycznej walce z OZN.

W dodatku do tego politycznego ustawienia się ZZZ III Kongres ZZZ przyjął — przy wstrzymaniu się od głosowania większości delegacji śląskiej — większością ponad 3/4 obecnych, przy śpiewie „Czerwonego sztandaru” i podnoszeniu pięści do góry na znak antyfaszystowskiego pozdrowienia tzw. „rezolucję hiszpańską”, przesyłając towarzyszom Ludowej Hiszpanii braterskie pozdrowienia proletariackie i życzenia szybkiego zwycięstwa.

Nie ulega wątpliwości, że ZZZ, zagrożony w swych podstawach przez zarysowujące się już odpadanie niektórych jego zwią-

ków i ogniw do tworzącego się OZN, poszedł na daleko idącą werbalną radykalizację swych założeń ideologicznych i programowych. W radykalizmie tym patriotyczne uczucia wiązano z proletariackim internacjonalizmem, syndykalistyczne hasła uspołecznienia wytwórczości z socjalistycznym programem upaństwowienia, apolityczność z polityką. Trudno ocenić, co było w tej frazeologii taktyką, a co ideologicznym kompromisem między zetowcami-syndykalistami i socjalistyczną grupą J. Moraczewskiego. W okresie III Kongresu ZZZ właściwie tylko te dwie grupy utrzymały się w organizacji, liczącej już wówczas, według sprawozdania Szuriga, tylko około 130.000 członków.

Najtragiczniejszym nieporozumieniem i rozczarowaniem jakiego doznał ZZZ było, że odmawiając przystąpienia do OZN Związek znalazł się w całkowitym odosobnieniu. Albo też znalazł się pośród opozycji piłsudczykowskiej, która nie miała żadnej alternatywy wobec podjętego hasła konsolidacji społeczeństwa. Albowiem alternatywą tą nie była postulowana „demokracja ludowa”. Centralny Wydział ZZZ nie ustawał w staraniach o pozyskanie sojuszników dla tej koncepcji. Jeszcze na miesiąc przed III Kongresem ZZZ ukazał się w dniu 10 lutego 1937 pierwszy numer formalnie niezależnego od ZZZ nowego dziennika *Głos Powszechny* pod redakcją Jerzego Szuriga. W artykule wstępnym pod bombastycznym tytułem „Na bój z faszyzmem idzie Polska Ludowa” Szurig pisał: „Koniecznością jest i nakazem dziejowym porozumienie i współpraca wszystkich żywych sił demokratycznych, którym leży na sercu przyszłość Polski i los ludu pracującego...³²”. Ale wołanie to, jak i późniejsze apele Kongresu ZZZ zostały zlekceważone przez lewicową opozycję polityczną.

Jednocześnie — czego można się było spodziewać — zmieniać się począł radykalnie stosunek władz państwowych na wyższych i niższych szczeblach do ZZZ. Brak poparcia lub presje administracyjne pociągały za sobą odpływ członków i w dalszym rozwoju wypadków doprowadziły do licznych rozłamów.

Do nowych władz ZZZ weszło sporo zetowców-syndykalistów, tak, że można bez przesady powiedzieć, że organizacja z dniem III Kongresu została przez nich opanowana. Prezesem został ponownie Moraczewski, mający u swego boku dwóch wiceprezesów syndykalistów: Gawlika i Kapuścińskiego. Sekretarzem generalnym pozostał nadal Jerzy Szurig. Do ścisłego 7-osobowego prezydium wszedł jeszcze czwarty zetowiec, Zakrzewski. Nowy Wydział Centralny oprócz wymienionych członków przy-

32. S. Ajzner, str. 312.

dium przyjął do swego składu czołowych działaczy dawnej Generalnej Federacji Pracy, wśród nich zetowców-syndykalistów Ignacego Nowaka, Stefana Szwedowskiego i Gustawa Zielińskiego³³.

Od dni III Kongresu ZZZ 7 i 8 marca 1937 datuje się też rozbrat między grupą syndykalistyczną i większością Związku Patriotycznego. Piszący te słowa nie przypomina sobie dokładnie daty rozstania się. Według Ludwika Hassa³⁴, opierającego się na wspomnieniach Stefana Szwedowskiego, do rozłamu doszło na dorocznym tajnym Zjeździe Związku Patriotycznego w czerwcu 1936 roku. Nie pamiętam już dziś, z jakiego powodu nie brałem udziału w tym zjeździe, więc nie mogę informacji Hassa potwierdzić. Możliwe, że już na tym zjeździe zarysowały się poważne wewnętrzne różnice zdań co do dalszej politycznej działalności ZP po rozwiązaniu BBWR. Jeśli data czerwca 1936 jest ścisła, byłoby to wkrótce po utworzeniu rządu gen. Sławoja-Składkowskiego z wicepremierem Kwiatkowskim (15 maja) i po apelu Śmigłego o konsolidację (24 maja), ale przed ujawnieniem prawicowego odchylenia Koca w pracach organizacyjnych OZN. Wydaje mi się, że do definitywnego rozstania doszło później; zetowcy-syndykaliści powołali do życia własną Centralizację w osobach Stefana Szwedowskiego, Jerzego Szuriga i Kazimierza Zakrzewskiego.

W odróżnieniu od rozłamów dokonywujących się w partiach politycznych, gdy skłócenie przeciwnicy z reguły wzajemnie obrzucają się błotem, podział zetowców na dwie grupy dokonał się w atmosferze jak najbardziej *gentleman'skiej*, bez zerwania stosunków osobistych i obopólnego atakowania się w organach prasowych. Po prostu uznano różnice ideologiczne i programowe przy wzajemnym poszanowaniu odmienności zdań i przekonaniu, że różnice te nie wpływają z niskich pobudek osobistych korzyści czy politycznego oportunistu, lecz są wyrazem głębokiej troski o dobro narodu i państwa, przyświecającej zawsze zetowcom w ich społecznej i politycznej działalności.

Pod tym względem bardzo charakterystyczne są wynurzenia tygodnika *Naród i Państwo*, który w tydzień po Kongresie ZZZ i Zjeździe Rady Związku Działaczy Społecznych, w numerze 11 z dnia 14 marca 1937 nie tylko nie atakował uchwał Kongresu

33. Ajzner pisze, że do nowej Rady Naczelnej nie zostali wybrani najbardziej znani stronnicy rządu... „a także J. Rakowski, jeden z organizatorów GFP, który w 1935 roku zaczął blisko współpracować z wicepremierem Kwiatkowskim” (str. 323).

34. *Więź* nr 10/1973, Warszawa.

ZZZ, ale starał się je usprawiedliwić i szukał jeszcze drogi porozumienia.

„Nie możemy — pisano w jednośnym artykule — wchodzić zbyt szeroko w motywy odmowy ZZZ [przystąpienia do OZN — J.R.], ponieważ nie znamy wszystkich elementów tych decyzji. Trzeba jednakże uznać, że ZZZ, podobnie jak wcześniej GFP, zawsze stosował zasadę niezależności od organizacji politycznych, nie też dziwnego, że zasadzie tej pozostał nadal wierny. Co innego Związek Działaczy Społecznych, dla którego zasada ta nigdy nie stanowiła wyznania wiary. Poza tym w Związku Działaczy Społecznych mają przewagę przedstawiciele wsi, a zwłaszcza drobnych rolników, którzy w deklaracji płk. Koca znaleźli zapowiedź realizacji wielu swych postulatów, natomiast 'nawet przy zachowaniu poczucia, że sprawy ogólnopaństwowe i narodowe są nadrzędne do spraw o charakterze klasowym i grupowym, nie można zamknąć oczu na fakt, że deklaracja 21 lutego sprawy robotnicze potraktowała w sposób szczególnie schematyczny i daleki od sposobu myślenia i odczuwania szerokich warstw robotniczych'. Może to właśnie, zastanawiał się autor [niewątpliwie Bolesław Srocki, choć pod artykułem nie podpisany — J.R.] — zdecydowało o stanowisku ZZZ. Nie można się również zgodzić z nieobiektywnymi komentarzami prasy na temat uchwały kongresu o solidarności z ludem hiszpańskim. Nie bronimy tego rodzaju wniosków, w których wyraża się emocjonalny stosunek do podziałów i walk politycznych na terenie państw obcych oraz chęć przeniesienia ich na teren spraw wewnętrznych kraju, ale nieprawdą jest, że popieranie przez ZZZ Hiszpanii Republikańskiej upoważnia do wypowiadania negatywnych sądów o stanowisku ideowym kongresu. Zostały przecież na nim uchwalone Deklaracja Ideowa i wnioski polityczne, w których znalazł wyraz nie tylko radykalizm społeczny tej organizacji, lecz również jej patriotyzm³⁵”.

Zaistniały rozdzwiek bolał na pewno wszystkich zetowców z obu odłamów. Tygodnik *Naród i Państwo* stwierdzał, że „choć różnice stanowisk pomiędzy ZZZ i Związkiem Działaczy Społecznych są zupełnie naturalne, to jednak należy w nich upatrywać zjawisko ujemne, bo grożące utrwaleniem istniejących już w kraju linii podziałów”.

Jednakże stanowisko zajęte przez zetowców-syndykalistów było tak twarde i nie do podważenia, że przejściowo doszło do poważnego konfliktu w gronie Koła Braterskiego ZP w Katowicach. Grażyński, przewodniczący koła i wojewoda śląski, nie mógł dopuścić do rozbicia prowadzonej na tym terenie polskiej pracy konsolidacyjnej dla wypierania „żywiołu niemieckiego” przez przejście ZZZ do opozycji politycznej. Zagorzały „syndykalista” jakim stał się Stefan Kapuściński, wierny uchwałom III Kongresu ZZZ, wystąpił z Koła Braterskiego i ze swej strony podjął akcję zwalczania OZN i ostrą krytykę systemu rządów wojewody.

Reakcja Grażyńskiego przy pomocy Koła Braterskiego ZP i Związku Powstańców Śląskich na czele z przyjętym do ZP i od-

35. *Vide* S. Ajzner, *op. cit.*, str. 324/325.

danym Grażyńskiemu Karolem Grzesikiem (1890-1939) była natychmiastowa i skuteczna. Zwołana w szybkim trybie Konferencja Związków Pracowników Umysłowych zdesolidaryzowała się z uchwałami Kongresu. W związkach robotniczych doszło do ostrych tarć i rozłamów. Już w kwietniu 1937 rozłamowe związki zawodowe ZZZ połączyły się w niezależną od Warszawy centralę pod nazwą *Zjednoczone Związki Zawodowe*. Centrala ta wkrótce osiągnęła około 50.000 członków. S. Ajzner stwierdza, że ... „ZZZ prawie przestał liczyć się na Śląsku, gdzie rozłamowcy szybko wyrosli na głównego partnera-konkurenta ZZZP i związków klasowych³⁶”. Na skutek rozłamów i secesji przeciwników uchwał III Kongresu ZZZ na innych terenach stan posiadania ZZZ zmniejszył się pod koniec 1937 roku o 40-50 %.

Z wyjątkiem nieprzejechanych zetowców-syndykalistów szeregu członków Centralnego Wydziału ZZZ, wybranych na III Kongresie, usunęło się, przyłączyło do secesjonistów i poparło OZN. Ciężkim ciosem dla organizacji było też zerwanie z nią Malinowskiego („Wojtka”), przyjaciela J. Moraczewskiego z PPS-Frakcji. Ustąpił ze stanowiska skarbnika i z postem Leopoldem Tomaszkiem zorganizował nową centralę związkową z przychylnie do OZN ustosunkowanym organem prasowym *Robotnik Polski*. Odbyty w dniach 24 i 25 października 1937 kongres założycielski tej nowej centrali pod nazwą „Zjednoczenie Polskich Związków Zawodowych”, był manifestacją solidarności z OZN. Kongresowi przewodniczył „Wojtek” Malinowski, prezesem został L. Tomaszewicz, wiceprezesem Malinowski, sekretarzem generalnym Jerzy Śmiech³⁷.

ZPZZ miało obejmować 100.000 członków, ale w tej liczbie było 50.000 członków nowego ZZZ na Śląsku, w imieniu którego Karol Grzesik złożył tylko deklarację współpracy.

Zetowcy-„naprawiacze” nie współdziałali w powołaniu do życia ZPZZ i zachowywali się z rezerwą, kontrolując organizację śląską. Dopiero po kongresie, ulegając naciskom, Karol Grzesik zgodził się objąć w nowej centrali funkcję drugiego wiceprezesa w drodze kooptacji.

Powstanie ZPZZ, zamykające kilkumiesięczny okres akcji rozłamowej, nie tylko — jak pisze Ajzner — położyło kres aspiracjom ZZZ do hegemonii w ruchu zawodowym, lecz postawiło także pod znakiem zapytania samo jego istnienie. Pod koniec

36. *Ibidem*, str. 365.

37. *Ibidem*, str. 370.

1937 roku ta wpływowa do niedawna organizacja przesunęła się na czwarte miejsce w tabeli central związkowych — daleko za KCZZ (348 tys. członków) i ZZP (160 tys. członków), które z kolei znalazły w ZPZZ nowego przeciwnika i konkurenta, i to tym bardziej niebezpiecznego, że cieszącego się poparciem OZN.

Rozłam w ZZZ na tle stosunku do OZONU nie tylko osłabił tę organizację, lecz również — co najważniejsze — był początkiem załamania się ideologii polskiego syndykalizmu jako myśli politycznej i koncepcji ustrojowej. ZZZ utrzymywał przy tytule *Frontu Robotniczego* syndykalistyczne hasło „bronią naszą jest akcja bezpośrednia”, w praktyce jednak ewoluował w kierunku politycznego socjalizmu, przy stosowaniu ultra-lewicowej, niemal komunistycznej frazeologii.

W tym kierunku ustawiło się też założone decyzją Centralnego Wydziału ZZZ jeszcze przed marcowym Kongresem 1937 roku pismo *Głos Powszechny*, koncentrujące się na zagadnieniach polityki ogólnej wewnętrznej i zagranicznej i odsuwające na dalszy plan problematykę związkową³⁸. Dziennik stawiał sobie za cel osiągnięcie „porozumienia i współpracy wszystkich sił demokratycznych” przeciwko OZONOWI, a więc reprezentował program *par excellence* polityczny. Redaktorem był Jerzy Szurig, jego zastępcą K. Zakrzewski. Ale do redakcji i autorów należały także osoby spoza kręgu Związku, m.in. liczne wtyczki komunistyczne do ówczesnych środowisk lewicowych, jak J.K. Wende (działacz OMS „Życie”) czy Janusz Kowalewski (działacz ZPMD-Lewica), o czym będzie jeszcze mowa w następnym punkcie tego rozdziału. Zetowcy-syndykaliści nie osiągnęli — mimo prób — porozumienia z PPS czy innymi poważnymi ugrupowaniami polskiej lewicy politycznej, nie zrealizowali frontu postulowanej „Demokracji Ludowej”. Przez swą frazeologię lewicową dopuścili do wdarcia się w szeregi ZZZ elementów komunistycznych i oddali niedźwiedzią przysługę nie tylko ZZZ ale i idei syndykalnej.

Tego oczywiście nie napisał w swej pracy Seweryn Ajzner ani żaden inny historyk krajowy, z reguły pochwalający każde opozycyjne wystąpienie przeciwko „sanacji” i OZONOWI. Również sami zetowcy-syndykaliści składać będą winę nie na swe własne błędy, ale na akcję OZN i administracji państwowej. Napisać później, już po wojnie, Stefan Szwedowski w życiorysie Jerzego Szuriga słowa nabrzmiałe goryczą, ale też wysoce nieobiektywne, które przytaczam, aby oddać głos i drugiej stronie³⁹:

38. S. Ajzner, str. 376/378.

39. Odpis, przysłany mi przez przyjaciół, w moim posiadaniu.

„... Katastrofa jednak musiała nadejść. Rząd i BBWR chciał w Związkach Związków Zawodowych widzieć to, co w kilka lat potem już po wojnie z trybuny sejmowej powiedział Hilary Minc. Powiedział mianowicie, że związki zawodowe powinny być administracyjnym aparatem w rękach rządu dla załatwiania spraw robotniczych i produkcji. ZZZ na taką rolę, zwłaszcza w okresie kapitalistycznym, zgodzić się nie chciał. Począł ułatwiać własną postawę, stawiał żądania i organizował strajki”...

I dalej:

„... Rozpoczęła się więc robota dywersyjna bynajmniej nie tylko z jednej strony. Komórki swoje, korzystając z ofensywy z prawej strony, zaczęły zakładać również komuniści i anarchiści. Subwencje zostały cofnięte. Konfiskaty pism, zwłaszcza *Frontu Robotniczego* i dziennika *ZZZ Głosu Powszechnego* niszczyły finansowo organizację⁴⁰. Rozpoczęły się aresztowania, internowania w Berezie Kartuskiej i nękanie procesami. Sam Szurig stawał niejednokrotnie przed sądem. W Wilnie oskarżony został o kontakty z Moskwą. Wreszcie w 1938 roku wszyscy posłowie z Marianem Malinowskim na czele przy pomocy b. lidera Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej - Prawicy i renegata ZZZ, Zygmunta Ziółka, stworzyli już nie BBWR-owskie, ale ozonowe polskie Zjednoczenie Związków Zawodowych. Ziółek [b. sekretarz *Głosu Powszechnego* — J.R.] wygłosił przez radio przemówienie piętnujące Jerzego Szuriga, Kazimierza Zakrzewskiego i Stefana Szwedowskiego jako płatnych agentów Kominternu. [O ile pamiętam, tak się nie wyraził — J.R.] Walka teraz poszła na noże. Były to czasy już poróżłamowe w Związku Patriotycznym, ZECIE i Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej. Wojewoda śląski Michał Grażyński nakazał policji zajmować lokale ZZZ i przekazywać je Polskiemu Zjednoczeniu Związków Zawodowych. Robotników broniących dostępu do lokali policja biła pałkami i szablami). Jerzy Szurig dostał cios szablą w głowę od policji kierowanej pośrednio przez przedroźlamowego brata Michała Grażyńskiego”...

Jest to bardzo problematyczna obrona. W tym przepojonym goryczą opisie, w którym jest też mowa o rzekomym „niebezpiecznym dla reżymu rośnięciu zastępu świadomych robotników-syndykalistów”, wszystko jest pomieszane i przekoloryzowane: BBWR pomieszany z OZONEM, wydarzenia z 1937 roku przeniesione niesłusznie do roku 1938, gdy związkom zawodowym nie groziło (jak zresztą i poprzednio) administracyjne sfaszyzowanie, jakiego dokonano po wojnie w PRL. W euforii syndykalizmu polskiego ZZZ myślał, że zdobył robotników, młodzież i inteligentów; zajął wobec OZN stanowisko wysoce agresywne, zamiast ograniczyć się przynajmniej do roli pasywnej, rozbudowując swą pozycję. Musiał przegrać.

ZZZ, zredukowany do około 60.000 członków, usiłował się

40. Nie tyle konfiskaty, ile rozłam w ZZZ — jak to podkreśla Ajzner — poderwał bazę finansową *Głosu Powszechnego*, którego ostatni numer ukazał się 15. 5. 1937 r.

bronić, brnął jednak dalej w politykę łączenia walki ekonomicznej z polityczną, prowadzoną w izolacji. IV Kongres organizacji, obradujący w dniach 13 i 14 marca 1938 w Warszawie przy obecności 516 delegatów wykazał, że ZZZ i jego prasa znajdowały się w stanie upadku, co nie przeszkadzało zetowcom-syndykalistom szczyścić się, że tylko „syndykaliści z dawnej Generalnej Federacji Pracy pozostali na placu”. Kongres uchwalił nową deklarację ideową jako „manifest polskiego syndykalizmu”, powtarzając dawne hasła i postulaty GFP: bezklasowe społeczeństwo wytwórców, społeczny zarząd warsztatami pracy, walka klas w służbie postępu, niezależne i bezpartyjne związki zawodowe jako szkoła, w której klasa robotnicza zaprawia się do kierowania wytwórczością”. Tym razem znalazł się też sorelowski slogan „strajku generalnego aż do zwycięstwa nad kapitalizmem”. Z tymi postulatami deklaracja łączyła troskę o losy narodu i państwa. Wysuwając na plan pierwszy hasło-zasadę „wolny człowiek w wolnej Polsce”, głosiła „patriotyzm uczuć i czynu”, zapowiadała „budowanie nowego ustroju na podłożu polskim”... Odrzucając komunizm i przykład ZSSR, deklaracja opowiadała się przeciwko dyktaturze faszystowskiej i wszelkiej innej⁴¹. Stare zetowo-„naprawiackie” zasady ideowe znalazły więc i tutaj swój wyraz.

Jednakże i na tym Kongresie nie powstrzymano się od rezolucji politycznej w sprawie walki domowej w Hiszpanii i uchwał skierowanych przeciwko Obozowi Zjednoczenia Narodowego, co spowodowało negatywną ich ocenę ze strony *Narodu i Państwa*. Seweryn Ajzner spokojniej i lepiej niż Szwedowski przedstawia różnice zdań w obu grupach Związku Patriotycznego, gdy pisze: „Jak widać, początkowe rozbieżności pomiędzy ZZZ a 'Naprawą' przeobraziły się w antagonizm, do czego przyczyniło się może nie tyle oficjalne przystąpienie 'Naprawy' do deklaracji płk. Koca, ile rola, jaką wojewoda Grażyński odegrał w przygotowaniu rozłamu na Śląsku. Nie było to jednak rozejście całkowite i definitywne; w okresie późniejszym ZZZ odnosił się do 'Naprawy' z większym umiarem, co pozostawało w związku z jej opozycją wobec prototalitarnej części OZN oraz rolą, jaką niektórzy 'naprawiacze' odegrali w działalności Klubów Demokratycznych i Stronnictwa Demokratycznego⁴²”.

Młode pokolenie zetowców — Syndykalizm społeczny

Jeżeli zetowcy w grupie związanej z tygodnikiem *Naród i Państwo*

41. S. Ajzner, str. 395.

42. *Ibidem*, str. 397.

stwo czy w grupie syndykalistycznej *Frontu Robotniczego* mogli utrzymać się i rozbudowywać swoją działalność polityczną — było to możliwe przede wszystkim dzięki stałemu dopływowi nowych sił, wychowywanych w środowiskach młodzieżowych. Po przekształceniu Organizacji Młodzieży Narodowej (OMN) na Związek Polskiej Młodzieży Demokratycznej (ZPMD) w roku 1927 począł wprawdzie zamierać PET na terenie szkół średnich, ale działał nadal tajny ZET akademicki, kierujący pracami ZPMD.

Powstanie ZPMD i jego rola w życiu politycznym Polski międzywojennej, choć podkreślone i docenione w krajowej powojennej publicystyce historycznej, nie zawsze są należycie przedstawiane. Wydany w roku 1971 „Słownik Organizacji Młodzieżowych w Polsce 1928-1970” w notatce o ZPMD podaje, że „miał on stanowić organizację akademicką całego obozu sanacyjnego. Szybko jednak wzięły w nim górę, dzięki swej przewadze ilościowej, spistości ideowej i posiadaniu własnego konspiracyjnego ośrodka kierowniczego elementy z dawnej OMN, powiązane ze Związkiem Naprawy Rzeczypospolitej, w następstwie czego przeciwstawna mu 'grupa pułkowników' doprowadziła do utworzenia konkurencyjnego Legionu Młodych”.

To sformułowanie o tyle nie jest słuszne, że powstały z połączenia 7 stowarzyszeń ZPMD nie miał zamiaru reprezentowania na terenie akademickim „całego obozu sanacyjnego”. Obóz ten nie był wówczas jasno zdefiniowany i działał przede wszystkim w formie Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem (BBWR), którego ekspozyturą ZPMD nie był. Połączenie dokonane zostało przy czynnej roli piszącego te słowa, który doprowadził do aktu konsolidacji nie tylko bez jakiegokolwiek wpływu BBWR ale też przy oporze „Braci Starszych” ZETU, przywiązanych do tradycyjnej nazwy OMN. Nie ma też racji Maria Wierzbicka, gdy pisze, że „w ciągu 1927 r. Związek Naprawy Rzeczypospolitej (ZNR) doprowadził również [tzn. w ramach podjętej akcji konsolidacyjnej — J.R.] do utworzenia organizacji akademickiej pn. ZPMD⁴³”. Prawdą jest jednak, że ZPMD — po wyjaśnieniu stanowisk — pozostawał pod opieką Związku Seniorów OMN, na który z kolei wywierał wpływ nie ZNR, ale tajny „Związek Patriotyczny” zetowców; jego jawnym odpowiednikiem był właśnie Związek Seniorów OMN (później ZPMD).

ZPMD, podobnie jak OMN, był organizacją całkowicie niezależną; swoje oblicze ideowe kształtował samodzielnie. Józef Piłsudski był dla członków ZPMD bezspornym autorytetem, darzo-

43. „Problematyka *Przełomu*”, *op. cit.*, str. 278.

nym uczuciem i szacunkiem. Związek należał do obozu piłsudczyków, ale ustawiał się na lewym jego skrzydle. Nie miał żadnych powiązań organizacyjnych ani z BBWR ani z późniejszym OZONEM. Chociaż popierał przewrót majowy, krytycznie odnosił się do niektórych posunięć rządowych⁴⁴.

„Atlas Organizacji Społecznych” pod redakcją Adama Skwarczyńskiego, Zeszyt I, Warszawa 1932 podaje po notatce o rodowodzie ZPMD i zjednoczeniu się 7 organizacji:

„Celem ZPMD jest kształcenie obywateli i działaczy społecznych, świadomych swych obowiązków wobec państwa. Poza terenem akademickim ZPMD prowadzi bardzo ożywioną pracę wśród młodzieży wiejskiej, kierując przez swych członków 'Centralny Związek Młodzieży Wiejskiej', jak również na terenie robotniczym. Poza tym, współpracuje z całym szeregiem organizacji społecznych (m.in. Związek Strzelecki, Rada Organizacyjna Polaków z Zagranicy. T.S.L., Polski Biały Krzyż i wiele innych). ZPMD posiada 7 zorganizowanych okręgów. Stan liczebny organizacji przedstawia się w przybliżeniu następująco: Warszawa — 500 członków, Kraków — 520, Łwów — 303, Poznań — 284, Wilno — 67, Lublin — 130, Gdańsk — 34”...

Cytowany już wyżej powojenny „Słownik Organizacji Młodzieżowych w Polsce 1928-1970” uzupełnia tę informację, charakteryzując dalszą działalność ZPMD w następujących słowach:

„ZPMD propagował przebudowę ustroju społecznego według koncepcji syndykalistycznych; zwalczał klerykalizm, występował za wprowadzeniem ślubów cywilnych i rozdziałem Kościoła od państwa. Wypowiadał się za szeroką współpracą międzynarodową, za poszanowaniem praw mniejszości narodowych. Wysuwał hasło utworzenia jednolitego frontu polskiej lewicy (z której wyłączał komunistów). Na terenie szkół wyższych ostro zwalczał Młodzież Wszechpolską; propagował całkowite usunięcie z organizacji ogólnoakademickich, jak Bratnia Pomoc, Koła Naukowe, Koła Prowincjonalne, wpływów stowarzyszeń politycznych. Przejściowo, do połowy lat 30-tych, zdołał ZPMD uzyskać większość we władzach Bratnich Pomocy w Krakowie, Lublinie, Wilnie i Gdańsku”.

Strzegąc swej niezależności i kształtując samodzielnie swe oblicze ideowe ZPMD musiał walczyć na dwóch frontach: przeciwko kierownictwu obozu piłsudczykowskiemu, dążącego do podporządkowania organizacji swoim koncepcjom politycznym z jednej, oraz penetracji komunistycznej — z drugiej strony.

W bezpośrednim otoczeniu Marszałka niechętnym okiem patrzono na „Młodzież Narodową” mimo, że poparła ona Legiony i Piłsudskiego, gdy był Naczelnikiem Państwa, a także później w okresie osamotnienia w Sulejówku. W rozdziale „Pierwsze

44. Stwierdza to m.in. również Tadeusz Żenczykowski (Zawadzki — pseudonim w AK), trzeci po mnie prezes ZPMD, w relacji nadanej w dniu 25. 2. 1978 przez Radio Wolnej Europy, której odpis znajduje się w moim zbiorze.

lata niepodległości” wspominałem już o akcji Adama Skwarczyńskiego. Już od roku 1922, po założeniu miesięcznika *Droga*, Skwarczyński podjął próbę pozyskania młodzieży. Siła tradycji oemennowej była jednak mocniejsza. Po przewrocie majowym OMN, a później ZPMD były najsilniejszymi organizacjami piłsudczykowskiej lewicy akademickiej. Niestety w tzw. „grupie pułkownikowskiej” nie chciano się z tym pogodzić i nadal szukano oparcia na własnej i bardziej dyspozycyjnej organizacji młodzieżowej.

Na początku lat trzydziestych z ZPMD wyłamała się tzw. „pułkownikowska grupa 'Legionu Młodych’⁴⁵”, nad którą patronat objął Janusz Jędrzejewicz. Jednocześnie Adam Skwarczyński z Jędrzejewiczem powołali do życia organizację gimnazjalną „Straż Przednia”. Jędrzejewicz 12 sierpnia 1931 roku został członkiem rządu jako minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, którą to funkcję pełnił do 22 lutego 1934 roku. W jego biografii potwierdzono, że „w tym czasie... powołuje ideowe organizacje młodzieży szkół średnich 'Straż Przednia’ i młodzieży akademickiej 'Legion Młodych’⁴⁶”. Dla ścisłości należałoby dodać, że głównie współdziałał tu Skwarczyński. W latach 1930-1933 przy udziale Adama Skwarczyńskiego powstały: *Kuźnia Młodych*, będąca naczelnym organem międzyszkolnej prasy młodzieżowej, „Straż Przednia”, Centralny Komitet dla Spraw Młodzieży Wiejskiej. Skwarczyński współdziałał z Organizacją Młodzieży Pracującej i szeregiem innych stowarzyszeń. W interesie obozu rządzącego penetrował organizacje młodzieży i nie-które środowiska społeczne. Prace te nie miały zbyt szerokiego zaplecza społecznego, ale stanowiły mimo to pewne osiągnięcia, nie pozbawione znaczenia dla sanacji, mającej tak szczupłą bazę społeczną⁴⁷.”

Oczywiście Skwarczyński i Jędrzejewicz nie mogli sięgnąć do kadry ZPMD jaką była tajna organizacja ZETU ale przyjmują i popierają ludzi nie należących do tej kadry.

Nie piszę tu historii ruchu młodzieżowego i muszę ograniczyć się do kilku stwierdzeń i wydarzeń. Pozostają one w związku z drugim frontem komunistycznego ataku na ZPMD — jak i w ogóle na wszystkie organizacje młodzieżowe i niemłodzieżowe obozu piłsudczykowskiego. Moskwa uznała zgon Piłsudskiego za

45. Janusz Kowalewski, *Droga Powrotna*, str. 43, gdzie też autor stwierdza, że do r. 1927 ZPMD był najsilniejszą organizacją polityczną i miał w swych rękach Bratnią Pomoc.

46. Janusz Jędrzejewicz, *W służbie idei*, str. 23.

47. A. Micewski, *W cieniu Marszałka...*, op. cit., str. 67.

moment, otwierający szersze drogi do akcji wywrotowej w Polsce. Już w sierpniu 1935 roku siódmy Zjazd Kominternu ustalał zasady nowej taktyki. Postanowiono nie pod bezpośrednim szyldem, ale pod różnymi maskami przenikać do szeregów i do kierownictwa ugrupowań politycznych⁴⁸. Pobóg-Malinowski twierdzi, że komuniści „rozciągali sieć swoją coraz szerzej w 'Naprawie' i... niemal całkiem opanowali Związek Nauczycielski”, zapomina jednak dodać, że działało się to również w innych stowarzyszeniach, i właśnie w Legionie Młodych. Latem 1936 roku dokonał się w Legionie Młodych rozłam; powstał „Legion Młodych - Frakcja”, organizacja zbliżona do PPS, ale też z poważnymi „wtyczkami” komunistycznymi.

Dywersyjna robota komunistów i różnych skrajnych lewicowców nie oszczędziła też ZPMD. Robota ta uległa szczególnemu nasileniu gdy na przełomie lat 1935/1936 ujawniać się zaczęły rozdziewiki w obozie pomajowym na tle przesilenia gabinetowego. Seweryn Ajzner pisze: „W ZPMD uformowała się mianowicie silna grupa młodzieży (jej geneza sięga 1932 r.), która, jakkolwiek pozostawała pod urokiem legendy Piłsudskiego, przeciwstawiała się polityce rządu i wielkiego kapitału i związała się z ideologią syndykalistyczną w przeświadczeniu, że wytycza ona drogę do ustroju sprawiedliwości społecznej⁴⁹”.

W dniu 9 lutego 1936 roku nastąpił w ZPMD rozłam, z którego powstał ZPMD-Lewica. Właściwą nazwą była ZPMD-„Secesja”. Z opisu tego rozłamu u S. Ajznera czytelnik może odnieść wrażenie, że do secesjonistów należała jakaś ogromna większość członków ZPMD, która zaangażowała się w pracach ZZZ i dopomogła Szurigowi i Moraczewskiemu skutecznie przeciwstawiać się naciskom administracji i OZONOWI. Tymczasem — jak to napisał jeden z głównych twórców rozłamu, Janusz Kowalewski — „była to zupełna efemeryda⁵⁰”.

Janusz Kowalewski w swej „Drodroże powrotnej” z całkowitą szczerością przyznaje, że w ZPMD pracował jako „wtyczka” tzw. komunistycznego „Wydziału Organizacji Wrogich”. Dał się do tej roboty wciągnąć przez Edwarda Damięckiego, wówczas również członka ZPMD, po wojnie aparaczyka reżymowego PRL. „Po jakimś czasie — pisze — wszyscy nasi koledzy z tej 'Secesji' się wycofali. Pozostał tylko Damięcki i ja⁵¹”.

48. Pobóg-Malinowski, *op. cit.*, str. 638 i 639.

49. S. Ajzner, *op. cit.*, str. 246 i następne.

50. J. Kowalewski, *Droga Powrotna*, Londyn 1975, str. 63.

51. *Ibidem*, str. 64.

Rozłam ten był nieuniknioną konsekwencją zdemaskowania roboty „wtyczek” komunistycznych w ZPMD przez ówczesnego prezesa Jerzego Szulca i Adama Stebelskiego z Senioratu tej organizacji. Motywy dla których wychowany w patriotycznej atmosferze Kowalewski zboczył z ZPMD na drogę komunizmu są — jak podkreślił Tadeusz Katelbach w recenzji „Powrotnej Drogi”⁵² — zupełnie nieprzekonywujące. Niewiarogodna i nie harmonizująca z dość szczerymi innymi wypowiedziami jest insynuacja pod adresem seniora Adama Stebelskiego, który miał jakoby w rozmowie z posądzonym o komunistyczną działalność delikwentem przekonywać go o konieczności współpracy z Obozem Marszałka Piłsudskiego, „bo byśmy w przyszłości, która nastąpi po jego śmierci, stracili prawo do współrzędów. Nie mogliśmy odcinać kuponów, na które ciężkim trudem zapracowaliśmy...” (str. 62). Miał to być „błąd”, który „może” zadecydować o dalszym życiu Kowalewskiego. Kapitałne jest to „może”; autor sam zdaje się temu nie wierzyć. Albowiem jest wykluczone, aby Adam Stebelski, jeden z czołowych zetowców, wyrobiony politycznie, którego dobrze znałem, mógł się w ten sposób wyrazić. I to w czasie przed śmiercią Piłsudskiego, gdy działał jeszcze w BBWR, do którego zetowcy przyznawali się tylko z półsercem i o „obcinaniu kuponów” na pewno nie myśleli. Ale nie o to chodzi.

Chodzi o to, że do ZZZ, m.in. przez ZPMD-„Secesję”, wdzierać się poczęły „wtyczki” komunistyczne, pracujące nad zaostrzeniem stosunków z OZONEM i rządem i prowokujące na dużym stopniu ostre wystąpienia administracji państwowej. Janusz Kowalewski jako redaktor oficjalnego organu ZPMD *Życie Akademickie* i redaktor polityczny związanego z ZZZ dziennika *Głos Powszechny* był łakomym kąskiem dla wywrotowej roboty. Pyta się on w „Drodze powrotnej”, jak to było możliwe, „dlaczego grupa wyraźnie komunizująca i manifestująca na zewnątrz... co najmniej dziwne sympatie, mogła tak długo działać bezkarnie i jeden z jej członków, właśnie ja, zasiadać we władzach organizacji antykomunistycznej i być redaktorem jej organu?”. „Myślę — odpowiada na to pytanie — że w tej tolerancji wobec mojej działalności ze strony moich kolegów z ZPMD odgrywały rolę trzy czynniki: zasady demokracji wraz z powszechnie przyjętym sloganem 'młodość musi się wyszumieć'; po drugie przekonanie moich kolegów, że jestem zagorzałym piłsudczykiem i 'swoim chłopem'; po trzecie — i najważniejsze — brak znajo-

52. *Tydzień Polski* nr 15/1975, Londyn.

mości metod komunistycznych — mało kto wierzył w 'jacejki', w 'komunistyczną dywersję', traktując te rzeczy jak bajki o żelaznym wilku albo endeckie legendy o Żydach i masonach⁵³”.

Kowalewski po zdemaskowaniu go pracował w Komunistycznej Partii Polski i dopiero później, w ZSSR, na własnej skórze doświadczył czym jest w praktyce ta „ludzka” ideologia. Załował nieco wystąpienia z ZPMD, gdyż „była to bardzo sympatyczna młodzież, głęboko ideowa, patriotyczna, pochodząca przeważnie z rodzin inteligenckich, głównie urzędniczych” (str. 49/50). Píše, jak to „po wyłamaniu się z ZPMD grupy pułkownikowskiej i utworzeniu przez nią Legionu Młodych pod 'komendą' 'komendanta głównego', Zbigniewa Zapasiewicza, władze ZPMD powierzyły mu redakcję organu związku, *Życia Akademickiego*, po Wacławie Zagórskim...” (str. 60).

Przytaczam te fragmenty wspomnień Kowalewskiego dla charakterystyki ówczesnych stosunków w ZPMD i związku tej młodzieżowej organizacji z ZZZ.

Wejście Kowalewskiego z jego grupą ZPMD-Lewicy do ZZZ było możliwe — podobnie jak w samym ZPMD — nie tylko wskutek zręcznego kamuflowania się, ale też wielkiej naiwności i szlachetnego humanitaryzmu Jerzego Szuriga. Nie przerażał go nigdy patetyczny styl społecznego radykalizmu i sam w tym stylu pisywał, nie zdając sobie sprawy, że w ten sposób toruje drogę nie do zamierzonej „demokracji ludowej” jako przeciwwagi OZONU, ale do penetracji komunizmu w szeregi ZZZ. Grupa Kowalewskiego jeszcze w 1935 roku przystąpiła do wydawania dwutygodnika *Front Młodych* — *pismo młodzieży lewicowej*, który po rozłamie w lutym 1936 zmienił podtytuł na: *Organ młodzieży syndykalistycznej*. Redaktorami *Frontu Młodych* byli Roman Biernacki, Janusz Kowalewski i Zygmunt Ziółek, od lata 1936 roku Z. Ziółek i Tadeusz Żwan, zaś od 1937 roku T. Żwan i Henryk Halpern. W 1938 roku w wydawaniu pisma nastąpiła przerwa. Koszty wydawnictwa pokrywał *Front Robotniczy*⁵⁴.

Oczywiście nie cała ta grupa rekrutowała się z zauszników komunizmu. Wierzano w ideologię syndykalizmu, reprezentowanego przez Szuriga i Zakrzewskiego i chciano dopomóc do jej realizacji. Cały ówczesny ZPMD przedstawiał się w tym kierunku, uważając syndykalizm za ideologię młodego pokolenia. Z biegiem czasu, po praktycznym zetknięciu się z działalnością

53. *Droga Powrotna*, str. 61.

54. S. Ajzner, *op. cit.*, str. 247.

w ZZZ, nastąpiło otrzeźwienie. ZPMD-„Secesja”, jak to stwierdza Kowalewski, był „efemerydą”, która wkrótce zamarła. Jednocześnie liczni członkowie „Secesji” odsuwać się poczęli również od pracy w ZZZ, zaszokowani panującym tam radykalizmem politycznym, gdy nad Polską zawisło wyraźne niebezpieczeństwo zewnętrzne, wymagające istotnego zjednoczenia sił narodowych. M.in. wycofał się Zygmunt Ziółek (nazwany przez Stefana Szwedowskiego „b. leaderem ZPMD-prawicy” i „renegatem ZZZ”), który ze swej strony demaskować począł komunistyczną „jaczekę” w tej organizacji.

Nie znaczy to, aby ZPMD przeszedł do obozu nacjonalizmu. Przez nieliczną „Secesję” Związek ani nie został osłabiony, ani nie wyrzekł się poszukiwania własnej ideologii, niezależnej od OZONU, którą w odniesieniu do zagadnień przebudowy społeczno-gospodarczej można by nazwać *syndykalizmem społecznym* odmiennym od założeń *Frontu Robotniczego*.

W niespełna trzy miesiące po oddzieleniu się grupy ZPMD-Lewica odbył się zjazd „Rady Naczelnej Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej Rzeczypospolitej Polskiej” (dodatek R.P. miał manifestować łączność z państwem polskim a nie z międzynarodową ideą walki klasowej), na którym uchwalono nową Deklarację Ideową tego Związku. Ukazała się ona w numerze 4 (90), rok VIII *Życia Akademickiego* (z kwietnia 1936 roku, pod nową redakcją). Deklaracja poprzedzona była fotografią na pierwszej stronie 44 członków Rady Naczelnej ZPMD R.P. na tle sztandaru z orłem polskim oraz artykułem wstępnym Jerzego Zakrzewskiego „O ideologię młodego pokolenia”⁵⁵. Po odgródzeniu się od „życia partyjno-politycznego starszego pokolenia”, w którym „rozpanoszyło się upraszczanie pojmowania zjawisk zachodzących w otaczającej rzeczywistości, szufladkowanie wszystkich według przyjętych lub narzuconych schematów”, oraz po stwierdzeniu, że „poważną przeszkodą w normalnym rozwoju ideowym młodego pokolenia były odziedziczone po poprzednich pojęcia i idee dawno przebrzmiałe, które dla młodzieży współczesnej stały się pustym dźwiękiem” — autor artykułu pisał:

„Ten balast ideowy szczególnie obciążał fatalnie lewicę (mały humanitaryzm, kosmopolityzm, pacyfizm itp. rzeczy dołączone niepotrzebnie do idei przebudowy społecznej). Te wszystkie zjawiska uniemożliwiały wytwarzanie się powszechnych, silnych i jednolitych prądów ideowych...”.

... „Narastają prądy reakcyjne, które korzystają z pustki ideowej, rzucają w społeczeństwo obce hasła i znajdują tam często dla nich entuzjastów.

55. Fotokopie pierwszych stron tego tygodnika posiadam w moim prywatnym zbiorze.

Zjednoczenie prądów reakcyjnych i wytworzenie zwartego obozu wszelkiej prawicy w Polsce jest kwestią czasu, gdy tymczasem szumnie reklamowane zjednoczenie elementów lewicowych, skłóconych i oskarżających się nawzajem o faszyzm, nie posuwa się naprzód”.

Trzeba przypomnieć, że artykuł ten, pisany z młodzieńczą emfazą i zarozumiałością tworzenia lepszego świata w „pustce ideowej” starszego społeczeństwa, wydrukowany był na 10 miesięcy przed deklaracją OZN płk. Koca. Odzwierciedlał on myśli i poglądy nurtujące wówczas środowisko młodzieży zorganizowanej w ZPMD i stojącego za Związkiem młodego pokolenia zetowców.

Z a ł o ż e n i a i d e o w e ZPMD — pomijając ich niektóre niezbyt precyzyjne sformułowania — dawały wyraz dążności do wytworzenia ruchu politycznego młodego pokolenia w imię koncencji państwa jako „najwyższej formy organizowania życia społecznego” z punktu widzenia interesów świata pracy. Założeniem ideologicznym nie był tu solidaryzm społeczny czy narodowy, który przewijać się będzie przez późniejszą deklarację OZN. Deklaracja ZPMD abstrahowała od tego pojęcia, uważając, że idea solidaryzmu, wyznawana przez grupy prawicowe, łatwo prowadzi do utrwalenia „ustroju społeczno-gospodarczego opartego na wyzysku”. Zniesienie tego ustroju i stworzenie nowego „na zasadach sprawiedliwości społecznej” wysuwał ZPMD jako główny cel swej ideologicznej działalności. W rozdziale II deklaracji powiedziano:

„Celem do którego zmierza ZPMD R.P. jest przygotowanie (moje podkreślenie) przebudowy społeczno-gospodarczej Polski i wypracowanie jej potęgi politycznej”.

W Deklaracji Ideowo-Programowej ZPMD odbijały się echa filozoficznych założeń Stanisława Brzozowskiego i zetowo-„naprawiackich” koncepcji polskiego syndykalizmu z lat bezpośrednio pomajowych. Chciano „przygotowywać” powstanie tego nowego syndykalistycznego ustroju, a więc wychowywać młodzież w duchu tej ideologii, z wiarą, że w tym nowym ustroju zniknie przeciwieństwo narodu i klas społecznych, powstanie „naród wytwórców”, a wówczas nie trzeba będzie „wyzyskiwać uczuć narodowych dla ochrony warstw nietwórczych”. W tak pojętej ideologii widziano wzmocnienie „politycznej potęgi Polski”. Była to w gruncie rzeczy ideologia ani „prawicowa” ani „lewicowa” w tradycyjnej wykładni tych pojęć, choć ZPMD stale podkreślał, że chodziło mu o wytworzenie jednolitego, silnego ruchu „lewicy społecznej”.

Wkrótce po ogłoszeniu nowej deklaracji ZPMD R.P. podpisał w dniu 27 kwietnia 1936 roku wraz z Legionem Młodych i CWM PPS deklarację Młodej Lewicy Polskiej. Podobnie jak w ZPMD, również w Legionie Młodych dokonywać się poczęła ewolucja ideologiczna pod wpływem wydarzeń politycznych lat 1936 i 1937, kryzysu rządowego, apelu Śmigłego-Rydza o konsolidację przy hasle „obrony Polski” i nieszczęśliwego startu Obozu Zjednoczenia Narodowego przez konszachty płk. Koca z ONR-Falangą. Legion Młodych zagarniał początkowo tysiące młodych ludzi spodziewających się poparcia w karierze osobistej. Znaleźli się tam jednak i ludzie ideowi (warto wspomnieć choćby nazwiska Kazimierza Brandysa i Stefana Kisielewskiego), którzy poczęli myśleć samodzielnie. W organizacji z biegiem czasu wyłaniały się myśli i prądy, z którymi „pułkownicy” nie umieli sobie dać rady. Rezultat był ten, że Legion Młodych zmalał liczebnie, ale pozostały w nim elementy myślące i ideowe. Część z nich odeszła później do PPS, inna część zbliżała się do ZPMD, oscylując ideologicznie między wiernością dla wskazań Piłsudskiego i „naprawiackim” syndykalizmem.

W dniu 2 października 1937 roku ZPMD i Legion Młodych podpisują wspólnie z działaczami ze środowisk propiłsudczykowskich proklamację „Związku Lewicy Patriotycznej”. Program Związku powoływał się bardzo silnie na osobę i autorytet Józefa Piłsudskiego, jednocześnie był jednak antyozonowy. Był antyendecki, ale zarazem zdecydowanie antykomunistyczny. Opowiadał się za zmianą ordynacji wyborczej i wpływem mas pracujących na życie polityczne kraju⁵⁶. Działo się to w atmosferze powszechnej rewolty lewego skrzydła obozu piłsudczykowskiego przeciwko totalitarnym zapędom OZN.

A. Micewski słusznie ocenia ówczesne stanowisko ZPMD gdy pisze: „ZPMD był może bardziej powściągliwy od Legionu Młodych wobec deklaracji obozu pułkownika Koca, w czym wyrażał na ogół linię 'Naprawy'...⁵⁷”.

W dniu 28 listopada 1937 roku odbył się w Warszawie Zjazd Seniorów OMN i ZPMD, który ogromną większością głosów potwierdził wybór Tadeusza Katelbacha na prezesa Związku i wypowiedział się przeciwko glajchszaltowaniu młodzieży w powołanym przez Koca Związku Młodej Polski i za poparciem młodzieżowego czwórporozumienia. Pamiętam ten zjazd, gdyż wygłosiłem na nim referat pt. „Problemat przebudowy gospodar-

56. Patrz A. Micewski, *W cieniu Marszałka...*, str. 317-319, gdzie autor podaje również streszczenie proklamacji.

57. *Ibidem*, str. 306.

czej Polski”⁵⁸. W gronie ZP i seniorów ZPMD byliśmy jak najbardziej pozytywnie ustosunkowani do wszystkich prac mogących łączyć, a nie rozбивać obóz piśsudczykowski.

Po odpadnięciu elementów koniunkturalnych złączenie to — nie dokonane w ramach OZN — stało się faktem na terenie młodzieży wyrosłej w tradycji pracy niepodległościowej, Legionów i POW. Tadeusz Katelbach pisze:

„Chwilę tę uznaliśmy za najważniejszą dla rzucenia hasła połączenia wszystkich organizacji młodych piśsudczyków. Wiosną 1938 roku otwierałem z ramienia Związku Seniorów Organizacji Młodzieży Narodowej zjazd tych organizacji. Połączenie stało się faktem dokonany, a nasz Związek Seniorów, a nie Ozn stał się odtąd organizacją senioracką nie tylko dla OMN i ZPMD, lecz dla organizacji młodych piśsudczyków połączonych jedną więzią organizacyjną. Akt połączeniowy nie pozostał również bez wpływu na zmianę stanowiska Wendy [sekretarz generalny OZN — J.R.] do 'naprawiaczy'⁵⁹”.

W tym zdaniu jest jeden błąd. Nie wiosną, ale 8 grudnia 1938 roku ZMPD połączył się z Legionem Młodych w Legion Młodzieży Polskiej, tym razem już z prezesem a nie „komendantem” w osobie Józefa Mrozowickiego, jednego z b. redaktorów *Kuźni Młodych* Adama Skwarczyńskiego⁶⁰.

Micewski w swej dość wnikliwej analizie przemian w ruchu młodzieżowym okresu pomajowego pisze, że „rząd sanacyjny stracił stopniowo dosłownie całą swoją młodzież” — nastąpił rozbrat ze „starymi” piśsudczykami. Ale stwierdza też: „Było rzeczą ważną, że cała niemal młodzież piśsudczykowska znalazła się po demokratycznej stronie barykady podziału ideowego. Tworzyło to jakąś przeciwwagę wpływów narodoworadykalnych i endeckich wśród młodzieży. Przeciwwaga ta była bardzo potrzebna” (str. 327 i 328). Można mu przyznać rację, gdy w innym miejscu twierdzi, że „piśsudczycy nie rozumieli, że — nie mając ideologii — nie można mieć młodzieży” (str. 289). Ale jacy „piśsudczycy”? Nie tak bardzo wszyscy... I chyba nawet nie wszyscy „pułkownicy”.

Nie można odmówić Adamowi Skwarczyńskiemu próby stworzenia ideologii młodzieżowej. Niestety w czasie OZONU był on już w grobie. I nie można powiedzieć, aby nie był tą ideologią zetowo-„naprawiacką” syndykalizm, mimo całej swej doktry-

58. Referat ten, jako odbitka z *Narodu i Państwa*, znajduje się w zbiorach bibliotecznych Uniwersytetu Warszawskiego.

59. *Spowiedź pokolenia*, str. 233/234.

60. Datę 8. 12. 1938 podaje *Słownik Organizacji Młodzieżowych*, 1971; również A. Micewski, *op. cit.*, str. 317.

nalności. Ta ideologia fascynowała ówczesną młodzież. Wizja państwa syndykalistycznego była sorelowskim „mitem”, który zapładniał wyobraźnię, wyzwalał energię w pracy politycznej, a przez to był jakimś „projektem przyszłości” i „aktem tworzenia”.

Jerzy Lerski pisze w swoich wspomnieniach „Polska młodzież demokratyczna we Lwowie 1937-1939” (*Zeszyty Historyczne* nr 47/1979): „Z przejęciem słuchaliśmy np. b. premiera Rządu Lubelskiego Jędrzeja Moraczewskiego. Bliską współpracę nawiązaliśmy za pośrednictwem syndykalistów Michała Langa i Romana Zagrodzkiego z Robotniczym Instytutem Oświaty i Kultury (RIOK) przy ZZZetach”... Były odczyty kol. Witolda Kosińskiego „O istocie syndykalizmu” (dn. 16 lutego 1939), Michała Langa ze Związku Związków Zawodowych na temat „Syndykalizm a sprawa robotnicza (dn. 18 marca 1939) oraz magistrów Adama Ostrowskiego i Wiktora Turka o kulturze warstw robotniczych i chłopskich...”. Idea syndykalna, której zdaje się nie doceniać Micewski, wychodziła poza krąg ZPMD i Legionu Młodych, obejmując, jako wizja przyszłości, coraz szersze kręgi młodzieży.

Młoda Wieś — Spółdzielczość pracy

Z ZPMD ściśle związany był Centralny Związek Młodzieży Wiejskiej „Siew”, o którym była już mowa. Był to główny teren pracy zetowców, wyprzedzający o wiele lat teren pracy robotniczej. CZMW wyznawał w zasadzie tę samą ideologię, jakiej hołdował ZPMD, dostosowując ją do potrzeb ludu wiejskiego i specyficznych warunków pracy na wsi. Członkowie ZETU akademickiego i ZPMD pochodzący ze wsi obejmowali kierownicze stanowiska w CZMW i prowadzili tę organizację według dawnych najlepszych tradycji OMN. Nic więc dziwnego, że i do „Młodej Wsi”, jak powszechnie nazywano bezpośrednio przed wojną CZMW, przenikała ideologia syndykalistyczna. Ideologia ta nigdy jednak nie przybrała tu charakteru „syndykalizmu klasowego”. Był to „syndykalizm społeczny” w najszerszym znaczeniu tego pojęcia, wywodzący się z pierwotnych zetowskich koncepcji „uspołecznienia państwa” i oparcia jego struktury politycznej na organizacjach społeczno-gospodarczych.

Prezesem i przywódcą „Młodej Wsi” był zetowiec Stanisław Gierat (1903-1977), jeden z najznamienitszych reprezentantów młodszego pokolenia. Urodzony w Kozłowie na Kielecczyźnie 2 maja 1903 roku, syn ludu, wychowany w szkole polskiej

w Kielcach, już jako uczeń był działaczem młodzieżowym w PECIE i w OMN oraz w samopomocy szkolnej. Po wstąpieniu na Politechnikę Warszawską, którą kończy z tytułem inżyniera, Gierat pracuje nadal społecznie i ideowo w OMN i później ZPMD, zostaje przyjęty do akademickiego ZETU, gdzie wkrótce zaczyna odgrywać rolę kierowniczą. W kadencji 1926/1927 jest wiceprezesem Bratniej Pomocy studentów Politechniki Warszawskiej i wiceprezesem Zrzeszenia Akademickich Kół Prowincjonalnych. W 1928 roku Stanisław Gierat został wybrany na ogólnopolskim zjeździe prezesem Centralnego Związku Młodzieży Wiejskiej. Pozostał na tym stanowisku do września 1939 roku. Rozbudował organizację we wszystkich województwach Polski przedwojennej i stał się jej przywódcą o zacięciu wodzowskim.

Gierat — jak słusznie ocenia go Tadeusz Katelbach⁶¹ — podchodził do zagadnienia organizowania ludu wiejskiego inaczej niż zetowcy na terenie robotniczym. Jego „klasowość” była wyrazem przeświadczenia, że masa chłopska, stanowiąc przeważającą część narodu, jest najpotężniejszym rezerwuarem jego siły, decydującym o przyszłości państwa. Nie była to więc żadna klasowość w ścisłym słowa tego znaczeniu, choć ze względu na decydującą rolę warstwy chłopskiej w przyszłych dziejach narodu Gierat gotów był walczyć o zdecydowanie o szybką poprawę nie tylko jej warunków gospodarczych, o reformę rolną itd., lecz przede wszystkim o jej pozycję kulturalną i polityczną. W odróżnieniu od „klasowców” starego autoramentu Gierat nie bawił się nigdy w płytkie potępianie przeszłości. Przyjmował ją taką jaką była z jej wszystkimi cieniami i blaskami, wychodząc z założenia, że warstwa chłopska jest w prostej linii spadkobiercą tej przeszłości.

„Młodzieży Wiejskiej — pisał Gierat w broszurze wydanej po wojnie w Londynie — nie imponowały prądy idące ze wschodu czy z zachodu. Poszukiwała ona dróg odrodzeńczych w oparciu o własne tradycje historyczne i pierwiastki rodzimej kultury, wierzyła bowiem, że im bardziej Polska będzie różna w treści i formie od zachodniego i wschodniego sąsiada, tym będzie odporniejsza na ich zakusy imperialistyczne, przyrodziane na przynętę w szaty ideologiczne czy reformistyczne⁶²”.

Wspominałem już w rozdziale o Obozie Zjednoczenia Narodowego jak Gierat w oparciu o te zasady przeciwstawił się polityce młodzieżowej płk. Koca i ogłosił Deklarację „Młodej Wsi”,

61. *Spowiedź pokolenia*, str. 218.

62. *Młoda Wieś*, Londyn 1951, nakładem grona koleżeńskiego.

która domagała się m.in. utrzymania dobrowolnych organizacji społecznych, gospodarczych i kulturalnych. Ich nadbudową miała być w pojęciu „Młodej Wsi” reprezentacja polityczna oparta o chłopskie i robotnicze związki zawodowe, a więc koncepcja wywodząca się z syndykalistycznych założeń „Naprawy”.

Ale Gierat nie teoretyzował, lecz praktycznie, z mentalnością technika, budował na wsi zamierzony nowy ustrój. W wyniku unifikacji CZMW z innymi związkami powstał Centralny Związek Młodej Wsi z wydawanym nadal naczelnym organem *Siew*. Koła „siewowe” organizują się we wszystkich niemal gminach i województwach kraju, a liczba członków wzrasta do 200.000. Związek przeradzał się w ruch powszechny, usiłujący rozwiązywać samodzielnie całokształt spraw wiejskich i zaspakajać różnorakie potrzeby chłopskie. Przede wszystkim zwracano jednak uwagę na akcję wychowawczą i przygotowanie chłopów do ich roli w przyszłym syndykalistycznym państwie. Celem niesienia pomocy studiującej młodzieży utworzono bursy młodzieży wiejskiej. Absolwenci wyższych uczelni pozostawali wierni tradycjom chłopskim i brali nadal czynny udział w pracach Związku. Średnie i niższe szkoły rolnicze dostarczały co roku nowych pracowników dla kół gminnych i ich powiązań powiatowych i wojewódzkich. Ambicją każdego związku gminnego było wysyłanie do szkoły rolniczej przynajmniej jednego ucznia w roku i zapewnienie mu stypendium.

Broszura Stanisława Gierata „Młoda Wieś” informuje obszernie o rozmachu tych prac wychowawczych w latach 1928-1939. Liczba uniwersytetów wiejskich typu Grundwiga wzrosła w Polsce do 14, z czego Centralny Związek Młodej Wsi i jego ogniwa wojewódzkie prowadziły 10. Co roku przez te zakłady samokształceniowe przechodziło około 600 słuchaczy, chłopców i dziewcząt. Na szeroką skalę rozwijały się kursy wychowania samorządowego. W ramach pracy samokształceniowej prowadzono też tzw. „przysposobienie rolnicze” i „przysposobienie spółdzielcze”, organizowano kursy specjalne zakładania sadów, ogrodów warzywnych, uprawy roślin pastewnych itp.

Poza licznymi organami prasowymi, z tygodnikiem ideowo-programowym *Siew* na czele, oraz żywym słowem, CZMW zastosował też nową drogę budzenia wsi, wprowadzając wędrownie kino. W roku 1936 założono „Wiejską Spółdzielnię Kinową”, która uzyskała 20 aparatów na wąską taśmę ze specjalnie przystosowanymi silnikami benzynowymi i prądnicą. Ten rodzaj oświaty cieszył się największym wzięciem. Na ówczesne stosunki było to coś zupełnie nowego. W Tarnopolszczyźnie chłopcy byli

do też wzruszeni przy wyświetlaniu obrazów dźwiękowych; mówili, że „Polska do nich przyszła”. Na Polesiu, w czasie wyświetlania filmu „Pod Twoją Obronę” ludność zachowywała się jak na nabożeństwie. Trzeba podkreślić, że CZMW utrzymywał żywe i przyjazne stosunki z mniejszościami narodowymi, zamieszkującymi ziemie wschodnie Rzeczypospolitej. Był on jedyną organizacją, która potrafiła przez cały okres niepodległości zachować mieszany charakter narodowy i religijny swoich kół.

Gierat postanowił uniezależnić prowadzoną przez siebie organizację od wszelkich źródeł rządowych. W tym celu współ z grupą ideowych inżynierów i techników, zetowców i wychowanków ZPMD począł organizować s p ó ł d z i e l c z o ś ć p r a c y, nadając idei syndykalnej nowe oblicze. O ile w działalności spółdzielni spożywców czy rolniczo-handlowych, popieranych zawsze przez zetowców, młodzież wiejska była zaawansowana, poszerzając i udoskonalając istniejące już formy, o tyle w spółdzielczości pracy stawiała przed wojną 1939 roku dopiero pierwsze interesujące kroki.

Wychodzono z założenia zetowo-„naprawiackiego”, że formy liberalnej gospodarki kapitalistycznej przeżywały się nawet na zachodzie. Aby zapewnić rozwój rodzimego przemysłu w Polsce, trzeba było oprzeć się albo na kapitalizmie państwowym, albo też szukać rozwiązań społecznych. „Młoda Wieś” dążyła do „państwa uspołecznionego”. Poszukując rozwiązań konkretnych, wybrano formę spółdzielni pracy jako drogę przeobrażania ustroju społeczno-gospodarczego w kierunku wyrównywania niesprawiedliwości w rozdziale dochodu narodowego i budzenia zainteresowania mas dla twórczej pracy gospodarczej. „Działacze młodzieży wiejskiej zdawali sobie sprawę, że nowy ustrój gospodarczy musi budować cały naród i dlatego pierwszą próbę realizowania swych założeń podejmowali łącznie z pokrewną sobie młodzieżą inteligentką i robotniczą, która przeszła przez szkołę społeczno-wychowawczą Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej i Organizacji Młodzieży Pracującej „Orle”⁶³.

Pracę rozpoczęto w roku 1932 od robót instalacji elektrycznych, specjalizując się następnie w budowie dalekosiężnych kabli telefonicznych i odbierając w tym zakresie monopole kapitałowi zagranicznemu. W roku 1933 założono przedsiębiorstwo przemysłowe pod nazwą „Grupa Techniczna”, którego celem było skupianie młodzieży o wykształceniu technicznym w formach spółdzielczości pracy nad elektryfikacją i uprzemysł-

63. S. Gierat, *Młoda Wieś*, str. 12.

wieniem Polski. „Grupa Techniczna” założyła w roku 1934 fabrykę maszyn elektrycznych, w której produkowano obrabiarki ręczne i wózki akumulatorowe. W roku 1935 rozwinięty został dział budowlany. Wykonywano wiele robót dla Towarzystwa Osiedli Robotniczych, które i w innych działach swej pracy oparło się o „Grupę Techniczną”.

Mając duże doświadczenie w robotach ziemnych przy układaniu kabli telefonicznych, wymagających specjalnego sprzętu, dobrej organizacji, dużej ilości pracowników, „Grupa” rozszerzyła swoją działalność na regulację rzek, przyjmując pracę przy obwałowywaniu Wisły w górnym jej biegu.

W trzy lata po powstaniu „Grupy Technicznej” został zorganizowany Bank Techniczny, jako instytucja kredytowa spółdzielczości pracy i tych instytucji prywatnych, które nie miały możliwości uzyskania kredytu na rynku, ze względu na brak nieruchomości, potrzebnych dla jego zabezpieczenia. Bank Techniczny udzielał kredytów klientom nie ze względu na ich zdolność kredytową, ale na możliwości fachowe wykonania określonej roboty. Kredytobiorca musiał jedynie poddać się kontroli fachowej Banku i złożyć cesję na przepływ przez Bank wszystkich swoich należności za wykonywaną robotę. Przez okres czterech lat działalności Banku — pisze Gierat — nie zdarzył się ani jeden wypadek strat... „Grupa Techniczna” i Bank Techniczny współdziałały systematycznie z instytucjami, które podejmowały zagadnienia elektryfikacji i radiofonii wsi.

Z działalności przemysłowo-technicznej „Młodej Wsi”, prowadzonej w formach spółdzielczych, była i ta dodatkowa korzyść, że spora ilość dochodów z wymienionych przedsiębiorstw mogła być przekazywana na jej działalność oświatowo-wychowawczą i na inicjowanie nowych placówek handlowo-przemysłowych. Dzięki tym funduszom „Młoda Wieś” była w dużym stopniu niezależna od zasiłków czy ofiar i dlatego mogła sobie pozwolić na niezależność nie tylko od ludowych partii politycznych (w odróżnieniu od ZMW „Wici”), lecz również od BBWR czy OZONU, choć przyznawała się do obozu pomajowego i Józefa Piłsudskiego uważała stale za swego honorowego protektora.

Katastrofa wrześniowa — zetowcy w kraju i na emigracji

Przez szkołę wychowawczą ZETU przeszło w jego grupie ścisłej ponad 2.000, a w afiliowanych z nim organizacjach niższego stopnia — nie licząc masowych stowarzyszeń młodzieży

wiejskiej i robotniczej — dalsze parę tysięcy ludzi. Weszli oni do życia niepodległej Polski jako działacze polityczni i społeczni na różnych, mniejszych lub większych stanowiskach. Zachowały się tylko fragmentaryczne, niekompletne wykazy członków.

Do „Sprawozdania ze Zjazdu Uczestników Ruchu Niepodległościowego Młodzieży Polskiej”⁶⁴, odbytego w Warszawie w dniach 28 i 29 listopada 1936, Tomasz Piskorski, zbieracz dokumentacji, załączył zweryfikowaną listę wychowanków tego ruchu, którzy przybyli na Zjazd. Zawiera ona 1.001 nazwisk i nie obejmuje członków ZPMD, oraz członków rodzin uczestników Zjazdu i zaproszonych gości, którzy w ilości kilkuset osób brali udział w uroczystym jego otwarciu. W 1936 roku Piskorski wydał również „Wykaz Poległych i Zmarłych Uczestników ruchu niepodległościowego Młodzieży Narodowej (ZET, PET, TTZ) w okresie lat 1886-1936”⁶⁵ z krótkimi danymi biograficznymi, m.in. czołowych działaczy ZETU Włodzimierza Bochenka (1879-1931), gen. Gustawa Orlicz-Dreszera (1889-1936), Aleksandra Graffa (?-1919), Władysława Hedingera (1886-1934), Edwarda Kłopotowskiego (1888-1936), Teodora Tyca (1896-1927), Kazimierza Wyszyńskiego (1890-1935) i Stanisława Zielińskiego (1880-1936)*.

Wykaz zmarłych w latach 1886-1936 w opracowaniu Piskorskiego zawiera 335 nazwisk; 178 osób z tej listy poległo w walkach w czasie pierwszej wojny światowej lub w wojnie polsko-rosyjskiej 1920 roku, w tej liczbie 59 legionistów i peowiaków; kilku zostało zamordowanych przez bolszewików. Wykaz ten nie jest kompletny. Nie obejmuje np. nazwisk podanych w pracy Franciszka Szymiczka „Stowarzyszenia Akademickiej Młodzieży

64. *W pięćdziesiątą rocznicę powstania ZETU*, Warszawa 1937.

65. Warszawa 1936, nakładem Związku Seniorów OMN i ZPMD.

* Zieliński Stanisław, historyk, ur. w Środzie, członek „Czerwonej Róży” i PETU. W czasie studiów w Krakowie, Lwowie, Paryżu i Monachium przyjęty był do ZETU. W 1910 r. objął stanowisko bibliotekarza Muzeum Polskiego w Rapperswilu i w czasie pierwszej wojny światowej pracował wydatnie na rzecz idei legionowej. Za werbunek do Legionów był aresztowany i sądzony przez Trybunał Wojskowy w Zurychu. Przyjmując, że tylko „pomagał” a nie „werbował” w neutralnym kraju żołnierzy dla stron wojujących, Trybunał zwolnił go od odpowiedzialności i wypuścił za kaucją 5.000 frs., złożoną przez Gabriela Narutowicza i szwajcarskiego pośła socjalistycznego Grenlicha (informacja według artykułu Henryka J. Korybut-Worobieckiego w książce *Pologne — Suisse*, Warszawa 1936).

Stanisław Zieliński brał później udział w wojnie polsko-rosyjskiej 1920 roku. Później był członkiem Zarządu Głównego Ligi Morskiej i Kolonialnej i Związku Seniorów OMN i ZPMD. Był ojcem zetowca Kazimierza Zielińskiego, zamordowanego przez hitlerowców, i Haliny Zielińskiej, członkini ZPMD.

Górnośląskiej we Wrocławiu 1863-1918", Ossolineum, 1963, spośród których Szymiczek zamieścił (lub przygotował do druku) w „Polskim Słowniku Biograficznym” życiorysy wielu działaczy politycznych i społecznych, których wymienia jako zetowców.

W załączniku do tego szkicu podaję listę, również niekompletną, 126 zetowców-piśsudczyków, poległych na polu chwały, zamordowanych przez Niemców i Rosjan oraz zmarłych w kraju i na emigracji w latach 1939-1980, jaką udało mi się zestawzić.

Jeśli chodzi o podległe ZETOWI szersze organizacje młodzieżowe, Stanisław Pilarczyk w Londynie i dr Marian Paluszkiewicz w kraju zdołali sporządzić listy i kartotekę około 2.000 członków Towarzystw Tomasza Zana i organizacji pokrewnych. Obydwaj są nieustrudzonymi zbieraczami dokumentacji o niepodległościowym ruchu młodzieżowym na Ziemiach Zachodnich. Stanisławowi Pilarczykowi, ekonomistcie, działaczowi gospodarczemu i b. członkowi Związku Seniorów OMN i ZPMD, również uczestnikowi wspomnianego Zjazdu w 50-lecie ZETU, zawdzięczam wiele materiałów o Wielkopolsce, które tylko częściowo mogłem uwzględnić.

Niestety — jak mi się wydaje — nie istnieją już spisy członków Grup Narodowych na Zachodzie, OMN szkół średnich i wyższych w b. Kongresówce i w Galicji, czy wreszcie członków ZPMD i innych stopni organizacyjnych. Liczby wychowanków tych częściowo tajnych — w pewnych okresach — a później jawnych stowarzyszeń idą z całą pewnością w wiele tysięcy.



Z atakiem wojsk hitlerowskich na ziemie polskie w dniu 1 września 1939 roku prace zetowców zostały zahamowane. Z upadkiem Polski po zbrojnej interwencji sowieckiej w dniu 17 września ZET akademicki i Związek Patriotyczny przestały centralnie funkcjonować. Działyły jednak jeszcze przez pewien czas w kraju i na emigracji zespoły ludzi powiązanych z sobą tradycją wspólnej pracy ideowej. Szeregi zetowców zaangażowanych w walkę z najeźdźcami i w akcję podziemną topniały. Te dzieje, którym należałoby poświęcić specjalne studium, nie należą do niniejszej pracy. Krótko więc tylko niech mi wolno będzie wymienić niektóre nazwiska znanych mi kolegów spośród czołowych działaczy. Nie jestem w stanie wymienić wszystkich, zwłaszcza z młodszego i mniej znanego mi pokolenia.

W kampanii wrześniowej poległ w początkach wojny w Prużanach Stanisław Groniowski, redaktor *Narodu*

i Państwa (ur. 1895); ppłk Tadeusz Lechnicki (ur. 1892) — ciężko ranny 29 września w bitwie o Janów Lubelski zmarł w szpitalu 1 października 1939; Jan Grzywaczewski (ur. 1901), wybitny działacz ZETU, OMN, ZPMD i Ligi Morskiej i Kolonialnej, urzędnik Ministerstwa Przemysłu i Handlu — poległ od bomby niemieckiej pełniąc obowiązki komendanta dworca w Siedlcach; Jerzy Szper (ur. 1909), wielokrotnie wybierany do władz ZPMD i ZETU akademickiego, adwokat, działacz społeczny — ciężko ranny pod Warszawą jako dowódca plutonu, zmarł dnia 17 września 1939 w polowym szpitalu w auli Uniwersytetu Warszawskiego; Bolesław Gajkiewicz z Katowic i Józef Charnasson — działacze ZETU i ZPMD, zabici w nieznanymi okolicznościach.

W Katyniu zginął wspomniany już Tomasz Piskorski (1898-1940). Był on wybitną postacią średniego pokolenia zetowców — autor kilku broszur o ZECIE i Harcerstwie oraz prac historycznych. Już w 1915 roku, za czasów szkolnych w gimnazjum J. Zamojskiego w Warszawie, był aresztowany przez Niemców za czynny opór przeciw zaborcom i osadzony z drugim petowcem i członkiem OMN Stanisławem Rudnickim na Pawia-ku. Po zwolnieniu przedostał się do Legionów, był ranny jako kawalerzysta w Korpusie gen. Żeligowskiego, pracował później w POW i brał udział w powstaniu śląskim. W niepodległej Polsce ukończył Wydział Prawa Międzynarodowego na Wolnej Wszechnicy Polskiej i pracował w wielu organizacjach młodzieżowych i społecznych. Był komendantem Chorągwi Warszawskiej ZHP (1928), później p.o. naczelnika Głównej Kwatery (1937). Jako radca w Ministerstwie Przemysłu i Handlu przyczynił się do zorganizowania Wydziału Rzemiosła (sam pochodził z rodziny warszawskich białoskórników). Powołany z rezerwy do wojska w 1939 roku, był szefem transportu Łódź - Lublin i walczył w partyzantce gen. Kleberga, skąd dostał się do niewoli sowieckiej.

W Katyniu zginęli też zetowcy i działacze ZPMD Stanisław Kubiak i Józef Wojciechowski, których życiorysów nie mogłem zdobyć, ten ostatni publicysta, dziennikarz i działacz społeczny na terenie Poznania i Śląska.

Liczna jest lista zetowców i ludzi ideowo związanych z ruchem zetowym, zamordowanych w obozach koncentracyjnych lub poległych jako żołnierze AK. Oto niektóre nazwiska:

Butkiewicz Bronisław, inż. z „Grupy Technicznej Młodej Wsi”, jeden z kierowników konspiracyjnej sieci produkcji prze-

myślu wojennego AK — zmarł w obozie koncentracyjnym Gross Rosen;

Fiszer Władysław, kierownik akcji „N” w Komendzie Okręgu AK w Krakowie — aresztowany w 1943 roku, zginął w więzieniu;

Leopold Stanisław, z dowództwa Batalionu Harcerskiego „Parasol” — poległ w Powstaniu;

Małowieski Józef, działacz wiejski, zmarł w obozie koncentracyjnym w Stutthof;

Marszałek Józef, organizator i dyrektor „Banku Technicznego”, czołowy przywódca konspiracyjnej organizacji „Młodej Wsi” w Racławicach, która była członkiem Rady Jedności Polski Podziemnej — zginął w roku 1943 w obozie w Majdanku;

Moniewski Tadeusz z Lublina, działacz zetowych organizacji wiejskich — rozstrzelany przez Niemców;

Prażmowska (Ivankowa) Wanda, z b. grupy „Alfa”, pisarka społeczna, poległa w Powstaniu Warszawskim w sierpniu 1944 r.;

Sikorski Stefan, szef sztabu Komendy Okręgu AK w Krakowie — zamordowany przez Gestapo;

Szeleźniak Piotr, aresztowany w Lublinie — zginął w więzieniu lub w obozie koncentracyjnym;

Wolska Barbara, łączniczka Komendy Głównej AK — poległa w powstaniu 17 sierpnia 1944 r.;

Wóycicka (Pleszczyńska) Wanda, działaczka PETU i OMN w Lublinie, później w grupie „Alfa” — schwytana jako łączniczka AK, została zadreńczona w więzieniu;

Wrona Teofil, b. prezes ZPMD i pracownik oświatowy „Młodej Wsi” — rozstrzelany przez Niemców w Al. Szucha w Warszawie;

Zaleska-Ivanowska Celina, żołnierz AK — rozstrzelana po aresztowaniu w Lublinie 26 czerwca 1940 r.;

Zakrzewski Władysław, brat syndykalisty prof. dr. Kazimierza Zakrzewskiego, czynny w Komendzie Głównej AK przy organizowaniu zrzutowisk — aresztowany w 1944 r., zmarł w 1945 r. w obozie koncentracyjnym.

Do tej grupy zaliczyć też trzeba działacza Związku Patriotycznego i jednego z czołowych założycieli Związku Naprawy Rzeczypospolitej — Kazimierza Kierzkowskiego (1890-1942), zamęczonego w obozie w Oświęcimiu.

W walkach na Zachodzie zginęło również wielu zetowców i członków ZPMD lub „Młodej Wsi”. Nazwisk tych żołnierzy Polskich Sił zbrojnych nie mogłem zebrać. Wspominałem już, że pod Monte Cassino zginął wybitny zetowiec, działacz na terenie wsi, prezes Izby Rolniczej w Wilnie, poseł na Sejm i senator Władysław Kamiński (1897-1944). W formacjach lotniczych i innych polegli m.in. Wiesław Brodzikowski i Felicjan Lechnicki jun., syn senatora Felicjana, przedstawiciele licznej plejady młodych wychowanków ZETU.

Jeśli chodzi o prace podczas wojny na terenie kraju, trzeba podkreślić powołanie przez zetowców do życia Polskiej Organizacji Zbrojnej „R a c ł a w i c e”, która na kanwie terenowej Centralnego Związku Młodzieży Wiejskiej szybko pokryła siecią nowych ogniw całą Generalną Gubernię, a następnie przerzuciła się na tereny zachodnie, włączone do Rzeszy, oraz na Ziemię Wschodnie, zajęte przez Sowiety. Pod kierownictwem Józefa Marszałka „Racławice” wysunęły na pierwsze miejsce swej działalności prace polityczno-wojskowe⁶⁶.

Drugą taką organizacją polityczno-wojskową był Z w i ą z e k O d b u d o w y R z e c z y p o s p o l i t e j (ZOR), założony w październiku 1939 z inicjatywy Tadeusza Żenczykowskiego (Zawadzkiego), który uciekł z niewoli. Trzon organizacyjny opierał się na zetowcach, ZPMD-owcach i działaczach Związku Strzeleckiego. ZOR miał 6 okręgów (Warszawa miasto, Warszawa województwo, Kraków, w Lubelszczyźnie, w województwie łódzkim i na wschodzie kraju). Pod koniec 1943 roku Związek oddał swoje oddziały — około 10.000 ludzi — do AK. Na siatce wojskowej ZOR stworzył nadbudówkę polityczną pod nazwą „Związek Wolnej Polski”, który połączył się ze Stronnictwem Demokratycznym i organizacją „Jutro Polski Niepodległej”, tworząc wspólnie „Zjednoczenie Demokratyczne”, reprezentowane w Radzie Jedności Narodowej przez Eugeniusza Czarnowskiego. Wśród 16-tu przywódców Polski Podziemnej, porwanych do Rosji i sądzonych w procesie moskiewskim — oprócz b. zetowca i członka pierwszego KC „Związku Patriotycznego”, delegata Rządu Jana Stanisława Jankowskiego — było dwóch reprezentantów Zjednoczenia Demokratycznego: Stanisław Michałowski i Eugeniusz Czarnowski. Pierwszy z nich był w Związku Patriotycznym, a drugi w ZECIE akademickim. Obydwaj byli członkami ZOR-u. Głównym pismem ZOR-u był dwutygodnik *Wolna Polska*, redagowany przez Żenczykowskiego. Oprócz powyżej

66. Stanisław Gierat, *Młoda Wieś*, str. 19.

wymienionych w ZOR działali wybitni zetowcy najmłodszego przedwojennego pokolenia (Bronisław Butkiewicz, Władysław Fiszer, Józef Horodyński, Jan Kostrzewski, Mieczysław Peszczyński, Przemysław Szczekowski, Wacław Szyszkowski, Barbara Wolska) i wielu członków ZPMD⁶⁷.

Spore grono wychowanków ZETU pełniło służbę w Batalionie Harcerskim „Parasol”, z którego dowództwa — jak już zaznaczyłem — poległ w powstaniu zetowiec Stanisław Leopold.

Tragiczny los dotknął czołowych działaczy syndykalistycznej grupy zetowców. Bezpośrednio przed wybuchem wojny nurt syndykalistyczny w ZZZ — choć poważnie uszczuplony pod względem ilości członków — umocnił się na tyle, że kiedy przyszedł czas okupacji niemieckiej był w stanie utworzyć w październiku 1939 roku własną organizację podziemną pod nazwą „Związek Syndykalistów Polskich”. Organizatorami byli i tutaj główni zetowcy-syndykaliści, zarazem kierownicy Związku Patriotycznego „Lewica”.

Seweryn Ajzner stwierdza, że „przywódcy i działacze ZZZ brali czynny udział w walce o wyzwolenie narodowe, wielu z nich zginęło z rąk okupanta. W formacjach wojskowych podziemnego ruchu oporu, związanych na ogół — jak pisze Ajzner — z rządem londyńskim i AK, uczestniczył prawie cały aktyw ZZZ⁶⁸”. Przez to stwierdzenie autor daje świadectwo wysoce patriotycznej postawie zetowców-syndykalistów. Ajzner pisze w innym miejscu: „Program, z jakim ZZZ wkraczał w wojnę, zawierał szereg ocen, myśli, zasad, które w okresie późniejszym — w latach wojny i okupacji — inspirowały jego działaczy do walki o niepodległość z pozycji radykalizmu społecznego, choć na ogół w ramach organizacji podporządkowanych rządowi londyńskiemu bezpośrednio (AK) lub pośrednio...⁶⁹”.

Wśród czołowych zetowców-syndykalistów zginęli obydwaj ideolodzy, których życiorysy podałem już w poprzednim rozdziale:

Zakrzewski Kazimierz (1900-1941) — aresztowany w styczniu 1941 roku, został rozstrzelany w Palmirach pod Warszawą 11 marca;

Szurig Jerzy (1893-1941) — aresztowany wkrótce po Za-

67. Informacja o ZOR z listu do mnie Tadeusza Żenczykowskiego (Zawadzkiego) z dnia 8. 1. 1981, który w Biurze BIP AK kierował wydziałami „N” i „R” i był szefem propagandy AK w okresie Powstania.

68. S. Ajzner, *op. cit.*, str. 6.

69. *Ibidem*, str. 425.

krzewskim na spotkaniu syndykalistów z socjalistami, rozstrzelany również w Palmirach 12 czerwca⁷⁰;

Kapuściński Stefan (1896-1943), porucznik w kampanii wrześniowej, po ucieczce z niewoli współdziałał w Związku Syndykalistów Polskich. Aresztowany 18 maja 1943 za pomoc powstańcom w getcie, został rozstrzelany w ruinach getta 29 maja 1943 r.⁷¹;

Zieliński Kazimierz (1910-1941), syn Stanisława, urodzony w Rapperswilu, członek ZPMD, ZETU i Związku Patriotycznego, absolwent Wydziału Prawa Uniwersytetu Józefa Piłsudskiego w Warszawie, urzędnik Konsulatu Generalnego R.P. w Paryżu. Pragnąc wziąć udział w walce zbrojnej, przedostał się do kraju w pierwszych dniach wojny drogą okrężną. Po upadku Warszawy wstąpił do konspiracyjnego ruchu Związku Polskich Syndykalistów. Aresztowany przez Gestapo i osadzony na Pawiaku, zginął 17 sierpnia 1941 roku rozstrzelany w Palmirach⁷².

Uratował się w zawierusze wojennej zetowiec-syndykalista Stefan Szwedowski (1891-1973). Z paru byłymi zetowcami działał on jeszcze po wojnie w organizacjach społecznych w kraju — jak pisze Ajzner — „w tych środowiskach piłsudczykowskiej lewicy, które stosunkowo szybko, choć nie bez oporów i bolesnych rozterek, przyjęły zasady programowe Polski Ludowej”. Należałoby lepiej powiedzieć, że nie „przyjęły”, ale *volens nolens* musiały pogodzić się z rzeczywistością Polski powojennej. Starano się w pracy społecznej i gospodarczej ratować w ramach tej rzeczywistości co tylko można było jeszcze ratować dla zachowania identyczności narodu polskiego, jak to czynił również przymuszony do powrotu do kraju z internowania w Rumunii zarzewiak Eugeniusz Kwiatkowski.

W tym sensie można powiedzieć, że „pogodzili się” z tą rzeczywistością także pozostali w kraju i zmarli już tam zetowcy z ZP-„Prawicy”: Bolesław Srocki (1893-1954), czołowy publicysta i redaktor wielu pism „naprawiackich”, dobry znawca zagadnień polsko-niemieckich, który po wojnie był członkiem Rady Naukowej dla Ziem Odzyskanych, członkiem Instytutu Zachodniego w Poznaniu i Instytutu Bałtyckiego; bracia Felicjan (1885-

70. Władysław Bartoszewski w *1859 dni Warszawy*, Kraków 1974, pisze: „12. 6. 1941 wywieziono z Pawiaka i zamordowano w Palmirach 29 więźniów (w tym 14 kobiet). Wśród straconych znajdował się Jerzy Szurig, prawnik, publicysta, działacz syndykalistyczny, czynny w BIP KG ZWZ” (str. 209).

71. *Polski Słownik Biograficzny*, artykuł Fr. Szymiczka.

72. Informacja według dokumentów siostry, Haliny Zielińskiej.

1963) i Zdzisław (1890-1959) Lechniccy, Witold Jeszke (1891-1970); Stanisław Molenda (1902-1976), działacz społeczno-gospodarczy, adwokat, żołnierz AK, współpracujący po wojnie w Tow. Handlu Międzynarodowego „Dal”; Jan Zieleniewski (1901-1976), również działacz gospodarczy, syn przemysłowca z Krakowa, Adam Stebelski (1894-1965), historyk i archiwista, Piotr Olewiński, senator, harcerz i działacz ludowy i wielu innych.

Nie doczekał czasów powojennych Karol Grzesik (1890-1939), prezydent miasta Chorzowa, marszałek Sejmu Śląskiego i działacz syndykalistyczny, który zmarł na udar serca we Lwowie w czasie ewakuacji. Inny zetowiec-syndykalista, Gustaw Zieliński (1892-1945), którego życiorysu nie udało mi się pozyskać, rówieśnik Kazimierza Wyszyńskiego i braci Lechnickich, wybitny działacz społeczny i w związkach zawodowych; pracował w czasie wojny w polskich organizacjach podziemnych na terenie Francji, gdzie zmarł wkrótce po wojnie.



Zetowcy, którzy po militarnym załamaniu się Polski różnymi drogami przedostali się na Zachód i znaleźli na emigracji — jeśli nie mieli szczęścia wstąpić do tworzących się nowych jednostek wojska polskiego — podlegali z reguły tym samym politycznym szykanom otoczenia gen. Władysława Sikorskiego w Paryżu i później w Londynie, jakim poddani byli niemal wszyscy piłsudczycy. Wielu jednak udało się uniknąć odsuwania ich od walki i pracy ze strony prof. Stanisława Kota i płk. Izzydora Bogdalskiego, byłych współpracowników Sikorskiego w Departamencie Wojskowym NKN z czasów pierwszej wojny, mających zadawnione porachunki z legionistami. Może uchodzić za rzecz interesującą, że pewną ochronę przed szykanami, których ofiarą padł m.in. dr Michał Grażyński, uzyskiwali zetowcy ze strony dawnych zetowców, później działaczy politycznych Stronnictwa Narodowego. Podkreśla to Tadeusz Katelbach, gdy pisze:

„Mimo zupełnego rozejścia się ZETU z Ligą Narodową zamierzeły wspomnienia wspólnoty ideowej pozostały. Przeciwnicy polityczni zachowali uczucie wzajemnego szacunku. Nie tylko przeciwnicy w rodzaju Antoniego Bogusławskiego. Nawet Stanisław Stroński, eks-zetowiec lwowski, do czasu członek Ligi Narodowej, jeden z najbardziej zapamiętałych wrogów Piłsudskiego, gdy wszedł do rządu Sikorskiego, starał się chronić w Paryżu i w Londynie zetowców-piłsudczyków przed mężem zaufania generała Sikorskiego — profesorem Stanisławem Kotem⁷³”.

73. Artykuł „ZET”, *Zeszyty Historyczne* nr 13/1968, str. 24.

Powyższe mogę potwierdzić. Gdy bowiem po moim wstąpieniu do Armii Polskiej we Francji zwróciłem się do Strońskiego, ówczesnego ministra Informacji i Propagandy, z listem w sprawie wyreklamowania b. wicepremiera E. Kwiatkowskiego z internowania w Rumunii do jakiejś pracy w Paryżu, otrzymałem od niego pismem z 23 lutego 1940 (oryginał w moich zbiorach) przychylną odpowiedź. Otoczenie Sikorskiego — zresztą nie bez wpływu Adama Koca — do tego nie dopuściło.

W tym kontekście sprawa Michała Grażyńskiego jest bardzo symptomatyczna. We wrześniu 1939 roku, po zajęciu Śląska przez wojska Hitlera, Grażyński mianowany został ministrem Informacji. Był pierwszym zetowcem, którego *in extremis* dopuszczono do rządu. Nie było mu jednak danym sprawować długo ten urząd. Internowany z członkami gabinetu gen. Sławoja-Składkowskiego w Slanic na terenie Rumunii, uciekł z tego obozu i przedostał się do Francji. Tutaj, jak i później w Anglii, nie szczędzono Grażyńskiemu niechęci i goryczy. Wszelkimi sposobami starano się pozbawić go przewodnictwa w Związku Harcerstwa Polskiego. W czasie jednego z moich wyjazdów do Londynu po wojnie miałem możność zapoznania się z fotokopiami odnośnych dokumentów, rzucających niezbyt dobre światło na stosunki, panujące w czasie wojny w Londynie. Grażyńskiego zesłano na wyspę Fitz, stamtąd do USA, aby pozbawić go możliwości pracy publicznej i wpływu na młodzież, wbrew życzeniom działaczy ZHP.

Po wojnie rozwinął Grażyński na emigracji żywą działalność publicystyczną i organizacyjną. W roku 1947 ukazała się drukiem jego praca pt. „Zarys Programu Niepodległościowego” (zbiór artykułów wydanych pod pseudonimem T. Borelowski). Gen. Władysław Anders serdecznie podziękował mu za jego wielki wkład na stanowisku przewodniczącego ZHP, pisząc: „Związek Harcerstwa Polskiego stał się pod Pana przewodnictwem ideowym wychowawcą młodego pokolenia Polaków, którzy z dala od Ojczyzny pozostali jej wierni i gotowi stanąć do ofiarnej służby Polsce”. Cytując te słowa Mieczysław Chmielewski dodał we wspomnieniu po śmierci Grażyńskiego w roku 1965: „... ludzie dobrej woli spośród wszelkich grup politycznych okazywali mu nieprzerwanie aż do jego zgonu głęboki szacunek, nie tylko z powodu niepospolitych dokonań przed wojną, lecz także dla Jego wierności i niezłomności w służbie dla Sprawy⁷⁴”.

Dopiero po wojnie, na emigracji, nastąpiło pełne zbratanie

74. *Przegląd Zachodni* nr 5/1966, Londyn.

zetowców z innymi grupami piłsudczykowskimi. Nie kto inny, ale właśnie Michał Grażyński od roku 1950 aż do śmierci w roku 1965 był organizatorem, prezesem i przywódcą Ligi Niepodległości Polski, organizacji piłsudczyków wszystkich odcieni na emigracji.

Obok Grażyńskiego wielu zetowców, b. członków ZPMD i „Siewiarzy” wzięło udział w organizowaniu polskiego życia politycznego, społecznego, kulturalnego i naukowego poza granicami zniewolonego kraju. Niech mi wolno będzie wymienić najwybitniejszych, którzy odeszli już z tego świata.

W Londynie pracowali politycznie i społecznie i zmarli:

Hełczyński Bronisław (1890-1978), prof. dr, członek ZETU akademickiego w Krakowie i jeden z najstarszych założycieli „Zarzewia”, prawnik i naukowiec, b. szef Kancelarii Cywilnej Prezydenta Ignacego Mościckiego, później prezes Najwyższego Trybunału Administracyjnego. Nie należał, jak Eugeniusz Kwiatkowski, do Związku Naprawy Rzeczypospolitej, ale w pracy społecznej na licznych posterunkach współdziałał zawsze z zetowcami i bezpośrednio przed wojną przystąpił do Związku Patriotycznego⁷⁵.

Komarnicki Tytus (1896-1968), dr praw, zetowiec i członek ZP, b. minister pełnomocny i stały delegat do Ligi Narodów w Genewie, wybitny działacz i autor prac polityczno-historycznych na emigracji.

Martin Wiktor (1900-1972), ekonomista, p.o. szefa Biura Ekonomicznego Rady Ministrów i później dyrektor Gabinetu wicepremiera E. Kwiatkowskiego. Nie był członkiem ZP, ale jako wychowanek OMN i członek Senioratu ściśle współpracował z zetowcami. W czasie wojny i po wojnie był niezwykle czynny w pracach gospodarczych i społeczno-politycznych, m.in. w Skarbie Narodowym⁷⁶.

Nowak Jerzy Stanisław (1898-1949), dr ekonomista, zarze-
wiak i członek ZP, wybitny znawca zagadnień międzynarodowej wymiany handlowej i finansów, b. dyrektor Banku Polskiego, zasłużony w uratowaniu w czasie wojny wywiezionych z kraju zapasów polskiego złota; po wojnie działał w Stowarzyszeniu Ekonomistów Polskich w Londynie, opublikował szereg artykułów i był wykładowcą bankowości w Polish University College⁷⁷.

Paprocki Stanisław Józef (1895-1976), prawnik, zetowiec i

75. Patrz moje wspomnienie z biografią, *Niepodległość* tom XIII/1979.

76. Życiorys pióra Zbigniewa Landaua w *Polskim Słowniku Biograficznym*.

77. Życiorys pióra Wojciecha Roszkowskiego, *ibidem*.

członek ZP, przed wojną dyrektor Biura Spraw Narodowościowych w Prezydium Rady Ministrów, b. sekretarz generalny Ligi Niepodległości Polski, obdarzony zmysłem organizacyjnym i temperamentem w pracy społeczno-politycznej⁷⁸.

Stańczykowski Ludwik (1904-1979), kuzyn zmarłego przedwcześnie adwokata Kazimierza Stańczykowskiego (1901-1937) — obydwaj wybitni działacze zetowi w OMN, ZPMD i „Młodej Wsi” — redaktor organu „Młodej Wsi” *Siew*, po wojnie czynny w pracach wychowawczych, autor artykułów i nowel literackich poświęconych młodzieży i ludowi wiejskiemu, m.in. książki „Płonąca Wieś”, wydanej na krótko przed śmiercią.

Starzewski Jan (1895-1973), legionista, polityk i dyplomata w służbie MSZ, minister pełnomocny i poseł R.P. na różnych placówkach przed wojną, kierownik działu spraw zagranicznych Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego i minister Rządu R.P. na emigracji, związany stale z zetowcami od czasów pracy w OMN i ZECIE w Krakowie⁷⁹.

Surzyński Leon (1891-1967) dr med., jeden z czołowych działaczy politycznych ZETU na terenie Poznańskiego, wicemarszałek Sejmu, później w służbie wojskowej z Witoldem Jeszke i Mieczysławem Chmielewskim na Bliskim Wschodzie (w brygadzie gen. Wiatra), czynny w wielu stowarzyszeniach powojennych w Londynie.

Częściowo w Londynie, później w innych krajach zachodnich działali i zmarli:

Nowak-Przygodzki (Opel) Antoni (1897-1959), zetowiec, harcerz, uczestnik obrony Lwowa i wojny 1919-1920, adwokat i członek Rady Miejskiej m. Lwowa 1927-1939, oficer w stopniu kapitana w Powstaniu AK, po wojnie działacz społeczny i polityczny na terenie Niemiec, Anglii i Francji, gdzie zmarł. Brał udział z wielu zetowcami w zorganizowaniu Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, największej społecznej organizacji na emigracji.

W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej zmarł w czasie wojny Wiktor Przedpeński (1891-1941), o którym wielokrotnie była już mowa, organizator Związku Naprawy Rzeczypospolitej. Przenieśli się też do USA i tam zmarli: Tadeusz Katelbach (1897-1977), czołowy działacz i publicysta ZETU; Stanisław Gierat (1903-1977), prezes „Młodej Wsi” i po wojnie na terenie USA organizator i prezes aktywnego tam SPK. Krótkie biografie

78. Zyciorys pióra Wacława Szyszkowskiego, *ibidem*.

79. Zyciorys pióra Br. Hełczyńskiego, *Niepodległość* tom IX/1974.

wszystkich tych trzech wybitnych zetowców i członków ZP
podałem już poprzednio.



W dniu w którym piszę te słowa żyje jeszcze w kraju i na emigracji wielu zetowców, nie powiązanych już od dawna organizacyjnie, ale nadal czynnych w pracy politycznej i społecznej, do której przywykli od lat młodości. Wymieniam tu krótko najważniejszych i znanych mi, co do których wiem, że nie wstydzą się swej zetowej przeszłości, choć z biegiem czasu niektórzy z nich przeszli do innych formacji organizacyjnych. Nakreślenie ich życiorysów muszę pozostawić przyszłym biografom; każdy z nich ma swoją kartę w służbie publicznej i narodowej. O niektórych była już mowa.

Ze znanych mi uczestników ruchu zetowego, nie tylko formalnych członków Związku Patriotycznego, do którego nie wszyscy ze względu na ich pozycję społeczną mogli być wciągani (np. wojskowi), przebywają na terenie Wielkiej Brytanii żyjący i działający w Londynie: dr Mieczysław Chmielewski, Feliks Chrzanowski, dr Witold Czerwiński, gen. Kazimierz Glabisz, dr Zofia Kasprzycka, inż. Jan Kazimierski, gen. Tadeusz Pełczyński, Stanisław Pilarczyk, Stefan Soboniewski, Kazimierz Trębicki, Tadeusz Żenczykowski (Zawadzki). Grono to jest zapewne większe, jeśli uwzględni się b. członków Senioratu OMN i ZPMD, nie biorąc już pod uwagę bezpośrednio przedwojennych działaczy na terenie młodzieży akademickiej, „Młodej Wsi” i Harcerstwa.

Na terenie Niemiec Zachodnich przebywa ze znanych mi zetowców dr Stanisław Kudlicki, b. działacz Związku Obrony Kresów Zachodnich, wybitny znawca zagadnień polsko-niemieckich. W Rzymie — inż. Witold Wyszyński, b. prezes OMN Szkół Wyższych. We Francji — członek ZETU akademickiego i działacz ZPMD Jerzy Jankowski, długoletni redaktor pisma *Polska w Europie*.

W Stanach Zjednoczonych pracuje nadal u boku b. zetowca z młodych lat, prof. Wacława Jędrzejewicza, w Instytucie Józefa Piłsudskiego i na innych placówkach Wiesław Domaniewski, b. dyr. Departamentu Obrotu Pieniężnego w Ministerstwie Skarbu i bezpośrednio przed wojną wiceprezes Banku Gospodarstwa Krajowego, zasłużony w budowaniu podstaw finansowych Instytutu.

Wreszcie na terenie Szwajcarii — poza piszącym te słowa — przebywają jeszcze znani tu w pracy społecznej i kulturalnej zetowcy: Zygmunt Kallenbach, b. wiceprezes i działacz Unii

Związków Zawodowych Pracowników Umysłowych w Warszawie, przed wojną dyrektor Państwowego Banku Rolnego w Krakowie, a po wojnie działacz polskiej YMCA i prezes Fundacji im. Kościelskich i Mieczysław Zaleski, b. działacz i dyrektor Polskiego Związku Zachodniego, w latach 1946-1956 delegat władz emigracyjnych w Londynie na Szwajcarię. W Muzeum Polskim w Rapperswilu jedną z czołowych działaczek jest Halina Zielińska, przed wojną członkini ZPMD, po wojnie współpracowniczka Radia Wolna Europa; z Muzeum współpracuje też i redaguje jego komunikaty Mamert Miż-Miszyn, również przedwojenny działacz Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej, zamieszkały w Monachium.

W RWE pracowali też zetowcy: Stanisław Paprocki, Tadeusz Katelbach i Tadeusz Żenczykowski-Zawadzki.

Notuję tę garść nazwisk dla ewentualnych przyszłych biografów i historyków.

VI. PRÓBA SYNTEZY HISTORYCZNEJ

W szkicu tym starałem się — na podstawie dostępnych mi źródeł, opracowań i osobistych wspomnień — skreślić w historycznym rozwoju ideologię i działalność ZETU, ze szczególnym uwzględnieniem jego miejsca i roli w obozie piłsudczykowski. Czas teraz na wyciągnięcie z tej faktografii i rozważań pewnej syntezy historycznej, niezbędnej dla ostrzejszego zarysowania charakteru ruchu ideowego zetowców i jego roli w życiu narodu.

Synteza ta nie jest łatwa. Andrzej Micewski słusznie podkreśla, że „sprawy 'Naprawy' (pamiętamy, że za nazwą tą stoi ZET) nie można generalizować. Rola jej nie była we wszystkich okresach jednakowa¹”. Micewskiego, jak i historyków krajowych i emigracyjnych w ogóle, interesuje w ocenie roli „Naprawy” przede wszystkim okres rządów piłsudczykowskich. Ale działalność ZETU ma znacznie dłuższą, ponad pięćdziesięcioletnią historię. Dla jej oceny ważne są cezury periodyfikacyjne, podział na okresy, w których dominują różne cele działalności politycznej. Aby długo nie teoretyzować: inna była rola organizacji zetowców po powstaniu styczniowym 1863 roku — w historii ZETU

1. *W cieniu marszałka Piłsudskiego*, str. 282.

dokładnie w latach 1886-1918 — w którym to okresie głównym celem było odzyskanie utraconej niepodległości, inna w latach od listopada 1918 do maja 1926 roku, gdy na plan pierwszy wybiła się zagadnienie granic, odbudowy i organizacji niepodległego państwa polskiego, i inna w okresie lat 1926-1939, po przewrocie majowym, kiedy *nolens volens*, wobec złego funkcjonowania polskiej demokracji parlamentarnej, wysunęło się na czoło zagadnienie reformy ustrojowej, reorganizacji państwa, i konieczność wzmocnienia jego siły gospodarczej i obronnej w obliczu wzrastającego zagrożenia zewnętrznego.

ZET i walka o niepodległość

Jest rzeczą dość powszechną, że każda z formacji politycznych okresu walki o niepodległość przypisuje sobie szczególne, jeśli nie wyłączne zasługi w tej walce. Dziś, w świetle badań nad źródłami polskiej niepodległości, które są niewątpliwie natury wewnętrznej i zewnętrznej, monopolizowanie sobie tych zasług jest ekwilibrystyką historyczną pozbawioną jakiegokolwiek sensu. Każdemu światu trzeba oddać jego świeczkę, choć można się sprzeczać o jej wielkość.

Na pewno największą świecę należy postawić Józefowi Piłsudskiemu, który stał się symbolem zwycięstwa. Słusznie jednak pisał Władysław Grabski, że „niepodległości nie można sprowadzać (tylko) do tworzenia sił orężnych... Poza czynnikami orężnymi są inne bardzo wielkiej doniosłości czyny, które dla niepodległości stanowią warunek konieczny... Poza armią, poza walką orężną trzeba widzieć całość życia duchowego i materialnego narodu, bez czego o niepodległości nie mogłoby być mowy²”.

Wśród tych czynów niemal zapomniany został w polskiej historii politycznej ruch zetowy i jego rola w walce o wolność. Między innymi może dlatego, że był to ruch tajny i niewiele dokumentów pozostało po nim w archiwach.

Założony przez Zygmunta Jeża-Miłkowskiego Związek Młodzieży Polskiej (ZET) nie był partią polityczną. W myśl statutu z roku 1898 miał być — i był — „szkołą organizacyjnego wychowania, a zarazem pierwszym przygotowawczym stopniem w nieprzerwanym ciągu służby publicznej”. Nie będąc partią polityczną ruch zetowy, na swych pierwotnie trzech i później dwóch

2. *Idea Polski*, 1936.

stopniach braterskiego wtajemniczenia, był nie tylko formą politycznego działania w kierunku niepodległościowym, ale w pierwszym rzędzie szkołą politycznego myślenia. I w tym właśnie charakterze odegrał olbrzymią i niedocenioną przez historyków rolę w walce o niepodległość i w wychowywaniu kadry przyszłych polskich działaczy politycznych i społecznych, którzy z biegiem lat zasilali wszystkie niemal partie polityczne.

W założeniu swym ZET był ruchem trójzaborowym, ruchem łączenia dzielnicowego i obywatelskiego. Ideologicznie stał na gruncie demokracji liberalnej. Nawiązywał do Manifestu Towarzystwa Demokratycznego Polskiego z 1836 roku, do Mochnackiego i Lelewela. Początkowo obejmował również ludzi o przekonaniach socjalistycznych, którzy w 1890 roku odeszli, poddając się później Józefowi Piłsudskiemu i jego akcji niepodległościowej w ramach PPS. Ale nawet po tym odłączeniu się, głosząc nadrzędność interesu narodowego, akademicki ZET szukał stale połączenia zagadnienia narodowego z zagadnieniem społecznym, z interesami szerokich mas chłopskich i robotniczych.

Po odłączeniu się socjalistów ZET dostarczał przywódców i działaczy wielu niesocjalistycznym ugrupowaniom politycznym. Początkowo zasilał Ligę Polską i później Ligę Narodową Romana Dmowskiego z jej odpowiednikiem jakim było Stronnictwo Narodowej Demokracji, jak długo formacje te stały na gruncie walki o niepodległość. Po rozstaniu się w roku 1908 zetowcy i zarzewiaczy kierowali Narodowym Stronnictwem Chłopskim (Aleksander Bogusławski), późniejszym „Wyzwoleniem” i Narodową Partią Robotniczą (Adam Chączyński, Stanisław Jankowski, Ludwik Waszkiewicz, Karol Popiel, Bolesław Fichna). Byli też w PSL „Piast” (Stanisław Wojciechowski, Zygmunt Rusinek) i w Chrześcijańskiej Demokracji. Nie sposób wymienić nazwisk setek, jeśli nie tysięcy działaczy, którzy przeszli przez szkołę wychowawczą ZETU i jego jawnych odpowiedników i zajęli później odpowiedzialne stanowiska w życiu odrodzonego państwa polskiego.

Oprócz akcji przygotowawczo-wychowawczej, rola i znaczenie ZETU wyrażały się zarówno w okresie walki o niepodległość jak i później w innej jeszcze niedostrzegalnej ale dla życia politycznego istotnej formie. Nie tworząc po wyjściu z terenu akademickiego zwartego ugrupowania politycznego i rozchodząc się do różnych ugrupowań lub na różne tereny pracy, zetowcy zachowywali pamięć wspólnej pracy konspiracyjnej. Praca ta wytwarzała więc duchową, większy stopień wzajemnego do siebie zaufania, a stąd też łatwiejszy kontakt, lepszą możliwość uzgad-

niania poglądów i łagodzenia kontrowersji i konfliktów międzygrupowych. Bez odgórnego kierownictwa, byli zetowcy oddziaływali (a przynajmniej starali się oddziaływać) przez te wzajemne między sobą kontakty łącząco i dośrodkowo, stale pamiętając, że ich działalność polityczna jest „służbą publiczną”, a nie obroną takich czy innych interesów klasowych czy grupowych.

W przededniu wybuchu pierwszej wojny światowej, w obliczu wytwarzającej się sytuacji politycznej, zetowcy poparli Piłsudskiego i jego działalność militarną, nie zaniehbując dalszej własnej pracy wychowawczej. W tym zakresie wkład rozłamowej grupy zarzewia do czynu zbrojnego był większy niż ZETU. Ale i zetowcy dali Piłsudskiemu i Legionom poważny zastęp ludzi z czołowymi postaciami późniejszych generałów: Gustawa Orlicz-Dreszera, Tadeusza Pełczyńskiego i Kazimierza Głabisza, którzy szybko zasymilowali się z legionistami.

W dalszym rozwoju tych stosunków zetowcy i członkowie OMN wybitnie współpracowali z legionistami w Polskiej Organizacji Wojskowej, wielu wstąpiło do tworzącej się Armii Polskiej i pozostało w wojsku. Ci, co powrócili do życia cywilnego, na wszystkich placówkach i we wszystkich organizacjach, gdziekolwiek pracowali, zachowali pamięć braterstwa broni i Piłsudskiego uważali za symbol niepodległości i wodza narodu.

Udział ZETU w budowie polskiej państwowości

Z chwilą odzyskania niepodległości zetowcy nielicznie tylko działają w występujących na arenę stronnictwach i tworzących się nowych ugrupowaniach politycznych. Jako samodzielna grupa nie biorą też udziału w walce o władzę. Zakładają jednak poufną organizację pod nazwą Związku Patriotycznego (ZP), jako kontynuację ZETU w tzw. „starszym społeczeństwie”. Dysponując dość dużą już grupą wychowanków z paru pokoleń, ZP podejmuje działalność w dwóch kierunkach: organizowania mas społecznych w walce o granice i zabezpieczenia terytoriów pozyskanych oraz w próbie sformułowania ideologii państwowej i programu politycznego działania odbudowującego się państwa polskiego. Jawnymi formacjami tej działalności były Związek Straży Kresowej i Związek Obrony Kresów Zachodnich.

Straż Kresowa i powołany przez nią Związek Rad Ludowych odegrały wybitną rolę w walce o Ziemię Chełmską i w przyłączeniu do Polski Ziemi Wileńskiej. Niepośledni był też udział zetowców w Powstaniu Górnosiłaskim i w pozyskaniu na tym

odcinku granicy zachodniej, jak również w opiece nad Polakami, którzy pozostali w Rzeszy Niemieckiej.

W zakresie polityki wschodniej zetowcy popierali w zasadzie federacyjną koncepcję Józefa Piłsudskiego. Podobnie jak Piłsudski dedukowali swój program działania z tradycji Polski Jagiellońskiej, z hasła „wolni z wolnymi, równi z równymi”. Po załamaniu się koncepcji federacyjnej starali się związać z Polską pozyskane tereny, wierząc w zdolność asymilacyjną narodu polskiego i jego wartości kulturalne. Program Straży Kresowej i powołanego przez tę organizację Związku Rad Ludowych głosił konieczność ułożenia stosunków z mniejszością niepolską na zasadzie równouprawnienia obywatelskiego, przy zachowaniu i ekspansji polskiej hegemonii kulturowej³.

Działając na Kresach Wschodnich zetowcy zdawali sobie jasno sprawę z tego, że związanie tych terenów z Polską możliwe było tylko przez rozbudzenie zaufania do Polski ludności tam zamieszkanej. Dążyli do rozwiązania problemu narodowościowego w odzyskanych granicach przez reformy polityczne i gospodarcze wobec „mniejszości narodowych”, a przede wszystkim ludności ukraińskiej. Dla zrealizowania tej polityki kładli nacisk na zorganizowanie elementu polskiego w jego podstawowej masie ludu wiejskiego. I właśnie w tym ważnym punkcie programu działania różnili się nie tylko od endecji, ale również od Piłsudskiego i jego najbliższego otoczenia.

Narodowa Demokracja wyznawała w zasadzie ideę państwa narodowego, ale w praktyce popierała anektowanie ziem ukraińskich i białoruskich i gotowa była rządzić tam metodą zmierzającą do wynarodowienia. Zetowcy odgraniczali się zdecydowanie od nacjonalizmu w ujęciu Romana Dmowskiego, w którego koncepcjach politycznych i systemie myślenia leżały pierwiastki totalitaryzmu.

Józef Piłsudski podobnie jak Dmowski nie doceniał w posunięciach politycznych owego okresu wagi zagadnień społeczno-gospodarczych. Solidaryzm był dla Dmowskiego „solidaryzmem narodowym”, w wykładni Piłsudskiego „solidaryzmem państwowym”, w obu pojęciach zakładającym *a priori* związek z kresowym ziemiaństwem. To akcentowanie roli polskiego kresowego ziemiaństwa — abstrahując od jego obiektywnych wartości na tych terenach — odstraszało Ukraińców i Białorusinów od koncepcji federacyjnej i później, po rozwianiu się tej koncepcji, od

3. Patrz rozdział o Straży Kresowej. Również L. Hass, *Związek Patriotyczny*, op. cit., str. 939.

państwowej integracji ziem wschodnich w ramach Drugiej Rzeczypospolitej.

Po przewrocie majowym — w ramach ogólnych koncepcji Związku Naprawy Rzeczypospolitej — zetowcy domagali się zmiany polityki narodowościowej. Propagowano „nową politykę”, która w przypadku Ukraińców miała dwa aspekty: perspektywiczny i aktualny. Aspekt perspektywiczny zmierzał do odwieśnięcia nacjonalistów ukraińskich od utworzenia państwa ukraińskiego z południowo-wschodnich województw Rzeczypospolitej. Liczono się z utworzeniem wolnej Ukrainy po rozpadnięciu się Związku Sowieckiego. Aspekt aktualny wyrażał się w dążeniu do pogodzenia interesu państwowego z interesami obywateli obcych narodowości⁴.

Koncentrując swe wysiłki w latach 1918-1926 na zagadnieniu Kresów Wschodnich i Zachodnich i starając się stworzyć podstawy polskiej myśli politycznej zetowcy nie brali udziału w tym okresie w życiu parlamentarnym. Po przegranych wyborach w roku 1922 nie mieli w Sejmie swych przedstawicieli i nie ponosili odpowiedzialności za rozgardiasz do jakiego doprowadziła polska „demokracja na wyrost” (Tadeusz Katelbach) i „swoisty cyrk parlamentarny” (A. Micewski) istniejący przed majem 1926 roku.

Nie zaprzestano jednak pracy społecznej i zachowano akcję wychowawczą na terenie młodzieży. Tajne Koła PETU w gimnazjach i ZETU na wyższych uczelniach z jawnymi organizacjami OMN szkół średnich i wyższych rozwijały się, zaprawiały nadal młodzież w kunszcie politycznego myślenia i w pracy społecznej, dostarczając nowych członków do Związku Patriotycznego i działaczy kierowanych przez ZP instytucji i organizacji. Pozwoli to zetowcom na rozwinięcie szerszej akcji politycznej w następnym okresie.

ZET w okresie pomajowym

Właściwa rola polityczna zetowców na skalę ogólnopaństwową rozpoczyna się dopiero od przewrotu majowego 1926 roku. Organizacja rozporządza już aktywem około 1.000 członków z terenu całej Polski, tworzących jawny Związek Seniorów Organizacji Młodzieży Narodowej (OMN). Zetowcy, zaprawieni do

4. Theofil Piotrkiewicz, *Myśl polityczna ZNR wobec kwestii ukraińskiej*.

pracy społecznej i politycznej w swej szkole wychowawczej, dysponują też dużymi wpływami w stowarzyszeniach młodzieżowych (OMN, Harcerstwo, Młodzież Wiejska i robotnicza) i w różnych organizacjach społecznych.

Popierając z całą lewicą polską przewrót majowy, zetowcy spośród różnych grup wówczas dopiero tworzącego się obozu piłsudczykowskiego są najbardziej konsekwentni. Zwalczając partyjnictwo i złe zwyczaje demokracji parlamentarnej, szukają innej formy organizacji państwowej. Popierają reformę ustrojową w kierunku wzmocnienia stanowiska prezydenta i kierownictwa państwowego, ale są przeciwni rządowi dyktatorskim, choćby sprawowanemu przez tak wielki autorytet moralny jak Piłsudski, któremu się podporządkowują. Zresztą wiedzą, że sam twórca zamachu stanu nie pretenduje do roli dyktatora i żąda tylko poprawy złych zwyczajów parlamentarnych i poszanowania „imponderabiliów” w pracy państwowej. Nie widzą jednak jasnego programu reformy.

Poszukując nowej koncepcji ustrojowej zetowcy powołują do życia Związek Naprawy Rzeczypospolitej. Rzucają hasło „upaństwowienia społeczeństwa” i „uspołecznienia państwa”, a więc rozbudzenia i umocnienia idei państwowości polskiej i jej nadrzędności z jednej, oraz oparcie organizacji państwowej na zorganizowanych masach społecznych — z drugiej strony. „Naprawiacze” — jak ich się odtąd ironicznie przezywa — dalecy byli od krystalizujących się później pomysłów Walerego Sławka zastąpienia partii politycznych przez zespoły „ludzi zasłużonych”, co znalazło swój częściowy wyraz w ordynacji wyborczej 1935 roku. Niechętnie ustosunkowywali się do programu „solidaryzmu państwowego” w jego praktycznej wykładni sojuszu z elementami konserwatywnymi. Stale i uporczywie podkreślali konieczność stworzenia dla państwa szerokiego zaplecza „świata pracy”, pod którym to pojęciem rozumiano nie tylko klasę robotniczą, ale wszelkie robotnicze, chłopskie i inteligenckie zrzeszenia zawodowe ludzi twórczych, które stać się miały podstawą nowej organizacji państwowej i objąć tę pozycję po partiach politycznych. Z tych myśli powstała idea syndykalistyczna i koncepcja syndykalistycznego ustroju państwa polskiego, mającego zastąpić źle funkcjonującą demokrację parlamentarną.

Kokolwiek można zarzucić tym pomysłom, trudno zaprzeczyć, że były one próbą stworzenia dla obozu piłsudczykowskiego po przewrocie majowym podstawy ideologiczno-programowej. Idea syndykalistyczna odgraniczała się od dotychczasowych pojęć „demokracji liberalnej”, która poniosła klęskę nie tylko polityczną,

ale w oczach dość szerokich kręgów społecznych skompromitowała się także w sensie ideowo-moralnym⁵. Odgraniczała się też od komunizmu i wszelkich innych koncepcji totalitaryzmu i faszyzmu. Brała rozbrat z nacjonalizmem w ideologicznym ujęciu Obozu Wielkiej Polski z jego żydocentryzmem, nieprzychylnym stosunkiem do mniejszości narodowych i bakcylami totalitaryzmu.

„Polscy zwolennicy kierunku syndykalistycznego — jak go słusznie ocenia Andrzej Micewski — wyobrażali sobie — podobnie jak Sorel i inni ideologowie — że nowy ustrój nastąpi w wyniku przetworzenia dotychczasowych instytucji i form państwowych. Uważali, że rewolucja syndykalistyczna jest twórcza i konstruktywna, bo wprawdzie buduje, nim burzy, wypracowując nowe formy na gruncie poprzednich⁶”.

Jednakże pretendując do roli twórców ideologii obozu, zetowcy i tym razem nie osiągnęli zamierzonego celu. Dlaczego?

Andrzej Micewski pisze, że „dwa były powody, dla których Związek [Związek Naprawy Rzeczypospolitej — J.R.] nie mógł wypełnić swej roli w jej najszerszym, historycznym niejako znaczeniu. Jeden główny — odmienny od założeń Związku wybór dróg, którymi prowadził ówczesną rzeczywistość polską marszałek Piłsudski. Drugi, niejako wtórny — różnica zdań w samym obozie ówczesnych piłsudczyków co do zagadnienia wartości i celowości koncepcji szukania siły zbiorowej w planowo zorganizowanym społeczeństwie⁷”.

Listę tych powodów można by uzupełnić, a sformułowania sprecyzować.

Niewątpliwie głównym powodem było to, że Józef Piłsudski, wódz obozu, przy wielkich walorach wodzostwa i siły moralnej uważał, że Polski nie stać było na zmiany czy poważniejsze reformy ustrojowe. Nie podzielał koncepcji „państwa syndykalistycznego”. Będąc przeciwnikiem wszelkich doktryn — odrzucał tę koncepcję *a priori* i nią się nie interesował. Z tego samego antydoktrynalnego powodu nie dawał wyraźnych instrukcji swym najbliższym współpracownikom. W rezultacie za życia Marszałka nie została wypracowana żadna alternatywa lansowanej przez zetowców idei syndykalistycznej. Przeprowadzona przez uchwalenie nowej Konstytucji 1935 roku reforma ustrojowa sprawy bynajmniej nie ułatwiała, a sławkowa ordynacja wyborcza i pierwsze kroki w organizowaniu Obozu Zjednoczenia Narodowego,

5. Andrzej Micewski, *Z geografii politycznej...*, str. 377.

6. *W cieniu Marszałka...*, str. 264.

7. *Ibidem*, str. 273.

nastawienie piłsudczyków, w zasadzie demokratyczne, wyprowadzały na zachwaszczone manowce tendencji nacjonalistyczno-totalitarnych.

Drugim, wtórnym powodem była zbyt duża kompromisowość zetowców w walce o realizację swych koncepcji ideologiczno-programowych. Nie mając poparcia Piłsudskiego i jego otoczenia, zwalczani przez tradycyjne partie polityczne, zetowcy szukali sprzymierzeńców i musieli iść na polityczne kompromisy, zawsze podkreślając, że nie rezygnują ze swych celów. W ten sposób dali się wciągnąć do Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem, organizacji o doraźnych celach pomocy dla rządu i zmiany Konstytucji, w gruncie rzeczy będącej bezprogramowym zlepkiem różnych formacji piłsudczykowskich.

Przez przystąpienie do BBWR słabnąć poczęła działalność Związku Naprawy Rzeczypospolitej. Związek ten uległ likwidacji, a jego formy pochodne, jakimi było Zjednoczenie Pracy Wsi i Miast i później Związek Działaczy Społecznych, nie mogły już wypełnić ideologicznej roli ZNR.

Niewątpliwie na linii tej kompromisowej, ale zawsze dyktowanej poczuciem odpowiedzialności w „służbie publicznej” taktyki zetowców leżało też ich poparcie — po reorganizacji — Obozu Zjednoczenia Narodowego. Micewski nazywa to „błędem”, ale zdaje sobie sprawę, jak i inni jako tako obiektywni historycy krajowi, że zetowcy-„naprawiacze” odegrali poważną rolę w zahamowaniu totalitarnych zapędów OZONU i tworzyli w tym obozie „lewicową grupę nacisku”.

Najważniejszym jednak powodem, dla którego zetowcy nie odegrali zamierzonej roli w ukształtowaniu polskiej myśli politycznej okresu międzywojennego był rozłam, jaki dokonał się w ich organizacji nie tylko — i nie tyle — z powodu różnic w taktyce politycznego działania, ale przede wszystkim na tle rozbieżności w interpretacji koncepcji syndykalistycznej i jej form instytucjonalnych. Zetowcy nie doszli do jasnego sprecyzowania tej koncepcji (jeśli można tak powiedzieć ze względu na stosunkowo krótki okres czasu i przerwanie ewolucji przez wojnę).

„Nieszczęście chciało — pisał Tadeusz Katelbach — że Szurig był wciąż pod urokiem sorelowskiego syndykalizmu... Sprzymierzył się w tej akcji z wybitnym i ambitnym ex-wodzem PPS-u J. Moraczewskim i odszedłszy od społeczno-narodowej ideologii ZETU, zapatrzoną w syndykalistyczne miraż, zęglował pryncypialnie na lewo. Gdy, jak na Górnym Śląsku, pod czujnym okiem czołowego naprawiacza — wojewody Grażyńskiego — robota Związku Zawodowych miała charakter zdecydowanie patriotyczny, zyskiwała liczne zastępy zwolenników... na Kresach Wschodnich lub w Polsce Centralnej odchodziła się raczej od nurtu patriotycznego na rzecz syndykalistycz-

nego pryncypializmu, stawiała się ruchem umiejscawiającym się między komunizmem i PPS, narażającym się nieustannie na ataki zarówno jednych jak i drugich...⁸".

Nie znaczy to, aby syndykalistyczna idea zamarła. Podchwycona została i realizowana była w sposób bardziej pragmatyczny przez młode pokolenie zetowców działających w Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej (ZPMD) — od grudnia 1938 w Legionie Młodzieży Polskiej — i w rozwijającym się Związku „Młodej Wsi”. To młode pokolenie reprezentowało nadal zetową ideologię oparcia struktury państwa na zorganizowanych masach społecznych. Stało na stanowisku nie upaństwowienia ale uspołecznienia gospodarki. Uspołecznienie to widziano w formie spółdzielczości, również „spółdzielczości pracy”, oraz w bezpartyjnych związkach zawodowych, przygotowujących się do objęcia kierownictwa produkcji. Utworzona i działająca od roku 1933 przy Związku „Młodej Wsi” „Grupa Techniczna”, jako forma spółdzielczości pracy, i spółdzielczy Bank Techniczny, były interesującym eksperymentem tej nowej wersji pragmatycznego, społecznego syndykalizmu.

Wybuch wojny 1939 roku zahamował rozwój tej ideologicznej i praktycznej działalności.



Reasumując można powiedzieć: ZET nie był partią polityczną. Był wychowawczą szkołą politycznego myślenia opartą na zasadach narodowych i demokratycznych, o odmiennym jednak rozumieniu tych pojęć niż rozumiano je i interpretowano w obozie polskiego nacjonalizmu. Zetowcy ustosunkowani byli nieufnie — jak wszyscy piłsudczycy — do partii politycznych jako organizacyjnej podstawy demokracji parlamentarnej. Poszukiwali innych rozwiązań, oscylując między dogmatyzmem i pragmatyzmem, idealizmem i realizmem politycznym.

W pierwszych latach po odzyskaniu niepodległości Józef Piłsudski był idealistą; chciał urzeczywistnić koncepcję federacyjną, która nie dała się urzeczywistnić. Zetowcy popierali tę koncepcję, myśleli jednak bardziej realnie i pracowali nad związaniem z Polską możliwie dużych terenów wschodnich i zachodnich. Po przewrocie majowym było odwrotnie: zetowcy wystartowali z dogmatyczną koncepcją syndykalistyczną, gdy Piłsudski i jego najbliższe otoczenie działali pragmatycznie w dążeniu do

8. *Spowiedź pokolenia*, str. 217/218.

mocy państwa, stosując metody nie zawsze przez zetowców podzielane i nawet — jak w wypadku ostrych wystąpień przeciwko opozycji politycznej — zwalczane wewnątrz obozu.

Z biegiem czasu w organizacji zetowców dochodzi do polaryzacji na tle interpretacji koncepcji syndykalistycznej. Powstaje rewizjonizm ideologicznego dogmatyzmu, który znajduje swój wyraz w nowym, wydawanym od roku 1935 miesięczniku *Naród i Państwo*. Dogmatycy syndykalistyczni oddzielają się od organizacji. Większość zetowców zaczyna myśleć bardziej trzeźwo, popiera prezydenta Mościckiego i Eugeniusza Kwiatkowskiego, pragmatyka nowej polityki gospodarczej z jego programem gospodarczego związania ziem polskich, uprzemysłowienia, interwencjonizmu państwowego i planowania. Duża grupa zetowców bierze udział w realizowaniu tego programu, gdy inni starają się w pracy politycznej wpływać na działalność OZONU i nadanie hasłu „obrony Polski” właściwego znaczenia przez istotną i konieczną konsolidację sił narodowych w obliczu zagrożenia zewnętrznego.

ZET może się niewątpliwie poszczycić dużą rolą jaką odegrał w czasie walk i prac niepodległościowych i następnie przy budowaniu zrębów polskiej państwowości. W życiu politycznym, ale przede wszystkim społecznym, odegrał tę rolę również w okresie pomajowym. Jednakże udział zetowców w rządzeniu państwem w tym okresie był w zupełnej dysproporcji do ich rzeczywistych wpływów w społeczeństwie. Piłsudski i jego sztab polityczny, wykorzystując w pełni działalność i wpływy ZETU, nie dopuszczali zetowców do współrządzenia, a zatem i do możliwości realizowania ich koncepcji ideologicznych i programowych.

Mimo to, i mimo często krytycznego stosunku do kierownictwa obozu pomajowego, zetowcy pozostali wierni Józefowi Piłsudskiemu i jego pamięci. W podstawowej swej masie nie wycofywali się z obozu w momentach wewnętrznych sporów i kryzysów, nie widząc lepszych sił twórczych po drugiej stronie zasadniczego podziału politycznego społeczeństwa na „piłsudczyków” i „opozycję”. Uważali, że suma pozytywnych osiągnięć, do których przyczyniali się ze swych stanowisk, przewyższała w ogólnym bilansie pozycje minusowe. Nie znaczy to, aby zetowcy — jak i inne ugrupowania piłsudczykowskie — rejestrując pozycje dodatnie, chcieli i mogli uchylić się od częściowej odpowiedzialności historycznej również za popełnione przez obóz błędy.

Janusz RAKOWSKI

Już jest w sprzedaży

TOM 333 — BIBLIOTEKI « KULTURY »

PAWEŁ ZAREMBA

**„HISTORIA DWUDZIESTOLECIA”
(1918-1939)**

Do druku przygotował Marek Łatyński

(w 2-ch tomach)

Tom 1-szy (str. 240), Cz. I-sza: PIERWSZE LATA: U progu Niepodległości. — Rewolucja Październikowa i niepodległość Polski. — Komuniści. — Demokratyczne podstawy Państwa. — Rząd Moraczewskiego. — Rząd Paderewskiego. — Powstanie Wielkopolskie. — Polacy i Ukraińcy. — Polacy i Litwini. — Sejm Ustawodawczy. — Reforma Rolna. — Oświata. — Konferencja Pokojowa. — Górny Śląsk. — Wschód: początek konfliktu. — Po roku niepodległości. — Mikaszewice. — Przed wznowieniem wojny. — Sojusz z Ukrainą. — Wyprawa kijowska. — Rada Obrony Państwa. — Bitwa Warszawska. — Rozejm. — Wilno. — Pokój. — Powstania Śląskie.

Tom 2-gi (str. 423 plus Indeks nazwisk). Cz. II-ga: SPRAWY WEWNĘTRZNE: Początki. — Gospodarka. — Wieś. — Konstytucja Majowa. — Mniejszości narodowe. — Spór konstytucyjny. — Wybory 1922. — Zamordowanie prezydenta. — Prezydent Wojciechowski i rząd Sikorskiego. — Rząd Witosza. — Reformy Grabskiego. — Bank Polski obala rząd. — „Sejmowładztwo”. — Zamach majowy. — Piłsudski u władzy. — Piłsudski i opozycja. — Rządy Pułkowników. — Kryzys gospodarczy i społeczny. — Społeczeństwo lat trzydziestych. — Konstytucja kwietniowa. — Śmierć Marszałka. — Bez Piłsudskiego. — Kwiatkowski i polska gospodarka. — Rolnictwo w końcu lat trzydziestych. — Problemy społeczne. — Instytucje samorządowe. — OZON. — Ostatnie wybory. — Cz. III-cia: POLITYKA ZAGRANICZNA: Od Rygi do Rapallo. — Locarno. — „Zacisze pięcioletnie”. — Pakty nieagresji. — Pakt Wschodni. — W Lidze Narodów. — Dziedzictwo Piłsudskiego. — Nadrenia. — Rambouillet. — Ku wojnie. — Rokowania czy przetarg? — Polska i rokowania niemiecko-sowieckie. — Pakt Ribbentrop - Mołotow. — Ostatnie dni pokoju. — Czy była alternatywa?

HISTORIĘ DWUDZIESTOLECIA można nabywać tylko w całości.

Cena: T. I/II — F. 170.

Piotr WANDYCZ

HISTORIA POLSKI OD 1863 ROKU

Ukazanie się *The History of Poland since 1863** jest niewątpliwie ewenementem i to nie tylko w sensie naukowym. Prestiż firmy wydawniczej Cambridge University Press jak i dobór autorów niewątpliwie sprawi, że książka ta będzie służyła jako podręcznik uniwersytecki w Anglii i traktowana będzie jako autorytatywny wykład najnowszej historii Polski. Tak więc poza stroną ściśle naukową na publikację tę należy spojrzeć z punktu widzenia wpływu, jaki wywrze w świecie anglosaskim. Czy obraz Polski, który zawiera, utwierdzi czy też zmieni pewne stereotypy i uprzedzenia?

Gdy zwrócono się do mnie z prośbą o recenzowanie tego dzieła dla wydawanej w Londynie *Slavonic Review* i to w ramach 500 (sic!) słów, znalazłem się w niemałym kłopotcie. Nie jest to typ książki, którą można ocenić i scharakteryzować w tak króciutkiej recenzji. Z konieczności musiałem się ograniczyć do ogólników, prawie skrótów myślowych, które mogą nie być w pełni zrozumiane czy właściwie odczytane. Dlatego też w poniższych uwagach chciałbym także uzasadnić i rozwinąć opinie wyrażone w angielskiej minirecenzji.

„To niesłychane czego Anglicy nie wiedzą” (*c'est prodigieux ce que les Anglais ignorent*), miał się wyrazić kanclerz Kaunitz po rozmowach z przedstawicielami Albionu na tematy kontynentalne. Redaktor tomu i autor części obejmującej lata 1863-1914 nie jest Anglikiem ale Szkotem i o historii Polski wie dużo. Jest to jednak wiedza dość specyficzna, ukształtowana pod wpływem powojennej historiografii „marksistowskiej” (i to nie zawsze tej

* Edited by R. F. Leslie (Cambridge University Press, Cambridge 1980, str. XI, 494).

najlepszej) i zaprawiona brytyjskim sosem radykalno-liberalnym. Leslie ma również zacięcie do moralizatorstwa i wygłaszania opinii *ex cathedra*. Rozdziały jego czytałem ze zwiększającą się irytacją.

W uwagach wstępnych Leslie stawia zagadnienie historii Polski w kontekście procesu ogólnodziejowego. Wywód jego, który niestety można tylko określić jako niesłuchanie mętny, sprowadza się do następujących tez: Polskę warto studiować głównie dlatego, że była ona ofiarą imperializmu, który jest zjawiskiem uniwersalnym. Rozbiory Polski były czymś szczególnym jedynie w tym sensie, że „Polacy mieli rozwiniętą literaturę i własną historię utrwaloną w pisanych przekazach źródłowych”. Tak więc, choć tradycja ustna w Afryce i innych krajach pozaeuropejskich daje nam również wiedzę o przeszłości, przekaz pisany, który posiadamy w przypadku polskim, jest szczególnie czytelny i łatwo zrozumiały dla Brytyjczyków czy Amerykanów. Studium historii Polski staje się w tych warunkach czymś więcej niż badaniem zjawisk w „społeczności drugorzędnej wagi”; jest studium „problemu, który jest centralny dla sytuacji w świecie bieżącym” (str. 2). Jeśli Leslie uważa, że przebadanie najnowszej historii Polski da mu klucz do zrozumienia imperializmu w Afryce czy Azji, to bardzo pięknie. Teza ta, nie wynaleziona zresztą przez Leslie’ego, wydaje mi się grubo naciągana, a sprowadzenie różnic między Polską a dajmy na to Ugandą do spraw historii pisanej czy tradycji ustnej nie przemawia mi — mówiąc delikatnie — do przekonania. Wstęp ten wprowadza nas bardziej w sposób myślenia autora niż w historię Polski i daje nam pewien klucz do jego kryteriów, interpretacji i selekcji wydarzeń.

Pisząc o pięciu dekadach po powstaniu styczniowym, Leslie zaznacza parokrotnie rolę kultury w polskim procesie dziejowym, ale czytelnik nie odniesie wrażenia, aby literatura czy sztuka były czynnikami pierwszorzędnej wagi dla zachowania tożsamości narodowej. Jest to chyba jedyna historia doby popowstaniowej jaką znam, w której ani razu nie są wymienieni trzej Wieszcze i ich przemożny wpływ na psychikę narodową. W książce Leslie’go nie ma także ani jednej wzmianki o Mochnackim czy Lelewelu. Jeśli by ktoś zapytał, jak w takim razie można mówić o Wypiańskim czy Askenazym, odpowiedź jest prosta — Leslie ignoruje ich również. Nie istnieją także Grottger ani Matejko. Historyk brytyjski pisze o rozwoju kultury polskiej pod zaborem austriackim, ale jest to dla niego kultura elitarna — którą w dużej mierze była — a więc nadbudowa bez bazy. Mówiąc jego słowami: „Kwitnąca kultura, która jednakże istniała bez odpo-

wiednika dobrobytu materialnego wśród ludu, mówiącego językiem, będącym źródłem postępu [też kultura], była osiągnięciem wątpliwej wartości" (str. 15).

Leslie ma dość swoisty instynkt pomijania rzeczy istotnych i wybitnych ludzi. Nie można tego tłumaczyć brakiem miejsca w książce. Dlaczego Koszyc związany z efemeryczną Konfederacją Narodu Polskiego, bliżej nieznanego Tadeusza Lubomirskiego (czy chodzi tu o Jana Tadeusza?) lub A. Wrotnowskiego muszą figurować w pracy wydanej bądź co bądź w języku angielskim dla angielskiego czytelnika, a nie ma w niej miejsca dla Korfanteo, Kościelskiego i Miarki? Nieobecni są zresztą w „dobrym towarzystwie”, bo autor nie wymienia też ani razu ani Marksa, ani Engelsa. W książce jest sporo mało istotnych szczegółów. Cóż z tego, że czytelnik się dowie, że w roku 1905 Rosjanie sprowadzili do Warszawy 29 kompanii piechoty, 5 szwadronów jazdy i 4 sotnie kozaków? W tym wypadku jest to chyba zamiłowanie autora do spraw rosyjskich, o których jest dużo więcej niż wymagałoby tego analiza polskiej sytuacji (np. str. 76-77, 84-85). Odnosi się wrażenie, że Leslie ma sentymenty rosyjskie, na co wskazywałyby zwroty jak „tragedia” wojny rosyjsko-japońskiej. Tragedia oczywiście dla Rosji.

Czy ma on też jakiś sentyment do Polski i Polaków? Czasami trudno go zauważyć. Nie ulega wątpliwości, że okres rozbiorów wytworzył u Polaków „garb” i że warunki życia politycznego musiały spowodować powstanie różnych anomalii. Ale Leslie nie poprzestaje na stwierdzeniu tego faktu. Po paru moralizatorskich uwagach wylicza takie nazwiska jak Piłsudski, Daszyński, Grabscy, Wojciechowski, Dmowski, Arciszewski, Paderewski, i zaopatruje je następującą konkluzją: „Jest kwestią otwartą, czy którykolwiek z nich doszedłby do wielkiego znaczenia w kraju z normalnym rządem konstytucyjnym” (str. 64). Odpowiedź przeczącą sugeruje zresztą w innych ustępach swego opracowania. Weźmy na przykład Piłsudskiego. Autor mówi o nim stale z przekąsem i ironią, nie robiąc najmniejszego wysiłku, aby zrozumieć jego mentalność, politykę i osiągnięcia. Tak więc podróży Piłsudskiego do Japonii była „symptomatyczna dla jego preferencji w poszukiwaniu pomocy obcej raczej niż rozbudowywaniu ruchu masowego w kraju” (str. 75). Bluff Piłsudskiego z 1914 roku z „Rządem Narodowym” w Warszawie to dla Leslie’go tylko „gaskonada” [?] (str. 111). Nie ma ani słowa o przewidywaniach wojennych, o strategii lub taktyce. Są natomiast wzmianki o współpracy z austriackim wywiadem w powołaniu się na Arskiego i Magdała (można powinszować doboru

źródła) i zdanie o „niesłychanej zarozumiałości” Piłsudskiego (str. 108).

Analiza światopoglądu stańczyków krakowskich nie odznacza się również głębią i imaginacją (str. 13). Z Ligą Narodową, Zetem i narodową demokracją autor załatwia się zwięźle. O Zecie czytelnik dowie się tylko, że była to organizacja młodzieżowa pod przywództwem Balickiego, która wraz z innymi grupami „organizowała lekcje polskiej literatury i języka” (str. 54). W króciutkim wykładzie o Lidze Narodowej autor podkreśla jej „ciasne horyzonty” (*narrow principles*, str. 54). Endecja z kolei to „ludowość (*populism*) klas niższych i średnich” (str. 56). Popławski był widocznie postacią zbyt mało ważną w historii Polski, by zasługiwał w ogóle na wzmiankę. Na stronie 38 dowiadujemy się jednakże, co było najistotniejsze dla polskiego ruchu narodowego: „Podstawowym zagadnieniem polskiego nacjonalizmu w epoce nowożytnej i współczesnej był konflikt z, i niechęć do państwa rosyjskiego, połączone ze świadomością wspólnego interesu z narodem rosyjskim”. Zaczynamy tu dochodzić do sedna rzeczy.

Leslie, jak widzimy, ma niechętny stosunek do Piłsudskiego, konserwatystów, endeków, a także — co przebija z innych kart jego rozdziałów — do „reakcyjnego” Kościoła, arystokracji i ziemiaństwa. Pozostają mu więc tylko ruchy ludowe i socjalistyczne jako siły napędowe historii i czynniki pozytywne. Już na początku książki Leslie poświęca sporo miejsca tzw. rzezi galicyjskiej 1846 roku. Cytuje — wydaje się że z lubością — słowa pieśni „Pamiętasz ty, panie, rok czterdziesty szósty” — po angielsku w tekście i w polskim oryginale w przypisie. A nuż ktoś nie zrozumie. Zaopatruje ją w komentarz, że pieśń tę chłopci śpiewali do drugiej wojny światowej, żeby zrobić na złość przybyszom z miasta. Najwidoczniej Leslie zna tak słabo specyfikę wsi, że nie orientuje się nawet, że dla chłopów ludzie z miasta nie mieli nic wspólnego z dworem. Dlaczego by więc mieli śpiewać pieśń skierowaną przeciw dziedzicom „miejskim ludziom”?

Czytelnik znajdzie sporo materiału w rozdziałach Leslie’ego o Wielkim Proletariacie, a także o jego późniejszych, stosunkowo mało ważnych, wcieleniach. Stosunek Leslie’ego do galicyjskiej socjaldemokracji jest krytyczny i wyrażony w sposób przypominający żywo sformułowania z PAN-owskiej *Historii Polski*. Do PPS odnosi się również bez entuzjazmu, ale oczywiście do PPS-Frakcji z wyraźną niechęcią. „W rzeczywistości — pisze — Frakcja Rewolucyjna nie była rewolucyjna, ale dążyła do niepod-

ległości Polski w oparciu o sojusz austro-niemiecki w wypadku ogólnej wojny europejskiej. Jej socjalizm opierał się na programie z 1893 roku ale nie na klasie robotniczej” (str. 81). W tych warunkach nie może nikogo dziwić, że sympatie Leslie’ego są całkowicie po stronie SDKPiL, choć wytyka jej błędy taktyczne, oraz PPS-Lewicy. Gdy pisze o powstaniu w 1918 roku partii komunistycznej, wylicza wszystkich ważniejszych jej przywódców, „nieustraszonych bojowników sprawy socjalistycznej” (str. 104). Ustęp ten zasługiwałby może na przytoczenie, ale nie chcę przeładowywać tej recenzji cytatami.

Konflikt polsko-ukraiński w Galicji był niewątpliwie tragiczny, ale nie należy go komentować w sposób jednostronny. Pisząc o zabójstwie Andrzeja Potockiego przez Syczyńskiego, autor uważa za właściwe stwierdzić, że czyn ten „wywołał odruch najgorszego nacjonalizmu ze strony polskich reakcjonistów” (str. 105). Podając, że kara śmierci wydana na zamachowca została zamieniona na więzienie, a w rok później Syczyński został ułaskawiony, Leslie nie zauważa, że wdowa po namiestniku wstawiała się o łaskę do cesarza. Ta postawa nie odpowiadałaby wersji o nacjonalizmie „polskich reakcjonistów”.

Podejście Leslie’ego i jego główne interpretacje procesów dziejowych Polski popowstaniowej powinny już być jasne nawet przy wrywkowym potraktowaniu jego rozdziałów. Jakkolwiek autor niewątpliwie wie dużo o historii tego okresu i szereg ustępów jest faktograficznie cenny, to jednak nie ustrzegł się przed pewną ilością błędów i pośliznięć. Zdanie o legionach w dobie napoleońskiej, które pozostawiły spuściznę „militaryzmu o amatorskim zabarwieniu” (str. 5) jest dla mnie albo błędne, albo niezrozumiałe. Leslie stwierdza, że Aleksander II dał chłopom więcej przez uwłaszczenie 1964 roku niż oferowali im powstańcy, ale nie wyjaśnia co ma na myśli, odsyłając czytelnika do innej strony, na której też nie ma wyjaśnienia. Stwierdzenie, że Belcredi był Polakiem (str. 12) jest oczywistym błędem. Uwaga, że końcówka „ski” odpowiada francuskiemu *de* i niemieckiemu *von* w nazwiskach szlacheckich (str. 42) jest nieścisła. Hruniewiczki zamiast Hryniewiczcki to zapewne błąd drukarski (str. 48). Nazwanie Ludwika Michalskiego założycielem Skarbu Narodowego nie jest ścisłe — Kozicki w swej *Historii Ligi Narodowej* pisze tylko, że Michalski dał pieniądze na wydanie broszury Jeża o Skarbie Narodowym. Czy Piłsudski był na konferencji opozycyjnych partii rosyjskich w Paryżu w listopadzie 1904 roku? Nie znalazłem potwierdzenia tej informacji w *Kronice życia Piłsudskiego* pióra Jędrzejewicza, a Leslie nie podał źródła, na jakim

się oparł. Zdanie, że Dmowski „podążył za Piłsudskim” do Tokio w 1904 jest błędne; Dmowski przyjechał tam pierwszy. Nie jest też zgodne z prawdą, że Piłsudski nie przyjeżdżał do Królestwa przed 1909 rokiem — był tam parokrotnie w 1907 roku. Ponieważ Leslie sugeruje, że Piłsudski nie brał udziału w akcjach zbrojnych przeprowadzanych przez PPS, należy przypomnieć Bezdany w roku 1908, o których Leslie albo nie wie, albo je z jakichś powodów pomija milczeniem. Pisząc o odezwie rządomo rządu narodowego w 1914 roku („gaskonada” Piłsudskiego), Leslie myli się co do daty, podając 27 lipca. W rzeczywistości odezwa była datowana 3 sierpnia, a Piłsudski podał ją do wiadomości 6 sierpnia. Jak pamiętamy, wojna rosyjsko-austriacka wybuchła dzień wcześniej, data 27 lipca zatem jest nawet z logicznego punktu widzenia niepodobieństwem. Autor nie jest konsekwentny w tłumaczeniu rosyjskiego *wola*: raz figuruje ono jako *wola (will)* na str. 48, raz jako *wolność (liberty)* na str. 49.

Oddycha się z ulgą, przechodząc do rozdziałów Antony’ego Polonsky’ego traktujących o pierwszej wojnie światowej i drugiej Rzeczypospolitej. Polonsky stara się o maksymalny obiektywizm, analizuje raczej niż poucza i zdaje się mieć sympatię a przynajmniej zrozumienie dla spraw polskich. Jego rozdział o wojnie i powstawaniu państwa polskiego jest jednak trochę za krótki i pomija parę istotnych zagadnień. Na przykład wydaje mi się niesłusznym zignorowanie mowy Wilsona z 1917 roku, zawierającej znamienne zdanie, iż europejscy mężowie stanu są zgodni co do konieczności zjednoczonej, niepodległej i autonomicznej Polski. Bliski związek, jaki istniał pomiędzy rokowaniami w Brześciu a 14 Punktami Wilsona nie został podkreślony. Akcja Paderewskiego w Stanach nie jest podniesiona. Szkoda, że autor nie uwzględnił Pajewskiego (*Odbudowa państwa polskiego*), który wniósł sporo nowych naświetleń odnośnie Lubomirskiego i jego roli w Królestwie. Być może książka ta nie była jeszcze dostępna, gdy Polonsky opracowywał swój rozdział. Autor popełnił też trochę drobnych błędów. Lubomirski figuruje raz jako hrabia, a raz jako książę (str. 122, 123) — oczywiście to drugie jest poprawne. Zagórski miał na imię Włodzimierz a nie Władysław. Gdy mowa o drugiej brygadzie, należałoby chyba określać Hallera jako brygadiera a nie jako generała (str. 123). Nazwanie Eustachego Sapiehy „byłym regentem” to oczywiście błąd (str. 129).

Przedstawiając okres formowania się państwa i walki o granice (1918-1921) — jak na mój gust, w zbyt wielkim skrócie — Polonsky znów popełnia dalsze, na szczęście drobne, pomyłki.

Przekazanie Piłsudskiemu władzy nad wojskiem przez Radę Regencyjną miało miejsce 11 listopada 1918 roku, a władzy cywilnej 14 listopada. Polonsky w obu wypadkach pisze o grudniu (str. 127). Sprawa listu Piłsudskiego do Dmowskiego z 21 grudnia 1918 roku ma już dziś swą literaturę, której Polonsky zapewne nie zna, gdyż zwiększa tylko pomieszenie pojęć cytując jako nagłówek listu: *My Dear Roman* (str. 129). Powołuje się przy tym na *Głos Narodu* z 18 grudnia 1918 roku, co jest o tyle dziwne, że list był napisany trzy dni później. Całą sprawę wyjaśnił wyczerpująco Wacław Jędrzejewicz w artykule (*Wiadomości* z 22. VII. 1973), w którym zamieścił *facsimile* listu Piłsudskiego. Tekst zaczyna się od „Szanowny Panie Romanie!”, a uprzednio cytowana wersja wynika stąd, iż w liście ogłoszonym po raz pierwszy po francusku nagłówek został przełożony na francuski odpowiednik, to znaczy „Mon cher Roman”. Redakcja wydawnictwa *Pisma-mowy-rozkazy* przetłumaczyła to dosłownie na polski, wywołując pewne zdziwienie, że Piłsudski zwracał się do Dmowskiego w tak familiarny sposób. Sprawa na pozór drobna, nie jest bez znaczenia, gdyż rzuca właściwe światło na stosunek między obu mężami stanu.

Autor popełnia następny błąd pisząc, że w memoriale przedstawionym Wilsonowi Dmowski żądał dla Polski „całego byłego Wielkiego Xięstwa Litewskiego” (str. 133). Jak wiadomo, tzw. Linia Dmowskiego na wschodzie pokrywała się mniej więcej z granicą po drugim rozbiórze, a więc o całości Litwy historycznej nie mogło być mowy. Uwaga Polonsky’ego, że po powstaniu gabinetu Paderewskiego sprawy zagraniczne pozostawały w gestii „komisji pod przewodnictwem Paderewskiego, w której były reprezentowane wszystkie główne stronnictwa z socjalistami właściwie” (str. 130) jest dla mnie *novum*. Przyznaję, że o istnieniu takiej komisji pierwszy raz słyszę i byłbym ciekaw, z jakiego źródła Polonsky zaczerpnął swą informację.

Poślizgnięciem się jest mylna data i miejsce odezwy do mieszkańców byłego Wielkiego Xięstwa Litewskiego, którą jak wiadomo Piłsudski wydał 22 kwietnia 1919 roku w Wilnie, a nie 8 sierpnia w Mińsku (str. 136). Odnośnie Linii Curzona autor miesza kilka rzeczy, pisząc w niezwykle bałamutnym zdaniu: „W grudniu 1919 roku Rada (*Council*) Ambasadorów zaproponowała tzw. ‘linię Curzona’ jako granicę między Polską a Rosją Sowiecką” (str. 137). *Primo*, poprawna nazwa jest *Conference* a nie *Council*, *secundo*, Rada Ambasadorów nie istniała jeszcze w grudniu 1919 roku, *tertio*, „propozycja” o której Polonsky pisze miała formę unilateralnej deklaracji wydanej przez Radę

Najwyższą konferencji pokojowej (*Supreme Council*) 8 grudnia 1919, stwierdzającej m.in.: „Główne mocarstwa sprzymierzone i stowarzyszone... oświadczają, że uznają odtąd prawa rządu polskiego... do urządzenia regularnej administracji terytoriów dawnego Cesarstwa Rosyjskiego, położonych na zachód od linii poniżej określonej”. Dalej podana jest szczegółowa linia przebiegająca na północ od Galicji. Deklaracja kończy się słowami: „Prawa, z jakimi Polska mogłaby wystąpić do terytoriów położonych na wschód od wymienionej linii są wyraźnie zastrzeżone” (cytuję tekst polski według *Dokumenty i materiały do historii stosunków polsko-radzieckich*, t. II, str. 481-483). Jak wiadomo, linia ta przedłużona do Karpat figurowała w tzw. Nocie Curzona z 1920 roku.

Przejdźmy teraz pokrótce do interpretacji Polonsky'ego. Z większością jego tez, na ogół wypowiedzianych w ostrożny sposób, można się zgodzić. Są jednak wyjątki i autor porusza się czasem po kruchym lodzie. Piszac o koncepcjach Piłsudskiego dotyczących granic, Polonsky hołduje wątpliwej już dziś teorii, powtarzanej wielokrotnie przez historyków endeckich a następnie „marksistowskich”, że Piłsudski neglizował granice zachodnie. Nowa praca Lundgreen-Nielsena, która ukazała się zapewne zbyt późno, aby Polonsky mógł z niej skorzystać, wykazuje, iż jest to teoria w najlepszym razie bardzo naciągnięta. Nie w stylu Polonsky'ego — który niejednokrotnie podkreśla swe zrozumienie dla myśli Piłsudskiego — jest nieco enigmatyczne zdanie: „Polska nie miała może szczęścia do swych granic, ale miała jeszcze mniej szczęścia jeśli chodzi o poglądy jej liderów” (str. 133). Następuje przypis do książki Lewandowskiego *Imperializm słabości*, książki, z której nie myślę, aby autor był dziś szczególnie dumny.

Piszac o bitwie warszawskiej z 1920 roku Polonsky zauważa, że nowe badania naukowe wykazują, iż zwycięstwo to zawdzięczamy „zawodowym oficerom z armii austriackiej i rosyjskiej” (str. 138). Szkoda, że autor nie zaopatruje tej uwagi przypisem, podającym najnowszą literaturę przedmiotu.

Jak widać z powyższego, Polonsky nie może uchodzić za szczególniego znawcę okresu 1914-1921, jakkolwiek jego zwięzły wykład, pomijając wytknięte tu usterki, jest poprawny i daje podstawowe informacje. Autor porusza się z dużo większym znawstwem i swobodą w okresie międzywojennym, który przedstawił nam już uprzednio w obszernej monografii. Na sześćdziesięciu paru stronach poświęconych Drugiej Rzeczypospolitej Polonsky opisuje i analizuje procesy polityczne z uwzględnieniem za-

gadnień gospodarczych i społecznych. Błędów jest tu mało, choć znajdujemy trochę wątpliwych twierdzeń czy interpretacji. Stwierdzenie, że kapitał francuski był na pierwszym miejscu w Polsce międzywojennej (str. 142) nie jest całkiem słuszne — jeśli uwzględnimy wszystkie inwestycje, to pierwszeństwo należy się kapitałom amerykańskim. Nie jest dla mnie jasne, co Polonsky ma na myśli nazywając konflikt Piłsudskiego z Dmowskim „w dużym stopniu sztucznym” (str. 149). W armii Hallera oficerów francuskich „polskiego pochodzenia” był chyba znikomy procent (str. 150). Określenie Obozu Wielkiej Polski jako „faszyzującego odłamu” narodowej demokracji, który połączył się ze Związkiem Ludowo-Narodowym w październiku 1928 roku, tworząc Stronnictwo Narodowe, jest mylące (str. 172). Jest to o tyle dziwne, że autor pisał w swej monografii o Obozie Wielkiej Polski, podając że powstał on w 1926 roku.

Autor popełnia też parę wyraźnych błędów. Bereza została założona w 1934 roku po zamachu na Pierackiego, podczas gdy z kontekstu w jakim ją umieszcza Polonsky wynikałoby, że stworzono ją w lipcu 1931 roku w związku ze sprawą brzeską (str. 180). Inspektor armii był przeznaczony na wypadek wojny na dowódcę armii, a nie na dowódcę dywizji (str. 187). Nie wiem, skąd autor wzięł cyfrę 50 profesorów rzekomo usuniętych ze swych katedr przez władze po zawieszeniu autonomii uniwersyteckiej w roku 1932 (str. 177). Niestety brakuje przypisu, który wydaje się tu niezbędny. Polonsky nie docenia chyba wagi politycznej Korfanteo, gdyż opuszcza jego nazwisko zarówno w kontekście aresztowań brzeskich jak i w tworzeniu Frontu Morges (str. 192). Nie wydaje mi się też, aby historycy wojskowości podzielali pogląd Polonsky’ego, że sprzęt wojskowy polski w roku 1939 był „słabej jakości” (str. 204). Inna rzecz, że było go za mało. Data 1927 zamiast 1928 na str. 167 to na pewno niepoprawiony błąd drukarski.

Jakkolwiek Polonsky wyeliminował szereg błędów, które figurowały w jego uprzedniej monografii, i uściślił wiele pojęć i opinii, wydaje mi się, że w jego rozdziale o Polsce międzywojennej pozostało trochę sądów, z którymi niżej podpisany nie może się zgodzić. Autor powtarza swe dawniejsze sformułowanie, iż Druga Rzeczypospolita była państwem wielonarodowym (*multinational*, str. 114), co nie jest trafne. Wielonarodowymi państwami były Jugosławia i Czechosłowacja — trudności Polski polegały właśnie na tym, że była ona państwem narodowym zawierającym poważny odsetek mniejszości. Różniła się w tym względzie zarówno od przedrozbiorowej Rzeczypospolitej, jak też

od etnicznie zwartej Polski dzisiejszej. Surowa krytyka Piłsudskiego i jego wyższych oficerów za brak wojskowych kompetencji, dość już zresztą oklepana (str. 164-165), wymaga pewnej rewizji. Większość wyższych wojskowych przeszła przez *Ecole de Guerre* czy stworzony pod francuską egidą jej odpowiednik w Warszawie. Prawdą jest, że polska kadra generalska nie miała tej tradycji co generalicja francuska, niemiecka czy brytyjska. „Amatorstwo” wojskowe Piłsudskiego krytykowali zawodowi oficerowie państw zachodnich. Nie wszyscy zresztą. Po niechętnym Piłsudskiemu gen. Dupont nowy szef misji francuskiej gen. Charpy podkreślał w swych raportach, znajdujących się w archiwum armii w Château de Vincennes (teczki *Pologne* 8 i 10) uznanie dla armii polskiej i przyznawał, iż Marszałek pracuje wytrwale i ciężko nad sprawami wojskowymi.

Polonsky nie przejął się tezą sformułowaną kiedyś przez Adama Bromkego, że przypuszczalnie żaden naród poza Polską nie był tak stale i intensywnie zaangażowany w debaty na temat polityki zagranicznej. Zagadnienia polityki zagranicznej figurują raczej na marginesie jego opracowania. Osobiście wydaje mi się, że należało o tym powiedzieć trochę więcej, zwłaszcza o okresie Skrzyńskiego i Zaleskiego, których autor w zasadzie ignoruje. Bez tła lat 1920-tych trudno jest mieć wyważony sąd o polskiej polityce okresu Becka. Myślę, że gdyby Polonsky znał te kwestie głębiej, nie pisałby, że dla Becka sojusz z Francją przedstawiał „małą wartość” (str. 182) i że jego dyplomacja była „krótkowzroczna” (str. 183). Nie wynika z tego, że polityka Becka była zawsze najlepsza, ale należałoby raczej wskazać inne alternatywy niż pisać, że rząd Piłsudskiego i jego następców prowadził politykę zagraniczną, w której wytwory wyobraźni zastępowały fakty (str. 207). Do tego typu sformułowań, które można jedynie określić jako powierzchowne i nieprzemyślane, zaliczyłbym również zdanie, iż Polska odzyskała swą niepodległość w 1918 roku nie na skutek własnych wysiłków, ale w wyniku jednoczesnego załamania się państw zaborczych (str. 148). Gdy pamiętamy o stałych zmaganiach na przestrzeni XIX i początku XX wieku, ujęcie Pajewskiego, że „państwo polskie zostało odbudowane wolą i wysiłkiem narodu polskiego, ale mogło to nastąpić jedynie w chwili załamania się wszystkich trzech zaborców” (*Odbudowa państwa polskiego*, str. 342) wydaje mi się znacznie bliższe prawdy historycznej.

Konkluzja rozdziału Polonsky’ego, choć ujęta w „pocieszającą” formę, wypada blade. Píše on: „Nie wszystko jednak było niepowodzeniem. Smak niepodległości i problemy z nią

związane dały Polakom nowy sens narodowości. Niepodległość niosła ze sobą potrzebę rozwinięcia odpowiedzialności obywatelskiej (*civic*). Wojna 1939-1941 różniła się od konfliktu lat 1914-1918. Polacy wiedzieli, że walczą nie tylko o niepodległość, ale o własną egzystencję. Wiedzieli także, że mają dane na to, aby żyć razem jako społeczność polityczna” (str. 207).

Wydaje mi się, że konkluzja byłaby nieco inna, gdyby autor podsumował wszystkie blaski i cienie Drugiej Rzeczypospolitej. Jakkolwiek mała ilość stron jaką rozporządzał utrudniała mu rozwinięcie wielu innych aspektów życia Polski międzywojennej, pominięcie ich skrzywiło nieco obraz lub dało obraz niepełny. W rozdziale jego nie ma nic o takich osiągnięciach jak budowa Gdyni czy wprowadzenie ustawodawstwa społecznego, które było bardzo postępowe jak na ówczesne czasy. Brak pięknych kart z życia kulturalnego i artystycznego Drugiej Rzeczypospolitej. Czytelnik nie zda sobie nawet sprawy, że takie życie istniało. Choć nie powinno się krytykować autora za to czego nie uwzględnił, a luka w jego opracowaniu jest o wiele mniej rażąca niż w rozdziałach Leslie’ego, szkoda, że nie pokusił się o danie możliwie pełnej syntezy Polski międzywojennej.

Dwudziestolecie międzywojennemu poświęcono w książce sześćdziesiąt kilka stron; na drugą wojnę światową przeznaczono o kilka stron więcej. Wydaje się to pewną dysproporcją, chociaż należy sądzić, że zamierzeniem autorów było zwiększanie ilości stron w miarę zbliżania się do chwili obecnej. Ostatnia część dzieła, która obejmuje okres mniej więcej trzydziestu lat, liczy blisko 160 stron, a więc ponad jedną trzecią całości.

Okres drugiej wojny światowej oraz trzy pierwsze lata powojenne opracował Jan Ciechanowski, znany nie tylko ze swej książki o Powstaniu Warszawskim, ale i z artykułów i recenzji dotyczących drugiej wojny, ukazujących się na łamach *Zeszytów Historycznych*. Lektura rozdziałów Ciechanowskiego wywoływała u mnie miejscami uczucie zdziwienia, a nawet sprzeciwu. Nie chodzi mi o znajomość tematu przez autora. Nie wątpię, że Ciechanowski, zajmujący się od lat tą chronologicznie wąską tematyką, zna świetnie swoją epokę. Moje uczucia spowodowane zostały raczej jego podejściem do całego zagadnienia. Myślę, że zgodzimy się z autorem, że po kilkudziesięciu latach, które od wojny upłynęły, historyk polski piszący po angielsku dla czytelnika anglosaskiego powinien w miarę możliwości kontrolować swe uczucia i starać się o maksymalną bezstronność, choć wie z góry, że będzie to w praktyce niemożliwe. Nie mam więc za

złe Ciechanowskiemu, że nie pisze o krwi, sztandarach, zdradzie sojuszników i martyrologii polskiej. Ale czyż należy popadać w drugą krańcowość? Wydaje mi się, że przeciętny czytelnik wyniesie z lektury tych rozdziałów potwierdzenie swych opinii o najgorszych cechach Polaków.

Odpowiedzialność mocarstw anglosaskich za wynik (polityczny) wojny będzie dla niego prawie że niedostrzegalna, bowiem Ciechanowski w zasadzie nie wydaje sądów, a już na pewno nie sądów o charakterze moralnym, w odniesieniu do Wielkiej Brytanii czy USA. Jeśli zaś chodzi o Rosję, to większość jej posunięć rozpatruje on na płaszczyźnie *Realpolitik*, przy użyciu eufemizmów lub niedomówień. Nie sądzę, że jest to podejście właściwe z punktu widzenia historyka; jego wartość dydaktyczna będzie niestety ujemna.

Spróbuję zilustrować co mam na myśli, omawiając przedstawienia konkretnych zagadnień w rozdziałach Ciechanowskiego. Autor referuje Kampanię Wrześniową zwięźle. Gani plany strategiczne i chwali bitność żołnierza i oficera. Inwazja sowiecka 17 września jest przedstawiona w sposób wysoce lakoniczny. Autor nie znajduje miejsca na zaznaczenie, że Armia Czerwona wkroczyła po kilkukrotnych naleganiach ze strony Berlina. Nie jest podane tło komunikatu sowieckiego, usprawiedliwiającego inwazję — ku niezadowoleniu Niemców — rzekomą potrzebą zabezpieczenia losu Ukraińców i Białorusinów. Jak wiadomo, od września 1939 do czerwca 1941 (okres „wojny imperialistycznej”) ZSSR dostarczał Niemcom surowców potrzebnych do prowadzenia wojny i dawał inne udogodnienia (bazy morskie), nie mówiąc już o współpracy natury policyjnej. Ciechanowski kwituje to wszystko jednym zdaniem: „Ze względów zapobiegawczych (*precaution*) ZSSR usiłował utrzymać zewnętrzne pozory dobrych stosunków z Niemcami”.

Autor pisze o deportacjach Polaków do Rosji, choć dla określenia deportowanych używa niefortunnego słowa *exiles* (uchodźcy, str. 219). Pisze dalej, iż rząd polski określił sowiecką aneksję jako nielegalną a przeprowadzone „wybory” jako oszustwo. Dodaje następnie od siebie, że wobec istnienia Karty Atlantycznej pozycja rządu polskiego nie była zbyt mocna, gdyż na ziemiach wschodnich mieszkało wiele milionów nie-Polaków (str. 219). Jest to dość zaskakujące twierdzenie. Pamiętamy, że ZSSR już po wejściu do wojny miał pewne obawy, iż Karta Atlantyczna może być przeszkodą dla sowieckiej ekspansji i zgodził się ją podpisać z zastrzeżeniami idącymi dość daleko („*practical application of these principles will necessarily adapt itself to the*

circumstances, needs, and historic peculiarities of particular countries"; cyt. za J. L. Gaddis, *The United States and the Origins of the Cold War*, New York 1972, str. 3. Gaddis przypomina również, że Churchill był zdecydowany nie dopuścić do tego, aby zasady Karty Atlantycznej stosowano do imperium brytyjskiego).

Począwszy od wzmianki o wątpliwościach Sikorskiego co do możliwości odzyskania ziem wschodnich, już w lecie 1940 roku, Ciechanowski pisze stale o „kompromisie” z ZSSR, uważając, że rząd polski nie potrafił tego kompromisu osiągnąć. Pozwalam sobie zwrócić mu uwagę na definicję słowa „kompromis” w słowniku Webstera. Czytamy tam, iż kompromis jest *obustronną* rezygnacją ze skrajnych (*extrême*) żądań czy praw w celu osiągnięcia porozumienia. Nie wiem, z jakich żądań i praw w stosunku do Polski ZSSR był gotów zrezygnować. Jakkolwiek Ciechanowski przytacza powiedzenie Mikołajczyka o konieczności kompromisu, nie cytuje jego o wiele bardziej wymownego oświadczenia (już po rezygnacji z premierostwa), kiedy broniąc się przed zarzutem bezkompromisowości stwierdził, że gotów był iść na kompromis, ale nie żądano od niego kompromisu, lecz kapitulacji. Jeśli więc założymy, że Ciechanowskiemu chodzi o to, że rząd w Londynie powinien był kapitulować i przyjąć sowieckie warunki — rezygnację z blisko połowy przedwojennego obszaru i dostosowanie składu rządu do sowieckiego kryterium „przyjaźni” — to możemy dyskutować czy było to możliwe, realistyczne, przeprowadzalne itp. Ale nazywajmy rzeczy po imieniu.

Ciechanowski jest *plus catholique que le pape* gdy pisze, jak rząd brytyjski „w interesie wprowadzenia harmonii odegrał ważną rolę w realizacji zbliżenia polsko-sowieckiego, dając do zrozumienia krytykom Sikorskiego w rządzie, że ma on [Sikorski] poparcie” brytyjskie (str. 225). Churchill przyznaje w swych pamiętnikach, że miał on nieprzyjemne (*invidious*) zadanie polecenia Polakom, aby zdali się na dobrą wolę Rosji. Ale na ogół Ciechanowski nie używa słowa „presja”, a tym mniej „brutalna presja”, kiedy opisuje perswazje rządu brytyjskiego wobec Polaków.

Autor wyraża opinię, że dopóki rząd ZSSR utrzymywał stosunki dyplomatyczne z rządem RP w Londynie, wykazywał powściągliwość w popieraniu ugrupowań polskich wrogich Londynowi (str. 228). Sformułowanie takie brzmi dość nieprzekonywująco. Już podczas wizyty Sikorskiego w Moskwie odbył się w Saratowie wielki wiec pod przewodnictwem m.in. Wasilewskiej i Jędrzychowskiego, który wydał manifest do narodu polskiego

i był pierwszym krokiem na drodze stworzenia Związku Patriotów Polskich. Jeśli Ciechanowskiemu chodzi o to, że Rosjanie grali, i to z dużą zręcznością, na kilku klawiszach równocześnie i poszukiwali — jak to dobrze określił Mastny w swej *Russia's Road to the Cold War* — polskiego Benesza, można by się z tym zgodzić, ale jest to jednak nieco inne ujęcie tej sprawy.

Ciechanowski krytykuje Sikorskiego, że do czerwca 1942 roku nie posunął sprawy polskiej poza umowę z 30 lipca 1941 z ZSSR (str. 233). Parę stron dalej, imputując stronie polskiej winę za zerwanie rozmów z Czechami („*Poland had lost the support of Czechoslovakia*” (str. 245), znów wini Sikorskiego za prowadzenie nierealistycznej polityki godnej Becka. Szkoda, że nie podaje recepty na sukcesy dyplomatyczne, które zapewne tak łatwo było osiągnąć w ówczesnych warunkach. Ciechanowski stwierdza, że Sikorski podczas swej trzeciej wizyty w Stanach w 1942-1943 roku był przeciwny przesunięciu granicy zachodniej po Odrę i Nysę. Nie jest to całkowicie zgodne z prawdą. Zainteresowany czytelnik znajdzie nieco odmienną interpretację faktów w solidnie udokumentowanej pracy doktorskiej Sarah Meiklejohn Terry, *Sikorski Reconsidered: An Inquiry into the Origin of the Oder-Neisse Boundary 1939-1943*, Harvard 1974.

Nie będę się rozwodził nad potraktowaniem sprawy katyńskiej w rozdziale Ciechanowskiego. Autor pisze, że sowieckie oskarżenie Niemiec o popełnienie zbrodni katyńskiej mogło być potraktowane serio, jeśli weźmie się pod uwagę okrucieństwa i zbrodnie hitlerowskie. „Pozostaje jednak faktem, że na procesie zbrodniarzy wojennych w Norymberdze ani jeden Niemiec nie został nigdy postawiony przed sądem w związku z Katyniem” (str. 244). Przypis odsyła czytelnika do pracy Zawodnego *Death in the Forest*. Gdybym przeczytał takie sformułowanie w wydawnictwie krajowym, podziwiałbym zgrabne obejście cenzury — czy jednak w książce wydanej w Londynie należało zachowywać aż tak daleko idącą ostrożność?

W rozdziałach Ciechanowskiego sporo jest dwuznaczników i eufemizmów. Warto zwrócić uwagę na sposób, w jaki przedstawia ewolucję poglądów społeczeństwa w kraju wobec ZSSR. Zdaniem autora zwycięstwa Armii Czerwonej i wzrost terroru niemieckiego powodowały zmianę stosunku „wielu” (niezbyt to precyzyjne) Polaków do Rosji sowieckiej. Autor pisze dalej, że niektórzy byli zaalarmowani perspektywą wyzwolenia przez Armię Czerwoną, inni gotowi byli jednak do kompromisu (ulubiony zwrot) z Rosją i przyjęcia nieuniknionego rozwoju sytuacji. Oczywiście pierwsze nie równa się drugiemu.

Po Powstaniu Warszawskim i tragicznej „spuściźnie nieporozumienia, które po sobie pozostawiło” (? , str. 270) romantyzm polski został zastąpiony realizmem i „wielu” Polaków zdało sobie sprawę z konieczności bliskiego sojuszu ze Związkiem Sowieckim (str. 274). Wreszcie po Jakcie „wielu” (ulubiony zwrot) Polaków poczęło godzić się z faktem, że ZSSR i komuniści będą „architektami nowej Polski” (str. 281-282). Przyznam się, że brak mi tutaj tej drugiej postawy, o której pisał kiedyś Żałuski. Cytuję z pamięci, więc może niedokładnie: „bolszewicy w kraju, komuniści przy władzy, Warszawa spalona, rząd legalny niedopuszczony, nic gorszego nie mogło nas spotkać, przegraliśmy wojnę i musimy myśleć o sobie”.

Jeśli społeczeństwo czy „wielu” Polaków gotowych było do współpracy, czym wytłumaczyć walki podziemia z komunistami, które przybrały charakter wojny domowej, poparcie udzielone Mikołajczykowi po jego powrocie, a wreszcie sztuczny rozrost partii z 30.000 w styczniu 1945 do 300.000 w kwietniu, który sami komuniści uważali za wynik przyłączenia się do nich elementów oportunistycznych i niepożądanych? (str. 283).

Czy komuniści stosowali według Ciechanowskiego terror wobec swych politycznych przeciwników? Pisząc o walce z PSL stwierdza, że nie używano terroru (str. 290), w innym miejscu pisze, że go używano (str. 292). Dla czytelnika nie będzie to zbyt jasne, ale zapamięta zapewne, że terror stosowali również prawicowi partyzanci (str. 291) i podziemie (str. 290). A więc jakoś to się równoważyło.

Ciechanowski posuwa swój obiektywizm nieco za daleko, gdy przyjmuje możliwość, że Stalin istotnie zmienił swój stosunek do Powstania — we wrześniu 1944 — będąc początkowo źle poinformowany o jego przyczynach (str. 275). Ówczesny ambasador USA w Moskwie, Harriman, nie miał takich złudzeń. Dziwi mnie również, że autor, pisząc o polskich stratach ludnościowych (str. 287) wynikających z „okrucieństw nazistowskich”, nie wspomina ani jednym słowem o Sowietach. A przecież wiemy o Polakach zatrzymanych w Rosji, o grupach oficerów i żołnierzy AK w sowieckich łagrach, o tych których repatriowano po latach i o tych, którzy nigdy nie wrócili.

Niestety znajdziemy jeszcze bardziej kontrowersyjny ustęp w tym rozdziale dotyczący emigracji. Ciechanowski pisze, że dla niektórych (*some*) Polaków Poczdam był nieszczęśliwym wydarzeniem (*unhappy event*). Jakkolwiek Polacy na Zachodzie byli zachęcani do powrotu i chcieli wracać, „większość obawiała się,

że będzie uważana przez komunistów za potencjalnych wrogów i traktowana jako grupa podejrzana”. Ci, którzy mieszkali na kresach wschodnich nie mieli dokąd wracać. Chociaż Polacy na Zachodzie wiedzieli, że życie na uchodźstwie będzie ciężkie, woleli pozostać poza Polską niż stawić czoło (*face*) niepewnościom oczekujących ich po powrocie. Niektórzy sądzili, że ich pobyt za granicą będzie tymczasowy i że wrócą później, kiedy „sytuacja będzie wyjaśniona”. Uchodźcy ci stanowili trzon drugiej z kolei wielkiej emigracji politycznej (str. 287).

Poza użyciem na samym końcu tego ustępu słowa „polityczny”, Ciechanowski przedstawia emigrację w sposób, który bez najmniejszej poprawki byłby dopuszczalny w każdym wydawnictwie PRL. Nie ma tu ani słowa o świadomie politycznej motywacji emigracji. Czytelnik nie domyśli się nigdy, że emigracja skupiła się przy rządzie, który nadal uważała za legalny — a co więcej, traktowały go jako legalny jeszcze przez kilka lat niektóre rządy obce. Nie ma ani słowa o koncepcji „państwa na obczyźnie”, o celowości politycznego protestu, który emigracja miała uosabiać. Nie ma ani słowa o wytężonej pracy *politycznej* na emigracji, prowadzonej różnymi środkami i poprzez różne organy — np. *Kulturę* paryską, Radę Polityczną czy liczne pomniejsze organizacje i wydawnictwa. Mogę zapewnić autora, że istnieli ludzie i to nie nieliczni (*some*), którym oferowano posady i możliwości działania w kraju i którzy nie wracali nie dlatego, że obawiali się niepewności i traktowania ich jako potencjalnych wrogów, ale dlatego, że uważali za swój polityczny i obywatelski obowiązek utrzymać reprezentację wolnej Polski w wolnym świecie. Znaczenie polityczne emigracji zauważa w swej *Polish Society* wybitny socjolog krajowy Jan Szczepański (str. 46) i jest ze wszech miar smutne, że zdaje się go nie widzieć historyk polski, mieszkający w Londynie i pisujący do *Zeszytów Historycznych*. Chyba, że zachodzi tu jakieś tragiczne nieporozumienie, które chętnie bym wyjaśnił. Niestety dla czytelnika anglosaskiego charakterystyka emigracji w rozdziale Ciechanowskiego pozostanie zapewne miarodajną wypowiedzią na ten temat.

W części dotyczącej nowej Polski po 1945 roku figuruje jeszcze trochę dziwnych lub niejasnych sformułowań. Wytlumaczenie przyrostu naturalnego po wojnie jest delikatnie mówiąc naiwne (str. 287). Mówiąc o reformie rolnej autor nie zdaje sobie chyba sprawy z tego, że może największą jej zbrodnią z punktu widzenia interesów gospodarki narodowej było nie przeprowadzenie komasacji gruntów (ze względów ideologicznych), zaprzepaszcżające jedyną może okazję do sensownej przebudowy

struktury rolnej w kraju. Z inną zbrodnią reżymu — budową Nowej Huty na najżyźniejszych ziemiach podkrakowskich — źle ułożonej z gospodarczego punktu widzenia i zatruwającej swymi wylęgami Kraków, autor załatwia się jednym zdaniem. Zasługuje ono na przytoczenie: „Fundamenty przemysłowej sieci założone zostały w Nowej Hucie, koło Krakowa, wskazując na chęć industrializacji obszarów uprzednio głównie rolniczych w swym charakterze” (str. 289). Czyż wolno tak pisać z perspektywy 1980 roku, kiedy o Nowej Hucie mówi się już wszystko w kraju, i to otwarcie?

W odróżnieniu od Polonsky'ego, Ciechanowski dysponował dość pokaźną ilością stron dla przedstawienia okresu 1939-1948. Pewne luki i opuszczenia wynikają zatem zapewne z jego kryteriów selekcji faktów. Dziwne jest, że nie uznał za stosowne wspomnieć choćby Enigmę (czy Ultrę), o której tak dużo pisze się na Zachodzie, traktując polski w niej udział za wydatną pomoc w walce z Niemcami. Czy w tej części nie należało wspomnieć o spaleniu Gdańska przez Armię Czerwoną, a także o sprawie węgla w ramach reparacji? O tej drugiej rzeczy, ilustrującej jaskrawo wyzysk Polski przez Rosję, pisze Pełczyński, ale chronologicznie należy ona do wcześniejszego okresu. Czy tzw. pogrom kielecki winien być być zignorowany? Czy rola Stanów Zjednoczonych — dość ważna w okresie 1945-47 (ambasadorstwo Bliss Lane'a), zwłaszcza jeśli chodziło o pożyczki i ich związek z polityką wewnętrzną kraju — nie zasługiwała na choćby krótką wzmiankę? Autor stwierdza, że w latach 1944-1947 Stalin był gotów dać komunistom środkowo i wschodnioeuropejskim dość dużą swobodę manewru, ale ponieważ pisze zaraz potem o doktrynie Trumana i Planie Marshalla, odnosi się wrażenie, że przykręcenie śruby było li tylko sowiecką odpowiedzią na wywołaną przez Zachód zimną wojnę. Czyż nie należało wspomnieć w tym kontekście o żdanowszczyźnie?

Jak wspomniałem już uprzednio, Polska współczesna (od 1948 roku) zajmuje jedną trzecią całej książki. Nie jestem politologiem ani znawcą zagadnień bieżących i uważam, że tę ważną część opracowaną przez Zbigniewa Pełczyńskiego powinien zrecenzować osobno specjalista do tego powołany. Ograniczę się więc tylko do paru uwag. Wydaje mi się, że rozdziały Pełczyńskiego stanowią najbardziej wartościową część całego dzieła. Historia Polski Ludowej wymagała właśnie takiego gruntownego przedstawienia wszystkich w zasadzie aspektów, z uwzględnieniem do pewnego stopnia roli emigracji. Trudno mi się wypo-

wiedzieć na tematy gospodarcze, które — chyba słusznie — stanowią pokątną część analizy Pełczyńskiego. Z dziedziny politycznej jedyną wątpliwość wzbudza we mnie charakterystyka PAX-u. Zdanie: „Celem PAX-u było siać zamieszanie i niezgodę wśród polskich katolików” (str. 328) zawęża całe zagadnienie Piaseckiego-Sierowa itp. i nie wyjaśnia wiele obcemu czytelnikowi. Całość jednak opracowania Pełczyńskiego przeczytałem z ogromnym zainteresowaniem i uznaniem. Powtarzam, rozdziały Pełczyńskiego zasługują na oddzielne omówienie i to szczegółowe przez specjalistów, tym bardziej, że one właśnie (wraz z rozdziałami napisanymi przez Polonsky’ego) stanowią najbardziej wartościowe i dydaktycznie cenne partie tej książki.

The History of Poland jest zaopatrzona w sześć przejrzystych i użytecznych map i szereg tabeli odnoszących się do Drugiej Rzeczypospolitej i Polski Ludowej. Indeks jest niestety fatalny; redaktor poszedł chyba po linii najmniejszego oporu, powierzając przygotowanie go osobie czy osobom nie znającym się na tematyce książki. Sądząc z indeksu można by przypuścić, że w książce nie ma takich osób jak Raczyński, Sokorski, Romkowski, Fejgin, Trzaska-Durski, Jazwiński, Pieracki, Stomma, Turowicz, Ważyk czy Woźniakowski. Nie ma też Berezyna Kartuskiej, Katowic, Szczecina i Gdyni. Mamy Danzig ale nie ma Gdańska. Posen i Poznań figurują bez zaznaczenia, że chodzi o jedno miasto. Sosnowski występuje jako Sosnowski, Lasocki jako Losocki. Nie ma kilkakrotnie wspomnianego w tekście *Tygodnika Powstanieckiego*. Nie mówię już o stronach opuszczonych pod podanymi w indeksie nazwiskami. W tych warunkach indeks staje się bardzo mało przydatny, a nawet wprowadza czytelnika w błąd.

Na końcu książki mamy krótką bibliografię dzieł wybranych. Na ogół wybór jest trafny, choć zaskakuje brak jakiegokolwiek dzieła Peter Brocka. Redaktor zaznacza, że bibliografia jest ograniczona do książek w języku angielskim, podczas gdy wzmianki o pracach i źródłach polskich znajdują się w przypisach. Jest to bardzo sensowna zasada, umożliwiającą czytelnikowi zapoznanie się także z polską literaturą przedmiotu. Niestety praktyka mija się dość często z teorią. Weźmy parę przykładów. W rozdziale Leslie’ego autor cytuje swoją własną książkę (która i tak figuruje w bibliografii) na temat Powstania Styczniowego, zamiast zwrócić uwagę czytelnika na późniejsze, znakomite dzieło na ten temat Stefana Kieniewicza. W innym przypisie cytuje on angielską książkę Kieniewicza o sprawie chłopskiej, podaną już w bibliografii, zamiast wskazać inne opracowania w języku polskim. Wśród przypisów nie ma ani jednej wzmianki o pod-

stawowej bądź co bądź książce Kukiela o dziejach porozbiorowych. Leslie uznał natomiast za wskazane zwrócić uwagę czytelnika na takie „dzieła” jak Migdała o piłsudczyźnie czy Korca lub Kalabińskiego (*Antynarodowa polityka endecji*). Dogłębne studium przypisów byłoby zapewne bardzo pouczające, ale zajęłoby zbyt wiele czasu i miejsca. Jędrzejewicza *Kronika życia Józefa Piłsudskiego* i Kułakowskiego (Zielińskiego) *Roman Dmowski* nie figurują w żadnym przypisie. Uważam, że autorzy zmarnowali dużą szansę, jaką byłoby wykorzystanie przypisów dla podania możliwie szerokiej listy polskich opracowań.

Na początku tej recenzji postawiłem pytanie do jakiego stopnia *The History of Poland since 1863* spełni zadanie nie tylko ściśle naukowe, ale i dydaktyczne. Z moich dotychczasowych uwag wynika chyba jasno, że mam poważne wątpliwości w tym względzie, jeśli chodzi o części napisane przez Leslie’ego i Ciechanowskiego. Okres 1863-1918 jest moim zdaniem przedstawiony jaśniej i lepiej zarówno w książce niżej podpisanego *The Lands of Partitioned Poland* (zwłaszcza w nowej edycji, w której poprawiłem pewne błędy) jak i w wydanej w kraju *History of Poland*. Lata 1864 do drugiej wojny światowej opracował w tym dziele Henryk Wereszycki. Nie dysponujemy jak dotąd pracą w języku angielskim traktującą o historii Polski w latach 1939-1945, choć wiele jej aspektów, zwłaszcza polsko-amerykańskich, zostało już opracowanych. Przestarzała już nieco książka E. Rożka zajmuje się jedynie sprawą polską w kontekście międzynarodowym. Tym bardziej więc rozdziały Ciechanowskiego były ważne ze względu na ich wpływ na formowanie opinii czytelnika anglosaskiego i tym większa spada na niego odpowiedzialność. Mam nadzieję, że pozytywna ocena przez ekspertów części Pełczyńskiego jak i moja życzliwa opinia na temat rozdziałów Polonsky’ego sprawią, że uznamy większą część tej książki za pożyteczną. Być może zresztą, że w dalszej dyskusji na temat *History of Poland since 1863* — a uważałbym taką dyskusję za ważną i potrzebną — wyłonią się inne punkty widzenia.

Piotr WANDYCZ

HISTORIA NAJNOWSZA I HISTORYCY*

Co to jest historia najnowsza? Czym różni się od pozostałej części historii nowożytnej? Na pytania te przyjęło się odpowiadać, że historią najnowszą jest czas, który żyjący ogarniają pamięcią własną lub znają z przekazu swoich rodziców. Jest to zatem okres dziejów bezpośrednio minionych, czas sporów i emocji żywych jeszcze w ludzkiej świadomości. Definicja ta jest wysoce nieprecyzyjna, choć ma cechy pozytywne. Codzienna obserwacja pozwala stwierdzić, że to co dla ludzi starszych jest żywą jeszcze przeszłością, co pobudza do dyskusji i wydawania osądów, dla młodych należy już do zamierzchłej historii. W myśl tej definicji powinniśmy uznać za datę początkową historii najnowszej rok 1939 lub 1945. Szczególnie ta druga data jest związana z początkiem nowego etapu dziejów.

Wbrew jednak tym definicjom, choć nie bez uzasadnienia, historycy przyjmują w swych badaniach za początek epoki najnowszej rok 1864. Cezura ta wyznaczona jest klęską powstania styczniowego, zamknięciem etapu dominacji romantyzmu politycznego i kulturalnego. Popowstaniowe represje i reformy carskie podważyły społeczną pozycję szlachty i stworzyły warunki dla wzrostu znaczenia chłopstwa. Rozwijający się gwałtownie od połowy wieku przemysł tworzył klasę robotniczą. Przemiany te miały przynieść zmierzch epoki, w której podmiotem działania politycznego była warstwa szlachecka. Przeobrażenia w zaborze rosyjskim wyprzedzały przemiany dokonujące się w Galicji, choć i tu lata 60-te przyniosły generalną zmianę w położeniu ludności. Bardziej ewolucyjnie toczyły się dzieje zaboru pruskiego, lecz także tam społeczeństwo feudalno-szlacheckie w połowie XIX

* *Res Publica* nr 6, Warszawa 1980. (Przedruk bez wiedzy i zgody pisma i autora).

wieku zmieniało się w społeczeństwo typu wczesnokapitalistycznego. Ożywienie warstw ludowych, przede wszystkim chłopstwa i klasy robotniczej, pojawienie się inteligencji jako odrębnej grupy społecznej, stwarzało warunki dla powstania masowych ruchów politycznych. Zawiązanie się partii politycznych, które działały do pierwszych lat po wojnie w kraju, a do dziś na emigracji, stanowi kolejny etap w historii najnowszej. Na przełomie lat 80-tych i 90-tych pojawiły się Narodowa Demokracja, Polska Partia Socjalistyczna, Polskie Stronnictwo Ludowe, Socjaldemokracja Królestwa Polskiego i Litwy, rozpoczęły swą działalność: Piłsudski, Dmowski, Witos, Korfanty, Daszyński i wielu innych polityków, których nazwiska kojarzą się z dziejami najnowszymi.

Nie widzę potrzeby omawiania dalszych cezur wewnętrznych najnowszej historii. Są one dość oczywiste: 1918, 1939, 1945. W ostatnich latach niektórzy historycy postulują przyjęcie roku 1918 jako daty zapoczątkowującej najnowszy okres dziejów. Twierdzą oni, że otwierał się wówczas zupełnie nowy etap wyznaczony istnieniem niepodległego państwa. Zapominają jednak przy tym, że konflikty polityczne i społeczne zapoczątkowane przed 1914 rokiem toczyły się nadal po 1918, że nie da się zrozumieć problemów Drugiej Rzeczypospolitej bez znajomości problemów lat wcześniejszych, że rok 1918 przecina „na pół” życiorysy najwybitniejszych działaczy politycznych kształtujących oblicze Niepodległej. Bezdyskusyjna raczej jest cezura roku 1945. Skończyła się okupacja niemiecka, Polska na wiele lat weszła w zależność od Rosji, komuniści przystąpili do niszczenia wszystkich niekomunistycznych ruchów politycznych. Towarzyszyły temu zmiany obszaru nie tylko państwa, ale w ogóle obszaru zamieszkałego przez Polaków. Załamano się dotychczasowa struktura społeczna i tworzyła się całkowicie nowa. Jeśli zatem w dalszej części niniejszego szkicu koncentruję się na historiografii Drugiej Rzeczypospolitej, czynię to ze względu na troskę o objętość tego artykułu. Uwagi o charakterze ogólnym dotyczące metodologii badawczej zachowują swą moc w odniesieniu do okresu wcześniejszego. Jedynie wspominając o historiografii przedwojennej powołuję się na prace dotyczące lat 1864-1918, gdyż ten okres stanowił wówczas historię zupełnie najnowszą. W swoich rozważaniach zatrzymuję się jedynie nad historią polityczną, pomijam poza kilkoma najbardziej wartościowymi i popularnymi pozycjami historiografię dziejów gospodarczych i omówienie dziejów kultury.



„Po roku 1918 kwestia przyczyn upadku i rozbiorów zesłała na plan dalszy, a w centrum zainteresowania publicystyki i historii najnowszej stanęła sprawa odbudowy państwowości polskiej — pisał Janusz Pajewski. — Problem historyczny, naukowy, powiązany od pierwszej chwili z problemem politycznym, z problemem walki o władzę w odbudowanym państwie pomiędzy dwoma obozami, które dla uproszczenia, choć nieściśle, nazwać możemy obozem Piłsudskiego i obozem Dmowskiego. Taki charakter dyskusji sprawił, że zajmowano się nie tyle wyjaśnieniem naukowym przyczyn wielkiego faktu dziejowego — odzyskania przez naród niepodległości Polski, ile ustaleniem zasług poszczególnych ludzi i poszczególnych obozów w dziele odbudowy państwa” (J. Pajewski, „Odbudowa państwa polskiego 1914-1918”, Warszawa 1978). W tej konwencji pisane były np. R. Dmowskiego „Polityka polska a odbudowanie państwa” (1925), M. Seydy „Polska na przełomie dziejów” (t. I — 1927, t. II — 1931), a z przeciwnego stanowiska „Walka zbrojna o niepodległość Polski” Wacława Lipińskiego oraz „Józef Piłsudski” Władysława Pobóg-Malinowskiego (opublikował on również pisaną z pozycji demaskatorskich historię Narodowej Demokracji).

Usystematyzowaniu badań nad niedawną przeszłością służył Instytut Najnowszej Historii Polski i wydawany od 1929 roku kwartalnik *Niepodległość*, redagowany przez Leona Wasilewskiego. Z dziejami walk o niepodległość związana była historia stronnictw politycznych. Wymieniony Instytut służył przede wszystkim potrzebom badania przeszłości socjalistyczno-piłsudczykowskiej, wspólnej przecież do 1914 roku, a i później — przez kilka lat — podobnej. PPS prowadziła również badania we własnym zakresie. Od 1935 roku ukazywała się *Kronika ruchu rewolucyjnego w Polsce*. W 1933 wydano „Księgę Jubileuszową PPS”, przygotowaną przez kilku autorów a będącą syntetycznym opracowaniem dziejów partii. Nie prowadzili własnego pisma historycznego narodowi demokraci, zadowalając się jedynie publikowaniem przyczynków do dziejów swego ruchu we własnych pismach teoretycznych.

Prócz wymienionych opracowań na szczególną uwagę zasługują „Dzieje polskiej myśli politycznej” Wilhelma Feldmana (wyd. II, 1933), „Wskrzeszenie państwa polskiego” Michała Bobrzyńskiego (wyd. 1920), „Dzieje ruchu socjalistycznego w zaborze rosyjskim do powstania PPS” Feliksa Perla (wyd. I w 1910, II w 1932 r.).

Udaną próbą przedstawienia dziejów odrodzonego państwa było „Pierwsze piętnastolecie Polski niepodległej” Adama Próch-

nika (wyd. 1933). Ponadto wydano szereg opracowań z historii prawa, zarówno sprzed jak i po 1918 roku.



Podczas okupacji nie ukazały się ważne dzieła historyczne, choć okres walk o niepodległość i dziejów Drugiej Rzeczypospolitej funkcjonował w publicystyce wszystkich ośrodków politycznych. Trwalsze znaczenie ma bodaj jedynie „Historia Polski od 11 listopada 1918 do 17 września 1939 roku” Stanisława Mackiewicza, opublikowana w Londynie w 1941. Ranga tego dzieła wynika jednak nie z obiektywizmu wykładu, ale z dokumentacyjnej i literackiej wartości książki.



Po 1945 Polska znalazła się pod rządami komunistycznymi. Najwybitniejsi historycy przedwojenni czasów najnowszych zginęli jak Próchnik, znaleźli się na emigracji jak Pobóg-Malinowski, lub w więzieniu jak Lipiński. Swoboda badań naukowych, szczególnie historycznych, została poważnie ograniczona niemal od początku. W latach 1945-48 wydano bardzo mało wartościowych opracowań naukowych. Historia ostatnich dziesięcioleci była przedmiotem sporów polityków i publicystów, znacznie różniących się jednak od prowadzonych przed 1939 rokiem. Jeśli bowiem wówczas antagoniści dysponowali dużą swobodą wypowiedzi, to obecnie odebrano prawo głosu publicystom i historykom reprezentującym stanowisko proendeckie czy propiśsudczykowskie. Wkrótce zamilkli również ludowcy i socjaliści. Dyskusja o polityce polskiej ostatnich lat kilkudziesięciu toczyła się między komunistami i skrajną lewicą socjalistyczną. Historia ponownie miała służyć uzasadnieniu pretensji do władzy, tym razem jednak władzy totalnej, wyposażonej w receptę na zbudowanie nowego społeczeństwa i nowego, odciętego od tradycji narodu.

Badania historyczne utrudnione były jednak również z przyczyn naturalnych. Podczas wojny została zniszczona większość archiwaliów, a te które ocalały znajdowały się w rozproszeniu.

W tym niesprzyjającym badaniom naukowym okresie „Historię polityczną Polski w dobie popowstaniowej 1864-1918” opublikował w 1948 Henryk Wereszycki. Odpowiadająca kryteriom naukowym synteza niemal od razu spotkała się z gwałtownymi atakami partyjnych publicystów i nie weszła wówczas

do obiegu naukowego, z którego wypierano konsekwentnie „wpływy burżuazyjne”. Komuniści traktowali naukę, w tym historię, jako część ideologii, narzucali siłą metodologię marksistowsko-leninowsko-stalinowską i byli zdecydowani tępić odmienne poglądy naukowe za pomocą metod administracyjnych. Żądali przyjęcia przez badaczy metodologicznych wzorów radzieckich, ale także przystosowania swego punktu widzenia do poglądów „uczonych” stalinowskich. W 1948 pełnię władzy w PPR przejęła frakcja stalinowska. Oznaczało to przyspieszenie i zaostrezenie „polityki naukowej”. Z wyższych uczelni zaczęto usuwać tych historyków, którzy nie rokowali nadziei na to, że przyswoją sobie metodologię marksistowsko-stalinowską. Czystka objęła mediewistów i nowożytników, a tym bardziej dotknęła badaczy historii najnowszej.

Na opróżnione katedry przybyło pierwsze pokolenie historyków najnowszych Polski Ludowej. Byli to przeważnie ludzie czynnie uczestniczący w działalności komunistycznej przed i w czasie wojny. Członkowie KPP, Związku Patriotów Polskich, oficerowie polityczni armii Berlinga, rzadziej członkowie podziemnego PPR, po wojnie zaczęli łączyć działalność polityczną z przysposobieniem naukowym. Do grupy tej zaliczyć należy m.in. Żannę Kormanową, Felicję Kalicką, Leona Grosfelda, Józefa Kowalskiego, Tadeusza Daniszewskiego, Walentynę Najdus. Ich pogląd na dzieje Polski był poglądem działaczy komunistycznych, utożsamiających się z pryncypiami SDKPiL i KPP. Pogląd ten charakteryzował się ostrą opozycją do wszystkich niekomunistycznych kierunków politycznych, ideowych, społecznych, kulturalnych, gwałtownym antyklerykalizmem, antyzachodnością, demaskowaniem wpływów wielkiego kapitału, nacjonalizmu i imperiaлизmu polskiego, operowaniem dychotomicznym podziałem na „postępowe” (czyli komunistyczne i prokomunistyczne) i „reakcyjne” (czyli niekomunistyczne). Idealnym pierwowzorem i obiektem uwielbienia był Związek Radziecki, a za niechęć do jego ustroju rozliczano surowo wszystkie tendencje ideowe i polityków Polski niepodległej. Drugą Rzeczpospolitą uznawano za państwo powstałe wskutek zbyt słabego napięcia ruchu rewolucyjnego, który nie zdołał zaprowadzić władzy radzieckiej na ziemiach polskich. Było to więc państwo zbędne, państwo, które odsunęło perspektywę zbudowania ustroju komunistycznego w tym regionie Europy.

Oficjalnie obowiązujący pogląd na Drugą Rzeczpospolitą przedstawiła Żanna Kormanowa na I kongresie Nauki Polskiej: „Państwo polskie 1918-1939 było pierwszym i ostatnim w dzie-

jach naszego narodu państwem burżuazyjnym, burżuazyjno-obszarniczym (...). W konkretnych warunkach historycznych zamówienia ideologiczne klas panujących wobec nauki historycznej polegały na wydobyciu z przeszłości narodu polskiego elementów, które wspierałyby imperialistyczną politykę burżuazji i obszarnictwa, politykę zaborczą na Wschodzie, służalczą na Zachodzie, nacjonalistyczną wobec tzw. mniejszości narodowych, bezwzględna wobec polskich mas pracujących, eksterminacyjną wobec rewolucyjnej awangardy polskiej klasy robotniczej (...). Analogiczna była funkcja klasowa obciążonego klerykalnie kosmopolitycznego mitu o zachodniości kultury polskiej. W przeciwstawieniu Wschodowi Zachodu przemilczano aktualny sens tego przeciwstawienia, przeciwstawienia socjalizmowi — kapitalizmowi, klasie robotniczej — burżuazji imperialistycznej”.

Prace historyczne i badania dokumentacyjne powstałe w kręgu PPS odrzucano jako „wyjaławiające przeszłość z jej rewolucyjnej treści” i „oceniające ją z pozycji nacjonalistycznych”, zatem spełniające „obiektywnie rolę reformistyczno-oportunistycznej dywersji”. Jedyną partią, która prowadziła generalnie słuszną politykę była KPP. „Marksistowska myśl historyczna — kontynuowała Kormanowa — stosując genialne wskazania Lenina i Stalina, wykulała dla współczesnych polskich historyków-marksistów oręż metodologicznych koncepcji i ocen, podstawowe założenia dla marksistowsko-leninowskiej najnowszej historii Polski, utorowała drogę dla powstania prawdziwej, marksistowsko-leninowskiej nauki historycznej w Polsce”. Kormanowa przestrzegała przed wrogiem klasowym, który „w naszym kraju jeszcze działa”, toczy coraz zajadłej „walkę o cofnięcie koła historii wstecz” i przypominała, że trzeba prowadzić z nim walkę, która „musi znaleźć odbicie w dziedzinie ideologicznej w ogóle, a więc i w dziedzinie nauki historycznej”.

Przedstawiony tu obraz dziejów i metodologii odnosił się do całej historii, szczególnie jednak do historii XIX- i XX-wiecznej. Historycy epok starszych podjęli badania struktur gospodarczych i społecznych, szczególnie chłopstwa. Wyniki ich pracy po poprawkach metodologicznych i wprowadzeniu po 1956 bardziej wyważonych ocen okazały się pożyteczne. Uzupełniały bowiem obraz dziejów zamierzających o nowe elementy. W odniesieniu do drugiej połowy XIX i XX wieku nie osiągnięto postępów. W okresie stalinowskim prowadzono w zasadzie jedynie badania nad dziejami ruchu robotniczego, demaskując „agenturę reformistyczną” czyli PPS, atakując luksemburgizm, pisząc o KPP bez wymieniania jej przywódców i ich koncepcji (straceni w 1938

w ZSRR działacze KPP uważani byli za prowokatorów i agentów policji, nie można więc było ich wymieniać w pozytywnym kontekście). Nawet zatem w badaniach nad dziejami ruchu komunistycznego nie osiągnięto postępu.

Jako typowe dla tego okresu można wymienić monografie: F. Kalickiej „Powstanie krakowskie 1923” (1953), L. Grosfelda „Polska w latach kryzysu gospodarczego 1929-1933” (1952), J. Kowalskiego „Wielka Październikowa Rewolucja Socjalistyczna a wyzwolenie Polski” (1952), T. Daniszewskiego „Zarys historii polskiego ruchu robotniczego” (1956). Opublikowano kilka hagiograficznych biografii działaczy komunistycznych (np. „Feliks Dzierżyński” Daniszewskiego). Większość wymienionych oraz kilku innych (m.in. Ż. Kormanowa) było autorami skryptów obejmujących całość dziejów najnowszych a wydanych przez Szkołę Partyjną przy KC PZPR. Wydane w okresie stalinowskim wybory źródeł dotyczyły wyłącznie ruchu komunistycznego. Dokumenty były ponadto preparowane zarówno przez tendencyjny wybór, jak i pomijanie niewygodnych fragmentów. Masowemu czytelnikowi dostarczano ponadto artykułów popularnych, przedstawiających okres międzywojenny jako jedno pasmo nieszczęść, a przywódców politycznych jako agentów niemieckich. W tym tonie utrzymane były np. książka Stefana Arskiego „Przekłete lata” oraz odpowiednio spreparowane fragmenty pamiętników Józefa Becka i Jana Szembeka.

Pod koniec okresu stalinowskiego opublikowano trzy prace uczniów wymienionych wyżej historyków, które w odróżnieniu do wspomnianych monografii funkcjonowały jeszcze w świecie historyków przez kilkanaście lat. Były to: Stanisława Kalabińskiego „Antynarodowa polityka endecji w rewolucji 1905-07” (1955), Czesława Madajczyka „Burżuazyjno-obszarnicza reforma rolna w Polsce 1918-1939” (1956), Andrzeja Gwiżdża „Burżuazyjno-obszarnicza konstytucja z 1921 roku w praktyce” (1956). Prace te funkcjonowały przez lat kilkanaście nie dlatego, by były dobre. Przeciwnie. Trudno czytać je bez irytacji. A jednak mimo to przez lata 60-te nadal się na nie powoływano, uznając wartość niektórych zawartych w nich ustaleń.



Rok 1956 przyniósł zasadniczy przełom w życiu politycznym, gospodarczym i kulturalnym. W roku 1956 pękł, choć nie rozsypał się, pancierz krępujący wszelką aktywność społeczną czy intelektualną. Cenzura właściwie przestała istnieć. Pojawiły się

śmiało, choć utrzymane w marksistowskiej konwencji dyskusje polityczne i kulturalne. W ciągu roku 1957 niezależność wypowiedzi była coraz bardziej ograniczana przez nowe kierownictwo partii. Regres w tej dziedzinie trwał do 1960 roku, gdy nastąpiła pewna stabilizacja. Lata 1960-68 to okres tzw. małej stabilizacji. Były to lata ważne w rozwoju struktur politycznych i kulturalnych PRL, lata nietknięte dotąd refleksją historyka czy publicysty historycznego. Aparat partyjny opanowany był w głównej mierze przez starszych działaczy o stażu przeważnie jeszcze KPP-owskim, orientujących się w znacznej mierze na tzw. grupę puławską w kierownictwie partii, która w 1956 opowiadała się za liberalizacją systemu. Około 1962 do walki o władzę stanęła frakcja Mieczysława Mocзара, której trzon kierowniczy tworzyli partyzanci GL, obecnie zajmujący wysokie stanowiska we władzach bezpieczeństwa i w wojsku. Główny atak skierowali „partyzanci” przeciw „puławianom”. Frakcja moczarska posługiwała się w propagandzie akcentami plebejsko-patriotycznymi i atakowała tendencje „kosmopolityczne”. Apoteozowano przeszłość wojenną, szczególnie walkę partyzancką. W 1965 Moczar publicznie wystąpił o rehabilitację czynu zbrojnego Armii Krajowej (posługiwał się tu frazesem o walczących żołnierzach otumanionych przez antyradzieckie i antykomunistyczne dowództwo). Moczarowcy nie przejawiali specjalnej czci dla przedwojennych komunistów i w ogóle nie posługiwali się wyraźnymi kategoriami klasowymi w ocenie przeszłości. Były to poglądy sprzyjające budowaniu pewnej popularności „partyzantów” w społeczeństwie i należy sądzić, że dlatego też świadomie były podnoszone.

Frakcja „liberalna” w PZPR godziła się na ożywienie filozofii, socjologii, ekonomii. Nie zwalczała rozwijającego się w tych naukach tzw. rewizjonizmu, czyli próby wzbogacenia metodologii marksistowskiej o nowoczesne, zachodnie techniki badawcze. Neutralnym lub życzliwym okiem spoglądała na teoretyczne poszukiwania socjologów, filozofów, ekonomistów. W jakiejś mierze z poparcia liberalnej frakcji w partii korzystała literatura obrachunkowa i „nowa fala” w filmie polskim. Uogólniając te twierdzenia można powiedzieć, że broniła ona swobody twórczej literatów i swobody badań w naukach społecznych. Był jednak pewien wyjątek — historia najnowsza. Partyjni „liberałowie” wywodzący się z KPP i ZPP nie umieli dokonać rewizji oceny swej przeszłości kombatanckiej, nie umieli spojrzeć na przedwrześniową Polskę inaczej, jak z perspektywy komunistycznej. Życzliwie zatem patrząc na rewizjonizm socjologów czy ekonomistów, zwalczali rewizjonizm historyków.

Rewizjonizm w historii najnowszej polegać musiał na dwu czynnikach.

Należało odejść od stosowanej dotychczas metodologii stalinowskiej i powrócić do zasady, że podstawą orzekania o zjawiskach są fakty. Dotychczas dokonywano dowolnej selekcji faktów, tak by pasowały do z góry przyjętej tendencji, wyrażającej się w aksjomatach ideologicznych. Rewizjonizm w metodologii historyków charakteryzował się zwrotem ku metodologii pozytywistycznej przy zachowaniu klasowego aspektu oceny zjawisk.

Trudniejsze do wypracowania było nowe spojrzenie na przeszłość. Historyk przystępuje do badania materiału z pewną ogólną wiedzą o okresie, przewartościowującą się zresztą w toku jego pracy. Do wiedzy tej dochodzi na podstawie przeczytanych monografii i źródeł oraz dyskusji z innymi badaczami. Jeśli jednak historyk bezpośrednio uwikłany był w opisywane przez siebie wydarzenia, trudno mu się zdobyć na obiektywizm, oceniać zjawiska niezależnie od ówczesnych sympatii i antypatii. Z tych też przyczyn pierwsze pokolenie historyków PRL zachowało nadal wyraźne klasowe oceny przedwojennego państwa, ulegało w dalszym ciągu przymierzaniu wszystkich zjawisk i wypowiedzi do jedynie słusznego stanowiska KPP. Sytuacja ta zmieniać się musiała w następnym pokoleniu, pokoleniu ludzi nie uwikłanych osobiście w opisywaną przez siebie epokę. Byli oni wychowankami wspomnianej generacji byłych działaczy KPP. Pod ich wpływem kształtowali swój warsztat badawczy i ogólny pogląd na okres historyczny. Wielu z nich przeżyło jednak wkrótce bunt intelektualny. Zaczęli patrzeć na dzieje oczyma własnymi, w sposób bardziej niezależny. Poszukując protektorów politycznych, wielu z nich spoglądało w stronę frakcji moczarowskiej (m.in. T. Jędruszcak, J. Żarnowski, A. Czubiński, M. M. Drozdowski). Lecz nawet ci, których raziła plebejsko-totalitarna i ksenofobiczna ideologia moczaryzmu nie poczuli się do sympatii dla frakcji puławskiej.

Obowiązywał nadal rytuał przedstawiania ruchu komunistycznego jako mającego jedyną, historyczną rację, obowiązywały klasowe oceny, ale w powstających monografiach zaczynały one spełniać powoli rolę drugorzędną. Starano się odmitologizować Drugą Rzeczpospolitą. Zaznaczyły się też pewne sympatie indywidualne, szczególnie dla lewicy PPS i ruchu ludowego. Nie była w modzie afirmacja prawicy ludowej czy głównego trzonu PPS. Nie zaznaczyły się jeszcze oceny proendeckie czy prosanacyjne. Szczególne miejsce w toczonych podówczas sporach zajmowała interpretacja ideowa obozu sanacyjnego. Większość mło-

dych historyków odrzucała pomówienie sanacji o faszyzm, choć godziła się z twierdzeniem o stosowaniu pewnych, zaczerpniętych z faszyzmu metod rządzenia (szczególnie Brześć, Bereza). W zdecydowanej opozycji do starszego pokolenia historyków młodzi twierdzili, że zamach majowy nie był przewrotem faszystowskim, a Piłsudski nie był faszystą.

Konsekwentnie prokomunistyczni byli jedynie historycy pierwszego pokolenia. Typową dla tej grupy pracą jest wydany po raz pierwszy w 1959 „Zarys historii polskiego ruchu robotniczego w latach 1918-1929” Józefa Kowalskiego. Lecz i ten autor przechodził pewną ewolucję. Wydana w 1966 jego książka „Trudne lata” różni się korzystnie od „Zarysu”..., tak pod względem metodologii jak i horyzontem patrzenia na zjawiska polityczne i społeczne.

Historycy polscy lat 60-tych podlegali jednak nadal pewnemu schematyzmowi. Nie orzekali o zjawiskach na podstawie samodzielnej analizy sytuacji społecznej, gospodarczej, politycznej, kulturalnej państwa. Przedstawiali po prostu punkt widzenia działających wówczas ugrupowań lewicy, niewolniczo porównując go ze stanowiskiem KPP.

Na przemiany świadomości młodych jeszcze wówczas badaczy wpływała publicystyka. Jak piszą A. Garlicki, T. Nałęcz i W. Władyka, „częstokroć spory publicystyczne stawały się inspiracją nowych badań, skłaniały do podejmowania zaniedbanych dotąd kwerend materiałowych i archiwalnych” (*Przegląd Historyczny*, 1978). Rozszerzeniu spojrzenia historyków służyły szczególnie artykuły Andrzeja Micewskiego w *Więzi*, opublikowane następnie w książce „Z geografii politycznej II Rzeczypospolitej”, a także jego „W cieniu marszałka Piłsudskiego” (1968). Wywołały one spory, które w konsekwencji prowadziły do przełamania skostniałych ocen.

Nie da się przecenić znaczenia tego, że po 1956 historycy mogli dotrzeć do literatury emigracyjnej. Do 1956 nie była ona zbyt obfita, choć ukazały się już pierwsze pamiętniki i opracowania przyczynkarskie (m.in. na łamach kontynuowanej w Londynie *Niepodległości* oraz w *Kulturze*). W 1955 Władysław Pobóg-Malinowski opublikował tom I, w 1956 tom II, w 1960 — tom III swej „Najnowszej historii politycznej Polski”. Była to pierwsza synteza najnowszych dziejów Polski, pozwalająca głębiej wniknąć w problem każdemu badaczowi. Praca Poboga-Malinowskiego charakteryzowała się jednak wyraźną tendencyjnością. Autor, osobiście zaangażowany po stronie piłsudczyków, przenosił swoje sympatie i antypatie na karty książki. „Najnowsza his-

toria..." była wykładem bardzo cennym, ujawniającym wiele nieznanych szczegółów, systematyzującym wiedzę, w ocenach jednak anachronicznym. Udostępnienie jej elitom historycznym wpłynęło na pogłębienie spojrzenia, ale w stopniu mniejszym oddziaływała na przewartościowanie ocen. W 1963 drogą wyodrębnienia działu historycznego w *Kulturze* paryskiej założono *Zeszyty Historyczne*. Pismo ukazuje się do dnia dzisiejszego i trudno sobie bez niego wyobrazić pracę jakiegokolwiek historyka najnowszego. Na łamach ponad 50 tomów *Zeszytów* opublikowano tysiące stron unikalnych relacji, dokumentów, interesujących artykułów wydatnie wzbogacających wiedzę. Instytut Literacki (*Kultury*) wydał również szereg książek, m.in. trzy tomy wspomnień Wincentego Witosa. Prace historyczne publikowały także inne wydawnictwa emigracyjne, m.in. „Polonia Book Found.", „B. Świdorski", „Oficyna poetów i malarzy", „Veritas", „Odnowa". Ich praca wpływała na poszerzenie możliwości badawczych i silnie oddziaływała na historyków krajowych.

Po 1956 przemianom mentalności historyków towarzyszył znaczny rozwój czasopiśmiennictwa w kraju. W 1956 założono *Wojskowy Przegląd Historyczny*, poświęcony historii militarnej. W 1958 ukazały się pierwsze zeszyty kwartalnika *Z pola walki*, zajmującego się dziejami polskiego ruchu robotniczego. W tym samym roku wyszły tomy „Najnowszych Dziejów Polski" wydawanych w dwu edycjach: jedna obejmująca okres 1914-1939, druga 1939-1945. W 1959 roku opublikowano tom I „Roczników Dziejów Ruchu Ludowego". Ożywiły się: *Kwartalnik Historyczny* i *Przegląd Historyczny*, gdzie publikowano wiele artykułów dotyczących także historii najnowszej. Mniejsze znaczenie miały czasopisma regionalne, wśród których warto może wymienić *Zapiski Historyczne*. Interesujące artykuły można też było spotkać w *Zeszytach Naukowych WAP Serii Historycznej*.

Wydano wiele książek. Nie sposób tu wspomnieć wszystkich. Ograniczę się zatem tylko do wskazania najważniejszych i dotychczas mających jeszcze wartość poznawczą.

Okres bezpośredniej genezy niepodległości omawiali Jerzy Holzer i Jan Molenda w książce „Polska w pierwszej wojnie światowej" (1963). Zbigniew Landau i Jerzy Tomaszewski napisali pierwszy „Zarys historii gospodarczej Polski 1918-1939" (1962). Andrzej Ajnenkiel opublikował próbę syntetycznego ujęcia pierwszych lat istnienia II Rzeczypospolitej, „Od rządów ludowych do przewrotu majowego" (1964). Węższy zakres tematyczny miały: Henryka Jabłońskiego „Polityka PPS w czasie

wojny 1914-1918" (1958), Jerzego Holzera „PPS w latach 1917-1919" (1962), Artura Leinwanda „PPS wobec wojny polsko-radzieckiej 1919-1920" (1964), Antoniego Czubińskiego „Centrolew" (1963), Stanisława Lato „Duch ludowy a Centrolew" (1965), Józefa Kowala „Wici" (1964), Janusza Żarnowskiego „Struktura społeczna inteligencji w Polsce w latach 1918-1939" (1964), tegoż „PPS w latach 1935-1939" (1965), Alicji Więzikowej „Stronnictwo Chłopskie 1926-1931" (1963), Marii Turlejskiej „Rok przed klęską" (1962), Tadeusza Jędruszcza „Piłsudczycy bez Piłsudskiego" (1963), Romana Wapińskiego „Endecja na Pomorzu 1918-1939" (1966), Ludwika Hassa „Organizacje zawodowe w Polsce 1918-1939" (1963), Józefa Kowalskiego „Trudne lata" (1966), Mariana M. Drozdowskiego „Polityka gospodarcza rządu polskiego 1936-1939" (1963), Jerzego Ciepiewskiego „Polityka agrarna rządu polskiego w latach 1929-1935" (1968).

Ponadto w cytowanych periodykach opublikowano kilkadziesiąt istotnych artykułów i materiałów źródłowych. Fundamentalne, bo starające się przedstawić kwestie gospodarcze, społeczne i pośrednio polityczne, było dzieło Mieczysława Mieszczankowskiego „Struktura agrarna Polski międzywojennej" (1960). Tak jak wiele wspomnianych tu monografii, praca Mieszczankowskiego nie trafiała wnioskami w sedno sprawy, była jednak cenna przez przytoczenie obszernego materiału rzeczowego. Szczególne znaczenie przywiązywano w owym czasie do książki Henryka Jabłońskiego „Narodziny II Rzeczypospolitej" (1963). Przedstawiając wiele faktów dotychczas mało znanych, była ona we wnioskach chybiona. Emocjonalne nastawienie autora było typowe dla minionego okresu. Wraz z pojawieniem się nowych opracowań książka Jabłońskiego się zdezaktualizowała. Spośród większych prac tego autora wartość merytoryczną zachowuje „Polityka PPS w czasie wojny 1914-1918", nie ze względu na wnioski, ale z racji prezentowanego materiału faktograficznego i węższych interpretacji.

W niniejszych rozważaniach świadomie pomijałem dotychczas problem cenzury. Zmiana spojrzenia na okres międzywojenny wynikała bowiem nie tyle z ingerencji cenzuralnych, co z własnych przemyśleń historyków. Jeśli dochodzili do oryginalnych, samodzielnych wniosków, umieli je mimo cenzury przekazać czytelnikowi, rzecz jasna inteligentnemu i nieco ocytanemu w literaturze. Istniały wszakże tematy, których cenzura nie pozwalała poruszać w sposób samodzielny. Dotyczyło to przede wszystkim historii Komunistycznej Partii Polski oraz stosunków między-

rodowych w okresie międzywojennym (w tym stosunków polsko-radzieckich, wojny polsko-radzieckiej i polskiej polityki zagranicznej w ogóle). Mimo tych nacisków cenzuralnych niemałą wartość poznawczą mają książki T. Jędruszcza „Polityka Polski w sprawie Górnego Śląska 1918-1922” (1958), Jerzego Krasuskiego „Stosunki polsko-niemieckie 1919-1926” (1962), tegoż „Stosunki polsko-niemieckie 1926-1932” (1964), Mariana Wojciechowskiego „Stosunki polsko-niemieckie 1933-1938” (1965) oraz Jana Ciałowicza „Polsko-francuski sojusz wojskowy 1921-1939” (1970). Sporo interesujących dokumentów i przyczynków opublikowano w serii wydawniczej „Dokumenty i materiały do historii stosunków polsko-radzieckich” oraz „Z dziejów stosunków polsko-radzieckich”.



Rok 1968 przyniósł burzliwe wydarzenia w Polsce: Marzec, antysemitką kampanię prasową, czystkę w partii. Frakcja moczarska stojąc na czele partyjnych trzydziestolatków gromiła rewizjonizm, „syjonizm”, demokratyzacyjne aspiracje młodzieży studenckiej. Przeżywały swój wielki triumf tendencje antysemitkie i antyinteligentkie. Marzec doprowadził do zniszczenia wybitnego środowiska socjologów, filozofów i ekonomistów, zgrupowanych głównie na Uniwersytecie Warszawskim. Wydział Polonistyki wcześniej już podupadł wskutek polityki personalnej J. Z. Jakubowskiego. Marzec dopełnił reszty. Z pogromu 1968 roku wiele gałęzi wiedzy wyszło w takim stanie, że do dziś nie zdołały osiągnąć poziomu przedmarcowego. Bez poważniejszych strat przetrwało natomiast środowisko historyków. Nie poniósł większych strat Wydział Historii UW ani Instytut Historii PAN. Rozbito jedynie historię na WAP, ale usunięci stąd historycy przeszli przeważnie do PAN. Wyświetlenie kulis tego „cudownego ocalenia” wymaga przeprowadzenia osobnych, trudnych badań. Niewątpliwie łagodne przejście marcowego walca po środowisku historycznym zadecydowało o osiągnięciach nauki historycznej w latach 70-tych.

Ofensywa moczaryzmu w 1968 roku doprowadziła do zniwelowania resztek frakcji puławskiej. Niemal wszyscy weterani KPP zostali pozbawieni swych stanowisk, przechodząc w zacisze życia prywatnego (oznaczało to upadek znaczenia politycznego historyków wywodzących się z KPP). Propaganda Marca, oparta na skrajnie prawicowych wzorach, zadała śmiertelny cios serio traktowanej ideologii marksistowskiej. Nowi rządcy Polski okazali się

nieczuli na marksistowskie formuły; przywoływali je wtedy tylko, gdy uzasadniali sprawowanie przez siebie niekontrolowanej władzy. obrońcy pojmowanych głęboko i autentycznie marksistowskich modeli myślenia stali się niemodni, a nawet śmieszni. Obecnie propagandyści partyjni zaczęli forsować formułę solidarności narodu na czele z partią. Pełny rozwój tej formuły przypada na lata rządów Gierka. Partia wyciszyła rychło niepotrzebną już propagandę ksenofobiczną, choć gotowa była odwołać się do marcowych wzorów w chwilach kryzysów (np. w 1977). Zdaniem autora grudzień 1970 nie był znaczącą cezurą w formowaniu się oblicza aparatu partyjnego. Przeprowadzone wówczas zmiany personalne były konsekwencją Marca, kończyły to czego nie udało się zrobić wówczas. W 1971 Gierek rozbił kierownictwo frakcji Moczara (jednych usuwając, innych przeciągając na swoją stronę). Jednakże grupa kilkuset funkcjonariuszy partyjnych rządzących Polską Gierka w większości sympatyzowała kiedyś z Moczarem i dzięki związkowi z jego frakcją osiągnęła stanowiska partyjne i państwowe. Bliższy ideologicznie od marksizmu jest im swoście pojęty nacjonalizm, wyrażający się umiłowaniem państwa przez nich rządzonego. Uważają się za elitę Polski, jej właścicieli; uważają, że tylko oni mają prawo stanowić o jej teraźniejszości i przyszłości.

Nie będąc przekonanymi marksistami, nie narzucają modelu rozwoju kultury w jakimś konkretnym kształcie ideologicznym. Wypracowali jedynie obszerny kodeks tego, czego nie wolno. Zakazano krytykowania tradycji komunizmu, systemu władzy, Związku Radzieckiego, podnoszenia zasług aktualnych konkurentów ideologicznych (np. Kościoła), wspomniania w kontekście pozytywnym pewnych ludzi. Partia sparaliżowała wszelkie publicystyczne czy naukowe inicjatywy usiłujące wyrwać jej monopol na formułowanie diagnoz społecznych czy wizji przyszłościowych. Narzekają na to ekonomiści czy socjologowie. Problem ten nie dotyczy jednak historyków. Na poszerzenie możliwości ich wypowiedzi wpływało również znaczne już oddalenie okresu przedwojennego. Polska międzywojenna stawać się zaczynała przeszłością na tyle już odległą, że niegroźną. Powoli wypadała z zakresu bezpośredniego działania propagandy. Zachowano jednak pewne mechanizmy, które utrudnić miały budowanie pozytywnego jej obrazu w świadomości przeciętnego obywatela (programy szkolne, treści historyczne w propagandzie radiowo-telewizyjnej, prasowej). Historykom pozostawiono wszakże znaczną autonomię w zakresie ich pracy, wynikającą zapewne z tzw. „pragmatyzmu” ekipy Gierka i braku jej zainteresowania dla badań nau-

kowych nie mających bezpośredniego znaczenia dla gospodarki i zarządzania państwem.



W 1968 roku przypada 50 rocznica odzyskania przez Polskę niepodległości. Korzystając z rewolucji wewnętrznej w aparacie ideologicznym i propagandowym, zorganizowano dyskusję w *Miesięczniku Literackim* (numer czerwcowy), poświęconą roli Drugiej Rzeczypospolitej w formowaniu narodu polskiego. Dyskusja ta, którą wielu uważa za przełom w spojrzeniu polskiej historiografii na Polskę niepodległą, zorganizowana była przez ludzi sympatyzujących z frakcją moczarską, m.in. Czesława Madejczyka i Tadeusza Jędruszcza. Ten drugi mówił z pewną przesadą: „Obecnie możemy mówić o występowaniu w Polsce dwóch tendencji w poglądach na okres międzywojenny: tendencji racjonalnie krytycznej, nazwijmy ją umownie — optymistycznej oraz tendencji całkowitej negacji — pesymistycznej. Pierwsza jest zjawiskiem związanym z rozwojem nauki, z racjonalizacją stanowiska w tej sprawie. druga zaś jest kontynuacją dawnej postawy, swego rodzaju nihilizmu. Krańcowym przejawem tej drugiej jest teza, że dwudziestolecie 1918-1939 było w dziejach narodu polskiego okresem zasługującym tylko na negatywną ocenę; rozwijając logicznie tę tezę — powstanie niepodległej Polski w 1918 roku było wydarzeniem niekorzystnym”. Oprócz Jędruszcza pozytywną funkcję państwa międzywojennego podkreślali J. Żarnowski, A. Ajnenkiel, M. M. Drozdowski, W. Stankiewicz, a także Juliusz Bardach, Bogusław Leśnodorski i Feliks Tych. Rolę antagonisty, aczkolwiek mało agresywnego, spełniał Leon Grosfeld, który pojednawczo polemizował, wskazując na klasowy charakter każdego państwa. Aby bardziej skomplikować obraz rzutujących na podziały naukowe kontrowersji politycznych, przypominę, że najostrzejszy atak na dyskutantów przypuścił z pozycji ortodoksyjnie leninowskich Jarosław Ładosz. Był on propagandystą ze szczególną pasją kopiącym w Marcu Leszka Kołakowskiego. Ładosz zarzucał dyskutującym historykom rewizjonizm (*Miesięcznik Literacki*, wrzesień 1968).

Od 1968 roku w nauce historycznej metodologia marksistowska zdecydowanie ustępuje miejsca lub jest kompilowana z pozytywistycznym wzorem pisanie o przeszłości. Historycy unikają bezustannego powtarzania ocen klasowych. Często w przedmowie składają konieczną (na ogół nie irytującą) daninę ideologiczną, po czym przechodzą do analizy faktów. Środowisko historyków, wzbogacone o nowe pokolenie, kończące studia na przełomie lat

60-tych i 70-tych, pasjonują obecnie problemy życia politycznego, rzadziej sprawy gospodarcze czy społeczne. Coraz mniej prac powstaje na temat ruchu robotniczego. Już studenci unikają pisania na ten temat (nie tylko o ruchu komunistycznym, ale także socjalistycznym). W latach 70-tych niemal monopolistą w zakresie monografii dotyczących ruchu robotniczego stała się Wyższa Szkoła Nauk Społecznych przy KC PZPR. Ale nawet w tej szkole powstało szereg prac dobrych, odkrywczych, porównywalnych z powstającymi w bardziej niezależnych placówkach naukowych. (Niewątpliwym osiągnięciem skupionego tu zespołu jest przygotowanie w 1975 do wydawania serii dokumentów pt. „Archiwum Ruchu Robotniczego”).

Ucieczka historyków od tematów dotyczących lewicy wynika zapewne z generalnego zakłamania jej oblicza przez propagandę i historiografię lat 50-tych i w znacznej części 60-tych. Ponadto w tej sferze występują szczególne obostrzenia cenzuralne. Partia głosi, że jest spadkobierczynią ruchu komunistycznego, więc stara się, by obraz przedwojennej KPP był możliwie najbliższy jej ideologii. Z tej przyczyny dotychczas nie ukazały się prace naprawdę wielostronnie i dogłębnie analizujące dzieje ruchu komunistycznego w Polsce. Nie znaczy to, że nie opublikowano szeregu wartościowych przyczynków, głównie w kwartalniku *Z pola walki*. Z opublikowanych ostatnio monografii cenna z uwagi na bogaty materiał faktograficzny, a także wiele interesujących ocen jest książka J. Kowalskiego „Komunistyczna Partia Polski 1935-1938” (wyd. 1975). Warto może zaznaczyć w tym miejscu, że niektórzy historycy zaczynając swą karierę niesławnie w latach 50-tych, przeżywali później ewolucję, by stać się sprawnymi badaczami i wejść na trwałe do polskiej historiografii.

Oprócz historii ruchu komunistycznego, szczególnym restrykcjom cenzuralnym podlegają prace o ruchu socjalistycznym. Żąda się, by w ostatecznej ocenie zawsze przedstawiać go jako ugrupowanie bardziej oportunistyczne od komunistów. Nie wolno pisać krytycznie o ZSRR, a nawet nie jest wskazane podawanie zbyt wielu szczegółów z życia politycznego ZSRR. Nie chodzi tu nawet o Gułag, ale np. o składy kolejnych Biur Politycznych, daty kolektywizacji itp. Znana jest awantura, jaką urządzono Antoniemu Czubińskiemu po opublikowaniu przezeń „Kraju Rad” w 1973. Jeśli nie wolno pisać zbyt obszernie o historii ZSRR, to tym bardziej nie wolno krytykować polityki radzieckiej Rosji wobec Polski. Pochodną tego jest zakaz pozytywnej oceny polityki zagranicznej Polski międzywojennej, a nawet prób racjonalizacji tej polityki. Warto w tym momencie przypomnieć aferę

z kontrowersyjną książką Leszka Moczulskiego „Wojna polska” (wydaną w 1974 a następnie wycofaną ze sprzedaży i z większości bibliotek). Zarzucono Moczulskiemu rehabilitowanie przedwojennej polityki zagranicznej i postawy kół wojskowych. Zaatakowano go również za „zły” opis przebiegu kampanii wrześniowej.

Ograniczenia cenzuralne dotyczą również historii myśli i mentalności społecznej. Nie wolno publikować rzeczowych analiz przedwojennego antykomunizmu czy antysemityzmu. Wolno pisać natomiast o polityce ugrupowań antykomunistycznych i antysemickich, bez wdawania się jednak w szczegóły ideologiczne i z końcową oceną krytyczną.

Wiele innych tematów nie zostało przez historiografię lat 70-tych poruszone na nowo i reinterpretowane, nie wiadomo jednak czy z przyczyn cenzuralnych, czy z braku zainteresowania autorów.

Wszystkie poczynione tu uwagi na temat zagadnień strzeżonych przez cenzurę są wysoce ułomne. Jak wiedzą wszyscy piszący, cenzura działa w sposób często zaskakujący, raz puszcza to co zdawało się być niecenzuralne, innym razem kwestionuje tezy i fakty wielokrotnie już podawane, czy z innych powodów neutralne. W publikacjach historycznych przestrzegana jest jednak pewna prawidłowość. Najwięcej napisać można w pracy opublikowanej np. w 500 egzemplarzach, nieco mniej, gdy nakład wynosi 2.000, jeszcze mniej, gdy 5.000 i tak dalej. Gdy nakład przekracza 20.000, ingerencje stają się nieznosne, choć ich zasięg również zależy od czynników szczegółowych (m.in. tematu, naukowej i politycznej pozycji autora, jego znajomości).

Od końca lat 60-tych opublikowano kilkadziesiąt wartościowych monografii i kilka zasługujących na uwagę syntez. Fakty prowadzące do odzyskania niepodległości przez Polskę przedstawił Janusz Pajewski — „Odbudowa państwa polskiego 1914-1918” (1978). Janusz Żarnowski podsumował swe dotychczasowe badania nad społeczeństwem II Rzeczypospolitej w książce opublikowanej w 1973 roku. W 1971 ukazała się obszerna monografia Z. Landaua i J. Tomaszewskiego „Robotnicy przemysłowi w Polsce”. Ustrojowi państwowemu poświęcone były książki: „Rządy parlamentarne w Polsce 1919-1926” Michała Pietrzaka (1969), „Spór o model parlamentaryzmu polskiego do 1926” A. Ajnenkiela (1972), „Geneza konstytucji z 17 marca 1921 r.” Stanisława Krukowskiego (1977). Problematykę ustrojową poruszano także w pracy zbiorowej pt. „Dyktatury w Europie środkowo-wschodniej 1918-1939” (1973).

Najwięcej uwagi poświęcono badaniu partii politycznych. Kontynuowano studia nad Polską Partią Socjalistyczną, których wynikiem były następujące monografie: Aleksandra Tymieniecka — „Polityka PPS w latach 1924-1928” (1969), Leon Ziaja — „PPS a polska polityka zagraniczna 1926-1939” (1974), Bohdan Głowacki — „Polityka PPS 1929-1935” (1979), Kazimierz Więch — „Polska Partia Socjalistyczna 1918-1921” (1978). W 1977 Jerzy Holzer opublikował zarys pt. „PPS. Szkic dziejów”, obejmujący całą historię partii. Komunistycznej Partii Polski poświęcono mniej uwagi. Z opublikowanych prac liczą się szczególnie wspomniana monografia J. Kowalskiego oraz Romany Toruńczyk — „W walce o front młodego pokolenia. KZMP w latach 1933-1936” (wyd. 1970 w 100 egzemplarzach). Kontynuowano badanie ruchu ludowego. W 1970 ukazał się t. II „Zarysu historii polskiego ruchu ludowego”, obejmujący Polskę międzywojenną. Ryszard Szaflik wydał monografię poświęconą „PSL-Piast 1926-1931” (1970). Jan Borkowski książkę „Postawa polityczna chłopów polskich w latach 1930-1935” (1970). W 1972 roku ukazał się „Front Morges w okresie II Rzeczypospolitej” Henryka Przybylskiego, a w 1980 „Chrześcijańska Demokracja i Narodowa Partia Robotnicza” tego autora. Jerzy Janusz Terej opublikował w 1971 roku „Idee, mity, realia” oraz „Rzeczywistość i polityka”, obie poświęcone Narodowej Demokracji. („Rzeczywistość i polityka” dotyczyła głównie wojennej historii stronnictwa, zawierała jednak obszernie wprowadzenie będące zarysem historii ruchu w latach trzydziestych). Jedynie w formie artykułów ukazały się fragmenty książki Szymona Rudnickiego o Obozie Narodowo-Radykalnym. Andrzej Pilch wydał pracę pt. „Studentcki ruch polityczny w Polsce w latach 1932-1939”. Postępowały badania nad obozem sanacyjnym. W 1978 Andrzej Garlicki ogłosił dwie monografie dotyczące genezy obozu rządzącego: „U źródła obozu belwederskiego” i „Przewrót majowy”. W 1977 Wiesław Władysław opublikował monografię pt. „Polityka polskich stronnictw konserwatywnych w latach 1926-1935”, a w 1979 ukazała się praca Andrzeja Chojnowskiego „Koncepcje polityki narodowościowej rządów polskich w latach 1921-1939”. W 1969 opublikowano monografię Piotra Staweckiego „Następcy Komendanta”, rozszerzającą wiedzę o ostatnim etapie ewolucji obozu rządzącego (1935-1939). W 1978 Jacek Majchrowski opublikował w nakładzie 500 egzemplarzy książkę „Czynniki jednoczące naród w myśli politycznej Obozu Zjednoczenia Narodowego”, w 1979 Seweryn Ajzner wydał „Związek Związków Zawodowych 1931-1939”. W 1975 wydano „Wolnomularstwo w

II Rzeczypospolitej” Leona Chajna. Popularny zarys „Parlamentaryzm II Rzeczypospolitej” ogłosił w 1975 A. Ajnenkiel. W 1970 ukazała się próba całościowego spojrzenia na Polskę bez Piłsudskiego: Hanna i Tadeusz Jędruszcakowie — „Ostatnie lata II Rzeczypospolitej”. W 1974 Jerzy Holzer opublikował „Mozaikę Polityczną Drugiej Rzeczypospolitej”, przedstawiającą zarys programów i stronnictw politycznych, również mniejszości narodowych. W 1971 Andrzej Paczkowski wydał w małej poligrafii „Prasę Drugiej Rzeczypospolitej 1918-1939”. W 1980 książka ukazała się w normalnym nakładzie. Pogranicza polityki i kultury dotyczą książki Andrzeja Wierzbickiego: „Naród — państwo w polskiej myśli historycznej dwudziestolecia międzywojennego” (1978) oraz „Romantyzm a ideologia” Leszka Kamińskiego (1980).

Co najmniej kilkanaście zasługujących na wydanie opracowań spoczywa w maszynopisach, nie mogąc uzyskać pozwalającej na druk pieczętki cenzury. Wśród tych prac na szczególną uwagę zasługują Anny Radziwiłł „Ideologia wychowawcza sanacji i jej odbicie w polityce szkolnej w latach 1926-1939” (1966), Jacka Majchrowskiego dwuczęściowa praca o Stronnictwie Pracy (częściowo wydana w 1979 r.) i ONR-Falandze: obszerna monografia Stronnictwa Pracy (1937-1950) pióra Waldemara Bujaka.

Nie osiągnięto imponujących rezultatów w badaniach nad mniejszościami narodowymi, choć ukazały się Stanisława Potockiego „Położenie mniejszości niemieckiej w Polsce 1918-1939” (1969), B. Szczesniaka i W. Szoty „Droga do nikąd. Działalność Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów”; wydana w 1973, książka ta rychło została wycofana z księgarni i bibliotek i należy obecnie do wielkich rzadkości, M. Papierzyńskiej-Turek „Mniejszość ukraińska w Polsce 1918-1939” (1979).

Opublikowano biografie Norberta Barlickiego pióra Jana Tomickiego (1969), Wincentego Witosa — Andrzeja Zakrzewskiego (1977) Wojciecha Korfatego — Mariana Orzechowskiego (1974), Stefana Starzyńskiego — Mariana M. Drozdowskiego (1976), Władysława Sikorskiego — Romana Wapińskiego (1978), bardziej popularną biografię Romana Dmowskiego — Andrzeja Micewskiego (1971). Niedokończoną biografią Piłsudskiego są w istocie wspomniane książki A. Garlickiego.

Szereg interesujących artykułów, przyczynków i dokumentów opublikowano we wspomnianych pismach historycznych, do których przybyła w 1969 seria pt. „Warszawa II Rzeczypospolitej 1918-1939”.

Minimalnie posunęły się studia nad polską polityką zagraniczną. O książce Moczulskiego była już mowa. W 1975 Stanisław Sierpowski ogłosił syntezę „Stosunki polsko-włoskie w latach 1918-1940”, a w 1972 Piotr Łossowski „Kraje bałtyckie... 1918-1934”. Wyprzedzały one do dziś nie istniejące pełne omówienie stosunków polsko-radzieckich, polsko-brytyjskich, polsko-francuskich, polsko-czechosłowackich itp. Powstały natomiast ujęcia mniej generalne, wśród których na szczególną uwagę zasługuje Adolfa Juzwenki „Polska a biała Rosja” (1973).

Brak dotychczas poważnej monografii poświęconej Kościołowi rzymsko-katolickiemu (książka W. Mysłka na miano poważnej naukowej monografii nie zasługuje, choć zawiera sporo informacji rzeczowych). Prawie nic nie wiemy o sytuacji innych kościołów (grecko-katolickiego, ewangelickiego, prawosławnego). Wiedza o mniejszościach narodowych jest nadal fragmentaryczna (szczególnie o Żydach i Białorusinach). Brakuje opracowań ruchu młodzieżowego, zarówno związanego z partiami politycznymi, jak i pozapartyjnego (np. harcerstwa). Z przyczyn chyba przede wszystkim cenzuralnych nie mamy i prawdopodobnie długo mieć nie będziemy krytycznego, a zarazem rzetelnego studium modelu ideowego i polityki KPP.

„Niewiele też wciąż wiemy o świadomości politycznej społeczeństwa w interesującym nas okresie — piszą A. Garlicki, T. Nałęcz i W. Władyka — ani też o funkcjonowaniu struktur politycznych (państwo, partie polityczne). Chodzi też o odpowiedzi na pytania dotyczące źródeł postaw politycznych, stanu kultury politycznej, horyzontów obywatelskich i światopoglądowych — traktowanych nie tylko w wymiarze partyjnym, ale szerzej — w odniesieniu do całego społeczeństwa” (*Przegląd historyczny* 3/1978). W pewnym zakresie badania nad tą problematyką podjął zespół Henryka Zielińskiego. Pierwsze wyniki pracy zespołu znalazły odzwierciedlenie w tomikach „Polska myśl polityczna XIX i XX wieku”.

Wszystkie wymienione tu braki w opracowaniach szczegółowych wpływają na kształt powstających syntez. Dotychczas powstało ich kilka. W 1969 Henryk Zieliński opublikował „Historię Polski 1864-1939”, sumującą stan badań z lat 1956-1969. W 1976 próby syntezy podjął się Antoni Czubiński (w „Dziejach Polski” pod red. Topolskiego). Najobszerniejszą, a zarazem najlepszą (choć mającą braki) syntezę ogłoszono w 1978 roku. Opracowana została przez wielu autorów jako tom IV część II, III i IV (łącznie ponad 2.000 stron) „Historii Polski” przygotowywanej przez Polską Akademię Nauk (cz. I tomu IV wyszła w

1969). Niestety, książkę wydrukowano na prawach rękopisu w 1.000 egzemplarzach. Trafiła przeto jedynie do bibliotek specjalistycznych. Na wolnym rynku nie była sprzedawana i nie wiadomo, czy doczeka się normalnego wydania. W dwa lata później Andrzej Ajnenkiel, jeden z autorów wspomnianej syntezy, opublikował obszerne dzieło „Polska po przewrocie majowym 1926-1939”, będące kontynuacją „Od rządów ludowych do przewrotu majowego” (wyd. III po wielu latach przerwy w 1977). Do rąk uprzywilejowanych czytelników trafił już „Zarys historii Polski” pod redakcją J. Tazbira (autorem części dotyczącej lat międzywojennych jest M. M. Drozdowski). Problemy XX wieku zostały tu omówione w sposób pozostawiający wiele do życzenia, nawet przy uwzględnieniu obowiązujących ograniczeń cenzuralnych. Część dotycząca Polski niepodległej nie jest jeszcze najgorsza, ale nie jest też dobra.

We wspomnianych tu monografiach i syntezach zwraca uwagę brak polaryzacji poglądów historyków. Różnią się oni sympatiami, rozłożeniem akcentów, dyskutują o interpretacji zjawisk szczegółowych, w ocenach generalnych są jednak zasadniczo jednomyślni. Wszyscy przyznają szczególne znaczenie II Rzeczypospolitej dla rozwoju narodu polskiego, akcentują dorobek pokolenia tworzącego Niepodległą, odrzucają twierdzenia o faszystowskim charakterze Polski pomajowej, choć jedni są bardziej pro-, inni bardziej antysanacyjni. Nie zaznaczyły się jak dotąd sympatie proendeckie, choć u wielu badaczy widać sympatie dla socjalistów, ludowców, piłsudczyków i innych działających wówczas ugrupowań. W środowisku jedynym bodaj i to bardzo agresywnym *enfant terrible* jest Jan Borkowski, który, zajmując skrajnie antypiłsudczykowskie stanowisko, paradoksalnie łączy sympatie dla KPP z antyżydowską i antyukraińską ksenofobią (por. jego artykuły w *Trybunie Ludu*, wypowiedź w *Sztandarze Młodych*, napisany przezeń rozdział w cytowanej PAN-owskiej „Historii Polski”).

Monografie szczegółowe, a także najlepsze syntezы wydawane są w niewielkich nakładach. Np. wspomniana książka Pajewskiego — 3.000, Holzera „Mozaika” — 5.000, Garlickiego „Źródła...” — 5.000 (wyd. II — 5.000), Ajnenkiela „Parlamentaryzm...” — 10.000, tegoż „Polska po przewrocie...” rzekomo 30.000. Trudności w zdobyciu książki pozwalają wątpić, czy całość nakładu została skierowana do księgarń. Znane są przypadki przetrzymywania znacznej części nakładu nawet przez wiele lat. Oznacza to, że książka dotycząca historii dwudziestolecia

jest rarytatem, wykupywanym przeważnie przez specjalistów i znawców, którzy często korzystają ze znajomości w księgarniach. Wiele książek dotyczących omawianego problemu osiąga zawrotne sumy na czarnym rynku: Pajewski — 800 zł (cena oficjalna 120), Holzera „Mozaika” — 500 zł (cena oficjalna 70), Garlickiego „U źródła...” i „Przewrót”... — po 700 i 500 zł (cena oficjalna 80 i 50 zł). Świadczy to o zapotrzebowaniu na te książki, które rzadko doczekują się wznowień.

Przeciętny obywatel polski rzadko dociera do wymienionych prac. Jego obraz przeszłości kształtuje przede wszystkim telewizja, w mniejszym stopniu radio i codzienna prasa. Każdy młodzienc przechodzi kurs historii w szkole, na ile tendencyjny pisał Bogdan Cywiński w „Zatrutej humanistyce”. Nie widzę potrzeby powtarzania wniosków Cywińskiego. Zaznaczyć wszakże wypada, że historii najnowszej młodzież uczy się z podręcznika Romana Wapińskiego. Jako badacz jest on cenionym i rzetelnym znawcą dziejów Narodowej Demokracji, jednakże jego podręcznik oderwany jest całkowicie od stanu wiedzy fachowej. Oceny i interpretacje, którymi karmi się młodzież, dawno już porzucone zostały przez historyków. Nauczyciele rzadko kiedy czytają monografie szczegółowe (bo nie mają czasu i trudno je kupić), nie potrafią tedy prostować błędów podręcznika. Ponadto narzucane równolegle do podręcznika programy wyrażają tendencję często przypominającą lata 50-te. Spustoszeń zawinionych przez szkołę nie naprawia telewizja, radio, prasa, gdyż upowszechniany tam obraz dziejów jest tak oderwany od rzeczywistości, że trudno go uważać za popularyzację wiedzy. W latach 70-tych poziom publicystyki historycznej znacznie się obniżył. Problemy Polski niepodległej rzadko pojawiają się na łamach takich pism jak *Kultura, Literatura, Polityka*; dział historyczny *Perspektyw* utrzymany jest na niskim, sensacyjnym poziomie. Sytuacja ta wynika również z przyczyn obiektywnych. Wobec pojawiania się znacznej liczby opracowań naukowych, publicystyka nie znajduje możliwości budowania śmiałych tez, odkrywczych sądów. Staje się coraz bardziej popularyzacyjną, a ta rola jest mniej atrakcyjna. Ponadto okres międzywojenny przechodzi do przeszłości zamierzchłej. Nie wzbudza już wielkich kontrowersji i sporów, przestaje się liczyć w grze politycznej. Do aktywnego życia wchodzi roczniki Polaków, których rodzice nie pamiętają już z autopsji Polski niepodległej. Jej dzieje przestają być zatem dla coraz większej części obywateli historią najnowszą.

Z K

Płk prof. dr hab. Kazimierz SOBCZAK

O CAŁĄ PRAWDĘ DLA HISTORII

Poniższy artykuł ukazał się w osławionym *Żołnierzu Wolności* z dn. 7/8 lutego br. Ilustruje on doskonale poglądy partii na historię oraz poziom — pozał się Boże — pułkowników, profesorów i doktorów hab., którzy jak dotąd bezkarnie kompromitują polską naukę (REDAKCJA).

Dzieje narodowe, zwłaszcza najnowsze, ujmowane przez naukę i prezentowane w procesie dydaktycznym, zawsze wywoływały emocje, polemiki, spory i dyskusje naukowe, kontrowersje. Zjawisko to obserwowane w każdej epoce nie omija także okresu Polski Ludowej. Jest to zjawisko pozytywne. Pozwala bowiem głębiej wniknąć w procesy dziejowe, lepiej poznać motywacje postępowania poszczególnych grup, klas i partii oraz będących ich reprezentacją rządów.

Badania nad historią najnowszą i współczesną, wydarzeń i faktów dopiero co dokonanych lub wciąż „żywych” procesów przy braku tak koniecznej perspektywy i braku dostępu do większości źródeł, mają swoją specyfikę. Jedną z nich jest to, że nie wszystkie uzyskiwane wyniki badań i oceny, często nawet uznawane za ostateczne i wprowadzane do procesu dydaktycznego w szkole, ostają się próbie czasu. Zjawisko to jest pewnego rodzaju prawidłowością w badaniach nad historią najnowszą i współczesnością. Przy wszystkich trudnościach, z jakimi spotyka się historyk — badacz czy nauczyciel, z historii najnowszej, jako przedmiotu badań i dyscypliny szkolnej, nie rezygnowało w przeszłości i nie rezygnuje żadne współczesne społeczeństwo i państwo.

Historia w ogóle, a zwłaszcza najnowsza i współczesność zajmują w całokształcie wychowania młodzieży miejsce szczególne. W szkole jako doniosłej placówce dydaktycznej znajdują swoje odbicie zarówno pozytywne, jak i negatywne zjawiska zachodzące w naszym życiu społecznym i politycznym. Na tym m.in. osadza się więź szkoły z życiem narodu i państwa.

Problem nauczania historii w szkole omówił ostatnio prof. dr Marian M. Drozdowski w wywiadzie dla „Zwierciadła” (1981 nr 3). Wypowiedź zatytułowana „Prawda dla historii” podyktowana jest głęboką troską przewodniczącego Komisji Dydaktycznej Polskiego Towarzystwa Historycznego o aktualny stan tego przedmiotu w szkole, o poziom merytoryczny i wartości podręczników. Nie jest to pierwszy głos w obronie „historii” jako przedmiotu szkolnego zwracający uwagę opinii społecznej odnośnie miejsca, treści i sposobu przekazywania wiedzy historycznej młodzieży. Niepokój ten wyrażają także działacze społeczni, co znalazło odbicie w jednej z ostatnich interpelacji poselskich w czasie debaty sejmowej. Ten nurt publicznej dyskusji zasługuje na wnikliwą uwagę, zwłaszcza że poprawki i uzupełnienia programów oraz doskonalenie i częściowa zmiana podręczników (przede wszystkim dla klas starszych) wysuwa się jako zadanie pilne.

M. M. Drozdowski główny tok swych rozważań sprowadził do kategorii prawdy, wskazując, że przywrócenie właściwej dla tej kategorii wartości warunkuje zmiany w programach i zapewnia szeroką interpretację treści. Trudno nie zgodzić się z tym punktem widzenia, zważywszy że konsekwentne dążenie do prawdy, do bezstronnego badania procesów społecznych i ich prezentowania w procesie dydaktycznym, stanowi podstawową dyrektywę marksistowsko-leninowskiej metodologii. Nie ma jednak badań czy dydaktyki bez wartościowania. Ideologicznie nie zaangażowanej historii najnowszej nie ma (tak jak i innych nauk społecznych). Głęboka znajomość teorii badań społecznych, dojrzałość polityczna badacza czy nauczyciela, ich wiedza i erudycja określają w decydującej mierze wybór tematów badawczych i dydaktycznych oraz ich interpretację. Szczególne znaczenie ma to przy tematach budzących spory o ich miejsce i ocenę w dziejach narodu, klasy, partii, państwa. Powiązanie z potrzebami szeroko zrozumianej praktyki społecznej, w tym także potrzebami kształtowania osobowości obywatela państwa socjalistycznego. Kształcenie i wychowanie jest zawsze konkretne, prowadzone jest w określonym czasie i dotyczy konkretnych ludzi; jest więc historyczne, społeczne i osobowościowo zdeterminowane. W tym procesie nauczyciel był i pozostaje centralną figurą. Od jego wiedzy i kompetencji, postawy ideowo-moralnej i stosunku do ucznia zależy w dużym stopniu sukces wychowawczy. Wywieranie nacisków metodą administracyjną, ograniczanie autonomii nauczyciela, sprowadzenie wychowania do wąsko pojętych aktualnych potrzeb nie przynosi oczekiwanych wyników.

Wypowiedź prof. Drozdowskiego, podyktowana troską o prawdę, zawiera generalny zarzut, że historia posługiwała się kłamstwem. Z tak ciężkim zarzutem nie zgodzi się żaden nauczyciel historii. Raczej możemy mówić, że zachwiane były proporcje, tzn. o jednych faktach mówiło się wiele, a o innych mniej. Były także takie, które przemilczano. Ale przecież jest powszechnie

wiadomo, że proporcje były i są zawsze dyskusyjne. Każde bowiem pokolenie patrzy na swą przeszłość inaczej, jedne fakty eksponuje, inne pozostawia w cieniu. Niezależnie od tego, co byśmy na ten temat powiedzieli, tak było i tak pozostanie. Chodzi o to, aby ilość „białych plam” w historii szkolnej była jak najmniejsza. Ale takiej pewności nikt nie ma. Proces badawczy w dziedzinie historii w ogóle, a najnowszej w szczególności jest stałym dążeniem do prawdy. Ważne jest, aby w programach i podręcznikach znajdowały swoje odbicie najszerze badania i osiągnięte wyniki. A z tym rzeczywiście bywa różnie.

Autor wypowiedzi, jakkolwiek zaznaczył, że szuka prawdy dla historii, nie ustrzegł się w części faktograficznej jednostronności, żeby nie napisać tendencyjności. Weźmy problem ruchów lewicowych w Polsce. Prof. Drozdowski pisze: „Grupa sprawiedliwych była dotąd (tzn. w programach i podręcznikach — K.S.) bardzo mała. Włączono do niej Wielki Proletariat, Socjaldemokrację Królestwa Polskiego i Litwy, częściowo PPS-Lewicę, która połączyła się z Komunistyczną Partią Robotniczą Polski, i komunistów. Wszyscy inni byli naznaczeni anatemą ideologii burżuazyjnej”. Chyba autor sam nie wierzy w to, co powiedział. Z kontekstu wypowiedzi wynika jednak, że chodzi tu o sprawę bardziej zasadniczą, o przeciwstawienie najradykalniejszemu ruchowi społecznemu, od Pierwszego Proletariatu poczynając, poprzez Komunistyczną Partię Polski do Polskiej Partii Robotniczej — całego ruchu socjalistycznego. Wskazuje na to cały wywód dotyczący powstania PPS, a także przykładowo podane nazwiska: Kelles-Krauz, Abramowskiego, Dąbskiego, Daszyńskiego i innych. Każdy zorientowany w problematyce czytelnik mógłby listę tę powiększyć i upomnieć się o L. Waryńskiego, J. Marchlewskiego, C.W. Wojnarowską, M. Koszutską (W. Kostrzewa), M. Nowotkę, P. Findera, B. Bieruta i wielu innych, którzy wnosili na polski grunt idee marksizmu-leninizmu, przeciwstawiali się nacjonalistycznym tendencjom w PPS, opowiadali się za współpracą z rosyjskim rewolucyjnym ruchem robotniczym, stawiali na czele walki narodowo- i społeczno-wyzwoleńczej w latach drugiej wojny światowej, budowali zręby Polski Ludowej. Autorowi wypowiedzi chodzi o ożywienie kultu Piłsudskiego w kontekście aktualnej sytuacji kraju. Wykorzystuje się w tym celu jego socjalistyczny rodowód i „niepodległościowy” mit (tradycje). Należy tu stwierdzić, że polska historiografia, szczególnie zaś badania A. Garlickiego, wyraźnie wskazuje, że Piłsudski od swego rodowodu socjalistycznego oderwał się nie tylko w deklaracjach słownych, ale przede wszystkim w praktyce politycznej. Jego autokratyczne rządy stały się w polityce wewnętrznej zaprzeczeniem demokracji, a w polityce zagranicznej doprowadziły do klęski wrześniowej. W tej sytuacji przypomnienie daty 11 listopada nie ma żadnego sensu historycznego. Rząd polski, jako pierwszy wyraz powstania państwa, już w tym czasie istniał, a całe kon-

cepcje niepodległościowe Piłsudskiego zostały historycznie skompromitowane. Główny historyczny moment Piłsudski przesiedział w więzieniu u swojego byłego sojusznika. Nie mówiono o tym w szkole. A szkoda. Należy sądzić, że teraz się o tym powie. Trudno bowiem zgodzić się, by w naszej szkole szerzyć kult J. Piłsudskiego, czy usprawiedliwiać sanację i będących jej reprezentacją rządów za politykę wewnętrzną i zewnętrzną; nie da się także zdjąć z nich odpowiedzialności za klęskę wrześniową 1939 roku. Cechą szczególną całego tego nurtu, któremu przewodził J. Piłsudski, była wręcz nienawiść do Rosji, przeniesiona na Związek Radziecki. W swej polityce rzeczywisty interes narodowy podporządkowano antykomunistycznej ideologii polskich klas rządzących. Jakie wobec tego miejsce w szkole ma zajmować ten nurt? Zdajemy sobie przecież sprawę z tego, że manifestacje propiłsudczykowski organizowane przez wrogie socjalizmowi i Polsce Ludowej siły mają na celu nie składanie hołdu, ale rozbudzanie w społeczeństwie opartych na historii antyradzieckich uczuć, a tym samym podważanie jednego z najważniejszych czynników naszego rozwoju i bezpieczeństwa — sojuszu polsko-radzieckiego. Historia nie może służyć osłabianiu morale społeczeństwa, ale powinna je wzmacniać. Prawdą jest to, że brak, a raczej unikanie klasowej interpretacji naszych dziejów (stanowi to podstawowe wymaganie metodologii marksistowsko-leninowskiej), powoduje utrzymywanie się mitów i legend.

Do nich należą także geneza i czynniki sprawcze odzyskania niepodległości przez naród polski w 1918 roku oraz data powstania państwa polskiego. Prof. Drozdowski na ten temat powiedział: „Innym przykładem uproszczeń jest interpretacja genezy i znaczenia niepodległości w 1918 roku. W niektórych rejonach młodzież spontanicznie święciła dzień 11 listopada. Ja spokojnie patrzę na tę reakcję. Młodzież chce jak gdyby dać w ten sposób do zrozumienia, że nie przyjmuje schematycznej tezy o tym, iż niepodległość została Polsce ofiarowana”. Przypomnijmy za polską historiografią, że czynnikiem decydującym o odzyskaniu niepodległości po 123 latach niewoli była nieustępliwa, podtrzymana przez kilka pokoleń wola narodu polskiego do życia we własnym niepodległym państwie i jego ciągła walka przybierająca różne formy od końca XVII wieku do trzech powstań śląskich. Dążenia te i wysiłki bez korzystnego układu sił międzynarodowych nie były w stanie doprowadzić do osiągnięcia celu. Takie warunki stworzyła przede wszystkim Wielka Rewolucja Październikowa i będąca jej następstwem fala ruchów rewolucyjnych, która ogarnęła także pozostałych dwóch zaborców. Drugim czynnikiem zewnętrznym było rozbitcie koalicji państw centralnych oraz będący tego rezultatem upadek cesarstwa niemieckiego i austro-węgierskiego.

Narodowi polskiemu nikt niepodległości nie ofiarował, jak twierdzi autor wypowiedzi. Takiego poglądu w żadnej poważnej

pracy historycznej czytelnik nie znajdzie. Trudno też znaleźć stwierdzenie, że sytuacja międzynarodowa stworzyła tylko możliwość. Polska odzyskała niepodległość i utworzyła niepodległe państwo na fali powstawania wielu narodowych państw w Europie, choć miało to swoją specyfikę. Do niej należało m.in. istnienie Polskiej Siły Zbrojnej, wyrosłej na gruncie Legionów Polskich, Polskiej Organizacji Wojskowej oraz Armii Polskiej we Francji. Ten fragment dziejów wojskowości polskiej należy do najsłabiej opracowanych i dlatego brak o nim rzetelnej informacji w podręcznikach. Opracowanie naukowe pozwoli na ukazanie roli tych związków, jako jednego z ogniw walk narodowowyzwoleńczych i uwolnienie od brązu, jakim pokryła je (zwłaszcza Legiony) historiografia Drugiej Rzeczypospolitej. Czytając tę literaturę, rzeczywiście odnosi się wrażenie, że to one, a zwłaszcza Legiony, przekształciły tę „możliwość” w rzeczywistość.

„Dla młodzieży — mówi prof. Drozdowski — nie zawsze znającej dobrze ten skomplikowany okres, nazwiskiem, które symbolizuje te postawy, jest Józef Piłsudski i jego przybycie 10 listopada do kraju oraz przejęcie z rąk Rady Regencyjnej władzy wojskowej w dniu 11 listopada, później pełnej władzy 14 listopada”. Jeżeli o prawdę historyczną chodzi, to datą powstania Republiki Polskiej jest noc z 6 na 7 listopada. W tym dniu powstał w Lublinie Tymczasowy Rząd Ludowy, na którego czele stanął Ignacy Daszyński. Wprawdzie nie był to jeszcze rząd ogólnokrajowy, ale data ta zamyka okres Polski rozbiorowej. Data 11 listopada 1918 roku jest związana z podpisaniem kapitulacji przez Niemcy. Przejęcie bowiem części władzy przez Piłsudskiego nie może być uważane za datę przełomową. Taką mogłaby być, co znajduje swoje uzasadnienie w faktach, data 14 listopada. Sanacja dacie 11 listopada nadała rangę symbolu. Przemyslnie przyjęto tę datę jako powstanie państwa polskiego, gdyż to pozwalało odciąć się całej klasie rządzącej, a poprzez szeroką propagandę także ogółowi społeczeństwa od idei pierwszego rządu ludowego i wprowadzać do świadomości historycznej „czyn legionowy” jako jedyny czynnik odzyskania niepodległości. Cały ten kierunek nazwano także „niepodległościowym”. Wojna polsko-radziecka — 1920 roku, przewrót majowy 1926 roku wyznaczały etapy rosnącego mitu o Naczelniku Państwa. Podtrzymywanie obecnie przez niektóre kręgi tej daty jest w wielu przypadkach nieświadome, wynikające z poczucia tradycji, ale kiedy dochodzi do demonstracji, historia ustępuje miejsca współczesności, staje się okazją do zademonstrowania więzi uczuciowych z nurtem „niepodległościowym” — piłsudczyzną. Przewodzi temu przede wszystkim nielegalna Konfederacja Polski Niepodległej oraz Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela współdziałający z różnymi ośrodkami emigracji politycznej tzw. obozu londyńskiego.

Powstaje zatem pytanie retoryczne, czy o taką historię chodzi

nam w szkołach. Odpowiedź jest tu oczywista. Podejmowanie tego problemu przy każdej kolejnej rocznicy odzyskania niepodległości ma charakter polityczny. Dziś bowiem prawda o tamtym okresie, z pewnością bardziej zróżnicowana niż w pierwszych latach Polski Ludowej, jako problem zamknięty, powinna przechodzić do historii, a nie rozpalać namiętności. Praktyka polityczna wskazuje, że tak jeszcze nie jest. Czyżby perspektywa była wciąż za mała, czy też o inne sprawy chodzi?

Pytanie to można rozciągnąć także na problematykę drugiej wojny światowej, która zdaniem autora wypowiedzi również została w znacznej części zafałszowana: „nie pokazano pełni prawdy — mówi on — o stosunkach międzynarodowych Polski, o związkach z antysocjalistycznymi praktykami, metodach polityki, której symbolem był stalinizm, kult jednostki odrzucony na XX Zjeździe KPZR”. W okresie hitlerowskiej agresji i wyjątkowo terrorystycznej, ludobójczej okupacji naród polski wykazał szczególne zdolności obronne, wysoki poziom poczucia godności i świadomości patriotycznej. Cały naród stanął wówczas do walki o swą niepodległość. Czyn zbrojny stał się patriotycznym obowiązkiem i nakazem. Żołnierski udział w walce przeciwko najazdowi, a później walka w ruchu oporu w okupowanym przez hitlerowców kraju i poza jego granicami, walka w regularnych formacjach wojskowych formowanych u boku Francji i Wielkiej Brytanii, a przede wszystkim u boku Związku Radzieckiego, składają się na pojęcie Wojny Wyzwoleńczej Narodu Polskiego. I te problemy są w polskiej nauce historycznej należycie już opracowane, znajdują swoje odbicie w programach i podręcznikach. Myślę jednak, że ze względu na doniosłość tego okresu w najnowszych dziejach naszego narodu, szkoła powinna, zgodnie z historyczną prawdą, poświęcić Wojnie Wyzwoleńczej Narodu Polskiego chyba trochę więcej miejsca. Sprawa polska w polityce wielkich mocarstw to druga strona medalu, należąca do zewnętrznych czynników odzyskania niepodległości. Z wydanych dokumentów i opracowań wynika jednoznacznie, że głównym rzecznikiem polskiej sprawy narodowej, niepodległości i granic był Związek Radziecki. Stał on zawsze na gruncie niepodległego państwa polskiego, prezentując to stanowisko zarówno w rozmowach dwustronnych polsko-radzieckich, jak wielostronnych na spotkaniach z szefami rządów USA i Wielkiej Brytanii (Teheran, Jałta, Poczdam).

Historiografia radziecka dała także rzetelną interpretację niemiecko-radzieckiego paktu o nieagresji podpisanego w warunkach wymuszonych przez politykę rządów Francji i Wielkiej Brytanii, 23 sierpnia 1939 roku. Był on ostatecznym wyjściem z konkretnej sytuacji, kiedy czyniono wszystko, by agresję hitlerowskich Niemiec skierować przeciwko ZSRR. W podobny sposób postąpiłoby każde inne państwo. Dodajmy, że rząd ZSRR niejednokrotnie proponował udzielenie Polsce pomocy militarnej

na wypadek agresji niemieckiej, ale rząd był w swych poglądach ideologicznych nieustępliwy, licząc na pomoc Francji i Wielkiej Brytanii. Rządy te, jak wiadomo, wypowiedziały wprawdzie Niemcom wojnę, ale wycofały się 12 września 1939 roku z przyjętych na siebie zobowiązań sojuszniczych. W grę wchodził bowiem ich własny interes. W połowie września było jasne, że zapowiadany front przeciwniemiecki na Zachodzie nie powstanie, zarysowała się realna możliwość zajęcia przez Niemcy całej Polski. W takiej sytuacji wkroczenie 17 września oddziałów Armii Czerwonej na tereny zachodniej Białorusi i zachodniej Ukrainy było podyktowane względami bezpieczeństwa ZSRR, a także, co potwierdził późniejszy bieg wydarzeń, potrzebami wojny jako całości. Nie miało to bardziej istotnego wpływu na dalszy przebieg wojny niemiecko-polskiej. Z perspektywy ponad 40 lat szerzej spoglądamy na międzynarodowe uwarunkowania wojny obronnej narodu polskiego i trzeba o tym mówić także w szkole bez sensacji i politycznych zabarwień współczesnych.

Losy narodu polskiego w latach drugiej wojny światowej toczyły się różnymi torami, co dość plastycznie pokazano m.in. w filmie „Do krwi ostatniej”. Nie zostały one pominięte także w badaniach naukowych, o czym wie również autor wypowiedzi. Powinny też być ujęte w podręcznikach szkolnych. Inne kwestie należały do wewnętrznych spraw ZSRR i mogą być rozpatrywane w powiązaniu z wojennymi bohaterskimi dziejami narodów radzieckich. Tereny zachodniej Białorusi i zachodniej Ukrainy, które ma na myśli autor wypowiedzi, wchodziły w skład Białoruskiej i Ukraińskiej Republiki Radzieckich i stanowią organiczną część ich wojennej historii. Historyk powinien także pamiętać, że kilkumilionowa rzesza Polaków w ZSRR nie była bezczynna. Pracowali w radzieckim przemyśle, rolnictwie, kulturze. Kilka tysięcy Polaków znalazło się w radzieckim ruchu oporu. Stanowili oni także bazę rekrutacyjną dla Armii Polskiej w ZSRR (1941-1942), dla dywizji kościuszkowskiej, korpusu i Armii Polskiej w ZSRR powołanej w marcu 1944 roku, która wraz z Armią Radziecką, w pełni uzbrojona i wyposażona przez rząd radziecki, wkroczyła na ziemie polskie i stanowiła główne ogniwo utworzonego 22 lipca 1944 roku ludowego Wojska Polskiego. Roli Związku Radzieckiego jako głównego czynnika zewnętrznego w Wojnie Wyzwoleńczej Narodu Polskiego programy i podręczniki szkolne poświęcają sporo uwagi. Jest to zrozumiałe, jeżeli się uwzględni fakt, że w czasie tej wojny ukształtował się nowy typ stosunków polsko-radzieckich, że polsko-radzieckie braterstwo broni było w warunkach wojny najpełniejszą wykładnią tego sojuszu, że współcześnie stanowi on główny zewnętrzny czynnik naszego rozwoju i obronności.

Tej prawdziwej historycznej, tak jak i tej, że w warunkach toczącej się wojny siły ludowo-demokratyczne pod kierownictwem Polskiej Partii Robotniczej wypracowały koncepcję ludo-

wej państwowości polskiej, najpełniej odpowiadającą żywotnym interesom narodowym, nie da się przeciwstawić jakiegokolwiek innej koncepcji niepodległościowej. A były takie i trzeba w szkole z pewnością o nich mówić więcej, dając jednocześnie zgodną z procesem historycznym interpretację. Specyfika naszej Wojny Wyzwoleńczej polegała m.in. na tym, że ścierały się dwie koncepcje niepodległościowe: zachowawcza i rewolucyjna, że ostrym zderzeniem tych dwóch koncepcji było także Powstanie Warszawskie.

Dziś polska nauka historyczna, dysponująca różnymi źródłami, studiami i opracowaniami, daje w miarę pełną ocenę tego największego zbrojnego i zarazem bohaterskiego i tragicznego zrywu społeczeństwa Warszawy przeciwko zniechęconemu okupantowi hitlerowskiemu. Stanowi ono ważną część Wojny Wyzwoleńczej Narodu Polskiego i tak też widzimy jego miejsce w szkole. Ze względu jednak na to, że było ono z politycznego punktu widzenia pomyślane jako przeciwwaga dla Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, pochłonęło prawie 200 tysięcy ofiar i znaczną część stolicy, obciąża odpowiedzialnością za niefortunny wybór momentu wybuchu i poniesione straty rząd emigracyjny, jego Delegaturę i Komendę Główną Armii Krajowej, stanowi wciąż przedmiot sporów i kontrowersji natury czysto politycznej. Chodzi bowiem o to, czy Armia Radziecka mogła udzielić powstańcom większej pomocy i czy mogła wyzwolić stolicę latem 1944 roku. Niezależnie od tego, że nauka polska odpowiedziała, że nie było takich możliwości, Powstanie Warszawskie, nad czym trzeba ubolewać, stało się narzędziem walki politycznej o wymowie współczesnej. Z tego m.in. względu szkoła powinna pokazać całą prawdę o powstaniu, tzn. ukazać jego dwa aspekty — narodowowyzwoleńczy i polityczny. Bez tego będzie to zawsze tylko część prawdy.

Trzeba zgodzić się z prof. Drozdowskim, że do najsłabiej opracowanych okresów naszej historii należą dzieje Polski Ludowej. Autor wypowiedzi stwierdza, że „Deformacje typu polityczno-propagandowego szły tu szczególnie głęboko i interpretacje wydarzeń historycznych musiały odpowiadać punktowi widzenia aktualnej ekipy”. Słabość współczesnych dziejów dotyczy wszystkich krajów i państw i nie widzę w tym specyfiki polskiej. Natomiast prawdą jest, że powstanie ludowego państwa polskiego było wynikiem realizacji myśli państwowej polskiej lewicy społecznej, której najbardziej radykalnym skrzydłem byli komuniści. Było ono zespoleniem interesów ogólnonarodowych z interesem klasy robotniczej, chłopstwa i innych warstw ludzi pracy. Było wydarzeniem rewolucyjnym. I tego w żadnym wypadku ani pomniejszać, ani pomijać nie można. Polska Ludowa jest uwięzieniem walki wielu pokoleń bojowników ruchu robotniczego, ludowego i demokratycznego. Złożyła się na to działalność wielu organizacji i działaczy. Oprócz w/w można dodać: Kasprzaka,

Dzierżyńskiego, Krzywickiego, Fornalską, Zawadzkiego, Wasilewską, Niedziałkowskiego, Duboisa, Próchnika, Kowalskiego, Kamińskiego, Korzyckiego, Banacha i wielu, wielu innych. Prawdą jest, że rola chłopstwa w dziejach naszego narodu, ludowego ruchu, od jego narodzin po współczesność, nie zajmuje właściwego miejsca w dydaktyce szkolnej. To zaniedbanie trzeba szybko nadrobić. Natomiast odrodzona Polska Partia Socjalistyczna posiada bogatą literaturę naukową, słabiej jednak jest ujmowana w podręcznikach. W żadnym przypadku nie można przeciwstawiać ruchu socjalistycznego ruchowi komunistycznemu. Zjawisko takie bowiem nie występowało w dziejach Polski Ludowej. Nauczanie jednak historii z punktu widzenia „aktualnej ekipy” rządzącej świadczy o słabości przedmiotu i nauczycieli. Pewnym wyjaśnieniem, ale nie usprawiedliwieniem, może być fakt, że badania nad dziejami Polski Ludowej rozwinęły się nie tak dawno, że brak wypracowanych metod nauczania i wreszcie przy nauczaniu dziejów Polski Ludowej wchodzimy w sferę procesów nie zakończonych, trwających, żywych. Ale nie jest to zjawisko czysto polskie. Nie można też dostrzegać w tym tylko wpływu ujemnego na młodzież.

Dzieje Polski Ludowej wiążą uczniów z aktualnym etapem budownictwa socjalizmu, wszystkimi towarzyszącymi temu procesowi zjawiskami pozytywnymi i ujemnymi, pozwalają młodzieży utożsamiać się z Polską socjalistyczną. Jest to niewątpliwie przedmiot trudny, wymagający od nauczyciela zarówno wiedzy, jak i przede wszystkim ideowej postawy. Dlatego też należy zgodzić się z prof. Drozdowskim, kiedy mówi o potrzebie zbliżenia się nauczycieli historii do historyków-badaczy. Różnorodne wątpliwości natomiast wzbudzają inne tezy. Przeczą one bowiem tak pięknie zatytułowanej wypowiedzi — prawda dla historii.

Płk prof. dr hab. Kazimierz SOBCZAK

WSPOMNIENIA

Gen. dyw. Michał TOKARZEWSKI-KARASZEWICZ

U PODSTAW TWORZENIA ARMII KRAJOWEJ*

Po Montrealu i Nowym Jorku mam po raz trzeci możliwość wypowiedzenia się na temat pracy, którą podjąłem z końcem września 1939 roku. Dziękuję za to Zarządowi Klubu Dyskusyjnego Spraw Krajowych na ręce naszego dzisiejszego przewodniczącego.

Przypuszczam, że koledzy i w ogóle ci, których ten temat interesuje jako epizod naszej historii woleliby, abym go napisał. Byłoby to na pewno lepsze niż odczyt czy przemówienie, a dając szerszy rzut oka na zagadnienia, nie ograniczając ujęcia do tych paru kwadransów, w których można liczyć na pobłażliwą cierpliwość audytorium, stworzyłoby w szeregu istniejących już na ten temat publikacji jeszcze jeden element do studiów, ocen a przede wszystkim wniosków. Fakt że tak nie jest wynika z dwóch „opórów” w moim charakterze i naturze. Nie lubię rzeczy robionych bez dostępnego maksimum ścisłości i wyczerpania wszechstronnie tematu, a na to ani po wyjściu z więzienia na Łubiance w lecie 1941 roku, ani po wylądowaniu na tych wyspach w 1946 roku nie miałem czasu ani warunków. Na ogół jednak większość z nas uważa — i słusznie — że jak się chce naprawdę, to prawie zawsze i wszystko można zrobić. I tutaj wchodzi w grę ten drugi mój „opór”. Przyznaję się szczerze — nie bardzo chciałem pisać na ten temat. Nie uważam się za skromnego, ale mam odrazę do ująć choćby pozornie egocentrycznych. Z drugiej strony nie

* Odczyt gen. dyw. Michała Tokarzewskiego-Karaszewicza, wygłoszony w Montrealu w 1951 roku, w Nowym Jorku w 1952 roku oraz w Londynie w Klubie Dyskusyjnym im. Gen. Grot-Roweckiego w 1953 roku.

umiem „woalować” czy przemilczać rzeczy, które uważam za prawdę, a we wspomnieniach o tym okresie musiałbym wyraźnie przeciwstawić się szeregowi zjawisk, które ze strony różnych ludzi czy grup były złem, jakiego można było i trzeba było uniknąć. Nie widziałem jednak równocześnie sensu i celu, aby polemiką czy osądami przyczyniać się do pogłębiania i tak już silnie zarysowanego w emigracji kryzysu zaufania, wzajemnych krytyk i rozbicia w ocenach, planowaniu i działaniu. A wreszcie obecni tu wyznawcy powiedzenia, że historia pisana jest prawdziwym nauczycielem życia wybaczą mi, że mam inne o tym zdanie. Trzeba samemu coś przeżyć — dotknąć jakiegoś dna, aby móc czegoś naprawdę nauczyć się. W ocenie przeżycia — a więc i podstawie do wniosków — trzeba się zdobyć na bezinteresowność w rozumieniu rzeczy samej i roli w tym człowieka — aktora dramatu, tragedii czy komedii.

Wszyscy współuczestnicy czy widzowie nawet jakiegoś przeżycia są zawsze tak uwarunkowani szeregiem wrodzonych i nabytych cech swojej indywidualności, że widzą tylko to, czemu sami chcą się przyglądać i tylko tak, jak sami chcą zobaczyć. Pisać więc historię czy wspomnienia własne (jako podstawę do niej) warto moim zdaniem wtedy, kiedy można liczyć na czytelnika mniej osobiście zainteresowanego w temacie, lub gdy stać nas na czas, wysiłek i umiejętność przekonania go przez porównawczą i udokumentowaną analizę innych ocen tego samego zjawiska, że i w naszym ujęciu jest też jakaś prawda, którą trzeba poważnie wziąć pod uwagę. Widząc to co w konkretnej rzeczywistości naszego życia po dziś dzień mogłem czy musiałem robić, nie znalazłem czasu na pisanie tak wyczerpująco na temat dzisiejszego odczytu. Może kiedyś będę mógł sobie na to pozwolić. Proszę mi wybaczyć tę dygresję osobistą, winien jednak jestem to wytłumaczenie kolegom, którzy surowo krytykowali mnie za moją „niepiśmienność”.

Jako dowódca jednego z Korpusów Armii gen. T. Kutrzeby po przedarciu się przez puszcę Kampinoską dotarłem do Warszawy w nocy z 20 na 21 września 1939 roku. W ciągu 2-ch godzin nawiązałem łączność z prezydentem Stefanem Starzyńskim, który tej samej nocy przyjechał na kwatery, gdzie zatrzymałem się. Mówiliśmy do świtu nie o naszych przeżyciach z tego miesiąca, lecz starając się zrozumieć położenie aktualne, ocenić je i wyciągnąć z tego rozsądne a słuszne wnioski. Starzyński wyraził i uzasadnił obawę co do postawy generała Rómmela i jego sztabu w zakresie zdecydowanego kontynuowania obrony Warszawy. Niewiele potrafiliśmy sobie wzajemnie powiedzieć o tym,

co naprawdę działo się wtedy w Polsce, na co i na jak długo można było liczyć po 17 września odnośnie siły do dalszej walki, teraz już na dwa fronty. Czy i co — jako wolę i możliwość działania na naszą rzecz — reprezentują sobą Francja i Anglia? Doszliśmy zgodnie do wniosku, że trzeba bronić Warszawy jak długo będzie to tylko możliwe, tyleż z obowiązku honoru co dla oparcia moralnego, czy punktu wyjścia dla innych działań w narzuconej nam wojnie.

21 września koło godziny 8 rano znalazłem się u gen. Rómmła. W dłuższej, obustronnie szczerzej rozmowie stwierdziłem, że wątpliwości Starzyńskiego co do postawy generała były niesłuszne. Spadł mi ciężar z serca, bo byłem gotów w przeciwnym wypadku przeciwstawić się zdecydowanie każdej — na szczęście nie stwierdzonej — małości. Generał kazał mi objąć zastępstwo, a w szeregu zadań jakie mi powierzył kazał reprezentować się na Radzie Obrony Warszawy prowadzonej przez Starzyńskiego jako Komisarza Cywilnego przy Dowództwie Armii.

Tak w szeregu najbardziej bezpośrednich zetknięć z dowódcami i wojskiem, przedstawicielstwem politycznym i społecznym stolicy w Radzie jak i w stałych kontaktach z ludnością, w rozmowach z ludźmi na ulicy i w bramach, gdzie chroniliśmy się w czasie nalotów, mogłem uczciwie ale i ze wzruszeniem i dumą stwierdzić, że wola walki, ofiarność i samozaparcie prawie bez skazy były na najwyższym poziomie jaki można było sobie wymarzyć w konkretnych warunkach moralnych i fizycznych. Postawa taka była na pewno wyrazem duszy narodu, dorobkiem jego dziejowych przeżyć i charakteru, jaki ta przeszłość ukształtowała. Ale Stefan Starzyński był człowiekiem, który zainspirował przejawienie się tego zbiorowo, nadał temu ton i barwę, potrafił to ożywić swoją wolą i wiarą. Tej postawie dopiero zniszczenie i groza bombardowań w dn. 25 września zadały cios na pewno fizyczny, a w pewnej mierze i moralny. Na górze wojska i w Radzie oraz wśród bardziej uświadomionych skutki tych zniszczeń i narastające z konkretnych wiadomości o stanie rzeczy w całej Polsce poczucie osamotnienia i beznadziejności kazały natarczywie szukać odpowiedzi na pytanie: więc co dalej i po co? Wojsko na pozycjach nienaruszone nie zdążyło jeszcze odczuć skutków zniszczenia składów amunicyjnych i całego zaopatrzenia. A społeczeństwo — ludność zbita i skrwawiona, bez wody, światła, przeważnie bez dachu nad głową, z lękiem o jutro — ale psychicznie gotowa wytrwać.

Przechodzę teraz do właściwego tematu. Ramy czasu którym dysponuję pozwolą mi tylko bardzo szkicowo omówić szereg za-

gadnień jak najbardziej integralnie z tym tematem związanych. Po prostu dla łatwości mówienia i jako skrót będę często mówił w pierwszej osobie. Zawsze rozumiałem w życiu, że to co człowiek robi jest wypadkową wartości i braków równie jego samego jak środowiska i epoki z których wyrósł i w których działa. Rozumiem też, że miejsce każdego z nas w układzie ząbębających się możliwości i odpowiedzialności jest ważnym, indywidualnym, ale jedynie ogniwem w łańcuchu rodziny, grup czy klas, społeczeństw i narodów, i że każdy z nas w pionie i na poziomie tego układu wpływa bardziej lub mniej na całość i od niej zależy, gdy chodzi o ocenę dorobku, błędów i zaniedbań. Stąd wyznając i starając się praktycznie stosować w życiu ideę zespołu, proszę, aby przez to „ja” którego będę używał, rozumieli państwo grupę ludzi, których życie zetknęło i związało — a też i okoliczności, wpływ epoki i środowiska w jakich działaliśmy. Więc dobre osiągnięcia są własnością wszystkich, tylko za błędy i zaniedbania bezpieczniej jest winić kierowników, którzy już bardziej indywidualnie odpowiadają za to, że postawieni na danym miejscu i nie schodząc zeń sami, nie zdobyli się na wizję, na potrzebne inspirowanie wolą czynu lub umiejętnością wytrwania w rozsądnym ale i rzetelnym działaniu.

Jeszcze w armii Kutrzeby wnioskowałem ze skąpych wiadomości jakie mieliśmy o położeniu wojennym, o nieudanej koncentracji armii rezerwowej, o okrążeniach i postępach niemieckich, że możemy podtrzymać opór jeszcze kilka tygodni, ale bez skutecznej interwencji Francji i Anglii, o czym nie udawało się nam niczego dowiedzieć, nie potrafimy go długo kontynuować.

Gdy przyszły wiadomości o wkroczeniu i marszu w głąb Polski Armii Czerwonej, choć naturalnie nie wiedziałem o tajnym protokole umowy niemiecko-bolszewickiej z sierpnia, zdałem sobie sprawę, że cokolwiek by to miało oznaczać poza wątpliwą możliwością wojny bolszewicko-niemieckiej bezpośrednio, nie będzie to dla nas pomocą a raczej nową tylko trudnością. Suma tego co udało mi się ustalić w sztabie Rómmmla do 25 września dała obraz bliżej wprowadzić nieznanych, ale tylko oderwanych od siebie, niedowodzonych z wyższego szczebla prób opierania się Niemcom a poddawania się, czy rozwiązywania oddziałów przed bolszewikami. Szukałem w sztabie Rómmmla śladu jakiegoś planowania, co zrobić gdy przyjdzie poddać Warszawę, lub rozkazów czy przygotowań sprzed wojny odnośnie zorganizowania opuszczonych terenów, ale bezskutecznie. Jako b. dowódca Okręgu Pomorze wiedziałem, że odnośnie ostatniego były plany i jakieś przygotowania kierowane ze Sztabu Głównego przez majora

Galinata. Były one jednak tak zakonspirowane, że niczego o nich nie potrafiłem dowiedzieć się mimo tego, że dotyczyły okręgu którym dowodziłem, no i że byłem generałem inspekcjonującym z ramienia GISZ na terenie Okręgu Korpusu Przemysł.

Liczyłem się więc z tym, że chcąc coś zrobić aby podtrzymać ciągłość Państwa, honor i morale Narodu, a przez to i na tym opartą kontynuację walki z najeźdźcą niemieckim, a pewno też i bolszewikami, trzeba będzie wszystko improwizować. Przed 25 września nikt nie kwapił się do rozmowy ze mną na te tematy, zresztą w gwałcie tego co musiałem robić w wykonaniu poruczonych mi zadań, przy trudności poruszania się piechotą po zbombardowanym mieście i zaoraniu wszystkich którzy mogli wchodzić w grę bieżącą pracą i ja też odsuwałem od siebie chwilę ostatecznej decyzji. Wiedziałem jednak wyraźnie od pierwszych moich kroków w Warszawie, już 22 września, że jest to obowiązkiem, że musi to być spełnione, że chcę wziąć w tym udział, a jeżeli trzeba będzie podejmę się tego sam. Miałem i ja swoją chwilę słabości. Wieczorem 25 września było zebranie Rady Obrony, na które zaledwie około 10-ciu nas zdołało dotrzeć. Decyzję określenia, jak długo miasto i ludność zdołają przetrwać w dotychczasowej postawie przekazano komitetowi wykonawczemu, który miał zebrać się rano w m.p. gen. Rómmła. Po zebraniu tego komitetu 25 września i rozmowie z nim generała odbyła się zaraz po południu odprawa dowódców W.J. na temat celowości dalszego oporu i zdolności żołnierzy, aby dzielnie wytrwać, czasu na jaki starczy amunicja i niezbędne zaopatrzenie. Jasne było, że wszystkie te rozważania dawały kilka, najwyżej kilkanaście dni realnych możliwości walki przy najprawdopodobniej ogromnych dalszych stratach i zniszczeniu. To co dla honoru Narodu i jego Sił Zbrojnych można było i należało zrobić w Warszawie — dokonano. Stąd w wyniku tych trzech konferencji słuszna była późniejsza decyzja generała, aby rozpocząć pertraktacje o honorową kapitulację. Wszystkie te trzy konferencje miały jednak większość tak bolesnych akcentów w podejściu ludzi, ich postawie i rokowaniach z tego zakresu na przyszłość, że zadawałem sobie pytanie, z kim można będzie w przyszłości podołać wymaganiom pracy, wytrwać harmonijnie i zdyscyplinowanie we wzajemnie lojalnym współdziałaniu w sytuacjach może dużo trudniejszych. Na szczęście „chwila” tego wahania nie przeciągnęła się ponad godzinę po odprawie wojskowej. Jeszcze zanim generał podjął decyzję czy zaproponować Niemcom kapitulację, zameldowałem się u niego.

Zaproponowałem, aby przekazał mi pełnomocnictwa Rządu i

Naczelnego Wodza jakie posiadał, rozciągając je na cały obszar Państwa. Oświadczyłem gotowość podjęcia się odpowiedzialności za organizowanie zbrojnego oporu przeciw okupantom i gotowości moralnej oraz fizycznej Kraju do wszczęcia otwartej walki, gdy na to pozwoli położenie wojenne. Obszernie wyjaśniłem przesłanki mojego rozumowania w tej sprawie, dając wyraz przekonaniu, że jest to nie tylko naszym obowiązkiem wobec Polski, ale i ma szanse udania się. Po krótkiej dyskusji a raczej wymianie moich odpowiedzi na pytania generała otrzymałem decyzję, że generał zasadniczo akceptuje mój wniosek, że chce tylko stwierdzić co od Naczelnego Wodza przywiózł kurier, o którego lądowaniu zameldowano generałowi w czasie naszej rozmowy. Kazał mi zameldować się koło godziny 1-ej rano 27 września. Gdy przyszedłem, generał, który w międzyczasie zdecydował sprawę kapitulacji i odprawił gen. Kutrzebę do Niemców, oświadczył mi, że kurier Nacz. Wodza mjr Galinat przywiózł poza krótkimi informacjami o położeniu Rządu i Nacz. Wodza w Rumunii decyzję Nacz. Wodza, że przekazuje Rómmłowi, o ile będzie on miał warunki po temu, dowodzenie w całym Kraju. Przywiózł też sugestię Nacz. Wodza, aby gen. Rómmel polecił Galinatowi zorganizowanie dywersji w Kraju. Generał jednak decyduje przyjmując moją propozycję i oddaje Galinata do mojej dyspozycji jako oficera, który może poinformować mnie o swoich przygotowaniach w zakresie dywersji sprzed wojny, proponując aby — jeżeli uważam to za słuszne — zrobił go moim zastępcą. Generał poddyktował od razu maszynistce krótki rozkaz z przekazaniem mi pełnomocnictw i podpisał go. Tekst pełnomocnictwa:

„Dane mi przez Naczelnego Wodza w porozumieniu z Rządem pełnomocnictwo dowodzenia w wojnie z najazdem na całym obszarze Państwa przekazuję gen. bryg. Michałowi Tadeuszowi Tokarzewskiemu-Karaszewiczowi z zadaniem prowadzenia dalszej walki o utrzymanie niepodległości i całości granic”.

J. RÓMMEL, gen. dyw.

Obiecał na moją prośbę, że nikomu o tym nie wspomni ani nie zdekonspiruje w niczym mego zadania, dał mi polecenie wypłacenia 750.000 zł, z niewypełnionym nazwiskiem odbiorcy, serdecznie pożegnał i pozwolił się odmeldować ze służby pod jego rozkazami.

Zacząłem więc wykonywać zadanie, którego się podjąłem. Na 3 kolejnych odprawach uprzednio już upatrzonego zespołu kolegów omówiłem koncepcję pracy, plan jaki sobie przemyślałem na pierwszy miesiąc i podzieliłem zadania. Zamierzałem powieks-

żyć ten zespół tak, aby stworzyć od razu zawiązek sztabu i ekip do wysłania w teren. Gen. Rómmel pokrzyżował jednak moje plany, ogłaszając na odprawie 28 września (wbrew mojej prośbie i własnemu zobowiązaniu), że kto chce nie pójść do niewoli, może meldować się u mnie. Zrobił to na pewno nie z braku najlepszej woli, a w nieświadomości elementarnych zasad konspiracji.

Musiałem więc odciąć się zupełnie od wszelkich osobistych kontaktów, a i przez cały czas mego pobytu na terenie okupacji niemieckiej ograniczać bardzo swobodę moich ruchów. Już z końcem października, gdy byłem w Krakowie, pokazywano mi ulotkę niemiecką z moim rysopisem, wyznaczającą 15.000 zł nagrody za wskazanie mego miejsca pobytu. Zdołaliśmy jednak w ciągu tych trzech odpraw zorganizować łączność między sobą na okres do 6 października, na który to dzień wyznaczyłem następną, czwartą odprawę, ustalić hasła i zabezpieczyć się w dokumenty osobiste, rozdzielić do przechowania pieniądze z wojska i te, które potem dostałem od Starzyńskiego, przejąć i zorganizować przechowanie części broni, amunicji i materiałów wybuchowych. Z kolegą przewidzianym na szefa dywersji, który jako saper miał w ramach prac załogi Warszawy przed poddaniem stolicy odgruzować odcinek komunikacji obejmujący skrzyżowanie Nowego Świata z Alejami Jerozolimskimi omówiłem założenie ładunku pod budynkiem dyrekcji Kolei i zorganizowanie odpalenia go w momencie przewidywanego tamtędy przejazdu Hitlera po prawdopodobnej „defiladzie zwycięstwa”. Wreszcie z 3-ma innymi kolegami omówiłem zadanie zniszczenia spisów ludności w magistracie, zdobycia blankietów i pieczętek dla naszych prac „legalizacyjnych”, próbę zrobienia możliwego maksimum dla usunięcia wszystkiego z zakresu ewidencji i ważnych dokumentów z biur wojskowych i cywilnych. Każdy miał dobierać sobie na własną odpowiedzialność doraźnych pomocników, których ewentualne wciągnięcie do pracy na stałe zdecydowałbym po ich wypróbowaniu. Z 15-tu kolegów jeden zdecydował się 30 września pójść do niewoli, drugi po zachorowaniu i krótkim pobycie w szpitalu zrobił to samo w pierwszych dniach października. Niełatwo było nawet z dobrych żołnierzy wydobyć w atmosferze rozprężenia dyscypliny po ogłoszeniu kapitulacji, załamaniu psychicznych i samopoczucia osamotnienia, gdy trzeba było stanąć na własnych nogach — to wszystko, co miało stanowić potem żołnierza Polski Podziemnej. W ciągu tych trzech odpraw sformułowałem istotę zadania i ogólnie naszkicowałem plan wstępnych poczynąń.

W tych trzech dniach przed wkroczeniem Niemców do sto-

licy musiałem też zorganizować podstawy oparcia ideowo-politycznego dla całej pracy. Wynik moich przemyśleń od 17 września, w dniach bezszelestnych marszów w puszczy Kampinoskiej, w czasie przekradania się przez linie placówek niemieckich lub między ich odwodami i stanowiskami artylerii — przemyśleń o położeniu i przyszłości Polski, które weryfikowałem potem w Warszawie przy każdej możliwości skupienia się czy pozostania na chwilę samemu był następujący: ani z Rosją, ani z Niemcami nie tylko nie ma szans abyśmy się „dogadali” w dającej się przewidzieć przyszłości, lecz z obu stron musimy się zawsze liczyć z możliwością agresji, żyjąc w napięciu różnic światopoglądowych, politycznych czy społecznych. W dzisiejszym świecie nikt nikogo nie będzie bronił ani wspomagał przeciw moźniejszemu od niego, jeżeli sam nie będzie w tym bardziej zainteresowany niż w innych swoich możliwościach. Dużo pod tym względem zmieniło się na lepsze w ostatnich dziesiątkach lat, ale do dobrego jeszcze daleko. Jak każdy naród, Polska ma nie tylko prawo, ale i obowiązek żyć, aby wyrażając swobodnie swoją treść psychiczną wnosić w życie ludzkości wielkie wartości swego dorobku kulturalnego, osiągnięć i doświadczeń. Aby tak było i mogło być na długo musimy być silni dla obrony swego — dla możliwości przeciwstawiania się każdej krzywdzie wokół nas. I przy szansach zrealizowania federacji narodów między Rosją i Niemcami, aby zasięg tej siły poszerzyć i pogłębić, a gdyby to się nie udawało w najbliższej przyszłości, odpowiadamy za wyzwolenie i podtrzymanie własnej siły przede wszystkim, ona zresztą byłaby i warunkiem skupienia wokół nas — na równi z nami — i naszych sąsiadów. Siłę własną możemy wyzwolić i podtrzymać jej potencjał tylko przez poczucie w masie Narodu współodpowiedzialności wszystkich za całość. A to z kolei można uzyskać tylko w ustroju do głębi i bez frazesów demokratycznym politycznie, a przede wszystkim sprawiedliwym społecznie. W ustroju silnym, zapewniającym okresową ciągłość władz ustawodawczych i wykonawczych, wysoki poziom odpowiedzialności przed prawem i wolą Narodu każdego szereblu, każdej władzy.

Jedyną „partią”, do której przed 39 rokiem należałem, nim zostałem zawodowym żołnierzem, była PPS. Byłem i będę jako żołnierz i obywatel piłsudczykiem, jakim zostałem w 1912 roku. Ale nie wchodząc w ocenę życia polityczno-społecznego w Polsce przed i po 1926 roku, widziałem i wtedy, gdy to się wszystko działo w okresie naszej niepodległości, że nie wbudowaliśmy w charakter Narodu dostatecznie poważnie czy planowo tych trzech najbardziej potrzebnych nam wartości. Przede wszystkim woli

ewolucyjnego stawania masy Narodu odważnie o własnych siłach jako warunku budzenia się w każdym poczucia zdrowej współodpowiedzialności za całość. Zabezpieczenie tego przez ustrój dający temu poczuciu odpowiedzialności wyraz praktyczny: przez sprawiedliwość tylko wobec prawa, bez koniunkturalnych odwoływań się do tego prawa dla celów taktycznych, przez daleko idące reformy społeczne, zapewniające każdemu równość startu życiowego przy zachowaniu pionu dla wykazanych indywidualnie zdolności i stopnia użyteczności na rzecz ogółu.

Mój „socjalizm” podejmowałem od młodości w kategoriach ludzkich, chrześcijańskich, a nie materialistyczno-dialektycznych czy w ogóle marksistowskich. Wreszcie nie znaleźliśmy a nawet nie szukaliśmy rozsądnie i wytrwale rozwiązania sprawy mniejszości narodowych jako podstawy dążeń i prób stworzenia z czasem tego szerszego i mocniejszego (niż wyłącznie nasz narodowy) elementu siły w federacji narodów, a potem państw tzw. dzisiaj Międzymorza.

Tak właśnie zreferowałem mój pogląd na rzecz w kilka tygodni po 17 września 1939 roku w Radości — Roweckiemu, Niedziałkowskiemu i żyjącym dziś jeszcze Korbońskiemu i Z. Zarembie w całonocnej konferencji pod osłoną „patrolującego” wokół domu pod lasem, też żyjącego dziś Leona Chrzanowskiego i kuzynki Roweckiego p. H. Królikowskiej. Wtedy to nasze marzenia o Polsce Ludowej — naturalnie nie tej zza żelaznej kurtyny — próbowaliśmy sformułować sobie i wyrazić w decyzjach i planowaniu dla dalszej współpracy. Gospodarzy naszych w niespełną godzinę po naszym wyjściu zamordował na miejscu patrol Gestapo, któremu nie chcieli zeznać, kto od nich wyszedł nad ranem.

Z tym wynikiem, naturalnie nie jako warunkiem współpracy, ale jako moim wkładem o wartości jednego głosu wśród wielu pomiędzy współbudującymi podstawy przyszłego działania poszedłem najpierw do Starzyńskiego. Odmówił współdziału, twierdząc, że winien jest ludności miasta pozostanie na posterunku, a tego naturalnie nie można było pogodzić z zejściem w podziemie. Dał jednak pieniądze w złotych polskich i walutach łącznej wartości około 350.000 zł. Obiecał wszelką możliwą pomoc — omówiliśmy treść i formy współdziałania na okres początkowy. Potem mówiłem z Niedziałowskim i Nowodworskim, następnie z Niedziałowskim i Z. Zarembą, w końcu przy Niedziałowskim z prof. Michałowskim. Ustaliliśmy, że tworzymy jako reprezentację polityczną Kraju — Główną Radę Polityczną w składzie: Stronnictwo Narodowe, Stronnictwo Demokratyczne i PPS

(na razie). Po odszukaniu marszałka Rataja zaprosimy Ludowców wraz z Wiciami i ewentualnie Siewem, przewidujemy też zaproszenie Stronnictwa Pracy. Zgodziliśmy się, że Niedziałkowski obejmie przewodnictwo, a Nowodworski będzie jego zastępcą, a równocześnie Niedziałkowski będzie pełnił przy dowódcy wojsk funkcję komisarza cywilnego jako reprezentant Rządu. Ofiarowałem mu środki materialne i zobowiązałem się zorganizować wszystko potrzebne, aby mógł jak najrychlej wyjechać do Rządu i tam nas reprezentować, a w Międzynarodówce Socjalistycznej reprezentować interes Polski. Odmówił, twierdząc, że zrobi to dopiero po zorganizowaniu Rady. Wreszcie już samemu Niedziałkowskiemu oświadczyłem, że za jedynie słuszną uważam zasadę, by w skład Rady przyjąć również reprezentację każdego innego z istniejących do 1939 roku ugrupowań politycznych i potem zorganizowanych ugrupowań działających na terenie Kraju, łącznie z „Sanacją”, jeżeli przyjmą za podstawę to, co Rada w składzie Str. N.D., Str. Demokr., PPS i PSL ustali ideologicznie jako swoją podstawę wyjściową i cel dążenia.

Schylam głowę przed piękną postawą tow. Mieczysława, który we wrześniu 1939 roku obiecał mi współdziałać w stworzeniu atmosfery i warunków dla zrealizowania tego w przyszłości. Bez względu na stopień słuszności zarzutów stawianych „Sanacji” jako obozowi, że będąc u władzy kierowała się w stosunku do stronnictw wręcz odmiennymi zasadami, nie upoważniało to stronnictw do odwetu w myśl biblijnej maksymy. Błędne koło przyczyn i skutków niesprawiedliwości oraz krzywd, narastających w nowe przyczyny, zamknięto z Angers i Londynu bilansem 1940 roku. Bilans ten w opinii świata zachodniego i własnych środowisk przyniósł słowami, piórem i czynami oskarżycieli może więcej obiektywnej szkody naszej sprawie niż zrobili to oskarżani.

Ustaliliśmy na 10 października zejście się w mieszkaniu Nowodworskiego o godz. 10-tej rano w następującym składzie: Niedziałkowski, Nowodworski, Michałowski i ja.

Celem stworzenia późniejszych podstaw do zalegalizowania się i uzyskania swobody ruchów poszedłem jako sanitariusz do szpitala na Woli, którego dyrektorka okazała mi maksimum możliwej pomocy. Pracując przy opatrunkach i operacjach, miałem niemal zupełnie wolne od służby noce. Wykorzystałem je dla opracowania ogłoszonych już szkicowo na odprawach przed 30 września podstaw naszej ideologicznej pracy, sformułowania jej zadań bezpośrednich i dalszych, szkieletu i zasad organizowania się, wytycznych wychowawczych, konspiracji, szkolenia, wywiadu i dywersji, przewidywań odnośnie planu i zorganizowania

działań na większą skalę, łączności, bezpieczeństwa, organizacji sądownictwa wewnątrz organizacji i na zewnątrz, zaopatrzenia i kasowości, wreszcie zadań i metod inspekcji z poszczególnych działów na wszystkich szczeblach. Podział terytorialny oparłem na okręgach odpowiadających województwom z okręgiem stolicy na czele, na powiatach, a w ich ramach na plutonach, łączonych okresowo czy doraźnie w kompanie i równorzędne związki. Jako podstawową jednostkę przyjąłem drużynę o dwóch sekcjach, specjalizowaną na szczeblach dowództw i służb. Wreszcie współpracę z przedstawicielstwem politycznym i oparcie o nie przewidziałem od Głównej Rady Politycznej do szczebla powiatu włącznie, mianując kierujących komisarzy cywilnych zastępcami dowódców. Ustaliłem charakter organizacji jako wojska czynnego, wobec którego na terenie działań wojennych jakim był cały Kraj komisarz cywilny i przedstawicielstwo polityczne reprezentowali państwowość i rząd. Całość podlegała legalnemu Rządowi Rzeczypospolitej i Naczelnemu Wodzowi. Jako nazwę przyjąłem S.Z.P. (Służba Zwycięstwu Polski). Przygotowałem też projekt 1-go meldunku do Rządu i Naczelnego Wodza. Wszystko z zakresu organizacji wojskowej traktowałem jako zarządzenia tymczasowe, które po praktycznym sprawdzeniu w pracy ulegną zmianom czy uzupełnieniom, a stronę ideowo-polityczną jako projekt do decyzji Głównej Rady Politycznej.

Na odprawę 6 października stawili się tylko kilku kolegów. Sprawdziłem potem, że wszyscy nieobecni byli usprawiedliwieni. Między innymi nie było szefa dywersji — nie wiedziałem więc dokładnie (przed 6 października ze szpitala przez trzecie osoby tylko udało mi się z nim skomunikować), jaki jest stan gotowości rozpoznania właściwego momentu dla odpalenia ładunku na skrzyżowaniu Nowego Świata z Alejami Jerozolimskimi, o którym meldowano mi, że jest założony. Zameldowano mi tylko, że ładunek założono i zorganizowano służbę obsługi technicznej dla odpalenia go oraz obserwację. Jak się potem dowiedziałem, w akcji tej brał udział i płk Kraczkiewicz, obecny prezes Zarządu Głównego Koła AK.

Chcąc sam rozpoznać bezpieczeństwo naszego zebrania u Nowodworskiego, wyszedłem ze szpitala koło godz. 6-tej rano. Z Woli na Nowy Świat szedłem trzy i pół godziny, używając maksimum harcerskiego sprytu i wykorzystując każdy uśmiech losu, aby przedrzeć się przez najbardziej różnorodne i co krok bez mała napotykanne zapory, kordony, odrzucanie tłumu przechodniów w bramy czy boczne ulice itp. przez Gestapo, SS, policję i oddziały wojska. Zebraliśmy się wszyscy o 10-tej, a

w parę minut po rozpoczęciu obrad wezwano Nowodworskiego, jako gospodarza, do patrolu SS, który wszedł do przedpokoju. Wrócił z poleceniem natychmiastowego zamknięcia i zasłonięcia okien i drzwi z zagrożeniem ostrzelania natychmiast każdego, kto by się pokazał; dopiero wtedy domyśliłem się, że może to właśnie jest sposobność dla naszego szefa dywersji spełnienia postawionego mu zadania. Nie chcąc — gdybym się mylił — psuć nastroju obecnych przypuszczeniem, że możliwy wybuch silnego ładunku o kilkanaście kroków od domu w którym obradowaliśmy na pewno i nas musi dotknąć, nic nie powiedziałem. Nic jednak nie zaistniało. Jak potem sprawdziłem, posterunek wystawiony przy założonym ładunku, ukryty w ruinach, sam nie zorientował się, że Hitler może — jak to miało miejsce — przejechać obok. Zorganizowaną obserwację oczyszczanie ulic przez Gestapo tak zepchnęło z odcinka, że nikt go o tym nie uprzedził ani nie zawiadomił. Mieliśmy potem dużo trudności i kłopotów z rozbrajaniem ładunku wybuchowego.

Pierwsze zebranie Głównej Rady Politycznej trwało kilka godzin i upłynęło w harmonii i zgodzie dyskusji i głosowań.

Wnioski moje uchwalono bez zmian, jak również treść meldunku proponowaną do Naczelnego Wodza. Wyszedłem z przekonaniem, że poprzez samą decyzję i przez postawę w jakiej ją przyjęto i uchwalono weszliśmy na właściwą drogę naszej służby dla Polski. Że jednak — choć niezmiennie najlepsza — nie była ona tak łatwa jak się z początku wydawało, pokazały dopiero następne miesiące i lata. Zadaję sobie sam pytanie — czy gdyby Angers i Londyn zrozumiał lepiej właściwe swe zadanie w stosunku do Kraju, swoją rolę emigracji, i Krajowi pozostawił decydowanie o sobie, a sam zajął się dostarczaniem do tego elementów i obroną tych decyzji na forum świata, czy jednak ta droga i po 10 października 1939 roku nie układałaby się prościej i łatwiej? Pytam sam siebie, bo wierzę, że jeżeli nie chwilowo, to faktycznie jako podejście do rzeczy, pytanie to jest ważne, bardzo ważne i wciąż aktualne na nasze dzisiaj i jutro. Tylko odpowiedź na nie dać trzeba nie w pięknych i górnolotnych sformułowaniach „tylko Kraj — wszystko dla Kraju — nic bez Kraju...”, ale w czynach zdyscyplinowanej postawy i lojalnej służby temu Krajowi.

Piąta, a właściwie wobec niepełnego składu w dniu 6 października czwarta odprawa sztabu odbyła się w dwa dni potem. Znowu w ciągu kilku godzin omawialiśmy schemat organizacji i wytyczne pracy, oceny i doświadczenia, nieraz bardzo smutne, z przeprowadzonych rozmów, plan pracy i podział zadań na paź-

dziennik i listopad, kontrolę improwizowanych praktycznie metod konspiracji i łączności oraz szereg pilnych, bezpośrednio i życiowo ważnych zagadnień. Wszyscy koledzy prócz jednego który wkrótce odpadł, mieli mimo położenia w Kraju i własnych trudności doskonałą postawę. Chcieli i mieli odwagę robić to, czegośmy się podjęli, mieli wiarę nie tylko w słuszność samej rzeczy, ale i w jej powodzenie. Zorganizowaliśmy dzięki inicjatywie i przemysłności kol. J. Karasiównej dobrą, nawet „alarmową” łączność wzajemną — po kilka kwater spotkaniowych na pracę oraz odprawy; ruszyliśmy od razu z miejsca z zaczątkiem sieci wywiadowczej i służbą bezpieczeństwa. Ustaliliśmy odprawy raz w tygodniu, stałe kontakty poszczególnych działów sztabu i ze mną dwa razy w tygodniu. Zorganizowaliśmy centralę werbunku osobno dla sztabu, służb i drużyn specjalnych przy komendzie Głównej, a osobno ogólną, przede wszystkim dla okręgów stołecznego i warszawskiego oraz dla reszty.

Nie miałem jednak kandydata na zastępcę i szefa sztabu. Gen. Rómmel zalecił mi wzięcie na to stanowisko Galinata, po rozmowie z nim jednak jeszcze w sztabie Rómmela ustaliłem, że lepiej będzie jeżeli skupi się na odszukaniu czy odtworzeniu śladów jego przedwojennej sieci i w związku z tym odciąłem go dla bezpieczeństwa pracy od kontaktów ze mną i sztabem, umawiając się, że spotkamy się dopiero w drugiej połowie października. Gdy to nastąpiło, dowiedziałem się od niego, że niczego ważniejszego co dałoby się wykorzystać nie znalazł, a i to co odszukał wymagało sprawdzenia. Sam wtedy zaproponował mi, że wróci do Rumunii, aby podjąć i przekazać nam jakąś dużą sumę zdeponowaną tam przez marszałka Śmigłego-Rydza na pracę w Kraju. Zgodziłem się i odprawiłem go, tracąc potem jakikolwiek ślad po nim czy łączność z nim.

Ale koło 15 października zameldował się skierowany do mnie, o ile pamiętam, przez płk. W. Lipińskiego płk Stefan Rowecki, prosząc o pomoc w przedostaniu się do Francji. Znałem go od lat jako kolegę jeszcze z Legionów, potem jako dowódcę 2-ej Dywizji Piechoty Legionów, którą od 1935 roku do wybuchu wojny miałem w swojej inspekcji. Wysoko ceniłem zawsze jego żołnierskość, otwartą głowę i piękne serce, jego postawę ideową i charakter, był od lat moim przyjacielem i ufałem mu. Objasniwszy go o stanie rzeczy w Kraju, o naszej pracy i zamierzeniach — zaproponowałem, aby został z nami. Odmówił, tłumacząc, że jest za bardzo żołnierzem bojowym, aby móc się wżyć w pracę konspiracyjną i walkę podziemną — że widzi swoje miejsce tylko w wojsku liniowym. Podkreślił, że szczególnie

obce i raczej niemiłe są dla niego wszystkie zagadnienia polityczno-społeczne, od których w konspiracji nie mógłby się odsunąć. Po względnie krótkiej dyskusji na ten temat, w której go zresztą nie przekonałem, wyjąłem pełnomocnictwa od Rómmła, pokazałem mu i wydałem mu rozkaz zostania w Kraju oraz objęcia stanowiska zastępcy i szefa sztabu w S.Z.P. Bez wahania, a tym mniej cienia sprzeciwu słuchał. Zapoznałem go ze wszystkim, a na osłodę obiecałem mu, że tak długo póki sam nie zamelduje mi, że przeszła mu awersja do polityki i społecznictwa — ja wezmę na siebie wszystkie kontakty i czynności z tego zakresu na szczeblu dowództwa głównego. Przez cały czas naszej współpracy polegaliśmy wzajemnie na sobie bez zastrzeżeń czy wątpliwości. Pozostaliśmy przyjaciółmi i najlepszymi kolegami. On zrobił maksimum, aby jak najlepiej spełniać zadania swego stanowiska, ja w wypełnianiu swoich zawsze pamiętałem o obietnicy nieobciążania go polityką; włącznie do zorganizowania ostatecznie dla jego przyszłej pracy dowodzenia Porozumiewawczego Komitetu Politycznego bezpośrednio przed oddaniem mu służby, czujnie i rzetelnie wywiązywałem się z obietnicy. Na drugi dzień po naszej rozmowie zebrałem szefów komórek sztabu — pierwszy raz systemem „alarmowym” — przedstawiłem go i oddałem ich w jego ręce. Jak mi opowiadali już tu na wyspach koledzy, którzy pracowali pod moim, a potem Grota dowództwem — utrzymał on w całej pracy zasady i podstawowe wytyczne ustalone przez mnie. Może więc i tym także zdołałem go odciążyć i pomóc mu w trudzie odpowiedzialności i ciężkiej pracy, które tak wzorowo i owocnie dźwigał na swoich barkach.

Nawiązaliśmy przez Niedziałkowskiego łączność z marszałkiem Ratajem, który bez wahania zgodził się na współudział PSL w naszej Radzie, wyznaczając jako swego zastępcę Korbońskiego. Ze względu bowiem na inwigilowanie go i na zbyt częste i liczne odwiedzanie go przez różnych ludzi uważał, że dla bezpieczeństwa Rady lepiej będzie jeżeli go zastąpi Korboński. Z Korbońskim jak też i z Pużakiem, wyznaczonym przez CKW PPS na delegata do Rady oraz z jego zastępcą Z. Zarembą mieliśmy obaj z Grotem jak najszczerze i najserdeczniejsze stosunki, a przede wszystkim wzajemną, lojalną, wzorowo układającą się współpracę. Z Pużakiem zaprzyjaźniłem się jeszcze w 1918 roku w Moskwie, gdzie trzykrotnie uratował mi życie. Miałem zawsze dla niego najwyższy szacunek, nie mówiąc już o stale żywej wdzięczności. Zaremba był kolegą i przyjacielem Grota. Nie miałem nic przeciw temu, że na tle tego naszego dobrego koleżeństwa w piątkę, a raczej w szóstkę, dopóki i Niedziałkowski był

na wolności, po zarzutach co do mnie, „piłsudczyka i sanatora”, oskarżono mnie o lewicowość, do której zresztą ideowo do dziś się przyznaję. Mam jednak głębokie przekonanie, że w niczym w moich zamierzeniach i postępowaniu nie naruszyłem szczerej lojalności współpracy na płaszczyźnie Kraju w stosunku do Stronnictwa Narodowej Demokracji, Stronnictwa Demokratycznego i potem w kilkakrotnie powtarzanych przeze mnie osobiście próbach u księdza Kaczyńskiego i prez. Chacińskiego, aby i Stronnictwo Pracy wciągnąć na wspólną platformę.

Ksiądz Kaczyński w czasie mego ostatniego widzenia się z nim w listopadzie przyrzekł mi dać swoją zgodę przez Chacińskiego przed Nowym Rokiem. Choć mieliśmy łączność z Chacińskim, nie dostałem żadnej odpowiedzi definitywnej. Z „Sanacją” nawiązałem kontakt przez Zygmunta (Łukasz) Hempla i Stamirowskiego, później rozstrzelanego. Mówiłem z nimi trzy razy, wyjaśniając moje stanowisko również w stosunku do postawy i decyzji Rady Głównej S.Z.P. Jeżeli zorganizują się i gotowi będą stanąć z dobrą wolą jako jedno z ogniw w łańcuchu ideowego i programowego zjednoczenia się Rady — będę dążył, aby mogli znaleźć się w jej składzie. Zakomunikowałem o tym Grotowi i Niedziałkowskiemu — dałem im łączność do siebie i Grota — ale do czasu oddania dowodzenia Grotowi nie miałem już więcej sposobności zetknięcia się z nimi. Od początku miałem stale duże trudności z komitetem prof. Świętochowskiego. Pomijając fakt, że metody ich zebrań i pracy były zawsze zaprzeczeniem elementarnych zasad konspiracji, że mówili na tych zebraniach wobec nierozpoznanych ludzi przychodzących wprost z ulicy o wszystkim, o czym wiarygodnie lub z plotki dowiadywali się, że dekonspirowało to szereg naszych pracowników, wysuwali oni stale pretensje do wyłączności reprezentowania w Kraju osobiście i politycznie generała Sikorskiego, który w drodze za granicę we wrześniu przekazał Świętochowskiemu swoje pełnomocnictwa i utrzymywał z nim stały kontakt. Sami wiedzieliśmy o tym, że hojnie zasilali ich funduszami.

Około 15 października nawiązałem łączność z majorem, węgierskim *attaché*, który miał zaraz odjechać do Berna. Przez niego, pokrywszy mu prawdopodobne koszty ekspedycji dalszej przez kuriera, przesłałem meldunek do Naczelnego Wodza, zatwierdzony 10 listopada na Radzie. Nasłuch nasz funkcjonował jeszcze nieregularnie, nic więc nie wiedzieliśmy o proklamacji nowego Prezydenta i Rządu z 7 listopada. Licząc się jednak z możliwością, że zaszły jakieś zmiany pod tym względem, prosiłem go, aby stwierdził za granicą, kto jest aktualnie Naczelnym Wodzem

i gdzie przebywa i tam mu doręczył mój meldunek. Nie wiem dlaczego (bo major ten nie wrócił już do Polski) nie chciało mu się czy nie udało stwierdzić faktu zmiany na stanowisku Naczelnego Wodza. Zresztą nie wiem nawet, jaką drogą z Berna to zrobił, ale meldunek mój doszedł do marszałka Śmigłego, który zaraz przesłał go do Paryża. Gdy w Tocku koło Cząłowa w Rosji meldowałem się u gen. Sikorskiego w zimie 1941 roku, generał powiedział mi, że fakt ten jako dowód mojej nielojalności wobec niego (głównie dzięki naporom jakie pod tym względem miał ze strony niektórych członków rządu, a potem za moją „lewicowość” ze strony komitetu Świętochowskiego i ze strony Stronnictwa Narodowej Demokracji z Kraju) stał się powodem decyzji, iż pierwszy kurier rządu do Polski — Konarski — miał zakaz nawiązania ze mną łączności — no i że zdecydowano przenieść mnie z Warszawy. Generał przyznał, że było to niesłuszne, ale gdy prosiłem go, aby jako dowód „przywróconego zaufania” przeniósł mnie z powrotem do Kraju — odmówił. Na podobną prośbę, jaką w 1943 roku przedłożyłem ówczesnemu Naczelnemu Wodzowi gen. Sosnkowskiemu po aresztowaniu Grota — spotkała mnie też odmowa. Nie miałem więc tego przysłowio-
wego łuta szczęścia, bo i wszelkie moje starania w 1945 roku, aby móc nawet „na własną rękę” pójść do Kraju nie znalazły oddźwięku w Londynie. Nie chciałem „deztererować” na robotę do Kraju wtedy, gdy może bardziej niż kiedy indziej wydawało mi się, że trzeba było umieć słuchać.

W drugiej połowie października, częściowo już przy udziale Grota, zmontowaliśmy sprawne funkcjonowanie Dowództwa Głównego. Zorganizowaliśmy służby i oddziały specjalne, zawiązki dowództw obu okręgów, tj. stołecznego i warszawskiego, tak że można było objąć dowodzeniem oddziały przekazane nam przez Dubois z PPS i stworzyć zawiązek dowodzenia oraz oddziały w szeregu powiatów obu okręgów. Wysłaliśmy nowe ekipy zawiązków w teren innych województw. Zebraliśmy dość dużo informacji o położeniu na prowincji i nawiązaliśmy szereg kontaktów, między innymi ówczesny płk Okulicki wyjechał do Łodzi i rozpoczął tam organizowanie okręgu z ppłk. Jaszczakiewiczem. Kol. Thun (Leszcz) zorganizował nasze finanse, zabezpieczył dochodowo zapasy gotówki, a co najważniejsze zorganizował kilka bardzo modnych i popłatnych wtedy przedsiębiorstw transportowych w samej Warszawie i z Warszawy na prowincję, dzięki którym nasi kurierzy i pocztę mieli częstszą a zawsze bezpieczniejszą niż w pociągach szansę docierania do miejsca przeznaczenia. S.Z.P. stawiało na nogi — zaczynało wgryzać się w

dokładną obserwację wroga i jego metody działania, a równolegle z tym — w psychologię powrześniąwą własnego społeczeństwa, co z czasem ułatwiło uzyskanie wpływów i nadawanie Krajowi kierunku w oporze i w walce z Niemcami.

Grot wszedł w cały tok pracy — mogłem więc ruszyć w teren. Dostałem nową legalizację jako lekarz przyjęty na urzędnika aprowizacji magistratu Warszawy i potwierdzony przez Niemców mandat zakupów na prowincji. Przechowany samochód, który na rogatkach miasta w nocy z 20 na 21 września dostałem od naszej placówki, przemalowany i „ucywilniony” ozdobiłszy małą chorągiewką z Syreną. Dobrze pozował na wóz funkcjonariusza okupantów. Dwa razy tylko zatrzymano nas w drodze — w Lublinie i w Zagłębiu, a często maszerujące oddziały pozdrowiały nas *Heil Hitler*, na co skrzętnie ale wyniośle tym samym odpowiadałem. Wyjechałem z końcem października, a wróciłem do Warszawy w drugiej połowie listopada. Byłem w Radomiu, Lublinie, Kielcach, Krakowie, Tarnowie, znowu Krakowie, Zagłębiu, Częstochowie, powtórnie w Kielcach i Radomiu. Mówiłem dobrze po niemiecku z wiedeńskim akcentem — udawało mi się więc zdobywać benzynę i smary od Niemców. Raz tylko w Lublinie chcieli odebrać wóz, lecz jakoś obroniłem się. W Krakowie w mieszkaniu mjr. Łepkowskiego „kwaterowałem” przez ścianę z 4-ma gestapowcami, jednego wyleczyłem z grypy. Nie wolno im było leczyć się u Polaków, „za pomoc lekarską” i dyskrecję, abym nie wydał że leczył się u mnie, zdobyłem zapasy gumy i części zamienne do wozu. Jadącego do Harcerskiego Domu Wypoczynkowego w Zagłębiu chcieli mnie po drodze zatrzymać konni żandarmi — zwiąłem im, lecz gdy po 2-ch godzinach konferencji z harcerzami ruszyłem sprzed pałacyku, ci sami żandarmi wjechali na dziedziniec i poznali mnie. Zanosilo się na to, że zaczną sprawdzać dokumenty z niewiadomym dla nas skutkiem. Nie pamiętam już, jakim dowcipem wypowiedzianym niemczyzną nie budzącą zastrzeżeń co do swej autentyczności i tą chorągiewką której Syreny nie spostrzegli, rozładowałem ich zapędy. Poczestowałem ich papierosem — wzięli mnie za pobratymca, tak że szybko po wymianie *Heil Hitler* mogłem włączyć 4-ty bieg na dalszą drogę.

Wszędzie starałem się stworzyć zawiązki dowództw, oprzeć je i powiązać z zawiązkami Rad okręgowych czy powiatowych, omówić podstawowe zarządzenia i wytyczne, zorientować się samemu w położeniu własnym i nieprzyjaciela i na tle tego przedyskutować szkic rozplanowania pracy na danym szczeblu czy w lokalnych warunkach. Wszędzie udawało mi się znaleźć ludzi

na ruszenie wojskowej i politycznej pracy — w ostatnim wskazówki, jakie dostałem z centrali partyjnych w Warszawie bardzo mi pomogły. Najtrudniejsze było docieranie do różnych wojskowych i wojskowo-politycznych organizacji, które od września do odejścia mego na sowiecką okupację (ze znanych nam wtedy tylko) narosły do ponad 100. Jeżeli nie było szans apelować o scalenie, to chciałem choćby pośrednio zorientować się w postawie, składzie kierownictwa i perspektywach scaleniowych na przyszłość. Na ogół dochodziłem we wszystkich tych działach do pozytywnych rezultatów. Choć niejedną z ocen czy wniosków jakie wyniosłem trzeba było poddać potem rewizji, praca zyskała wszędzie punkty późniejszego rozrostu, a my z centrali — zahażenia dla dalszej infiltracji organizacji w społeczeństwo i w teren. Ja zaś, osobisty wgląd w rzeczywistość i bezpośrednio z życia wzięte oceny, które przydały się i sztabowi naszemu, i Radzie. Opory miałem tylko w Lublinie ze strony niezbyt sławnej pamięci nieżyjącego już oficera i w Krakowie w dotarciu i dogadaniu się ze stronnictwem N.D. (p. Rymar). PSL (Wici), PPS i Stronnictwo Demokratyczne a na ogół i Stronnictwo N.D. — a zwłaszcza PSL i PPS — reagowały wszędzie życzliwie i uczynnie, okazując maksimum dobrej woli i realnego współdziałania.

W Krakowie zacząłem od wizyty u Metropolity z którym znaliśmy się i ja przynajmniej wysoko go ceniłem i serdecznie lubiłem od lat. Zreferowałem mu stan rzeczywistości Kraju tak, jak go wtedy widziałem, nasze podstawy ideowe i zamierzenia, dorobek dotychczasowy i prosiłem o błogosławieństwo w naszej pracy. Niczemu nie odmówił, a skutki jego wpływu na postawę duchowieństwa wszędzie tam, gdzie mogliśmy się zwrócić o to współdziałanie odczuliśmy uchwytne bardzo szybko i prawie wszędzie.

W Tarnowie zwróciłem się do prezesa pow. PSL z propozycją, aby pojechał ze mną do prezesa Witosza. Wiedziałem że jest w więzieniu, jak również że można się z nim widywać dzięki pomocy polskich dozorców. Pan ten był już tam u Witosza dwa razy — odradzał mi jednak pojechać samemu ze względu na bezpieczeństwo prezesa. Ponieważ wybierał się za parę dni po raz trzeci, nie chcąc mieć na sumieniu jakiegoś pogorszenia sytuacji prezesa — prosiłem, aby zreferował prezesowi Witosowi stan S.Z.P., nasze podstawy i kierunek i złożył w moim zastępstwie drugą z 2-ch moich (po kardynale) oficjalnych wizyt. W 1952 roku w Regina w Kanadzie spotkałem młodego Czartoryskiego, który był wtedy w więzieniu razem z prezesem Witossem. Ucieszyłem się, gdy mi opowiadał, jak serdecznie i z zaufaniem do

mnie zareagował prezes na przekazane mu wyrazy czci i informację, jak życzył najlepszego naszej pracy, uważając ją za najważniejsze podejście do aktywnego działania w ówczesnym położeniu Polski.

Wracaliśmy do Warszawy z uczuciem, że użytecznie przeprowadziliśmy te trzy tygodnie, ale już od rogatek zaczęły się zbierać chmury nad nami. Wskutek jakiegoś defektu w silniku i konieczności zmiany opon nie zdążyliśmy przed godziną policyjną. Dopiero po długich pertraktacjach udało mi się uzyskać od posterunku przy wjeździe do miasta przepustkę na dojechanie do domu i zagarażowanie wozu w nocy. A gdy przejeżdżając przez Poznańską mijaliśmy sowiecką ambasadę, zatrzymał nas jakiś olbrzym SS-man, wylegitymował i choć mieliśmy przepustkę, tak się zbulwersował naszą chorągiewką (która tyle nam pomogła w drodze), że połamął ją, a nas chciał obić, czy — jak groził — postrzelać. Wyszliśmy z tego cało i wóz, choć już bez proporczyka, bezpiecznie zagarażowaliśmy. Pamiętałem jednak tę „przygodę”, gdy z całym szeregiem najmniej spodziewanych kłopotów trzeba było porać się od czasu tego powrotu do chwili odjazdu w kierunku sowieckich więzień i łagrów, no i gdy sowieciarze dobrali mi się do skóry bardziej metodycznie i na o wiele dłużej niż ten rozszalały SS-man przed ich ambasadą na Poznańskiej.

To co Grot zreferował mi z dorobku sztabu za okres mojej nieobecności, z rozwoju prac na odcinku obu okręgów warszawskich i łódzkiego, z łączności nawiązanej z Wilnem, Brześciem i Lwowem, no i to co ja przywiozłem sztabowi do rozpracowania — wszystko to dawało dobry obraz sytuacji.

Zastałem już nawet meldunek z Krakowa od Orzelskiego (dyr. Wodociągów Miejskich, którego w porozumieniu z PSL i PPS krakowskimi wyznaczyłem na komisarza cywilnego) i od płk. Filipkowskiego, wyznaczonego na dowódcę okręgu. Dotyczyły one między innymi nawiązania kontaktu z płk. Korczakiem (gen. Bór) i płk. Rudnickim, co starałem się zrobić sam będąc w Krakowie, ale ze względu na konieczność przyspieszenia wyjazdu przekazałem Filipkowskiemu. Były też wiadomości z Lublina i z Kielc, a w kilka dni potem przyszedł meldunek z Radomia (jedyne wypadek kłopotów z miejscowym PPS w czasie całej służby mego dowodzenia w Kraju). Wystaliśmy zaraz dowódców i ekipy zawiązków do Wilna, Brześcia, Lublina i Kielc, pomoc w oficerach do Krakowa, ekipę rozpoznawczą do Białegostoku i Nowogródka, a z Łodzi oficerów na rozpoznawanie możliwości organizacyjnych w Poznaniu oraz na Pomorzu. Kraków i Częstochowa, jak to omówiłem na miejscu, zajęły się Śląskiem,

Tarnów i Rzeszów były już uruchomione. Wyjechała w końcu ekipa na Wołyn z płk. Majewskim. Liczyłem że do Świąt dwa okręgi zaczną na ogół sprawnie pracować, a do końca lutego zmontujemy większość powiatów. Już w Krakowie omówiłem zorganizowanie sabotaży przy transportach ropy i nafty z Zagłębia oraz w Puszczy Niepołomickiej, przepracowaliśmy też w sztabie plan ogólny z tego zakresu. Wywiad zaczął systematyzować napływające informacje, tak że w grudniu mieliśmy szereg ciekawych danych m.in. już wtedy o przygotowaniach przez Niemców pomieszczeń dla dowództw, co wskazywało na kierunek wschodni niemieckich zainteresowań. Nasłuch funkcjonował względnie sprawnie. Odkryło się trochę nowych zapasów przechowywanej broni. Powoli ale systematycznie zapoczątkowana inspekcja tego dała potem podstawę do planu zakonserwowania i częściowych przerzutów na cele alarmowe i do użytku bieżącego. Brakowało nam bardzo broni krótkiej.

Wojskowo, z punktu widzenia politycznego (czy na odwrót) było ważne, że wszędzie gdzie to było tylko możliwe, PPS przede wszystkim a i PSL oddawały swoje oddziały czy uczciwie popierały nasz werbunek do S.Z.P. we własnych komórkach partyjnych. Poglębiało to wzajemne zaufanie aż do dołów organizacyjnych.

Ale już w samej polityce zaczynało się robić gorąco i niemiło. Aresztowano marszałka Rataja. Korboński dzielnie go zastępował i po drugim aresztowaniu marszałka podtrzymał w stronnictwie pion i poziom współpracy z wojskiem. Objęło to sobą coraz szerzej i Wici. Stronnictwo N.D. odwołało swoje upoważnienie dla Nowodworskiego. Na prośbę Niedziałkowskiego i moją zgodził się *ad personam* być nadal zastępcą komisarza cywilnego. Dopiero w styczniu i lutym, po szeregu konferencji i rozmów, skądinąd miłych, szczególnie z A. Dębskim a również ze Staniszkisem i potem pośrednio z Rybarskim, doszliśmy z końcem stycznia do porozumienia uwięzionego w lutym 1940 roku przekształceniem dotychczasowej Głównej Rady w PKP (Polityczny Komitet Porozumiewawczy) bez Stronnictwa Demokratycznego, ale za to z już w pełni ulegalizowanym przez partię Stronnictwem N.D.

Dotrzymałem obietnicy danej Grotowi i całą tę gehennę niekończących się rozmów nie tylko ze Stronnictwem N.D. ale i równoczesne informowanie o postępach i trudnościach PPS i PSL (współdziałających najlojalniej, z największą ofiarnością i najlepszą wolą szukania rozsądnych kompromisów) wziąłem na siebie. Równoczesne pertraktacje z ks. Kaczyńskim i p. Chacińskim, ze

Stronnictwem Demokratycznym, z szeregiem organizacji od politycznych jak Wici a częściowo i Siew, poprzez społeczno-wychowawczo-wojskowe jak Harcerstwo, Związek Strzelecki, kobieca organizacja P.W., do niektórych organizacji powrześnieiowych o typie raczej wojskowym, pochłaniały mi tyle czasu i energii, że tylko dużym wysiłkiem woli zdobywałem się na utrzymanie na poziomie uczciwych wymagań w spełnianiu głównych moich obowiązków dowódcy wojskowego. Mieliśmy przecież opracowywanie szkieletu planu operacyjnego i nękania (dywersji), Wawer i inne represje niemieckie wymagały bezpośrednich odwetów. Konieczność wprowadzenia w organizację rezerwy i pospolitego ruszenia z jednej, a uaktywnienie pierwszego rzutu czy jak to nazywaliśmy służby czynnej z drugiej strony pociągało za sobą nie tylko studia, jak w różnych terenach należy to rozwiązać, ale i potrzebę przesunięć personalnych i materiałowych, wtedy jeszcze na małą skalę, ale niemniej trudnych.

Z końcem listopada trafiliśmy najpierw w Krakowie, a potem w Warszawie na ślad kuriera z Angers. Zналиśmy nawet jego pseudonim — Konarski. Zaraz po powrocie z objazdu wysłałem drugi meldunek do Rządu, a potem wkrótce trzeci, czwarty dopiero w grudniu, wszystkie już wprost do Angers. Ponieważ w pierwszym meldunku podałem elementy nawiązania łączności z nami wiedząc na pewno, że ten kurier już jest, nie mogłem zrozumieć dlaczego wyraźnie uchyla się od dawanej mu ciągle możliwości zetknięcia się z nami. Jak już wyżej wspomniałem, o przyczynie dowiedziałem się dopiero na Syberii.

A szedł już grudzień. Ostra zima w ruinach Warszawy, nędza powojennych miesięcy i rosnąca eksploatacja niemiecka nękały stolicę. Było dużo zła, małości *Volksdeutsch*’ów i kandydatów na nich, ustawianie się w kolejkach (choćby w marzeniach tylko) po posady czy synekury wokół *Treuhänder*’ów. Byli nawet pp. Młynarscy, przekonywujący wokół, aż do Angers, o słuszności polskiego podpisu w niemieckim banku emisyjnym dla polskich banknotów. Ale to był margines — wąski strzęp głupoty, lęku o „stopę życiową” — bo wtedy jeszcze nie o życie. Z pewnością sparszywiało moralnie trochę ludzi tu i tam, byli nawet wysługujący się policji czy Gestapo. Ale od pnia poprzez konary i gałęzie aż po liście naród był zdrowy moralnie, jędrny i prężny.

Mieszkalem trzy tygodnie o 16 km od Warszawy — zaraz za Wawrem, którego tragedię i zbrodnię wymordowania 140 ludzi w pierwszej masowej rzezi okupacyjnej słyszałem w grzechocie niedalekich salw egzekucyjnych. Najmniej trzy razy w tygodniu wyjeżdżałem do kuzynostwa Grota wozem z mlekiem

o 5-tej rano do Warszawy i wracałem w ten sposób o zmierzchu, przed godziną policyjną. W pozostałe dni spotykałem się w Radości czy okolicznych miejscowościach na odprawach, konferencjach i rozmowach z ludźmi, z którymi bezpieczniej było mówić poza Warszawą. Sam lub z Leonem Chrzanowskim linijką w jednego konia jeździliśmy wtedy wygodniej niż na wozie z mlekiem. Widziałem więc i ulice stolicy o świcie — przez cały dzień do zmierzchu (bo raczej chodziłem piechotą niż jeździłem tramwajami, w których co raz ktoś ze znajomych mnie rozpoznawał). Widziałem i wieś, przysiółki i natłoczone w grudniu letniska. Wszędzie byli dobrzy ludzie, dzielni Polacy — prawie wszędzie życzliwość, chęć dopomożenia nędzy — zimna, rozsądna, ale i mocno żywiołowa odraza do Niemców. Była godność — nawet duma wolnego choć skutego człowieka. Może tylko w Warszawie uliczny bimber czy inny często wymyślny handel nasuwał obawy o młodzież dorabiającą tym dla rodziców. Obawy nie o jej patriotyzm, bo ten był niezawodny mimo wszystkie kryzysy zaufania — ale o to czy szaber nie wypaczy jej kośćca moralnego. Nie wypaczył — przecież młodzież ta w Powstaniu zdała egzamin krwi i trudu 63-dniowej walki w kanałach i zgłiszczach. W okolicach Radości często przejeżdżałem koło domu, gdzie mieszkał prezes Arciszewski. W porozumieniu z nim nie wciągaliśmy go ze względu na bezpieczeństwo tego seniora polskiego socjalizmu do bezpośredniej roboty. Ale patronował on swoim młodszym towarzyszom, którzy w polityce i wojsku nieśli dużą część ciężaru całej pracy na swoich barkach. Niedziałkowskiego i Pużaka uważałem za starych osobistych przyjaciół. Z pierwszym od lat w Wilnie zbliżyliśmy się — z drugim jeszcze z czasów w Moskwie po rewolucji. W tym zmaganiu się z trudnościami w pracy — z żalem, że tyle jest nędzy ludzkiej wokół, a tak mało można pomóc, że ludzie są tak często głupi i małostkowi, a Polska w niewoli i opuszczona przez świat — jedyną radością i wytchnieniem były kontakty z Mieczysławem i Kazimierzem oraz z Grotem i z kilku oficerami ze sztabu, no i z tą twardą jak polska dola, ale i jak Polska mocną zimą wtedy. Jakże cieszyliśmy się wszyscy z wyjścia Rataja z więzienia. Już nie o pracę tylko chodziło, bo Korboński robił wszystko doskonale i jak dobry kolega, ale o człowieka, o głowę i jego wielkie serce, którymi mógł znowu — nie tylko przez grypsy z więzienia — dzielić się z nami. Niedługo został na wolności — wrócił do więzienia po zamykającą mu dalszą drogę salwę plutonu egzekucyjnego. Ale przedtem jeszcze inny cios w nas uderzył. Aresztowano Niedziałkowskiego — zginął ślad po Starzyńskim. Drugi

był duszą obrony Warszawy, pierwszy współtwórcą i mózgiem politycznym S.Z.P. Nie lubię polityki, choć często w życiu i w swojej służbie musiałem (niestety i do dziś muszę) ją robić. Ale nie umniejszając możliwości zrobienia dużo dobrego w polityce — dla siebie, dla moich nastawień życiowych i zamiłowań uważam ją za obcą i podejmuję się jej tylko na rozkaz, z wewnętrzznego poczucia, że trzeba, że jest to obowiązkiem. On — Mieczysław, choć dziennikarz, robił ją z zamiłowaniem, robił uczciwie — taką jaką zawsze powinna być dobra polityka — a robił ją i ładnie.

No cóż było zrobić — sam wybrał ten los, bo od początku ja, a potem obaj z Grottem nieustannie namawialiśmy go na wyjazd. Miał wszystko gotowe — odkładał z tygodnia na tydzień, aż po drugim przesłuchaniu, na które w wigilię sam się zgłosił, skierowało go Gestapo przez Pawiak w kilkumiesięczną drogę po celi więziennej na Palmiry, a Bierut zhańbił go za to komunistycznym Grunwaldem. Ale myśmy go szanowali i kochali — to mu chyba okupiło ten reżymowy pogrzeb.

Tak dobrnęliśmy do Świąt Bożego Narodzenia. Spędziłem je u kuzynostwa Grota i zaraz przeniósłem się do Warszawy, tym razem na Pragę i to do rzeźni miejskiej.

Mój dobry kolega i serdeczny przyjaciel mjr J. Karasiówna opisuje w „Pierwszym Półroczu Armii Podziemnej” dość szczegółowo i zgodnie ze stanem faktycznym cały ten okres ostatnich dwóch miesięcy mojej służby w Warszawie. Dotrwała w Kraju do Powstania, zaczęła pracę w 16-ce, była dzielnym i sprawnie działającym szefem łączności w Dowództwie Głównym - Komendzie Głównej i w końcu w Dowództwie Armii Krajowej. Była lojalnym, wzorowym podwładnym, szanowanym, kochanym i darzonym ufnością przełożonym, najlepszym kolegą równie moim jak gen. Grota i wielu innych żołnierzy AK. Wiedziała dużo i dużo mogła powiedzieć z autorytetem słusznej oceny zjawisk i faktów.

Sam we wspomnieniach moich na temat tego okresu ograniczę się do niezbędnego. Nie lubię oskarżać, gdy nie ma sądu, który by rozstrzygnął o winie lub skarcił oszczerstwo czy bezzasadność oskarżenia. Nie lubię tym bardziej, gdy mimo całą czujność, aby być bezosobistym, mógłbym choć podświadomie ująć coś stronniczo. Zresztą to już przeszło — tragedia żadna się nie stała. Dobro sprawy nie ucierpiało, a może w dowodzeniu Grotą zyskało tylko. Grot w służbie zginął — jeżeli się nie jest fatalistą, to można zapytać, czy młodego, dzielnego, wypróbowanego w trudzie dowodzenia przez lata całym krajem dowódcę nie mogło

się udać zachować dla Polski na dziś, gdy tak trzeba nam ludzi jego miary — z wizją i siłą realizowania, dowódcy z wielkim charakterem i wielkim sercem.

Zresztą, gdybym nawet oskarżał, to nie o fakt odebrania mi dowodzenia. I nawet nie o bezmyślność rozkazu przeniesienia do Lwowa, gdzie w nasileniu inwigilacji NKWD każdy bez mała Lwowianin mógł mnie rozpoznać i przed kimś nieuważnie o tym się wygadać. Prawem dowódcy jest określać, że któryś z jego żołnierzy jest mu potrzebny nie tu a tam, czy w ogóle niepotrzebny. I jest też prawem dowódcy posłać żołnierza na posterunek indywidualnie dla tego żołnierza z góry już stracony. Za to każdy dowódca odpowiada tylko przed swoim sumieniem, ewentualnie i przed przełożonymi. Oskarżenie moje — którego nie wnoszę, ani też nie wniosę — dotyczyłoby tylko osobiście brzydoty, nieżołnierskości sposobu, w jaki mnie usunięto. A to trzeba podnieść nie dlatego, że to dotyczyło mnie czy kogokolwiek innego — ale dlatego, że rzecz sama była brzydka. Natomiast ogólnie rzecz biorąc, co naturalnie jest stokroć ważniejsze, mógłbym oskarżyć raczej o świadomy nonsens systemu organizacji, jaki nam w związku z tym narzucono. Nonsens ten świadczył o złym podejściu do zadań i praw kraju i długo pokutował w zarządzeniach emigracji, jej poczynaniach i chaosie jaki przez to stwarzał. Chcę jedno zastrzec — nikogo o żadne złe intencje nie posądzam — zresztą i to co powiedziałem, powiedziałem o fakcie samym, a nie o ludziach, którzy do tego przyłożyli rękę. Rzec samą trzeba podnieść, bo to może się komuś przydać jako doświadczenie i może ktoś z tego czegoś się nauczyć.

W ostatnich dniach grudnia przyjechał powtórnie kurier Konarski; tym razem trafił szybko na adres z pierwszego mego meldunku z połowy października. Przywiózł do Grot (mojego zastępcy) długi rozkaz o utworzeniu ZWZ, o tym że ma on powstać z S.Z.P., że Komenda Główna tego ZWZ jest już od końca listopada gotowa w Angers i będzie ona dowodzić w Kraju wprost z Francji kilku obszarami, każdym bezpośrednio. Jeden z nich ma objąć Grot (obszar warszawski) i koordynować pracę pozostałych obszarów okupacji niemieckiej. Tom III wydawnictwa „Polskie Siły Zbrojne” podaje treść tego rozkazu, a mjr Karasiówna sposób doręczenia go itp. Nie chcę oceniać sensu tego rozkazu, bo zrobiła to już historia w fakcie jego kolejnych zmian w ciągu kilku miesięcy, doprowadzających z woli tych samych przełożonych którzy go wydali do organizacji, jaką my wszyscy w Kraju od początku i stale uważaliśmy za jedynie słuszną, tj. do zasady, że jako minimum wojskiem całym w Kraju

dowodzi dowódca przebywający w Kraju i naturalnie podległy Naczelnemu Wodzowi za granicą. Jako minimum — bo uważaliśmy że w ogóle całym Krajem dowodzi na miejscu delegat Rządu, któremu podlega dowódca wojskowy lub odwrotnie — tak jak przewidywały to nasze zasady organizacyjne, na terenie działań wojennych jakim był Kraj dowodzi dowódca wojskowy, przy którym jako reprezentant Rządu tzw. Komisarz Cywilny kieruje sprawami politycznymi, administracyjnymi itp. Każdy żołnierz, a i każdy urzędnik administracyjny rozumie, że aby decydować, trzeba wiedzieć o czym i w jakich warunkach się decyduje, no i trzeba mieć potem kontrolować sposób wykonania decyzji. Naturalnie, że przy normalnych środkach łączności odległość nie gra roli, ale klimat rzeczywistości pola bitwy czy terenu operacyjnego ma swoją wymowę i swoje imperatywy w dowodzeniu, o ile ma ono być z sensem i sprawne. O łączności nawet dużo gorszej od pseudonormalnej z Angers do Warszawy, Poznania, Torunia, Wilna lub Białegostoku czy Lwowa, wreszcie Krakowa, nie można było przecież marzyć ani łudzić się, że to się uda kiedykolwiek zorganizować. Jeżeli znano w Angers adres dowództwa Głównego S.Z.P. i nazwisko szefa sztabu do którego Konarski przywiózł rozkaz, to znano też i dowódcę, który w swoich meldunkach ten adres i nazwisko podał. Nie zapomniano i o nim — był do niego świstek papieru z rozkazem: „Udacie się natychmiast do Lwowa objąć tam dowództwo obszaru Nr 3 — podpisy”. Kurier który zameldował się u mnie 1 stycznia 1940 roku ustnie nalegał, że to „natychmiast” rozumie się jako trzy dni.

W gruncie rzeczy rozkazy te — ich treść i sposób potraktowania mnie — przyjąłem spokojnie i z góry zdecydowałem ustosunkować się tylko rzeczowo — w ramach obowiązku żołnierskiego i dobrego przykładu dla kolegów, zgodnie z czujnym pojęciem o interesie rzeczy samej, tj. sprawy, której służyliśmy. Do obowiązku wyjazdu w ciągu trzech dni zaleconych mi przez Konarskiego nie poczuwałem się. Było to realnie niemożliwe i pod każdym względem szkodliwe dla służby. Nasza doktryna dyscypliny uprawniała mnie do zdecydowania tego samemu. Nie przyjąłem oferty Grota, że decyzję co do wykonania personalnej części rozkazu lub utrzymania dotychczasowego stanu rzeczy zostawia on w moim ręku. Odrzuciłem poważną propozycję autorytatywnych przedstawicieli 2-ch stronnictw w Radzie naszej, aby utworzyć Rząd w Kraju, a współpracować z Angers w zakresie obrony naszych interesów na zewnątrz. Zrobiłem wszystko co możliwe, aby całej sprawie nie nadać posmaku sensacyjności, a

tym mniej jakichś rozgrywek personalnych i nikomu w S.Z.P. kogo tylko można było ominąć, nie mówić o tym. Pokrzyżował mi to Konarski, który *urbi et orbi* rozgłosił o tym w Warszawie. Moi oficerowie ze sztabu przychodzili do mnie pytać się czy to prawda, bo słyszeli o tym od znajomych czy od znajomych swoich znajomych.

Zdecydowałem oddać Grotowi od razu dowodzenie obszarem warszawskim, a zatrzymać tymczasowo ogólne dowództwo, aby zostawić sobie margines czasu na uporządkowanie sytuacji polityczno-organizacyjnej, uspokojenie ekscytacji na tle całej sprawy i przedłożenie do Angers jeszcze pod moją odpowiedzialnością meldunków, jak uważamy za słuszne w Kraju rozwiązać problemy organizacyjne wysunięte przez ten cały rozkaz. Kazałem Grotowi, aby już jako dowódca obszaru zameldował swoją osobistą ocenę i wnioski odnośnie tego — nie poruszając personalii, zwłaszcza dotyczących mojej osoby. Postanowiłem stworzyć jakąś ograniczoną ściśle w czasie sytuację „wyczekania”, aby Angers mogło (jeżeli zechce) odpowiedzieć na moje i Grota wnioski, a równocześnie abym tego „wyczekania” nie rozciągnął poza granice żołnierskiej przyzwoitości w terminie wykonania rozkazu, gdy żadnej odpowiedzi nie chciano mi przysłać. Zameldowałem więc (jak niżej) przez Konarskiego, który wyjechał w pierwszych dniach stycznia, a potem przez pp. Gejsztora i Dokładnego, którzy z takim samym rozkazem przyjechali na Trzech Króli i wyjechali w połowie stycznia (jak to w tym wojsku czasem szybko jedni po drugich dojeżdżają kurierzy, gdy niektórym przełożonym na czymś zależy, a nie można się doczekać odpowiedzi na 6 wysłanych i doręczonych meldunków w ciągu trzech miesięcy, w sytuacji jesienią 1939 roku w Kraju). Zapytałem sam siebie, czy i ja w mojej służbie podobnie postępowałem — nie umiałem sobie jednak niczego podobnego przypomnieć, więc mam prawo podnieść to tutaj). Odnośnie strony personalnej powiedziałem, że rozkaz wykonam, proszę tylko, aby o ile nie ma szczególnych powodów przeniesienia mnie właśnie do Lwowa, a Naczelnny Wódz nie ma z jakichkolwiek swoich względów zaufania do mnie jako dowódcy w Kraju, pozwolono mi zostać czy jako zastępcy i szefowi sztabu u Grota, czy jako komisarzowi cywilnemu przy Grocie. Uważałem, że takie rozwiązanie dla rzeczy samej wtedy byłoby najlepsze (przyjmując rzeczywistość, że mnie nie chcą jako dowódcy), tak widział to i Grot i aktualnie wtedy pracujący członkowie Rady Głównej, a obaj z Grotem byliśmy zbyt dobrymi żołnierzami, aby zachodziła obawa jakichś trudności w naszej współpracy przy odwróceniu „układu sił”. A co do *meritum* — przekonywaliś-

my obaj z Grottem w naszych meldunkach, że można z zagranicy dowodzić całym Krajem, ale nie osobno i bezpośrednio fragmentami pracy czy terenu. Że nie można oddzielać zaplecza politycznego i całego systemu administracyjno-państwowego od wojska czy odwrotnie, wojska od integralnie z nim związanej podstawy własnego, też walczącego na co dzień społeczeństwa. Że opóźni to zawsze każdą szybko potrzebną decyzję, wywoła tarcie od góry do dołu, nie mówiąc już o rozplenianych się zawsze jak grzyby rywalizacjach kompetencyjnych, które w konspiracji w ogóle, a szczególnie przy specyficznych przeszkodach w uzyskaniu natychmiast rozstrzygnięcia wspólnych przełożonych, muszą wyrządzać tylko szkodę dobru służby i sprawności pracy. W meldunku przez Gejsztora dodałem, a powtórzyłem to w meldunku wysłanym przez p. J.S. też w styczniu, że czekam na odpowiedź co do mnie do 20 lutego 1940 roku, proponując kod jej przez radio i godzinę nasłuchu na to. Niezależnie od niej — tej mojej personalnej sprawy — gorąco kładę na serce obu przełożonym naszym sprawę merytoryczną, najbardziej życiowo ważną dla nas i całej służby w Kraju, tj. konieczność zmiany organizacji dowodzenia i współpracy z czynnikiem polityczno-administracyjnym. Za najlepsze uważaliśmy i proponowaliśmy w tych meldunkach wyznaczenie np. komendanta głównego ZWZ w Kraju, mianowanie pełnomocnego ministra w Kraju jako delegata Rządu i uzależnienie jednego od drugiego czy na odwrót. Dodałem też, że o ile wyjadę do Lwowa około 22 lutego nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, to w myśl tej naszej zasadniczej koncepcji o organizacji dowodzenia w Kraju uzależnię się sam po zdaniu służby Grotowi w Warszawie od niego tj. od komendanta obszaru Nr 1.

W kilku ostatnich rozmowach ze mną i z Grottem tak Konarski jak i bardzo życzliwi w ocenie naszego dorobku i wniosków organizacyjnych Gejsztor i Dokładny stwierdzili wyraźnie, że merytorycznie mamy słuszność, że poprą jak najgoręcej nasze wnioski, że zrobią na co ich stać, aby przyczynić się do naprawienia krzywd (nie mam tu na myśli personalnych), wyrządzonych przez postawę w stosunku do nas i rozkazy z Angers. Pobłogosławiliśmy ich, aby im się to udało, a Konarskiego, gdy zrozumiał błędy własne i inspiracji z jakimi był w listopadzie przyjechał, w grudniu — „rozgrzeszyłem”. *A propos* tego listopada i Konarskiego, już uprzedzałem Grota, zresztą i przedtem w październiku po objęciu przez niego służby, że liczę się z możliwością chęci zlikwidowania mnie przez nasze władze. Prosiłem aby ustawił się w pracy w sposób, któremu niełatwo by było przyczepiać łatkę czy „sanacyjności” czy „lewicowości”, aby gdy mnie

usuną podtrzymał ciągłość postawy i koncepcji, zabezpieczył dowodzenie przed „partyjnikami” czy wygodnymi figurantami. Niestety rozumiałem, że po tragediach jak nasza wrześniowa, a zresztą i w ogóle, niełatwo ludziom pozbywać się chęci odwetu na grupach czy jednostkach, nie poddawać się w ocenie najważniejszych zjawisk i zagadnień podszeptom głupoty, zawiści personalnych lub małostkowości plotki nie sprawdzonej nawet (choć się ma sposobność, jak pobyt Konarskiego w Kraju w listopadzie), nie weryfikowanej odważnym postawieniem wprost w oczy zarzutu i zaczekaniem przed osądem na odpowiedź czy usprawiedliwienie się. Po odejściu Komendanta Marszałka Józefa Piłsudskiego nie stało nam ludzi dorastających do zadań chwili. Ale w żołnierzach umundurowanych czy w cywilu, których On wychował, w zarysowanej i utrwalonej przez niego wizji Polski — zostało zdrowe ziarno które, głęboko wierzę, dawało, daje i dawać będzie zdrowy, również pełny kłos mocy odżywczej. A ta moc wyzwoli Polskę, postawi Ją w świecie na właściwym Jej miejscu i zapewni ludowi, narodowi naszemu, przez sprawiedliwość społeczną siłę, aby się poczuć aktywnie, harmonijnie i zdyscyplinowanie odpowiedzialnymi za dalsze losy naszej wielkiej i pięknej Ojczyzny. Wierzę, że idea Komendanta wyrażona w odezwie Wileńskiej z 1919 roku ziści się ku chwale polskiej, pożytkowi narodów „Międzymorza” i korzyści dla świata — dla tak dzisiaj umęczonej ludzkości na każdym stopniu geograficznej długości i szerokości.

Ale wróćmy na ziemię do tematu tego odczytu, a już najwyższy czas abym go skończył.

Jak ocenialiśmy obaj z Grotem, a przyznawali nam słuszość ludzie bezstronni z polityki czy z boku obserwujący nasz dorobek, organizacja działała sprawnie. Objęliśmy, prócz nie opanowanych jeszcze ale już dobrze rozpracowanych Poznańskiego i Pomorza, wszystko co ważne na terenie całego Kraju. Okręgi jak Łódzki Okulickiego czy Lublin Sychalskiego pracowały wzorowo. Mieliśmy w czynnej służbie ponad 25.000 wyselekcjonowanego ideowo i wojskowo dobrego żołnierza. Sprawdzanie stanów, gotowości i dyscypliny dawały wszędzie dobre wyniki. Było kilkadziesiąt tysięcy w dużej mierze niesprawdzonych, rezerwy i pospolitego ruszenia. Minimum broni i amunicji (poza krótką) było zapewnione. Dowództwa, wojska specjalne, łączność, wywiad i dywersja, bezpieczeństwo, zaopatrzenie, „lokale” i „komunikacja” były jeszcze przeciętnie dalekie od doskonałości, ale można było poprzez nie bieżąco pracować sprawnie, mieć czucie z terenem i dowodzić. W zakresie zaopatrzenia zbliżyliśmy się do

kryzysu w pieniądzech, nasze — poza rezerwą na czarną godzinę i inwestycje jak łączność, kwatery i komunikacja (przedsiębiorstwa transportowe) wyczerpywały się. Na prośby pomocy, zdaje się we wszystkich sześciu meldunkach do Świąt w grudniu, nie mówiąc już o trzech po Nowym Roku — nie mieliśmy właściwie żadnej reakcji. A wiedzieliśmy o wysokości sum i adresach, na które hojnie przesyłano je z Angers, ale nie dla nas. Ot tak na pewno ważni dla nauki polskiej profesorowie politechniki czy krakowscy, p. Świętochowski czy dużo innych grup i grupek czy jednostek dostawali je — my nie. A gdy w jednym wypadku w ostatnich dniach grudnia zaawizowano nam pośrednio o niejakiem M., rozpoznanym przez nas aferzyście — że ma i dla nas pieniądze, to dowiedzieliśmy się od niego, że żąda 75 % całej sumy jako prowizji, przy tym twierdził i pośrednio legitymował się tym, że go z Angers upoważniono do tego. Cóż z takim draniem było robić? Zastrzelić, ale to naruszałoby lojalność wobec jego mandatariuszy — no i nawet tych 25 % nie dostaniemy. Wzięliśmy je już z końcem stycznia. Grot zdecydował że bierze to dla swego obszaru. A dochodziły pewnie i docelowo pieniądze nawet na indywidualne względnie zbiorowe adresy prywatnych osób w Kraju, nie mających poza pokrewieństwem z kimś w Angers nic wspólnego z pracą, a tym mniej służbą. Kto tak mądrze dysponował i organizował, na szczęście dla mnie, nie wiem — jedna mniej przykra ocena nie obciąża mojej pamięci.

Liczyłem się jednak mimo wszystkich hymnów pochwalnych pod naszym adresem tych trzech kurierów, gdy odjeżdżali, że nie dostanę rozkazu odwołującego moje przeniesienie do Lwowa. Gdy więc z początkiem stycznia Korczak podporządkował czy wcielił swoją krakowską grupę do ZWZ, wezwałem jego szefa sztabu płk. (obecnie gen.) Rudnickiego do Warszawy i zaproponowałem mu, aby jechał jak najszybciej do Lwowa objąć tam tymczasowo dowodzenie, a gdy przyjadę zostać szefem sztabu i moim zastępcą. Po wyjaśnieniu sobie różnych zagadnień które go interesowały we współpracy ze mną, „Klimek” przyjął propozycję. Dałem mu potrzebne rozkazy. Liczyłem, że zacznie pracować na miejscu z początkiem lutego, a pod koniec miesiąca spotkamy się znowu we Lwowie. Spotkaliśmy się nieco później — bo dopiero w sierpniu 1940 roku w Dniepropietrowsku, gdy wprowadzono go do celi w której ja już siedziałem od paru miesięcy. Nie udało nam się jednak wykorzystać tej sposobności do zorganizowania tam dowództwa lwowskiego, choć i kol. A. Płonka, późniejszy ppłk i inspektorka na Środkowym Wschodzie która szła ze mną przez granicę jako przewidziana na szefa łącz-

ności oraz kol. M. Trojanowska, łącznik do Grota — też siedzieli w tym samym więzieniu. Niczego o sobie nie wiedzieliśmy, myśląc jeden o drugim, że tamten właśnie działa we Lwowie. Dużo więc było radości z tych trzech tygodni spędzonych w jednej celi — dużo szepcanych dyskusji o dzisiaj i o możliwościach jutra. Dostałem wtedy 5 lat łagru i powieźli mnie „na białe niedźwiedzie”. Rozstaliśmy się i dopiero kiedyś w 1942 roku w Szachrisiabsie w Uzbekistanie telefonuje do mnie gen. Anders za zapytaniem, czy zgodzę się na Klemensa jako dowódcę piechoty w 6-tej Dywizji którą dowodziłem. Więc zrealizował się jednak Lwów nasz w wydaniu uzbecko-sowieckim u stóp ośnieżonego Pamiru, w skwarze gorąca i wśród pięknych a ożywczych aryków (kanały nawadniające), ale zawsze Lwów — bo 6-ta Dywizja była lwowska, miała swoje „dzieci lwowskie”, swego lwa w błękitno-czerwonym polu, a przede wszystkim serca lwowskie — uśmiech, piosenkę i gaz — szpurta lwowskich batiarów. Chyba i gen. Klemens zgodzi się, że i wojsku naszemu z nami i nam ze sobą było dobrze. Z uformowaną z tej dywizji też 6-tą Lwowską Brygadą Klemens poszedł na front, bił się dzielnie z Niemcami, jak w styczniu 1940 roku wyobrażaliśmy sobie, że bić się będziemy o Lwów z bolszewikami. Mimo liczne zapytania które mi stawiał w Warszawie nim zdecydował się jechać ze mną do Lwowa, zostaliśmy i jesteśmy przyjaciółmi — wyrobił mi rok temu miejsce w dobrej i miłej fabryce sprzętu radiowego jako *in spe* kwalifikowanemu mechanikowi. Dobrze mi się tam pracuje wśród swoich — znośnie zarabiam — jeszcze jeden powód do wdzięczności, już tym razem osobistej.

Na przełomie stycznia i lutego oddałem Grotowi dowodzenie nad resztą obszarów okupacji niemieckiej, zatrzymując poprzez ten sam sztab kierownictwo wszystkich spraw dotyczących obszarów pod okupacją sowiecką i Wilna oraz dowodzenie ogólne jako podstawę do wykończenia spraw politycznych, które chciałem mu oddać bezpośrednio przed wyjazdem w stanie nie obarczającym go kłopotami na tym odcinku.

Od czasu cofnięcia pełnomocnictw Nowodworskiemu przez Stronnictwo N.D. szło wszystko jak z kamienia w tej dziedzinie. Jedynie PPS i PSL niezmiennie trwały we współpracy z wojskiem i między sobą, a choć miały zastrzeżenia co do współpracy ze Stronnictwem N.D. po jego wycofaniu się z Rady Głównej, chętnie zgodziły się podporządkować je dobru zespolenia się wszystkich razem. W pertraktacjach jakie stale prowadziłem z N.D. wyszedł najpierw problem Stronnictwa Demokratycznego — żądano aby Ośrodek Rady, pełnoprawny jego skład, nie obejmował

demokratów. Choć takie stanowisko uważałem za sprzeczne z sensem idei zjednoczenia, o które mi głównie chodziło — ostatecznie ustąpiłem, a kierownictwo Stronnictwa Demokratycznego, które od początku Rady było w jej składzie, zgodziło się wycofać, pozostając nadal w lojalnej z nami współpracy już jako nie członek Rady.

Choć zawsze bardzo miło mówiło nam się z p. Dębskim, choć zawsze życzliwi byli pp. Rybarski i Staniszkis, ale coraz to inne wysuwali problemy — ogólne zresztą, nie żadne personalne — co i raz trzeba było najpierw dogadać się z nimi, potem przekonać co do tego PPS i PSL i znowu o jakąś wysuniętą przez ostatnich poprawkę zwracać się do N.D. — przekonywać i prosić. Grot śmiał się ze mnie, że jak tak dłużej pójdzie to zostanę męczennikiem cierpliwości, pogody, uprzejmości i innych na ogół obcych mi cnót. Ale wytrwałem — a tow. Pużakowi za jego wyrozumiałość na ludzkie błędy, ustępliwość i oddziaływanie na Z. Zarembę i PSL winien jestem serdeczną wdzięczność. Ostatecznie zebrałem ich razem — zdaje się 7 lutego 1940 roku — i zaproponowałem przewodniczenie przez Pużaka. Zreferowałem uzgodnioną już właściwie formę RON (Rada Obrony Narodowej). PPS i PSL przyjęły — N.D. mimo uprzednio daną mi obietnicę odrzuciła, zgadzając się na mniej zwartą i sprawnie mogącą działać formę PKP (Polityczny Komitet Porozumiewawczy), którą na wszelki wypadek, aby znowu nie zaczynać od pieca, przygotowałem w rezerwie. Trzeba było przekonywać PPS i PSL, aby na to poszły — Pużak i Korboński ustąpili — więc wreszcie misja zjednoczenia polityki, zainicjowana i prowadzona przez wojsko, udała się. Głęboko odetchnąłem — miało to jeszcze uzyskać aprobatę ciał partyjnych, ale wierzyłem, że praktycznie rzecz biorąc „zjednoczenie” dokonało się.

Zebraliśmy się raz jeszcze bezpośrednio przed moim wyjazdem z Warszawy — panowie z polityki złożyli przysięgę ZWZ (z opuszczeniem obowiązku posłuszeństwa wojskowego) — wybrano na 1-szy miesiąc Pużaka jako przewodniczącego, po kolei miały się stronnictwa zmieniać na tym urzędzie — w skład PKP jako 4-ty wchodził Komendant okupacji niemieckiej Grot, reprezentujący nas obu, tj. i mnie jako Komendanta okupacji sowieckiej. Uściskałem go serdecznie przy końcu zebrania, oddając w jego mocne ręce dalszy ster naszej ideowej i żołnierskiej walki z Niemcami. Podziękowałem wszystkim za okazywaną mi stale życzliwość i lojalną współpracę i tym razem, nie jak we wrześniu, odmeldowałem się spod rozkazów Rómmmla, ale ich „odmeldo-

wałem” spod mego przewodniczenia Radzie Głównej S.Z.P., a Grota spod mego dowodzenia.

Życie jednak jest piękne i dobrze gdy pozwala człowiekowi idącemu w ten „inny świat” więzień i łagrów, w nędzę i nieludzką bolszewizmu — odchodzić z uczuciem, że do jakichś kropek nad „i” wspólnym wysiłkiem i właściwie przecież harmonijnie doprowadziło się. A tym jest to życie miłsze, gdy człowiek który odchodzi może oddać dorobek zespołowej pracy wszystkich nas wówczas w ręce przyjaciół — dobrych kolegów. Nawet świadomość samokrytyki nad własnymi błędami i omyłkami, tak bardzo właściwymi każdemu z nas — ludziom — jest wtedy lżejsza, bo przecież w bilansie każdego z życiowych etapów ma jedyne znaczenie ta szala, która ostatecznie przeważała.

Z tą chwilą „przeprowadziłem się” sam pod dowództwo Grota, aby — jeżeli już nie w literze rozkazu, to z ducha naszego wzajemnego zaufania i wiary w słuszność tego, czego nas uczył Komendant, a i my uczyliśmy naszych żołnierzy na placu boju jakim był cały Kraj — jeden tylko dowodził. Ale biedny Grot niewiele miał i nie na długo pociechy z „nowego” podwładnego. Musiałem niestety i u niego odmeldować się pod Muniną 6-7 marca 1940 roku i zostać na blisko dwa lata pod dowództwem tylko własnego sumienia i poczucia honoru — zostać tylko z wiarą w sercu, że i bolszewików — przetrwamy.

Proszę mi wybaczyć akcenty krytyki odnośnie niektórych problemów czy wypadków, które musiałem omówić w toku odczytu. Ograniczyłem je do minimum, mam niestety „cięty” język — przecież urodziłem się we Lwowie, więc i nie umiałem tego zawoalować. O jednym mogę zapewnić — nie chodziło mi o potępienie czegoś czy kogoś — nie jestem niczym sędzią — tym mniej o „wypominanie” lub nawet żal. W ocenach tych nie o siebie się prawowałem. W tym roku ubiega mi 40 lat żołnierskiej służby dla Polski — uważam więc za swój obowiązek — nie prawo tylko — podzielić się dorobkiem przykrych dla nas wszystkich — też dla rzeczy samej, co ważniejsze — obserwacji, doświadczeń i na tym opartych ocen. Nim te oceny sformułowałem sobie, szukałem wyjaśnień — uzasadnień — słuchałem *et altera pars*. Jednak po skonfrontowaniu wywodów i uzasadnień *altera pars* musiałem wówczas stwierdzić, a dziś podtrzymać to, że morale wszystkich wspomnianych przeze mnie wypadków i podłoże, z którego się one zrodziły były poniżej możliwości charakteru i tradycji narodowych z okresu wielkich naszych przeżyć — poniżej, co ważniejsze, potrzeb chwili. O to morale walczyłem, a nie o nieważną sprawę personalnego uderzenia we

mnie. Nie pozuję na nieomyślność, stwierdzam jednak, że i wówczas u nas wszystkich i dziś w mojej świadomości załamuje się to jako stosowanie metody *divide et impera*, a i jako próba poróżnienia Grota ze mną, aby łatwiej z emigracji dać sobie radę z tym upartym, samowolnym Krajem. Czy tak było w świadomości tych, którzy to robili, wie ich sumienie — ale jeżeli tak, to było to po prostu brzydkie.

Ale wszystko to nie jest ostatecznie ważne. Uczymy się i kiedyś przecież nauczymy się. Ważne jest, że polski nurt naszego narodowego życia jest mocny — prężny — płomienny. Że stapia nasze błędy i głupoty jak ogień ćmę. Że z niego żyje w nas moc przetrwania września 39-go roku i okupacji niemieckiej i strat Powstania i dzisiejszej niewoli bolszewizmu, nieludzkiej brutalności i eksploatacji wrogów, a często i małości sprzymierzeńców. A jeżeli tylko przetrwamy, to i doczekamy, że koło obróci się. Wówczas — poniżeni będą wywyższeni. Byle tylko ewangeliczny „talent”, który ten ognisty nurt polskiego życia wytapia dla serca każdego z nas mnożył się, by za bierne skąpstwo w przechowywaniu go bezużytecznie nie być straconym w jakiś nowy dół tragicznych przeżyć. Trwajmy sercem w Kraju i dla Kraju, a myślą szukajmy dróg, aby z woli w nas tylko Krajowi służyć. Kraj ten wtedy zdolny się stanie mnożyć dla się „talenty” wszystkich naszych możliwości i on otworzy nam drogę powrotu na swoje łono — łono Matki Polski i Ojca — naszego Króla Ducha. Mówię do was w rocznicę naszego Listopadowego Powstania. Wspomnienia moje i tylu innych, choćby i tych podchorążych spod Belwederu, mają inną wartość dla historyków w przyszłości, a inną dla nas, przeciętnych obywateli. Tamci przepatniają to, mierzą i dopasowują, robią z bólu i męki człowieka, z jego przelotnych triumfów alchemię wiedzy. Ale wiedza, jak wiedza, może być użyta potem i do konstrukcji bomb atomowych czy wodorowych — może też, co niestety rzadko się zdarza, pomóc naprawę i postępowi ludzkości. Zależy to od serc i głów — od idei które ją użytkowują. Dla mnie takie wspomnienia — a chciałbym gorąco aby i dla Was choć na tę chwilę tak było — są źródłem i środkiem przyjrzenia się rzeczy minionej, aby w rzeczy dokonywującej się aktualnie, czy tej którą zamierzamy lub już rozplanowujemy sobie, wydobyć z siebie siłę tworzenia, a odrzucić chaos destrukcji — rozkładu moralnego. To było intencją tego wieczoru, i jeżeli mi się to choć w części udało, serdecznie się cieszę, a i dziękuję Wam za cierpliwość w wysłuchaniu mnie.

Niech w zjednoczeniu, które tak mozolnie buduje emigracja

nasza, teraz zadźwięczę jak w Kraju w 1939-45 roku akcenty treści istotnych i sensu rzeczy. Niech odpadną jak plewa przetargi na krętych ścieżkach o zagmatwane interesy bezpowrotnie już przegranych pozycji różnych wyłączości, wyimaginowanych wczoraj czy jutro.

Niech to „zjednoczenie” przestanie być celem „wygrania” przez tę czy inną stronę, a stanie się środkiem skupienia się naszego na podstawie moralnie zdrowej i sprawiedliwej oraz zdolnej na przyszłość zapewnić harmonijną, prężną w działaniu współpracę. A najważniejsze, niech stanie się środkiem skierowania uwagi na Kraj — nie na Kraj dla wygrywania w nim swoich widzimisię, ale na ten jedyny cel naszego przebywania tutaj tj. służbę dla Kraju — mobilizowania sił i środków do walki o wolność Kraju. Nie przywiązujemy zbytnej wagi do dawno wygaśniętych mandatów sprzed 1939 roku, a skupmy żywą siłę każdego Polaka tutaj na poczuciu jego odpowiedzialności za losy tej walki. Dajmy mu w ręce środki, aby zdał sobie z niej sprawę i mógł — chciał ją podnieść.

Gen. dyw. Michał TOKARZEWSKI-KARASZEWICZ

Maria TROJANOWSKA, mjr

NIEUDANA WYPRAWA KURIERSKA I JEJ SKUTKI

Gdy w ostatnich dniach stycznia 1940 roku wróciłam znad granicy węgierskiej, po odprowadzeniu dwu emisariuszy naszego rządu w drogę powrotną do Francji, odwiedziła mnie HAKA (mjr Janina Karaś), mój stały łącznik, od której jedynie jako kurier przyjmowałam zlecenia i instrukcje. Zdałam jej sprawozdanie z w/w wyprawy, obfitującej miejscami w bardzo emocjonujące momenty. Po zakończeniu rozmowy HAKA zapytała mnie,

czy zgodzę się samotnie odbyć drogę do Paryża? Przyjdzie za trzy dni z instrukcjami i wskazówkami, dotyczącymi tego nowego zadania. Zgodziłam się od razu, bo odpowiadał mi bardzo projekt samotnej wędrówki bez odpowiedzialności za innych, tylko za własne decyzje i ewentualne pomyłki.

Przez trzy dni odpoczywałam, niecierpliwie oczekując przyjsza HAKI. Gdy trzeciego dnia wieczorem przyszła, od razu wyczułam pewne zahamowanie w naszej rozmowie. Do tematu Francji nie wróciła. Poprosiła natomiast, bym z ręką na sercu odpowiedziała jej, czy podejmę się odprowadzić do Lwowa gen. Tokarzewskiego, pierwszego dowódcę ruchu oporu w Polsce przeciwko okupantom niemieckim, powstałego pod nazwą „Związek Walki Zbrojnej” (Z.W.Z.). Generał idzie tam z zadaniem rozbudowania ruchu oporu po stronie okupacji sowieckiej. HAKA odwołała się do mego serca i sumienia, zanim poweźmę decyzję.

Powzięcie decyzji tego rodzaju było dla mnie bardzo trudne. Widziałam już siebie w drodze do Francji przez góry i granice, ale nie widziałam siebie ponownie na drodze do Lwowa, bo już tam byłam w październiku 1939 roku, tuż po zajęciu go przez wojska sowieckie, nawiązując po drodze kontakty także już i we Lwowie.

Do Rosji miałam od dzieciństwa uraz. Urodziłam się w Kijowie, gdzie przebywałam do 16-go roku życia i gdzie przeżyłam okres rewolucji, który po dzień dzisiejszy pozostawił w mej pamięci niezatarte obrazy koszmarów bezprawia i ludobójstwa.

Ale drogę przez lubelskie i Rawę Ruską już znałam i o przewodników wtedy nie było trudno, bo ówczesna granica sowiecko-niemiecka przecinała gospodarstwa małorolne w ten sposób, że dom pozostawał po stronie sowieckiej a pola, z nie zebranych jeszcze plonami jesiennymi — po stronie niemieckiej. Ludność, szczególnie wiejska, co dnia lub nocy narażała się bolszewikom dla możliwości zebrania chociażby pół worka kartofli z własnego pola, bo rodzinę trzeba było czymś nakarmić.

Ponadto ważność misji gen. Tokarzewskiego kazała mi odsunąć wszystkie moje zastrzeżenia i niechęci i potraktować chęć wyprawy do Francji jako egoizm z mojej strony. Także rozchodzące się już po Warszawie pogłoski o wyznaczeniu przez Niemców nagrody w wysokości 100.000 zł za wskazanie miejsca ukrywania się Generała w dużym stopniu przyczyniły się do powzięcia decyzji pójścia z Generałem.

Ponieważ osobiście nie znałam Generała, HAKA podała mi jego adres, godzinę i umówione hasło, abym poszła do niego zameldować się nazajutrz.

Rozmowa z Generałem była krótka. Za dwa dni wyruszamy. Z tej rozmowy wynikało jednak, że Generał ma już trasę ułożoną, nie pokrywającą się z moją. Mamy jechać pociągiem do Przeworska i w najbliższych jego okolicach przejść rzekę San.

Nie wypadało mi się już cofnąć.

Pojechaliśmy we czwórkę: Generał — jako lekarz Tadeusz Mirowy, Antonina Płońska, Ewelina Karaś (siostra Haki) i ja. Obie panie poznałam dopiero na warszawskim dworcu. Nie byłam uprzedzona, że poza Generałem jeszcze ktoś jedzie.

Do Przeworska przyjechaliśmy przed zmrokiem. Na dworcu spotkał nas Piotr Świetlik, jeden z przedstawicieli Stronnictwa Ludowego tamtejszego okręgu, widocznie znany Generałowi, bo na dworcu od razu do siebie podeszli. Zaprowadził nas do powiatowego przedstawiciela Stronnictwa Ludowego, kapitana rezerwy (nazwiska niestety nie pamiętam), który — znając naszą sprawę — poinformował nas, że Piotr Świetlik ma już opracowane wszystkie szczegóły i możliwości naszego przerzutu przez San, że ma już przygotowany dla nas nocleg, że trasa jest już wytyczona i że w odległości około 20 km, przy samym brzegu rzeki następnego dnia wieczorem, w umówionej chacie będzie na nas czekał przewodnik. Pożegnaliśmy kapitana i Świetlik odprowadził nas na kwaterę do swego przyjaciela, też ludowca, mieszkającego w skromnym domku z żoną i dwojgiem małoletnich dzieci.

Następnego dnia rano sanie zaprzężone w parę koni już czekały przed domem. Przez małe osiedla i wioski ruszyliśmy do leśniczówki naszego następnego postoju. Od tej leśniczówki do brzegu Sanu pozostałoby około 7-miu kilometrów.

W drodze do leśniczówki zaskoczyło mnie zjawisko, w okresie konspiracji niecodzienne. Spotykani po drodze wieśniacy, zarówno mężczyźni jak i kobiety, przypatrując się naszym saniom przystawali z rozjaśnionymi twarzami i głośno witali „naszego Generała”, mimo że miał długą brodę, futrzaną czapkę i podniesiony, futrzany kołnierz. Później przypomniały mi się wydarzenia i wypadki o charakterze raczej politycznym, które miały miejsce przed kilku laty na terenie Małopolski, a w których Generał brał udział jako rozjemca i pośrednik pomiędzy tamtejszą ludnością a czynnikami rządowymi w Warszawie. Był wtedy bodaj dowódcą O.K. Lwów. Patrząc zaś obecnie na te powitania pomyślałam, że Generał podjął się zadania prawie nie do wykonania.

W leśniczówce gościnni gospodarze przyjęli nas obiadem, po którym nastąpiła narada już z udziałem leśniczego. Potwierdził

on, że w umówionej chacie tuż przy brzegu rzeki będzie czekać na nas przewodnik i przejdzie z nami na drugą stronę. Czując się odpowiedzialna za szczęśliwe przejście Generała przez granicę, oświadczyłam, że tylko ja tej nocy przejdę na drugą stronę i tam postaram się znaleźć chwilowe, bezpieczne schronienie dla reszty, zanim ruszymy dalej na Jarosław. Świetlik żadnej koncepcji co do dalszych możliwości nie miał.

Tak więc koło godz. 9-tej wieczór podwieziono mnie saniami poprzez długi las aż do przybrzeżnej wioski, gdzie konie zawróciły a ja poszłam do umówionej chaty. Jeszcze w leśniczówce uprzedzono mnie, że na plebanii, koło której muszę przejść zakwaterowany jest niemiecki posterunek. Dobrnęłam wreszcie do zupełnie ciemnej chaty i w umówiony sposób zastukałam do drzwi. Nikt nie odpowiedział. Pchnęłam je. Otworzyły się bez trudu. Chata pusta z wyjątkiem siennika w kącie izby z ogarkiem dopalającej się łójówki na podłodze przy sienniku. Na sienniku stara babina. Zapytałam o Stefana. Odpowiedziała, że nie było go tu przez cały dzień a czy dziś jeszcze przyjdzie — nie wie, raczej nie, i nie radzi mi tu czekać, bo patrol niemiecki prawie co noc tu zachodzi.

Wysłałam z chaty w dużej rozterce. Przewodnik nawalił, jest noc, do leśniczówki kilka kilometrów lasu, którego nie znam, ciemna, uśpiona wioska i zresztą nie znam tu nikogo. Brnąc w śniegu poszłam polem na z daleka czerniejące chaty, w przeciwnym kierunku od parafii. W pewnym momencie usłyszałam za sobą chrzęst śniegu pod czyimiś stopami. Przystanęłam. Ciemna, męska postać zrównała się ze mną. Zapytałam, czy jest tutejszy i czy przypadkiem nie mógłby mi doradzić, gdzie mogłabym przenocować. Owszem, jest tutejszy i zna tu pewnego muzyka z b. orkiestry wojskowej mieszkającego tu z żoną i dziećmi, który — jest pewien — udzieli mi noclegu. Tam mnie zaprowadził. Doszliśmy do jakiejś zagrody, on zapukał, światło się zapaliło i we drzwiach stanął młody mężczyzna. Młoda kobieta, zapewne żona, zajęła się przygotowaniem pośłania na ławie tuż pod oknem. Prawie nie rozbierając się ułożyłam się na pośłaniu, światło zgasło i po chwili wszyscy już spali z wyjątkiem mnie. Napięcie nerwowe, specyficzny odór pluskiew, które zaczęły po mnie łązić i zapach nieświeżej bielizny pościelowej. To wszystko spędziło sen z moich powiek. Odtworzyłam w pamięci przebieg ostatnich dni i godzin. Coś gdzieś nie grało. Muszę nikomu nie przeszkadzając doleżeć do świtu i natychmiast ruszyć do leśniczówki. Muszę zatrzymać Generała przed wyruszeniem moim śladem.

Gdy za oknem zaczęło nieco szarzeć, podniosłam się z ławy, ale jednocześnie obudził się gospodarz. Chciałam od razu ruszyć w drogę, ale mnie zatrzymano obiecując, że za 10 minut będę już po śniadaniu i wtedy pójdę. Skusiła mnie wizja gorącej herbaty. Gdyśmy skończyli skromne śniadanie, odruchowo spojrzałam w okno i zobaczyłam patrol niemiecki tuż na ścieżce do zagrody. Na moim zegarku była 6-ta rano.

Niemcy weszli do zagrody i nie pukając weszli do izby. Jeden z patrolu przyjrzał mi się i zaczął po niemiecku mnie wypytywać. Nie odpowiedziałam. Gospodarz łamaną niemczyzną powiedział, że zapukałam w nocy prosząc o nocleg, którego mi udzielił i że pewno nie znam niemieckiego i dlatego nie odpowiadam. Wtedy drugi z patrolu łamaną polszczyzną zalatującą śląską gwarą powiedział mi, że zabiorą mnie na posterunek i tam mnie już o wszystko wypytają. Podziękowałam gospodarzom za nocleg i śniadanie przepraszając za kłopoty związane z moją tu obecnością.

Niemcy poprowadzili mnie przez wieś. Przystanęli koło domu sołtysa, ale nie było go w domu, tylko jego żona. Ślżak powiedział jej, że mają jeszcze kilka spraw do załatwienia we wsi i że zostawią mnie tutaj na godzinę na jej odpowiedzialność. Kobieta wprowadziła mnie do schludnego pokoju gościnnego i zapytała, czy może mnie zostawić samą, bo ma dużo roboty przy gospodarstwie. Zapewniłam ją, że nie ucieknę, bo nie znam tu nikogo i nie chcę nikogo narazić na duże przykrości. Ale mam do niej prośbę, by dała znać na leśniczówkę, że Maria została aresztowana. Nic mi nie odpowiedziała i wyszła z pokoju.

Po godzinie wrócili Niemcy i ruszyliśmy na drugi koniec wsi, do zabudowań parafialnych. Tam wprowadzili mnie do pokoju stołowego. Na stole resztki jedzenia i brudne talerze. Po chwili do pokoju wszedł niemiecki porucznik w towarzystwie podoficera. Porucznik zamienił kilka słów z patrolem, następnie zwrócił się do mnie z zapytaniem co tu robię, skąd przyszłam, gdzie stale mieszkam i czy mam dowód osobisty. Nie odpowiedziałam, tylko spojrzałam na Ślżaka. Powtórzył mi te pytania po polsku. Powiedziałam, że jestem z Krakowa, bez pracy, że mam kilkoro dzieci, że w Krakowie nic do jedzenia dostać nie można, że nie mam czym nakarmić moich głodnych dzieci i że mi doradzono, bym jechała po żywność na wieś i wskazano mi także i tę wieś, gdzie ewentualnie mogę nawet kupić prosiaka. Dojechałam pociągiem do najbliższej tej wsi stacji z wielkim opóźnieniem, a gdy piechotą doszłam do wsi była już prawie noc. Nie znając

tu nikogo przypadkiem dotarłam do chaty, z której mnie patrol zabrał, a gdzie prosiłam o nocleg.

Oficer (Bawarczyk) półgłosem porozumiał się z podoficerem, odprawił patrol i wyszedł z pokoju. Podoficer (Prusak) kazał mi zostawić na oknie mój koszyczek, co też uczyniłam, wyjmując z niego całą więcej niż skromną zawartość i kładąc ją obok na oknie. Zrobiłam to celowo, by odwrócić uwagę od pustego koszyczka, bo w rączce jego miałam ukryty studolarowy banknot dany mi w Warszawie na pokrycie wydatków w drodze i pierwszych dni we Lwowie.

Podoficer zaprowadził mnie do małego pokoiku, nieumeblowanego, w którym dużo miejsca zajmował piec, ale zimny. Okrzykami i ruchami rąk kazał mi stanąć przy piecu, zrzucić wszystko co miałam na sobie na podłogę i wskazując na zegarek dał do zrozumienia, że wróci za 10 minut. Zdecydowałam się jednak zdjąć z siebie kozuch, sukienkę, buty i pończochy. Zapowiedziane 10 minut przedłużyły się, toteż solidnie zmarzłam.

Przyszli obaj. Podoficer od razu rzucił się do pieca, wygarniając z niego wszystko do przyniesionego ze sobą pudła. Spodziewał się widocznie, że mogłam coś w nim ukryć. Następnie bardzo dokładnie obmacał wszystkie rąbki mojej bielizny, sukienki, kozucha i pończoch. Obejrzał dokładnie także i buty. Wszystko bezskutecznie. Pienił się ze złości. Oficer usiłował go uspokoić. Zwrócił się do mnie z zapytaniem, czy znam Łańcut. Automatycznie słowo Łańcut powtórzyłam w brzmieniu niemieckim, jednocześnie przecząco kiwając głową. Podoficer skoczył krzycząc, że kłamię, że nie znam niemieckiego, bo nie tylko zrozumiałam pytanie, ale wymówiłam Łańcut w brzmieniu niemieckim. Oficer spokojnie mu odpowiedział, że to nie jest żaden dowód mojej znajomości języka. Na to podoficer wyskoczył z pokoju i po chwili wrócił z moją torebką cukru, którą zostawiłam na oknie. Podniesionym głosem powiedział, że ja kłamię mówiąc, że jestem z Krakowa, bo na tej torebce jest firma warszawska i że trzeba mnie odesłać do Gestapo, gdzie mnie rozszyfrują. Po mnie przeszły ciarki, bo istotnie zobaczyłam na torebce dużą pieczęć firmową Pakulskiego w Warszawie.

I znów porucznik przyszedł mi w sukurs, oświadczając swemu podkomendnemu, że to również nie jest dowodem, że nie jestem z Krakowa i że nie widzi potrzeby odsyłania mnie do Gestapo. Kazał mi się ubrać i przyjść do stołowego pokoju. Cekał na mnie tam już tylko porucznik. Wyprowadził mnie na podwórko, wskazał na studnię, stojące obok wiadro i wiszące ścierki i szczotki. Na migi kazał nabrać wody do wiadra i zabrać

ścierki i szczotki i iść za nim znów do stołowego pokoju. Tam dał do zrozumienia, bym uprzątnęła i wszystko w nim umyła. Chwilę zastanawiałam się, ale wyboru nie było, więc wzięłam się do roboty. Po paru godzinach skończyłam mycie, wypłukałam na podwórku wiadro, rozwiesiłam ścierki i szczotki i stanęłam czekając na dalszy ciąg.

Porucznik po chwili wyszedł z innego budynku i ruchem ręki kazał mi tam wejść. Była to duża kuchnia, w której kręciły się dwie nasze kobiety. Kazał im mnie nakarmić, a sam usiadł przy stole obserwując mnie, gdym usiłując zachować wygląd człowieka spokojnego zabrała się do jedzenia, które z trudnością przechodziło mi przez gardło.

I co dalej? — pomyślałam, gdy skończyłam jeść. Odezwał się porucznik, mówiąc kobietom, by przetłumaczyły mi to co powie. Jeżeli miałam zamiar przejść na drugą stronę rzeki, to on mi pomoże i to jeszcze tej nocy. Ale musi mnie uprzedzić, że jeżeli bolszewicy mnie złapią, to posadzą do więzienia o potem odtransportują w głąb Rosji do łagrów, dokąd zesłali już wielu Polaków, szczególnie zaś tych, których złapano przy pasie granicznym.

Dla mnie to oświadczenie było czymś nowym, bo na ten temat w Warszawie było jeszcze głucho. Poprosiłam moje tłumaczki, by podziękowały porucznikowi za dobre chęci, ale nie miałam zamiaru przechodzić za rzekę.

Wobec tego — powiedział — może zechcę tu zostać? — Przydzielą mnie do pomocy w kuchni, będą mi płacić, dostanę jedzenie i mieszkanie.

— A moje głodne dzieci, które czekają na mój powrót?

Porucznik rozłożył ręce. Podniósł się wreszcie z ławki i ruchem ręki kazał mi iść za sobą. Wróciliśmy znów do stołowego. Tam podał mi mój koszyczek, kazał włożyć do niego moje drobiazgi, wyprowadził mnie znów na podwórko i wskazując otwartą bramę powiedział:

— *Raus!*

Nie potrzebował mi tego powtarzać. Ścieżką okalającą plebanie szybko ruszyłam pod górkę w kierunku na las i leśniczówkę. Niedaleko już lasu usłyszałam z dołu od podwórka głośne *Halt!* Zdrętwiałam. Niechętnie i powoli zatrzymałam się, odwróciłam i spojrzałam w dół. Stojący pośrodku podwórka porucznik podniósł prawą rękę do góry ruchem pożegnalnym... Zaskoczona, ale uszczęśliwiona podniosłam obie ręce i już prawie biegiem ruszyłam do lasu.

Zmrok już zapadł a w lesie było już zupełnie ciemno. Drogi do leśniczówki nie znałam, nie traciłam jednak pewności, że do niej dojdę. Myśl, że mogę natknąć się na jakiego zwierzaka nie przerażała mnie, ale gdy po jakimś czasie usłyszałam uderzenia siekiery, to szybko skręciłam w bok, by nie natknąć się na ludzi, których zaczęłam się tu bać.

Do leśniczówki dobrnęłam około 9-tej wieczór. Przywitano mnie owacyjnie. Sołtysina dała znać, że mnie aresztowano, była więc wielka konsternacja. No i co dalej robić? Opowiedziałam z detalami moją przygodę, stwierdzając, że nie jest to właściwe miejsce do przejścia i że należy gdzieś indziej szukać lepszych możliwości. Piotr Świetlik obiecał, że rano rozejrzy się i porozmawia we wsi z ludźmi i wtedy coś zdecydujemy. Poszliśmy spać koło północy.

Piotr wrócił przed południem. Rozmawiał z ludźmi, rozmawiał także ze Stefanem, niedoszłym naszym przewodnikiem, który mu solennie obiecał, że dziś wieczór będzie na nas czekał w omówionej poprzednio chacie i przeprowadzi nas wszystkich na drugą stronę.

Zaczęły się narady. Byłam oczywiście przeciwna ponownej próbie przejścia w tym samym miejscu i z tym człowiekiem. Ale ostateczna decyzja należała do Generała, który wreszcie zdecydował, że raz jeszcze spróbujemy.

Wieczorem ruszyliśmy o umówionej godzinie saniami wszyscy łącznie z Piotrem. Podjechaliśmy aż pod samą chatę. Gdy przejeżdżaliśmy koło parafii, po mnie przeszły ciarki.

Chata była zupełnie ciemna i jak się okazało — pusta. Natychmiast zawróciliśmy konie i prawie w galopie, znów tuż koło parafii i poprzez las wróciliśmy do leśniczówki. Nie mogliśmy jednak dłużej w niej popasać bez narażenia gospodarzy na grube przykrości. Toteż o świcie pojechaliśmy tymiż saniami z powrotem do Przeworska. Tam zatrzymaliśmy się u tychże gospodarzy, którzy nas przyjęli w dniu naszego przyjazdu.

Zaczęły się ponowne narady i zasięganie języka przez naszego gospodarza i Piotra. Pod wieczór sytuacja nie zmieniła się i wtedy, po rozmowie na osobności z żoną, gospodarz oświadczył, że nie ma innej rady tylko on sam nas przeprowadzi. San jest odległy od domu o niecały kilometr, zna rzekę, wszystkie brody i przejścia, bo nieraz przed wojną ją przechodził. Wszyscy z podziękowaniem przyjęliśmy ten projekt i już nieco uspokojeni siedliśmy do skromnej kolacji.

Po kolacji, prawie już w ciemną noc, ruszyliśmy gęsiego w dół do rzeki. Z daleka widzieliśmy kilka oświetlających rakiet

po stronie bolszewickiej, ale daleko w bok od kierunku naszego marszu. Przewodnik początkowo prowadził nas starym, suchym łożyskiem rzeki, aż doszliśmy do wody, w którą weszliśmy od razu po pas. Zachowując się bardzo cicho dobrnęliśmy do drugiego brzegu, ale gdy wreszcie wyszliśmy wszyscy z wody okrzyknął nas kilkusobowy patrol bolszewicki. Śmiali się z nas, pytając czy nie widzieliśmy ich rakiet? Łożysko rzeki nie biegło po linii prostej, tylko bardzo krętej, i wyszliśmy wprost na nich.

Zaprowadzili nas do zabudowań jakiegoś majątku odległego od rzeki o kilka kilometrów. Wprowadzili nas do małego, murowanego budynku, w którym nie było śladu umeblowania, tylko w kącie był dużych rozmiarów kocioł wmurowany w ścianę i cementową podłogę. Służył on prawdopodobnie do gotowania pokarmu dla bydła, a obecnie był pusty i zimny.

Przemoknięci do pasa, by nie zamarznąć chodziliśmy w kółko prawie do wschodu słońca. Przez całą noc nikt do nas nie zajrzał, co miało tę dobrą stronę, że mogliśmy się naradzić, jak i co mówić, gdy zaczną nas wypytywać. Radziłam, by nie przynawzać się do znajomości tylko twierdzić, że spotkaliśmy się wszyscy przygodnie tuż przy rzece. Miałam na względzie, by nie robić tłoku koło osoby Generała, co mogłoby zwrócić szczególną na niego uwagę. Osobiście trzymałam się tej linii postępowania aż do wyjścia na wolność.

O świcie, bez jedzenia lub chociażby gorącej wody wsadzono nas na ciężarówkę z obsadą straży z karabinami u nóg i dużym, tresowanym psem-wilkiem. Po kilku godzinach jazdy, poprzez Jarosław zawieziono nas do więzienia w Przemyślu. Oddzielono kobiety od mężczyzn i wszystkie trzy znalazłyśmy się w jednej celi bez łóżek i sienników, w której siedziało już na podłodze kilkadziesiąt kobiet-Polek. Przez blisko dwa tygodnie wyganiano nas rano na podwórko więzienne na kilka lub kilkanaście minut spaceru tzw. *pragutkę*. Karmiono nas dwa razy dziennie jakimiś ochłapami niejednokrotnie niemożliwymi do przełknięcia. Obsługa przy rozdawaniu jedzenia była polska, ale pod ścisłym nadzorem *bojca* z nieodłącznym karabinem. Mimo tych obostrzeń udało się Toli Płońskiej przemycić gryps do Generała i wiem, że doszedł do jego rąk. Raz tylko z daleka, na korytarzu zobaczyliśmy naszego przewodnika. On też nas widział.

Po kilku dniach niespodziewanie wezwano z rzeczami Elwirę Karaś, mówiąc jej, że wychodzi na wolność. I istotnie tak się stało. Już później, na wolności dowiedziałam się, że jeszcze przez kilka dni nie opuściła Przemyśla, codziennie stojąc pod bramą więzienną z artykułami żywnościowymi dla doręczenia ich Tadeu-

szowi Mirowemu; on ich zresztą nigdy nie otrzymał. Żadnych kontaktów w Przemyśle nie mieliśmy, więc ani dla Generała ani dla nas nic zrobić nie mogła.

Wreszcie którejś nocy zabrano nas wszystkie do dużej sali w innej części więzienia, gdzie zastałyśmy już dużą grupę Polek siedzących przymusowo w kucki, na podłodze, a które spędzono tu także z innych cel. Po kilku godzinach, z ostrym nakazem zachowania głębokiej ciszy wyprowadzono nas pod karabinami na podwórze, załadowano na czekające samochody ciężarowe i odwieziono do stojącego na bocznicach, daleko od stacji kolejowej pociągu towarowego. Załadowano nas po pięćdziesiątce do wagonów z piętrowymi pryzkami. Pośrodku wagonu stał mały piecyk żelazny jeszcze zimny, obok trochę drzewa i wiadro z zimną wodą. Bliżej drzwi w wyrąbanym kawałku podłogi sterczała blaszana puszcza-ubikacja.

Gdy po długim postojach pociąg ruszył w nieznane, nie opuściła nas świadomość, że wciąż jeszcze jesteśmy na polskiej ziemi. Parokrotnie, gdy pociąg zatrzymywał się w pobliżu jakiejś nieznanej nam stacji, wyrzucałyśmy przez górne, zakratowane okienko grypsy, prosząc opodał stojących lub idących ludzi, by doręczyli je adresatom. Przeważnie udawali, że nas nie słyszą, ale np. moje grypsy wszystkie doszły do właściwych rąk.

Również później, już na wolności dowiedziałam się od generała Sulika, że w czasie, gdy nas wywożono w głąb Rosji dowiedział się o aresztowaniu generała Tokarzewskiego i zorganizował oddział mający za zadanie go odbić. Ale wiadomości o nas i o nas były już bardzo spóźnione. Coś jednak z czyjejś planowanej ucieczki z naszego pociągu miało miejsce, bo pewnej nocy pociąg zatrzymał się gwałtownie, rozległy się strzały i dudnienie biegających stóp po dachach naszych wagonów.

Nigdy w czasie mojego śledztwa nie zapytano mnie, kim był nasz przewodnik, lub jak się nazywał, ani też nie spotkaliśmy go później w wojsku. Przykro mi, że nie pamiętam ani jego imienia ani też nazwiska. Jeżeli zginął, to — cześć jego pamięci.

W Wielką Sobotę opuszczaliśmy polskie tereny. Tola zesłała z pryczy na dół z kawałkiem chleba, którym dzieliła się ze wszystkimi kobietami. Miała też krótką, ale treściwą przemowę a później usiłowałyśmy śpiewać. Ale śpiew był mocno przetykany łzami, lamentami i głośnym pochlipywaniem. Byłyśmy już na obcej ziemi.

Pociąg jechał prawie dwa tygodnie do nieznanego nam miejsca swego przeznaczenia. Rano stawał na bocznicach stacyjek, odryglowywano nasze drzwi, stawiano wiadro z zimną wodą, wrzu-

cano trochę opału dla piecyka, dawano po kawałku chleba na głowę i dodatkowe pożywienie składające się przeważnie ze śledzi lub malutkich rybek zwanych *tulka*. Raz jeden, jeszcze na naszych terenach, dano nam po kawałku kiełbasy.

Pociąg dojechał wreszcie do Dniepropietrowska (dawniej Jekatierinosław) i tam wyładowano nas za dnia i ciężarówkami odwieziono do więzienia.

Podczas naszego wyładunku zobaczyliśmy przy naszym wagonie sporą grupę tubylczych kobiet gestykulujących i zamieniających między sobą uwagi widocznie nam nieprzychylnie, sądząc z ich wręcz wrogich wyrazów twarzy. Jedna z naszych zapytała je wręcz, dlaczego tak wrogo na nas patrzą? Odpowiedź była zaskakująca. Powiedziano im, że jesteśmy prostytutkami ze Lwowa.

Było nas w celi blisko 50 Polek, a po kilku dniach dołączono do nas dwie młode Rosjanki, niewątpliwie na przespiegi, dostawały bowiem dziennie dodatkowo kawałek sera, białego chleba i nawet masła. Nasze porcje dzienne wynosiły 400 gr chleba, dwa razy zupa-pomyje, lub jeden raz zupa i wieczorem kubek owocowej herbaty no i *tulka* w międzyczasie.

Wypuszczano nas codziennie na *pragułkę* — spacer po malutkim podwórku, w kółko, pod nadzorem, tylko parami, bez rozmów i szeptów. Trwały one nieraz do przepisowych 15-tu minut. Resztę dnia spędzało się siedząc lub leżąc na łożku z jednym brudnym, zawoszonym kocem na sienniku z poszatowaną słomą. Nie wolno było spać w ciągu dnia. Łóżek w celi była niewystarczająca ilość, toteż gdy w nocy zabierano sąsiadkę na przesłuchanie można było nareszcie rozprostować kości. Okna zabudowane, widziało się tylko skrawek nieba. Światło u sufitu o oślepiającej sile nigdy nie było w celi gaszone. Nieodzownym i bardzo potrzebnym sprzętem była *parasza* — blaszany, dużych rozmiarów kubek na odchody, który raz dziennie, rano, wynosiłyśmy do ubikacji, gdy nas prowadzono tam do mycia się. Były tam tylko dwa krany z zimną wodą, więc nie zawsze można było się do nich docisnąć w ciągu przeznaczonych na ten cel 10-ciu minut dla każdej celi.

Prawie że radykalną zmianę w beznadziejnie jałowym życiu celi dokonała zwyczajna igła, która zachowała się u jednej z więźniarek poprzez liczne i systematyczne rewizje osobiste. Zaczęło się przenicowywanie spodnic, sukien i bluzek. Znalezione na spacerze i ukradkiem podniesiony kawałeczek szkła zastąpił niezbędne nożyczki. W tenże sposób w posiadaniu naszym znalazły się dwa patyki-druty, i w ruch poszły przeróbki swetrów. Nasze

koce bardzo się skurczyły przez ich obcinanie na rzecz trepek i potrzebnych nici. Przy „judaszu” zawsze dyżurowała jedna z nas. Te zajęcia dodatnio wpłynęły na psychikę więźniarek. Mniej słyszało się pochlipywań po kątach. Były spokojniejsze, a czasem nawet na nocne przesłuchiwanie wychodziły z celi z krótkim a dosadnym dowcipem na ustach.

Tolę pierwszą wezwano na śledztwo, które trwało kilka tygodni. Rano, po powrocie opowiadała mi dyskretnie o co ją pytano, co zarzucano i kogo w drodze widziała. Raz jeden tylko, prawdopodobnie przez pomyłkę, znalazła się w tymże zakratowanym samochodzie (tzw. *czorny woron*) co i Generał. Mimo że nie wolno w samochodzie rozmawiać, doszli do porozumienia, że Generał w dalszym ciągu jest Tadeuszem Mirowym i że śledztwo przebiega spokojnie. Gdy raz zabrana w nocy do celi rano nie wróciła, natomiast zabrano jej rzeczy — domyślałam się, że jest już po śledztwie i że przeniesiono ją do innej celi według obowiązującej więziennej procedury.

Wreszcie przyszła kolej na mnie. Moje śledztwo trwało do trzech tygodni. Mój śledczy (tow. Sałaciński) do znudzenia za każdym razem pytał mnie, po co przesłałam rzekę, na czyją rzecz prowadziłam szpiegowską robotę, czy znałam przedtem osoby, z którymi szłam i że on wie, że ja kłamię, że ich nie znam. Pytał także o szereg osobistości ze świata warszawskiego. Wszystkie moje odpowiedzi były zawsze jednakowe i negatywne.

Zapisawszy niezliczoną ilość papieru dał mi wreszcie spokój; zaczęłam odsypiać nieprzespane noce. Ale apetyt, który straciłam w oczekiwaniu i podczas śledztwa nie wrócił i przez dłuższy czas nie byłam w stanie dojeść mego kawałka chleba.

W lipcu zaczęto wywoływać z rzeczami wszystkie przesłuchane. Tolę, którą w końcowym okresie znów przeniesiono do naszej celi, wywołano jedną z pierwszych. Spotkałyśmy się dopiero w wojsku.

Że te wszystkie, które już odeszły dostały wyroki łagrów dowiedziałyśmy się przypadkowo od współwięźniów spotkanych na schodach, gdy prowadzono nas na spacer. Wyroki od 3-ch do 7-miu lat. Czekałyśmy na naszą kolej.

Gdy wreszcie wezwano i mnie, wiedziałam już czego się mam spodziewać, zastanawiałam się tylko, ile lat dostanę i w jakiej formie to się odbywa.

Zaprowadzono nas do innego budynku, posadzono na ławie i kazano czekać. Do środka zamkniętego pokoju wzywano pojedynczo. Wychodzące z pokoju po kilku minutach były zdenerwowane, z wypiekami na twarzach, a nawet we łzach. Zawsze

jednak zdążyły szepnąć nam cyfrę otrzymanych lat łągrów. Były natychmiast wyprowadzane z budynku.

Wreszcie weszłam do pokoju i ja. Pośrodku stał długi stół nakryty zielonym suknem. Za stołem 3 enkawudystów. Środkowy — przewodniczący. Sprawdził personalia i odczytał mi formułkę:

Po ukazu Wierchownogo Sowietu w Moskwie, za nielegalny pieriechod granicy zakluczonnaja Maria Stanisławowna Trojanowska zaszuđiena na 5 liet Isprawitielno-Trudowych Łagieriej.

(Z rozkazu Zwierzchnich Władz Sowietu w Moskwie, za nielegalne przejście granicy więzień Maria c. Stanisława Trojanowska zasądzona została na 5 lat Obozu Pracy Poprawczej).

Dano mi pióro i kazano podpisać się pod wyrokiem.

Wyprowadzono mnie na podwórze i kazano mi usiąść na ziemi, w kukki tuż pod budynkiem — przechowalnią rzeczy, odebranych więźniom w dniu przybycia do więzienia. Odebrano mi wtedy mój koszyczek, w którym były moje sznurowadła do butów, podwiązki i nożyczki. Także i ręczny zegarek. Po dłuższym czasie wyszedł do mnie kierownik przechowalni i oświadczył, że zegarek będzie odesłany do miejsca mego przeznaczenia, ale koszyczka znaleźć nie może. Ponieważ miałam pokwitowanie i na koszyczek i na zegarek, uparłam się, że muszę mieć moje rzeczy ze sobą, proszę więc o zegarek i zezwolenie na wejście do przechowalni, by poszukać mego koszyczka. Zgodził się. Systematycznie przeszłam szeregi zastawionych półek i każdą dokładnie przeszukałam. Zajęło mi to ponad godzinę, ale koszyczka nie znalazłam. Zegarek otrzymałam z uprzedzeniem, że mi go w łągrze znów odbiorą do przechowania. Dano mi także sznurek do szasznurowania moich butów.

Tak więc w tajemniczy sposób zniknął 100-dolarowy banknot powierzony mojej opiece w Warszawie.

Tego samego wieczoru grupę około 100 Polek zawieziono na bocznicę stacji kolejowej, gdzie podstawiono pociąg z wagonami opancerzonymi, tzw. *stołypinkami*, służącymi specjalnie do przewożenia więźniów. Wnętrza ich są prawie pulmanowskie, tylko wszystko okratowane i na zasuwkach od zewnątrz. Tym pociągiem dowieziono nas do Charkowa i umieszczono w więzieniu przesyłkowym przed dalszym transportem do łągrów.

Sięgając myślą wstecz do półrocznego pobytu w dnieropietrowskim więzieniu przypomniał mi się mniej tragiczny, a raczej nieco humorystyczny epizod.

Już po śledztwie, któregoś dnia rano wezwano mnie do naczelnika więzienia. Struchlałam. Idąc za strażnikiem w myśli

przerzucałam wszystkie moje więzienne „przewinienia”, ale droga do kancelarii naczelnika była krótka i nie doszłam do żadnych wniosków zanim tam mnie wprowadzono. Naczelnik niebawem grzecznie podniósł się zza biurka, poprosił bym siadła i poczęstował mnie papierosem. To niebawem przyjęcie spotęgowało moje zdenerwowanie. Naczelnik zapytał mnie, czy znam język rosyjski. Odpowiedziałam twierdząco. Podał mi arkusz papieru i pióro, prosząc, bym napisała mój życiorys po rosyjsku. Przez parę minut zastanawiałam się, bo nie tylko wyszłam z wprawy w pisowni, bo przez lata nie miałam z tym nic wspólnego, ale wszystko co napiszę musi się zgrać z tym, co zeznawałam w śledztwie. Stan mego zdenerwowania podniósł się znacznie, bo w ogóle dlaczego i po co?

Po pół godzinie mój bardzo skrócony życiorys był gotów. Przejrzał go bardzo uważnie. Następnie wyciągnął plik spiętych, nierównych, pogniecionych i brudnych szpargałów i poprosił mnie, bym mu je przetłumaczyła.

Grypsy! — przeleciało mi przez głowę. Nie mogę tego zrobić. Jak odmówić? Muszę mieć chwilę czasu na zastanowienie.

Ociągając się i bardzo powoli wyciągnęłam rękę po szpargały i rzuciłam okiem na pierwszy od góry. A potem na drugi i trzeci i uczułam jak mi serce przestaje łomotać. Na wyrywki przejrzałam jeszcze z 10 świstków i zaczęłam się głośno i prawdopodobnie histerycznie śmiać. Były to wszystko kuchenne przepisy na wszelkiego rodzaju potrawy, z pieczeniem babek i mazurków wielkanocnych włącznie, bardzo dokładnie podające ilość jaj, cukru, migdałów, mąki itp.

W naszej celi odbywało się codziennie przekazywanie sobie przepisów kulinarnych. Robił to głód i tęsknota za domem. Jak silne były to uczucia, dowodzi wykazany spryt w zdobyciu skrawka papieru lub materiału, nie mówiąc już o ołówku. Wszywano je sobie do rąbków spódnic lub płaszczy, bo... „jak wróć do domu...”.

Naczelnik pewno mi nie uwierzył, gdy mu powiedziałam co to jest. Pewno wyszukał sobie inną tłumaczkę lub tłumacza. Może ten ktoś nareszcie wypalił sobie dobrego papierosa.

Okres mego miesięcznego pobytu w przesyłkowym więzieniu w Charkowie obfitował w różnego rodzaju przeżycia i zdarzenia, które opisałam w krótkim opowiadaniu pt. „W więziennym kalejdoskopie”.

Z Charkowa przez kilka dni wieziono nas do pierwszego, rozdzielczego łagru koło posiołka Jawas, Mordowskaja ASSR

(Mordwa), gdzie na wielkiej przestrzeni, przeważnie gęsto zalesionej, mieszcili się w kilkukilometrowych odległościach od siebie różnego rodzaju i typu łagry pod nazwą *Tiemnikowskije Isprawitielno-Trudowyje Łageria*.

Po kilkutygodniowych nocnych przesłuchaniach, po okresie wyczekiwania na wyrok — nerwy nieco odtajały. Odezwał się natomiast zwyczajny, ludzki, bardzo uporczywy głód, nie znikający ani przez chwilę nawet we śnie. Otrząsnąć się z tego bardzo przykrego uczucia pomógł mi przypadek. Stałam w stołówce w kolejce do okienka po obiad. Każdemu dawano po jednej sporych rozmiarów łyżce klejowatej kaszy. Gdy wrzucono mi ją do drewnianej miski, obejrzałam się za łyżką i w tym momencie mężczyzna stojący za mną błyskawicznym ruchem sięgnął ręką poprzez moje ramię do mojej miski i tak samo błyskawicznie całą jej zawartość wpakował sobie do ust. Ten akt głodnego człowieka mnie przeraził i otrzeźwił. Jak się później dowiedziałam, tym człowiekiem był arcybiskup prawosławny, zasądzony na 25 lat łagrów za wykonywanie niedozwolonych praktyk religijnych.

Po kilku tygodniach wszystkie Polki wywieziono kolejką wąskotorową do kobiecego łagru pod nazwą „Poćma”. Zebrało się nas tam ponad 200. Mieszkałyśmy tam wszystkie w jednym, nowopostawionym baraku o piętrowych pryzmach. Był czysty i bez pluskiew. Były tam i inne baraki, w których mieszkały Rosjanki. W jednym z nich kobiety w średnim i starszym wieku. Były to żony, siedzące za popełnione lub nie winy polityczne swoich mężów. Były to przeważnie inteligentki, w wielu wypadkach z wyższym wykształceniem. Były kulturalne i przeważnie dobrze wychowane. Wśród nich lekarki, nauczycielki, żony profesorów uniwersyteckich, wyższych urzędników, jak np. żona ambasadora rosyjskiego w Stanach Zjednoczonych. Pracowały przeważnie w łagrze administracyjnym, o kilometr drogi od Poćmy, dokąd były odprowadzane rano i przyprowadzane z powrotem po zakończonym dniu pracy pod strażą z karabinami. Niewiele miałyśmy z nimi do czynienia, chociażby ze względu na brak znajomości języka.

Nas przydzielono do fabryki rękodzielniczej, oddzielonej od baraków mieszkalnych niewielką bramą, przy której *bojcy* pełnili dwudziestoczerogodzinną wachtę.

Fabryka wyrabiała, przeważnie ręcznie, przedmioty galanterijne jak torebki, paski i guziki z drewnianych koralików według wzorów czechosłowackich. Później rozpoczęto produkcję przyszczip do wieszania mokrej bielizny, a gdy zaczęła się wojna

z Niemcami — robiono na drutach ciepłe rękawice i szyto zielone koszule.

Koraliki do torebek i pasków wytłaczano na miejscu, w stolarni. Procedura przygotowania koralików do farbowania na różne kolory a następnie lakierowania była bardzo skomplikowana, a odpowiedzialni za nią byli dwaj inżynierowie-chemicy, Rosjanie, więźniowie polityczni. Nad całością pracy przy koralikach, aż do ich wypuszczenia do cechu wiązania torebek, czuwała i była odpowiedzialna młoda Rosjanka, inżynier-chemik nie więźniarka. W swoim czasie dostała od swego rządu stypendium na ukończenie studiów i w myśl tamtejszego prawa musiała odpracować kilka lat w miejscu wyznaczonym jej przez rząd.

Każdy cech miał swego kierownika lub kierowniczkę, płatnych pracowników. Przeważnie byli to ex-więźniowie, którzy po odbyciu swoich wyroków w łagrach przez okres kilku następnych lat nie mieli jeszcze prawa do powrotu do swego miejsca zamieszkania. Takim „wolnym” był właśnie Iwanow, naczelnik fabryki i łagru. Jego żona była baletnicą opery moskiewskiej, nie była więźniarką, tylko dzieliła los swego męża-wygnąńca. Mieli kilkunastoletnią córkę, wychowywaną przez dziadków w Moskwie. Iwanowa była jedną z kierowniczek cechu. Bardzo taktowna i spokojna.

Wśród nas Polek przeważał element inteligencki. Trzymałyśmy się z podniesioną głową i niemal z warszawskim, względnie lwowskim fasonem, mimo rażących braków w ubiorze. Kierowniczkę cechów (z wyjątkiem jednej) usiłowały dostosować się do naszego sposobu zachowania i postępowania a nawet ubierania. Nie tylko kobiety, ale chłopcy w wieku 16, 17 lat, więźniowie przyprowadzani codziennie z pobliskiego męskiego łagru jako farbiarze zaczęli się zachowywać w stosunku do nas bez zarzutu.

Było ich około dziesięciu. Należeli do grupy ongiś tzw. *bezprizornych* (dzieci bez żadnej opieki). Po rewolucji i wszystkich wojnach domowych tysiące dzieci pozbawionych domu i opieki błąkało się bez nadzoru po ciemnych zakamarkach szczególnie dużych miast, kradnąc, zabijając i uprawiając prostytucję. Pamiętam, w latach trzydziestych niemal wszystkie dzienniki europejskie donosiły o tej „pladze” małoletnich w Rosji. I nagle wszystko na ten temat przycichło. Rosja znalazła radykalny sposób na rozwiązanie tego problemu. Dzieci wyłapywano i wysyłało do łagrów nad Morzem Białym. Jak mi opowiadał jeden z naszych chłopców, było ich tysiąc w jednym z tych łagrów. Po kilku latach z tego tysiąca pozostało ich tylko 17-tu. Reszta zginęła.

Któregoś dnia zajrzałam do sali, w której pracowali chłopcy. Stali w zbitej gromadce, otaczając zapłakanego 16-toletniego Wołodę. Mieli twarze zatroskane, ponure. Zapytałam co mu się stało, ale nikt nie odpowiedział. Dopiero na moje powtórne pytanie któryś odezwał się:

— Zwolnili go z łagru i musi iść na wolność.

— To dlaczego płacze?

— A dokąd on pójdzie. Ani rodziny, ani domu.

Związani latami wspólnych, ciężkich przeżyć na dalekiej północy, towarzysze szczerze się martwili dołą odchodzącego na wolność. Myślę jednak, że pomogli Wołodii rozwiązać jego problem i to w sposób, jakiego ich życie nauczyło. Po paru dniach, gdy w przerwie obiadowej przechodziłam z fabryki do stołówki, główna, zewnętrzna brama otworzyła się i strażnik z karabinem w rękę wprowadził Wołodę, który wbiegł do łagru roześmiany i w podskokach. Zdążył mi szepnąć: „Ukradłem i dostałem nowy wyrok”.

Już prawie pod koniec naszego pobytu w Poćmie około 100 naszych kobiet, tych które wykazały zdolności w szyciu, przeniesiono do innego obozu, gdzie były tylko szwalnie. Przyprowadzono natomiast do Poćmy około 200 dziewcząt z grupy *bezprizornych*, w wieku od 12-tu do 16-tu lat. Większość z nich każdego ranka wysyłano do prac w polu. Pozostałe pojedynczo przypdzielano do poszczególnych prac w fabryce. Koło mnie w stolarni kręciły się dwie 12-tolatki. Oczywiście żadne pracownice, ale stale zabiegające o pochwałę i dobre słowo. Gdy się z nimi rozmawiało, to ktoś z boku patrzący i przysłuchujący się miałby złudzenie, że to są chodzące po świecie aniołki. W gromadzie były niepoczytalnie dzikie i rażąco ordynarne.

Któregoś dnia pod wieczór rozległy się ze strony ich baraku nieludzkie wrzaski, przekleństwa, płacze i łomotanie. Strażnik z wachty poleciał tam jak stał. Wrzaski wzmożyły się i po kilku minutach strażnik wyskoczył z baraku pokrwawiony i w rozdartym mundurze. Dopiero przybycie kilku innych strażników z karabinami przywróciło jaki-taki spokój. Słyszało się tylko płacz i pojękiwanie. Okazało się, że jedna drugiej ukradła jakieś paciorki i mieszkanki baraku urządziły samosąd, usiłując winnej wydłubać oczy.

30 grudnia jeden z inżynierów-chemików zawołał mnie do małego pokoiku i zamykając za mną drzwi zaczął szybko, szepciem mówić, że za kilka minut wezwą mnie do kancelarii łagru by zawiadomić, że zostałam wezwana do głównego obozu, *Tiemłagru*. Dzieje się to tylko wtedy — mówił — gdy wznowiają czyjś

proces i przeprowadzają nowe dochodzenie. Radził, bym włożyła na siebie wszystko co mam ciepłego i bym się postarała o trochę cukru, by przetrzymać ewentualną głodówkę. Wychodząc z pokoiku życzył mi wszystkiego najlepszego i upominał, bym się nie dała zastraszyć.

Rozdygotana wróciłam do swojej pracy. Po kwadransie na salę wszedł strażnik i wywołał moje nazwisko. Zaprowadził mnie do kancelarii fabryki, gdzie czekała na mnie zastępczyni naczelnika, Anna Stanisławowna... Powiedziała mi, że zostałam wezwana do głównego obozu, *Tiemtagru*, ale niestety nie wie w jakim celu. Za godzinę odchodzi tam wąskotorowa kolejka, więc mam czas by zebrać swoje rzeczy. Życząc mi szczęśliwej podróży automatycznie podniosła się z krzesła i wyciągnęła do mnie rękę, która natychmiast jej opadła. Prawo zabrania tych poufałości z więźniem.

Strażnik z karabinem odprowadził mnie i zdał za pokwitowaniem swemu koledze, siedzącemu na korytarzu towarowego wagoniku. W środku wagonika żadnego siedzenia, ściany oblodzone i kraty w górnych okienkach, no i oczywiście dziura w podłodze na odchody. Do miejsca przeznaczenia jechaliśmy blisko 3 godziny, przystając co kilka minut przy każdym mijanym łagrze dla doręczenia poczty. Wreszcie stanęliśmy na dobre. Odebrał mnie inny strażnik i po grząskim śniegu poprowadził mnie do odległego o kilka kilometrów obozu. Tam wprowadził mnie do baraku kobiecego. Same Rosjanki. Było już po „kolacji”, nie dostałam więc ani chleba ani nawet gorącej wody. Wskazano mi wolne wyrko tuż przy drzwiach i dano dwa koce. Położyłam się od razu, ale przez dłuższy czas nie mogłam usnąć. Przekrzykujące się między sobą kobiety na pryczach używały języka pełnego dosadnej, nie do powtórzenia wulgarności. Byłam poza tym zziębnięta, głodna, z głową pełną niepokojących myśli. Na pewno coś się stało z Generałem. Na pewno już go rozszyfrowano, a jeżeli tak, to czego ja się mogę spodziewać?

O 6-tej rano przyszedł po mnie ten sam strażnik i poprowadził mnie przez całą długość olbrzymiego obozu aż do sporych rozmiarów murowanego budynku. Wprowadził do zamkniętego ze wszystkich stron korytarza, kazał usiąść na ławce i czekać, aż mnie zawołają. Ani chleba ani gorącej wody dziś również nie dostałam, a odrobina cukru, którym mnie koleżanki w Poćmie obdarzyły została w baraku w moim pozostawionym tam tłumoczku. Korytarz był bardzo zimny. Zaczęłam drzemać, a właściwie spać, i nie przeszkadzali mi ani przechodzący korytarzem enkawudyści, ani trzaskające drzwi, ani dzwonki telefonów.

Zawołano mnie dopiero około godz. 5-tej po południu. Zaprowadzono do nareszcie ciepłego pokoju, gdzie przy biurku siedział enkawudysta w starszym wieku. Wyciągnął z szuflady teczkę, prawdopodobnie z moimi zeznaniami, przejrzał ją dość dokładnie, sprawdził personalia i zaczął od początku wypytywać, gdzie, kiedy i jak przeszedłam granicę, jak nazywali się moi towarzysze podróży, czy i od kiedy ich znam.

W cieple ogrzanego pokoju i monotonii dobrze mi znanych pytań zdenerwowanie i niepokój ostatnich dwu dni zaczęły ustępować. Ziewając i udając rozespanie mówiłam powoli, że to miało miejsce już tak dawno, że nie pamiętam nawet daty mego aresztowania, ani tym bardziej imion i nazwisk moich przygodnych towarzyszy podróży. Szłam zaś do swego brata, stale mieszkającego wraz z rodziną w Łucku. Straciłam pracę w miejscu mego stałego zamieszkania po stronie niemieckiej i liczyłam, że brat mi pomoże w znalezieniu pracy. (Tak też zeznawałam w czasie śledztwa w więzieniu). Nic innego enkawudysta ze mnie wydusić nie mógł. Zaczął więc pisać protokół, co szło mu bardzo opornie i niezręcznie, bo co i rusz wrzucał zapisane już kartki do kosza.

Sylwester (1940-1941), bardzo hucznie zwykle obchodzony w Rosji, stał się moim sprzymierzeńcem. Zbliżała się godzina 8-ma wieczór i telefon na biurku zaczął dzwonić coraz częściej. Z rozmowy zorientowałam się, że to dzwoni rodzina. Za każdym razem usprawiedliwiał się, kazał gości przeproszać, obiecując, że najdalej za pół godziny skończy i będzie gotów do wyjścia. I znów zapisana kartka papieru wędrowała do kosza. Wreszcie po blisko godzinie od ostatniego telefonu skończył, przeczytał mi to co napisał i kazał mi się pod tym podpisać. Protokół nie wniósł nic nowego do mojej sprawy. Przeciwnie — jak zaznaczył — dużo rzeczy nie pamiętałam.

Wyszedł z pokoju z wezwanym strażnikiem. I co dalej? — pomyślałam.

A dalej był ten sam kobiecy barak z moim tobołkiem i cukrem. O spaniu jednak mowy nie było. Widocznie w obyczajach tego obozu Sylwester obchodzony był nie tylko przez *naczalstwo*. Wódka lała się, mężczyźni nie wychodzili z baraku ani nie złazili z prycz. Wrzaski i dzikie śpiewy trwały aż do rana. A o 6-tej przyszedł po mnie strażnik i kazał iść za sobą. Dokąd teraz?

Przez parę kilometrów brnęliśmy przez grząski śnieg, aż w oddali zobaczyłam znajomą mi kolejkę. Zdanie i odebranie więźniarki przez strażników i po chwili „samowarek” ruszył w nie-

znane. Po kilku godzinach znów stop. Zdanie i odebranie więźniarki, kilkukilometrowy marsz w głębokim śniegu i wreszcie brama. Poćma?!!!

Wszyscy dziwili się memu powrotowi, bo jak mi powiedziano, było to wbrew przyjętym zwyczajom, by więźniów wzywany na ponowne śledztwo wracał do tego samego obozu. Myślę, że stało się to dlatego, że nikogo więcej z naszej grupy tu nie było.

Już będąc na wolności, w wojsku dowiedziałam się od generała Tokarzewskiego, że moje powtórne śledztwo miało miejsce tuż po stwierdzeniu przez NKWD, kim jest doktor Tadeusz Mirowy. Ktoś ze wspólnych jego towarzyszy niedoli już w łagrze rozpoznał go i zdradził. Przetransportowano Generała do Łubianki, gdzie siedział aż do czasu rozpoczęcia formowania Armii Polskiej na terenie Rosji. Zwolniono go na imienne zapotrzebowanie Dowódcy Armii Polskiej generała Władysława Andersa.

W Poćmie życie biegło ustalonym porządkiem. O 5-tej rano pobudka z wyjącego głośnika rozśmieszała nas nieraz do łez słowami popularnej, rosyjskiej piosenki: *Ja drugiej takiej strony nie znam, gdzie tak wolno dyszyt człowiek*. (Nie znam innego kraju, gdzie człowiek oddycha taką pełnią wolności).

I nagle, któregoś ranka, zamiast tej piosenki, po gwizdach i świstach w głośniku rozległ się bardzo podniecony, chrapliwy głos, oznajmiający o haniebnej zdradzie sojusznika i zdradzieckiej napaści Niemiec na Związek Sowiecki. Rosja jest w wojnie. I tak w kółko przez dobrych kilka minut, aż schrypnięty głos stał się prawie niezrozumiały. Miałam wrażenie, że widzę przed sobą gumowy balon rozdmuchany do olbrzymich rozmiarów, przekłuty szpilką, tracący powietrze i wydający coraz niższe i cichsze tony.

Zerwałyśmy się wszystkie i nic nie mówiąc spoglądałyśmy po sobie z uśmiechem i roziskrzonymi oczami. Nareszcie pierwszy sygnał wolności. Wojna musi przynieść duże zmiany, także i dla nas. Poszłyśmy do pracy udając spokój.

Dość drastyczne zmiany na terenie fabryki i łagru zaszły prawie natychmiast. Koło południa zobaczyłyśmy przez okna naszych pracowni grupę więźniów — pracowników fabryki z tobołkami, zebranych na dziedzińcu i otoczonych strażą z karabinami. Grupa coraz się powiększała. Zauważyłam wśród nich kilku o niemieckich nazwiskach, między innymi życzliwego mi inżyniera-chemika. Był tam również 17-toletni chłopak o dobrym, polskim nazwisku. Ojciec jego grubo przed wojną był redaktorem i wydawcą gazety w Łodzi. Był sympatykiem komunizmu i polityki Rosji Sowieckiej. Bodaj w 1932 roku wyemigrował

za zgodą naszego rządu do Rosji wraz z żoną i kilkuletnim synkiem. Było wtedy sporo artykułów i wzmianek na ten temat w naszej prasie.

Jak nam Tadzio (synek) poufnie opowiadał, tylko bardzo krótko mieszkali w Moskwie. Rodziców zesłano do łagrów, a on dostał się do *dietdomu*, z którego uciekł. Złapany znalazł się w łagrach dla *bezprizornych* i wreszcie po latach — w Połmie. Matka ojca, która została w Polsce, przez szereg lat robiła starania o odesłania wnuka do niej, ale bezskutecznie. Chłopak miał gruźlicę.

Grupę kilkudziesięciu więźniów około godziny 1-szej wyprawiano z obozu. Brama za nimi się zamknęła. Nie obeszło się bez łez i dramatów wśród pozostałych w obozie kobiet rosyjskich.

Wielu Polkom zmieniono przydział pracy. Sprowadzono kilka maszyn do szycia, znalazły się krojczynie i rozpoczął się masowy wyrób zielonych koszul. Na drutach zaczęto robić ciepłe, zielone rękawice. W międzyczasie z Moskwy przyszło duże zapotrzebowanie na przyszcypy do wieszania mokrej bielizny, co pobudzało nas do śmiechu, bo zapotrzebowanie to wydało się nam bardzo na czasie. Przedłużono nam czas pracy do 14-tu godzin dziennie. Podstawowe wyżywienie dnia, 400-800 gr chleba dziennie (zależnie od wyrobionej normy) nie zostało zmniejszone, ale jakość chleba znacznie się pogorszyła. Codzienna zupa z wytlóków sojowych stawała nam w gardle. W ogóle przez rok pobytu w łagrze raz tylko dostałam pół kartofla, słodkiego, bo przemrożonego, i malutki ochłap mięsa bez nazwy. Był to dzień święta Rewolucji.

Przez lipiec i część sierpnia pracowałam przy wyrobie przyszczep bieliźnianych. Na tzw. cyrkularce piłowałam małe deszczułki na wąskie paski. Elektryczna piła bez żadnego zabezpieczenia. Pewnego ranka, czując się niewyraźnie z sercem, poszłam do ambulatorium przed pracą. Szefem ambulatorium był felczer, nie-więzień. Miał pod sobą dwie lekarki, więźniarki. Mimo że serce było niespokojne temperatury nie miałam, więc w myśl przepisów nie było podstaw do zwolnienia mnie z pracy.

Jak to się stało — nie pamiętam. Poczułam nagle silne uderzenie w prawą rękę. Została poważnie okaleczona.

Na żądanie felczera tego samego dnia odesłano mnie znajomą już kolejką do łagru-szpitala. Tam kobieta-chirurg zajęła się moją ręką.

Siwa, około sześćdziesiątki, kulturalna i jak zauważyłam — z niezwykle serdecznym podejściem do każdego pacjenta, była

w szpitalu wysoce szanowana i lubiana. Była to więźniarka — żona, odsiadująca karę za winę męża, tak jak i kilka innych lekarek i siostr. Ponoć dokonywała cudów w swoim zawodzie w najprymitywniejszych warunkach tego szpitala.

Następnego dnia, po opatrunku, czując się nieswojo wróciłam na salę chorych i położyłam się. Sąsiadka po łóżku, wyjąwszy spod poduszki jakąś gazetę, zapytała, czy nie chciałabym jej przejrzeć. Od wyjazdu z Warszawy nie widziałam w ogóle gazety, toteż chciwie wzięłam się do jej przeglądania. Zaraz na pierwszej stronie zobaczyłam artykuł i oczom wierzyć nie chciałam.

Stalin podpisał umowę z generałem Sikorskim jako przedstawicielem Rządu Polskiego w Londynie, na podstawie której Polacy przebywający w więzieniach, łagrach i na tzw. wolnej zsyłce będą wypuszczeni na wolność, aby Rząd Polski przy wydatnej pomocy Rosji mógł odbudować Armię Polską, która weźmie udział w wojnie z Niemcami przy boku Armii Sowieckiej.

Zerwałam się z łóżka i pobiegłam do ambulatorium, gdzie jeszcze zastałam moją lekarkę. Szczęśliwie była sama. Pokazałam jej tak ważny dla mnie artykuł w gazecie i zaczęłam ją zaklinać dosłownie na wszystkie świętości, by mnie zwolniła ze szpitala i spowodowała mój powrót do Połmy. Bo jak tam będą zwalniać Polki, a mnie wśród nich nie będzie, to mogą mnie pominąć i w ogóle o mnie zapomnieć. Lekarka absolutnie nie chciała zgodzić się na moje zwolnienie, motywując to tym, że rana ręki jest za świeża, by mieć pewność, że będzie się goić bez komplikacji, że ona jest odpowiedzialna za moją rękę i że może mieć grube przykrości za przedwczesne moje zwolnienie. Poprosiłam ją o papier i pióro i lewą ręką napisałam po rosyjsku, że zwalniam Dr Nadieżdę Pietrownę K... od odpowiedzialności za moją rękę, którą całkowicie biorę na siebie, i usilnie proszę o zwolnienie mnie ze szpitala i spowodowanie odesłania mnie do Połmy.

Po przeczytaniu mego oświadczenia lekarka powiedziała, że musi to przemyśleć, także uzgodnić, i bym jutro przysłała po odpowiedź. Następnego dnia poszłam do niej z biciem serca. Z uśmiechem powiedziała mi, że wszystko dla mnie zostało załatwione pomyślnie. Zrobiła mi świeży opatrunek, upominając, by go nikt nie zdejmował przez 3 dni. Na kartce napisała swoje uwagi dotyczące rany, bym je doręczyła lekarce w Połmie. Życzyła mi szybkiego zagojenia się ręki i co najważniejsze — jak powiedziała — wyjścia na wolność.

Mój powrót do Połmy nie spodobał się naszemu felczerowi. W jego pojęciu byłam jeszcze przez dłuższy czas niezdolna do

pracy i dlatego odesła mnie z powrotem do szpitala. Ale obie lekarki stanęły w mojej obronie, twierdząc, że poza prawą ręką jestem zupełnie zdrowa i że jest sporo prac nie wymagających używania prawej ręki, chociażby np. praca *dniewalnej* w baraku mieszkalnym. Dzięki perswazjom lekarek felczer zostawił mnie w łagrze. Zostałam więc *dniewalną*, której praca polegała na robieniu rano pobudki, sprawdzeniu, czy wszystkie poszły do pracy, czy też są chore, które należy zgłosić do ambulatorium, utrzymywaniu ładu i porządku w baraku i czuwania, by nikt z osób postronnych nic z baraku nie wynosił.

Po tygodniu nareszcie zaczęto wywoływać Polki z rzeczami, w alfabetycznym porządku, po kilka dziennie. Na moje zwolnienie czekałam jeszcze przez miesiąc.

Kilka z nas jednocześnie wywołanych zawieziono do łagru administracyjnego, gdzie doręczono nam nasze przechowywane rzeczy jak: pierścionki, zegarki itd., a także pieniądze, o ile się należały. Z rozliczenia dostałam 90 rubli i mój zegarek.

Oświadczono nam oficjalnie, że jesteśmy zwolnione z *Tiemnikowskich Łagrow* i dano nam stwierdzające to dokumenty. Ani słowem nie wspomniano o zawartej umowie Sikorski - Stalin, ani o tym czy i gdzie formują się już nasze dywizje. Postawiono nas przed wiszącą, olbrzymią mapą Rosji i kazano nam wybrać sobie miejsce przyszłego, stałego zamieszkania. Prawie połowa zachodniej części mapy Rosji była obwiedziona grubą, czerwoną linią, jako *zona niedozwolona* ze względu na działania wojenne.

Zawiedzione, długo stałyśmy przed mapą niezdecydowane. Wreszcie po cichej naradzie wybór nasz padł na Astrachań.

Astrachań — to morze, gdzie do portów zawijają obce statki. Rybołówstwo, więc może ryby dostępne do kupienia. Ryby, więc prawdopodobnie fabryki ich przetworów, więc większa możliwość znalezienia pracy.

Dano więc nam bilety 3-ej klasy pociągu do Astrachania. Dano także po bochenku chleba, trochę śledzi i nawet kawałek masła i białego sera.

Życzono nam szczęśliwej podróży i ruszyliśmy w daleki, obcy i nieznany nam świat.

W Poćmie, w nieznanym nam miejscu, pozostawiłyśmy grób śp. Heleny Fikusowej, żony dyrektora Ubezpieczalni Społecznej bodaj w Sosnowcu. Nie miała jeszcze pięćdziesięciu lat. Zmarła na serce. Cicha, małowówna ale bardzo wrażliwa i uczuciowa,

o gołęmb sercu. W godzinach pracy tylko niewielka nasza grupka odprowadziła ją do głównej bramy łagru. Odeszła ku jasnej, promienistej wolności.

Warunki na kolejach były bardzo złe. Wszystkie stacje były przepełnione uciekinierami z zachodu. Kamienne posadzki zatłoczone siedzącymi i śpiącymi na tobołkach, nogi nie było gdzie postawić. Jeden za drugim szły na zachód pociągi z wojskiem, Czerwonym Krzyżem i wszelkiego rodzaju ekwipunkiem wojskowym. Nikt nie umiał i nie mógł powiedzieć, czy i kiedy będzie szedł jaki pociąg w kierunku północy lub południowego wschodu.

W Penzie działo się nam najgorzej. Wszystkie zapasy zjezione, usiąść nie ma gdzie. Wyjść na ulicę i stanąć w kolejce po chleb — niebezpiecznie, bo w międzyczasie może nareszcie nadejść jakiś pociąg. Po trzech dniach takiej mordęgi przyszedł nareszcie w nocy oczekiwany pociąg, do którego dostaliśmy się na siłę. Szedł do Saratowa.

Następnego dnia Saratow i stop. Pociąg dalej nie idzie.

A kiedy będzie następny? — Nikt nie wie.

Wysiadaliśmy i jak na poprzednich stacjach skierowaliśmy się do dużego budynku stacyjnego, aby poszukać miejsca do siedzenia, a może nawet i do drzemnięcia się?

Wolno zaczęliśmy wchodzić na szerokie stopnie dworca i... stanęliśmy jak wryte. Na najwyższym stopniu, patrząc na nas w dół, stał nasz, polski żandarm, w mundurze, z orzełkiem na czapce i białą-czerwoną opaską na ramieniu. Gdy otrząsnęliśmy się z pierwszego wrażenia, rzuciliśmy się do niego dotykając go, by się upewnić, że nie jest zjawą, i zasypując go pytaniami.

Tylko 60 kilometrów od Saratowa, w Tatiszczewie formowała się 5-ta Dywizja Piechoty Wojska Polskiego pod dowództwem generała Mieczysława Boruty-Spiechowicza.

Wieczorem byliśmy już na terenie dywizji, przyjęte najserdeczniej i z więcej niż przysłowiową gościnnością.

Dzień ten złotymi zgłoskami zapisał się w moim sercu i pamięci.



Z generałem Michałem Karaszewicz-Tokarzewskim spotkałam się w Szachriziabs, miejscu postoju 6-tej Dywizji Piechoty, którą on dowodził. Byłam tam przez 2 tygodnie gościem Generała. Tamże spotkałam się z Tolą Płońską, która wówczas w tejże dywizji była Komendantką Kompanii P.W.S.K.

Spotykaliśmy się dość często na szlaku naszych późniejszych wędrówek, aż po zakończenie wojny w 1945 roku. Później także w Londynie, do którego doszłusowała także mjr Janina Karaś (HAKA) po wyjściu z niewoli niemieckiej.



Generał Michał Karaszewicz-Tokarzewski zmarł nagle w Casablanca — Marokko w dn. 22 maja 1964 roku. Zwłoki pochowano w Londynie.

Major Janina Karaś utonęła w Gangesie — Indie w dn. 25 października 1948 roku.

Maria TROJANOWSKA, mjr

Los Angeles, Kalifornia, lipiec 1979

DOKUMENTY

Jan CIECHANOWSKI

ALIANCKA POMOC LOTNICZA DLA WARSZAWY

Kwestia alianckiego wsparcia lotniczego na rzecz Powstania Warszawskiego jest nadal sprawą niezwykle kontrowersyjną i drażliwą, na której temat pisano już dość dużo¹.

Często spierano się czy brak skutecznej pomocy dla Powstania spowodowany był względami politycznymi czy technicznymi, lub też funkcją ich obu.

Dyskusja na ten temat trwa od samego wybuchu Powstania, czego najjaskrawszym przykładem jest głośny rozkaz nr 19 gen. Sosnkowskiego, zarzucający aliantom zachodnim brak dobrej woli wobec Polski. Nic nie wskazuje, aby ta dyskusja szybko miała się zakończyć, gdyż stale przybywają do niej świeże przyczynki i głosy, oraz wychodzą na światło dzienne nowe dokumenty, częściowo tylko lub zupełnie nie wykorzystane dotychczas przez badaczy ówczesnych wydarzeń.

Sądzę więc, iż czytelników *Zeszytów Historycznych* zainteresuje raport gen. Ludomira Rayskiego o pomocy dla Warszawy, złożony gen. Władysławowi Andersowi, dowódcy 2-go Korpusu, w obecności jego zastępcy, gen. Zygmunta Szyszko-Bohusza i Szefa Sztabu, gen. Kazimierza Wiśniowskiego, 4 września 1944 r.

Raport ten zasługuje na specjalną uwagę, gdyż składał go doświadczony dowódca i pilot, który w 1944 roku pięciokrotnie latał nad Polskę, z tego dwukrotnie nad Warszawę. Generał Ray-

1. Patrz np.: F. Kalinowski, *Lotnictwo Polskie w Wielkiej Brytanii 1940-1945*, Paryż 1969; J. Garliński, *Politycy i Żołnierze*, Londyn 1971; J. Ciechanowski, „Stosunek Rządu Brytyjskiego do Powstania Warszawskiego”, *Zeszyty Historyczne* nr 42/1977; J. K. Zawodny, *Nothing but Honour*, Londyn 1978, oraz R. C. Lukas, *The Strange Allies*, Knoxville 1978.

ski, który służył w lotnictwie od 1915 roku, był dowódcą polskich sił powietrznych w latach 1926-1939, pilotem brytyjskiego lotnictwa transportowego w okresie 1941-1943, a następnie szefem lotnictwa polskiego na Bliskim Wschodzie i we Włoszech. Posiadał więc dobre kwalifikacje do wydawania opinii w sprawie alianckich lotów nad Warszawę.

Jan CIECHANOWSKI

INSTYTUT HISTORYCZNY
IM. GEN. SIKORSKIEGO
S. K.G.A. 46.

RAPORT GENERAŁA RAYSKIEGO

O SYTUACJI I POMOCY DLA POWSTANIA W WARSZAWIE,
PRZEDSTAWIONY GEN. ANDERSONOWI W OBECNOŚCI
GEN. SZYSZKO-BOHUSZA I PŁK. WIŚNIEWSKIEGO
W DNIU 4 WRZEŚNIA 1944 R. O GODZ. 15.00

Pomoc dla Warszawy w bieżącym miesiącu przedstawiała się następująco: od 10. VIII do 18. VIII. 1944 latały do Warszawy i nad Polskę trzy odrębne jednostki lotnicze: Polski Flight, Angielski Dywizjon Brindisi i Dywizjon Specjalny Liberatorów, przysłany z Korsyki, w sile około 20 maszyn. W tym okresie Dywizjon z Korsyki wykonał trzy loty na Polskę tracąc 14 maszyn plus jedna załoga ranna przy katastrofie na lotnisku. Dywizjon Angielski stracił 4 maszyny plus 1 rozbita na lotnisku. Polski Flight stracił 3 załogi.

Od 18. VIII — wobec poniesionych strat — Anglicy przestali latać dając jedynie maszyny dla polskich załóg. Wykonano 3 operacje nad Polskę i Warszawę w okresie 28. VIII - 1. IX. Poleciały 2 maszyny — nie wróciła żadna, 28. VIII poleciały 4 załogi — 1 wróciła mając zupełne rozbicie na lotnisku, załoga cudem ocalała, 1. IX poleciało 6 załóg — wróciły 2 nie dotarłszy do punktów zrztu. Łącznie Polacy stracili 12 załóg po 7 ludzi, nie mówiąc o katastrofach na lotnisku przy powrocie. Stanowi to około 30 % strat na ilość wysłanych na zadanie załóg, nie wliczając w to tych załóg które powróciły przed wykonaniem zadania. Zaledwie połowa wysłanych samolotów dociera na miejsce i wykonuje prawidłowe zrztuty.

Warunki lotu są wyjątkowo trudne. Odblask od palącej się Warszawy sięga w promieniu 140 mil. Lot odbywa się nad samą

ziemią nad drzewami z przeskakiwaniem wszystkich nierówności terenu. W samej Warszawie ulice są częściowo opanowane przez Niemców, częściowo przez Armię Krajową. Precyzja zrztu w tych warunkach musi być 100 %. Jest to, wobec silnej obrony przeciwlotniczej, niewykonalne. Dużo zrztów trafia do rąk niemieckich.

Punkty dla zrztów poza Warszawą, podane przez Armię Krajową, to w pierwszym rzędzie Puszcza Kampinoska i Radom. Anglicy zabronili lotów na Puszczę Kampinoską, zezwalając na lot do Radomia (kierunek południowy). Poleciały 4 maszyny — nie wróciła żadna, natomiast w locie do Puszczy Kampinoskiej w którym gen. Rayski brał dwukrotnie udział obie maszyny powróciły.

Gen. Rayski opisuje swoje wrażenia z tych lotów. Przez cały czas lotu odbywa się on na najniższej wysokości. Chodzi o uniemożliwienie złapania maszyny na przyrządy goniometryczne i *radiolocation*. Od Błonia poczynając lot odbywał się dosłownie na wysokości wierzchołków drzew. Warszawa od Wierzbna poczynając aż do gmachu Kierownictwa Marynarki przedstawia widok czerwonego wypalonego żużla, który od czasu do czasu tli się wygasłym płomieniem — dym na dużej przestrzeni miasta. Idąc na północ znowu czerwony wypalony żużel. Na drogach nie ma absolutnie żadnego ruchu. Raporty załóg które latały wcześniej stwierdzają, że do 10. VIII był duży ruch w kierunku na zachód. Po 10. VIII duże kolumny posuwały się na wschód. Obecnie nie ma na drogach dosłownie żadnego pojazdu.

Z Londynu przychodzi ciągle zarządzenia aby w dalszym ciągu posyłać załogi. Wszystkie próby robione na skutek tych rozkazów powodują od razu olbrzymie straty. Gen. Rayski otrzymał od gen. Sosnkowskiego rozkaz interwencji u tutejszych władz lotniczych brytyjskich. Natychmiast udał się do Balkan Air Force który odesłał go do M.A.A.F.¹, gdzie rozmawiał z Marszałkiem Slesorem², który natychmiast wysłał go specjalnym samolotem do gen. Andersa celem przedstawienia stanu faktycznego olbrzymich trudności i katastrofalnych strat. Gen. Rayski otrzymał wezwanie do Londynu do gen. Sosnkowskiego dokąd odlatuje w najbliższych dniach.

Gen. Rayski stwierdza, że Anglicy starają się iść jak najbardziej na rękę w tej sprawie ale przy tych olbrzymich stratach stwierdzają zupełną nieopłacalność pomocy. Straty są istotnie

1. *Mediterranean Area Air Force*.

2. Powinno być Slessor. Sir John Slessor, dowódca sił powietrznych na obszarze Morza Śródziemnego.

kolosalne. Załogi które zostały przysłane są młode i nie wyszkolone. W obecnej chwili jest 16 załóg, z których 2 niekompletne — 6 załóg starych doświadczonych. Ogólnie można wybrać 10 załóg które zawsze polecą. Nie wiadomo czy która z nich wróci. Przypuszczalnie na 2 operacje może wystarczy. Załogi wracają na samolotach zupełnie postrzelanych jak sito. Nawet spadochrony są przestrzelone, tak, że w razie katastrofy nie można ich używać. Jeden z ostatnich samolotów powracających postrzelany zupełnie miał krakę przy lądowaniu, Liberator rozbił się zupełnie, załoga cudem ocalała nawet ciężko ranny od kul w czasie drogi pozostał przy życiu.

Gen. Anders w krótkich słowach oświadczył, że robił wszystko co w jego mocy celem pomocy dla Warszawy. Interweniował u Leesa³, Alexandra⁴, Wilsona⁵, Brooka⁶, Churchilla⁷ i Grieka⁸. Nie miał żadnych wiadomości z Bazy. Dopiero wczoraj otrzymał pierwsze wiadomości o stanie faktycznym od specjalnie w tym celu wysłanego do Bazy kuriera.

Gen. Rayski nie widzi w tych warunkach rezultatu pomocy. Marszałek Slesor wyraźnie podkreślił, że przy tych stratach on nie zezwoli na loty. Jeżeli dostanie wyraźny rozkaz z góry, to go wykona. Przy operacjach nad Niemcami straty wynoszą od 3-5 %. W operacjach nad Polską przenoszą 30 %. Kraj daje znać, że wiele samolotów nie dolatuje a wiele zrzutów wpada w ręce niemieckie. Załogi przysłane ostatnio to młodzi, świeżo ukończeni lotnicy, przystosowani do lotów na przyrządy. Wszystkie loty nad Polską wymagają doskonałej orientacji na ziemi. Oparte są na tym całkowicie, są przeciwieństwem lotów na przyrządy. Jedynie 6 załóg jest dobrze wyszkolonych na bombowcach.

Gen. Rayski jeszcze raz przedstawia przebieg lotów zrutowych. Loty rozpoczęły się 3. VIII. Początkowo nie było żadnych strat, potem poleciały 3 załogi polskie z których nie wróciła żadna, dalej Anglicy dali swoje załogi i maszyny, stracili w kilka dni 20 załóg i maszyn. Koło 20. VIII dwukrotnie ponowione próby nie dały strat. Wysłano wówczas dwa razy samoloty nad Warszawę. Pierwszego dnia poleciały 2 maszyny — nie wróciła

3. Sir Oliver Leese, generał, dowódca brytyjskiej 8 Armii.

4. Alexander of Tunis, Viscount, Harold, marszałek, naczelny dowódca wojsk sojuszników w rejonie Morza Śródziemnego.

5. Wilson, Lord Henry Maitland, marszałek, dowódca wojsk brytyjskich na całym Bliskim Wschodzie.

6. Sir Alan Brooke, generał, szef Sztabu Imperialnego.

7. Sir Winston Churchill, premier brytyjski.

8. Powinno być Grigg — Sir James Grigg, brytyjski minister wojny.

żadna. Drugiego dnia poleciały 4 maszyny — wróciła 1, która miała katastrofę przy lądowaniu. Wysłano nad Polskę 6 maszyn jako trzecią próbę — wróciły 2 maszyny. Ogółem poszło 117 maszyn, z których 30 zostało zestrzelonych. 4-5 miało kraksy na lotnisku przy lądowaniu. Około 60 zrzutów trafiło do rąk polskich.

Same zrzuty odbywają się w bardzo trudnych warunkach. Miejsce zrzutów jest markowane światłem. Nadlatujący samolot nadaje odpowiedni znak literę, na który musi dostać odpowiedź. Nadlatuje na miejsce przeznaczenia parokrotnie przy najmniejszej szybkości i zrzuca *container*'y z amunicją i skrzynki z bronią. Były robione próby zrzucania na spadochronach działających z opóźnieniem co pozwalało na zrzuty z dużej wysokości. Próby dały pomyślny wynik odnośnie *container*'ów, natomiast skrzynki z amunicją dawały rozrzut do 10 km. Żadne przyjmowanie zrzutów w dzień nie jest możliwe. Większa wyprawa nie da żadnych rezultatów, ponieważ organizacja odbiorcza zrzutów jest bardzo ograniczona. Istnieje niebezpieczeństwo zderzania się samolotów kolejno podchodzących nocą do zrzutów większej ilości.

Gen. Rayski nie widzi realnej możliwości pomocy. Anglicy wstrzymali na razie loty do końca pełni księżyca tj. do 9. IX. br.

Z polskiego punktu widzenia jest to samobójcze wybijanie lotników, na co Anglicy stanowczo się nie godzą. Gen. Rayski ma najbliższą rodzinę w Warszawie, której nie spodziewa się już kiedykolwiek zobaczyć. Powstanie w Warszawie uważa za zbrodnię⁹.

Rozmowa w pełnym tekście została zaprotokołowana przez plut. Strońskiego.

9. Gen. Anders myślał wówczas podobnie — patrz: J. Ciechanowski, *Powstanie Warszawskie*, Londyn 1971, str. 319.

RECENZJE

Jan CIECHANOWSKI

ZMARNOWANA OKAZJA

Refleksje i uwagi do trzeciego tomu
„krakowskiej” Historii Polski¹

Są książki, które czyta się z rosnącym uczuciem zawodu i niedosytu. Do takich prac z pewnością należy książka Józefa Buszki, profesora historii Uniwersytetu Jagiellońskiego, stanowiąca ostatni tom wydanej w kraju „Historii Polski”, której autorami są trzej krakowscy historycy².

Dotyczy to szczególnie tych części tomu, w których Buszko omawia stosunki polsko-sowieckie oraz rolę Piłsudskiego w życiu naszego narodu. Dlatego też zasługują one na naszą specjalną uwagę i wymagają dość dużych korektur i sprostowań.

Praca ta jest pierwszym większym przyczynkiem autora do skomplikowanych zagadnień ogólnonarodowych naszych dziejów najnowszych. Do niedawna zajmował się on problematyką galicyjską z lat 1869-1914, a więc dotyczącą wąskiego zakresu naszej historii. Fakt ten siłą rzeczy musiał się odbić ujemnie na jego bardziej ambitnym przedsięwzięciu.

Ostatnia praca Buszki ma stanowić zarys dziejów Polski od upadku Powstania Styczniowego aż do nastania stalinizmu, czyli — jak to autor ujmuje — „ustabilizowania się nowej polskiej rzeczywistości społeczno-politycznej — Polski Ludowej po drugiej wojnie światowej”. Buszko celuje w tego rodzaju zawiłych sformułowaniach i często się do nich ucieka.

1. *Historia Polski 1864-1948*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1978. Str. 549.

2. Co dało asumpt do jej potocznej nazwy.

Nawiasem mówiąc najlepszą definicję stalinizmu dał nam Gomułka w październiku 1956 roku, określając go mianem systemu precyzyjnie zorganizowanego i miazdzącego „każdą samodzielną myśl socjalistyczną”. Opierał się on na „drabinie kultów jednostki” od Stalina w dół. W systemie tym nie mógł „normalnie pracować żaden kierownik partyjnej organizacji, nawet wówczas gdy pracował kolektywnie”, gdyż nie było ku temu warunków.

„Gorzej, a nawet całkiem źle układały się sprawy” — z goryczą mówił Gomułka na VIII Plenum — „kiedy zaszczyt władzy, a więc prawo do kultu, zagarnął człowiek ograniczony, tępny wykonawca czy zgniły karierowicz. Tacy grzebali socjalizm bezmyślnie i zarazem precyzyjnie³”.

Słowa te najlepiej oddają „nową polską rzeczywistość społeczno-polityczną” jaka ukształtowała się w kraju pod koniec 1948 roku, a więc jeszcze w czasie opisywanego przez Buszkę okresu, i źle się dzieje, że on o tym nie wspomina. Nie jest to zresztą jego pierwsze ani ostatnie potknięcie.

Pisząc o Piłsudskim i jego działalności w latach 1914-1916, autor pomawia go w dość niezręczny sposób o „bezwarunkową i lojalną współpracę z państwami zaborczymi” (str. 231). Co oczywiście jest przynajmniej grubą przesadą, jeśli nie wręcz nieprawdą.

Politykę Piłsudskiego można różnie oceniać i wiele rzeczy mu zarzucać, szczególnie po 1926 roku, gdy był już zgorzkniałym, schorowanym i starym człowiekiem, ale nie sposób robić z niego obcego agenta. Na to był bowiem zbyt wielkiej miary politykiem i miał zbyt wielkie poczucie „dumy i godności swego narodu”.

Piłsudski „bezwarunkowo i lojalnie” służył Polsce i jej interesom tak jak je rozumiał, dla których zrealizowania zawsze i stale gotów był iść na rzeczy „ciężkie i straszne”. Kto tego pojąć nie może — nie zna jego pobudek, upadków i wzlotów. Nie rozumie jak zapamiętałe Piłsudski prowadził swój wielki romans z Polską i jak strasznie był o nią zazdrosny. Różne też były owoce tej wielkiej, czasami gorzkiej, ślepej miłości. Z niej bowiem w dużej mierze zrodziły się Legiony i POW, wyprawa kijowska, rok 1920, Listopad i Maj, Bezdany, Magdeburg, Sulejówkę, Brześć, Dzików i Bereza Kartuska; BBWR i Sanacja, która — już bez Komendanta — skończyła się na ostatnim polskim kilometrze zaleszczyckiej szosy.

Zawzięty, podejrzliwy, kapryśny, „chytry Litwin” kochał Pol-

3. *Nowe Drogi* nr 10/1956, str. 40.

skę, ale pomiatał Polakami, gardził „sejmowładztwem” i partiami, politycznych przeciwników gnębił. Był kochany i nienawidzony. W wielu polskich domach nazwisko jego w ogóle nie było wspominane — aby nie zatruwać sporami wokół niego rodzinnej atmosfery. Skazywał nas na wielkość, której nie byliśmy w stanie zrealizować. Dzielił Polaków na zwalczające się obozy polityczne i zarazem chciał ich jednoczyć wokół nowo powstałego państwa i uczyć myśleć państwowymi kategoriami.

W silnej Rosji — białej czy czerwonej — upatrywał naszego głównego wroga. Początkowo nie doceniał zagrożenia ze strony hitlerowskich Niemiec, chociaż później dokładnie przewidział termin konfliktu z Niemcami.

Źle się wyrażał o Francji i Czechach. Wojska strzegł jak żrenicy własnego oka, gdyż widział w nim najmocniejszy fundament państwowego życia, ale nie doceniał w nim roli sztabów i nie zdawał sobie sprawy z charakteru nadchodzącej wojny. Przeceniał rolę wodza i jego geniuszu w osiąganiu zwycięstw wojennych.

Może był dziejowym anachronizmem, może przyszedł za wcześnie, może nie powinien był robić zamachu stanu w 1926 roku — ale obcym wpływom nigdy nie ulegał, agentami się brzydził a przed agenturami rodaków ostrzegał. Po cóż więc robić z niego kolaboranta i to niemieckiego — co po ostatniej wojnie ma swoisty wydźwięk.

Pisząc o klęsce, jaka spotkała wszystkie trzy mocarstwa rozbiorowe przy końcu pierwszej wojny światowej, Buszko twierdzi (str. 244), że „takiej ewentualności początkowo właściwie nikt z polskich polityków nie brał poważnie w rachubę”. Niemniej faktem jest, że właśnie taką ewentualność Piłsudski rozpatrywał w lutym 1914 roku, o czym skrupulatność badacza nakazuje pamiętać, nawet jeśli się temu nie dowierza, gdyż w tych przewidywaniach możemy znaleźć pewien klucz do całej jego działalności z okresu 1914-1918.

Komendant sądził, że „zwycięstwo pójdzie z zachodu na wschód”. Co to znaczy? To znaczy, że Rosja będzie pobita przez Austrię i Niemcy, a te z kolei będą pobite przez siły anglo-francuskie lub anglo-amerykańsko-francuskie. To wskazuje Polakom kierunek działania⁴.

Niemniej Buszko obstaje, że Piłsudski i Dmowski dopiero w końcowej fazie wojny uwierzyli w taką możliwość (str. 244),

4. W. Jędrzejewicz, *Kronika Życia Józefa Piłsudskiego 1867-1935*. Tom pierwszy, 1867-1921. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1977, str. 264-5.

co „spowodowało, że pierwszy zerwał ostatecznie z orientacją proniemiecką a drugi z prorosyjską i że ostatecznie obaj przestawili się na rozwiązanie niepodległościowe”.

Od tego tylko krok do konkluzji, że Piłsudski i Dmowski, ci dwaj mężowie stanu, którzy tak bardzo się przyczynili do powstania państwa polskiego w 1918 roku, to zwykli oportuniści i niepodległościowcy późnej godziny, prawie do końca wojny idący na pasku zaborczym.

Co o tym sądzić w przypadku Piłsudskiego już wiemy. Jeżeli chodzi o Dmowskiego — ten już w 1915 roku zaczął się powoli rozchodzić z Rosją i szukać na Zachodzie poparcia dla sprawy polskiej. Nie trzymał się więc tak kurczowo orientacji prorosyjskiej, prawie do końca wojny, jak tego chce Buszko⁵.

Trochę dalej znowu czytamy iż Piłsudski, ochrzczony przez regenta Kardynała Kakowskiego mianem „męża opatrnościowego”, ratował kraj od szybko nadchodzącej rewolucji (str. 249-51).

Czyżby to więc już „kontrrewolucja”? Sprzysiężenie sił reakcji i Kościoła przeciwko prącom do rewolucji siłom postępu?

Z nieco większą wyrozumiałością podchodzi autor do dalszych planów politycznych Naczelnika Państwa, który — jak słusznie Buszko podkreśla — za największe swe zadanie uważał „odbudowę państwowości polskiej w jej granicach z 1772 roku na zasadach federacji Litwy, Białorusi i Ukrainy z Polską” (str. 261). Dla zrealizowania tego chciał wykorzystać osłabienie Rosji rewolucją i wojną domową. Buszko natychmiast jednak dodaje, że plany Piłsudskiego „pokrywały się z interesami polskich klas posiadających”, dążących do utrzymania swych interesów na dalekich kresach. Zgodnie z tą teorią „panicz z Zułowa” wyprawiając się na Kijów działał w interesie polskiego ziemiaństwa i burżuazji. Tymczasem podkreślić należy, iż Piłsudskiemu głównie chodziło o trwałe zabezpieczenie nowoodzyskanej niepodległości, a nie o obronę interesów kresowych żubrów i członków „Lewiatana”. W tym czasie Piłsudski uchodził jeszcze za człowieka lewicy, groźnego socjalistę posądzanego przez wielu endeków o konszachty z Leninem. „Dzików” jeszcze nie był w planie. Przyszedł nieco później, już po całkowitym rozejściu się Piłsudskiego z PPS.

Pisząc o marszu Tuchaczewskiego na Warszawę w lecie 1920 roku Buszko nazywa go wkroczeniem Armii Czerwonej na „teren etnicznie polski” (str. 264) i mocno zaznacza, iż znalazł

5. Co do opinii recenzenta w sprawie roli i działalności Dmowskiego, patrz „Bić się czy nie bić”, *Kultura* nr 7-8/1980, str. 24 i dalsze.

on „poparcie wśród rewolucyjnie usposobionych robotników, fernali i spauperyzowanych chłopów”. Szkoda tylko, że nie podaje jak to „poparcie” przedstawiało się w cyfrach. Nie dopowiada, że większość ówczesnych Polaków bez względu na społeczne pochodzenie i przynależność — marsz ten uważała za najazd.

Polscy chłopci i robotnicy „upojeni niepodległością” stanowili trzon polskiej armii, która pod dowództwem Piłsudskiego pobiła i odrzuciła bolszewików i dała nam dwadzieścia lat niepodległości, bez której nasze późniejsze losy z pewnością zupełnie inaczej by się potoczyły.

W zwycięskiej armii służyło ochotniczo wielu późniejszych głównych twórców Polski Ludowej i jej luminarzy jak Rola Żymierski, Berling, Jóźwiak, Zawadzki, Broniewski i wielu innych, co najlepiej wskazuje, jak skomplikowane są dzieje Polski i powikłane losy Polaków. Jak nie można tu niczego upraszczać.

Przechodząc do kwestii likwidacji KPP autor znowu ucieka się do jakiejś nieporadnej formułki (str. 385), mówiącej o wystąpieniu w tym czasie zespołu „zjawisk związanych z przyrostem i nadużywaniem władzy ze strony Stalina, określanych następnie mianem tzw. kultu jednostki”. Formułka ta ma pokryć i wytłumaczyć fakt wymordowania całego kierownictwa KPP, specjalnie do Rosji sprowadzonego, jako agentów polskiego kontrwywiadu. Autor nie wymienia nazwisk tych pomordowanych w Rosji a później pośmiertnie zrehabilitowanych przez Chruszczowa w 1956 roku polskich komunistów.

Tutaj wkraczamy już w domenę orwellowskiego *newspeak*’u. Buszko nie rozważa właściwych powodów, którymi mógł kierować się Stalin, likwidując KPP i jej kierownictwo.

Czy likwidacja była po prostu częścią składową wielkiej czystki rosyjskiej czy przygotowaniem gruntu do porozumienia sowiecko-niemieckiego? Lub wynikiem braku zaufania ze strony Stalina do komunistów polskich?

Nie mamy jeszcze jednoznacznych odpowiedzi na te pytania, ale faktem jest, że pierwszymi Polakami, którzy padli ofiarą stalinowskiego terroru byli polscy komuniści.

Autor nie pisze też, iż wielu późniejszych przywódców PPR uniknęło likwidacji tylko dlatego, że w latach 1937-1939 przebywali w polskich więzieniach, np. Władysław Gomułka, Marceli Nowotko, Paweł Finder i Edward Ochab — co musiało głęboko wpłynąć na ich postawę wobec ZSSR i Stalina. Tłumaczy to częściowo późniejsze postępowanie Gomułki i Ochaba, którzy z pewnością nie wierzyli, że zlikwidowane kierownictwo KPP

składało się wyłącznie z agentów „defensywy” i dwójki. Chodzą słuchy, że po czystce Gomułka i Bierut stali się ludźmi „zmienionymi” a nawet „złamanymi”. Ma to swoją wymowę i rzuca wiele światła na czasy ich rządów. Gomułka zawsze obstawał przy „polskiej drodze do socjalizmu” i pewnej przynajmniej niezależności od ZSSR, a Bierut łagodził pono jak mógł charakter stalinizmu w Polsce, gdzie nigdy nie nabrał on takiej ostrości jak w innych KDL-ach.

Dokonując bilansu dwudziestolecia, autor z typową mu roztropnością asekuruje się na wszystkie strony. Czytamy więc (str. 425), że „chłopi i robotnicy odczuli zmianę na lepsze w wyniku powstania państwa polskiego w czysto narodowym znaczeniu tego słowa”. „Fakt ten nie zaważył zbyt wiele na ich położeniu materialnym, choć ustawodawstwo socjalne po 1918 roku oznaczało niewątpliwie postęp w zestawieniu z sytuacją na tym polu w okresie zaborów”.

Trochę dalej autor stwierdza (str. 429), że:

„II Rzeczpospolita była, jak każde państwo burżuazyjne, państwem przemocy klasowej w stosunku do mas ludowych — klasy robotniczej i chłopstwa. Była jednak także znacznym krokiem naprzód w dziejach narodu polskiego w zestawieniu z sytuacją tegoż narodu przed 1918 rokiem. W aspekcie socjalno-klasowym II Rzeczpospolita stworzyła mimo wszystko dla mas pracujących dogodniejsze warunki działania aniżeli w ramach trzech państw zaborczych, w aspekcie dążeń narodowych wpłynęła pozytywnie na proces integracji narodu w duchu przezwyciężenia dążeń separatystycznych i partykularystycznych, stanowiących nieodłączną spuściznę długich lat politycznego i gospodarczego rozdarcia narodu. Przede wszystkim... dokonał się w ramach własnej państwowości proces pogłębiania świadomości narodowej i narastania poczucia patriotycznego wśród szerokich mas narodu...”.

Tutaj prof. Buszko bije już wszystkie rekordy, jeśli chodzi o jasność stylu i wykładu. Staje się przy tym coraz bardziej powściągliwy przy omawianiu tzw. kontrowersyjnych wydarzeń. Referując okoliczności i przyczyny zawarcia paktu Ribbentrop-Mołotow (str. 399-400), pomija fakt, iż zawierał on tajną klauzulę przewidującą nowy rozbiór Polski na wypadek wybuchu wojny niemiecko-polskiej, co przypieczętowało losy II Rzeczypospolitej.

Milczy też jak zaklęty na temat Katynia. Ta selektywność jest tym bardziej uderzająca, że wiele uwagi poświęca wyjściu wojsk gen. Andersa z Rosji. Sam Anders i jego żołnierze — składający się głównie z represjonowanych przez władze sowieckie Polaków — palili się do wyjścia z Rosji. O to samo zabiegał u Stalina Churchill, który chciał mieć Polaków na Bliskim Wschodzie. Sikorski wahał się w tej sprawie. Stalin przychylił się

do żądań Churchilla. Armia Andersa wyszła, ale tysiące Polaków w Rosji zostało. Później wracali do Polski w szeregach wojsk generała Berlinga lub pod egidą PKWN. Byli to często młodszy bracia tych, co poszli do Andersa.

Z historycznego punktu widzenia lepiej by było dla Polski, aby wojsko gen. Andersa w Rosji zostało i wkroczyło do Polski razem z Armią Czerwoną. Mogłoby to bowiem zapobiec zerwaniu polsko-sowieckich stosunków dyplomatycznych, tragedii AK i Warszawy. Pod tym względem zgadzam się z autorem.

Podzielałam również jego poglądy w sprawie Powstania Warszawskiego, chociaż dla mnie to nie tylko najbardziej dramatyczne i tragiczne wydarzenie „w historii ruchu oporu w Polsce”, jak on to nazywa (str. 471), ale wręcz jedna z największych tragedii drugiej wojny światowej o dość dużych międzynarodowych reperkusjach.

Pisałam o tym zresztą już dość dużo i nie będę do tego znowu powracał⁶. Widmo powstania musi straszyć Rosjan i utwierdzać ich w przekonaniu, że w wypadku ich zbrojnej interwencji w Polsce — Polacy będą walczyć, co może za sobą pociągnąć wręcz nieobliczalne konsekwencje. Jak to ujął ostatnio pewien wysoki sowiecki dyplomata w Warszawie — „Polacy się odrodzili. Jeśli ich zbyt mocno przyciśniemy — wskoczą na koń, szabel dobędą i będą na nas znowu szarżować”.

Jeśli sowieckie kierownictwo rzeczywiście tak myśli, to bezprzykładna ofiara stolicy oraz chłopców i dziewcząt w panterkach nie poszła całkowicie na marne, gdyż odnieśli oni pośmiertne zwycięstwo.

Jednym sposobem na usunięcie tragedii AK i Warszawy w 1944 roku mogło być porozumienie z Rosją, o które należało zabiegać, aby zaoszczędzić krajowi nadmiernych strat i załagodzić skutki przemarszu Armii Czerwonej.

„Zmiana stosunku do ZSSR musi być dokonana nie dlatego, że leży to w interesie Związku Sowieckiego”, pisał 1 lipca owego roku pod adresem obozu rządowego Władysław Bieńkowski, „lecz, że leży to w interesie Polski”⁷.

„Niedługo później okazało się” — stwierdził Władysław Gomułka pisząc o wypadkach z tego okresu, w czasie którego oczekiwał, że Mikołajczyk dojdzie do porozumienia ze Stalinem — „jak drogo naród polski musiał zapłacić za to, że miał w Londynie tak bezgranicznie

6. J. Ciechanowski, *Powstanie Warszawskie*. Odnova, Londyn 1971. Str. 397.

7. J. Ciechanowski, *Powstanie Warszawskie*. Odnova, Londyn 1971. Str. 56.

głupi rząd emigracyjny, a w kraju tak słabą pod względem zasięgu politycznego oddziaływania Krajową Radę Narodową⁸”.

Trzeba się również zorientować w okolicznościach i sytuacji, jakie zaistniały w Polsce w drugiej połowie 1944 roku i w jakiej przyszło komunistom polskim obejmować rządy nad krajem pod czujnym okiem przebiegłego Stalina.

Już w październiku 1944 roku — wkrótce po upadku Powstania Warszawskiego — Stalin upominał ich, że nie widzi u nich „rewolucyjnych metod” i ostro krytykował ich „miętkość”. Stawiał sprawę jasno: *pierestroit'sia ili ustupit'*. Ostrzegał, że po odejściu Armii Czerwonej i wojska polskiego reakcja wystrzela ich jak „kuropatwy”.

Oto geneza osławionego „zwrotu październikowego”, który wygnał wielu ludzi do lasu i sprowadził kraj przed oblicze wojny domowej.

Skutki „zwrotu” szeroko omawiano na majowym plenum KC PPR — 20-21 maja 1945 roku — w czasie którego A. Zawadzki wręcz stwierdził: „Jest masa skarg i zażaleń na Bezpieczeństwo i Milicję. O tych faktach mówić publicznie, krytycznie. Za nadużycia — procesy publiczne, nawet rozstrzeliwać...”.

„KC winien zająć stanowisko wobec wywozek. Stanowisko to powinno dojść do świadomości Związku Sowieckiego i Armii Czerwonej”.

Narzekał na „rozpasanie” żołnierzy Armii Czerwonej, maruderskie gwałty, brak chleba. „Wszystko to odpychało naród od Związku Sowieckiego”. Antysowieckie nastroje sprzyjają działalności dywersyjnej band AK-owskich. „Bandy to nie wykołajeńcy, którzy poszli do lasu. Nie wolno dopuścić do wojny domowej”.

R. Zambrowski ubolewał nad tym, że „odpieramy ataki band siłą Armii Czerwonej. Winę za to w znacznym stopniu ponosi Komitet Centralny”.

„Nie tylko KC robi politykę partii. Robią ją również komendanci wojenni... Nie ulega wątpliwości, że KC nasz nie potrafił wystąpić przeciw tej niepotrzebnej ingerencji Armii Czerwonej w linię partii. Komendantów należy usunąć, doradców ograniczyć”.

E. Ochab jasno stawiał sprawę:

„Centralne nasze zagadnienie to suwerenność państwowa. Wojna jest skończona, Armia Czerwona winna opuścić ziemie polskie, pozo-

8. W. Gomułka, „Polemika z Archiwum Ruchu Robotniczego”. *Zeszyty Historyczne* nr 39/1977, str. 31.

stawiając oddziały tylko w ważnych punktach komunikacyjnych i na wybrzeżu. Należałoby się zastanowić nad doradcami sowieckimi w Bezpieczeństwie, nie wszędzie są oni potrzebni... W armii propaganda słabo stawia moment suwerenności”.

„Może należy wskazać na zewnętrzną różnicę między naszą (demokracją?) a Związkiem Sowieckim...”.

„Wzmocnić trzeba aparat centralny... Stan więziennictwa kompromituje nas, powołać należy specjalną komisję dla zadośćuczynienia opinii publicznej”.

F. Józwiak wręcz stwierdził: „Nie jesteśmy u siebie gospodarzami”.

Nawet J. Berman, zaufany człowiek Stalina, zwalczał wtedy „teorię, że w oparciu o Armię Czerwoną można rozwiązać wszystkie sprawy w Polsce. Jest to teoria trockistowska, teoria rewolucji przyniesionej na bagnietach”. Przy czym zapewniał stroskanych towarzyszy, że „Stalin stoi na gruncie suwerenności Polski i wie, jak PPR rozumie suwerenność”.

M. Spychalski próbuje bronić AK-owców i stwierdza, że:

... „mówi się tylko o I Armii i AL, milczy o byłych AK-owcach, którzy też wnieśli coś pozytywnego do Wojska Polskiego. Nie awansuje się oficerów byłych AK-owców...”.

S. Radkiewicz oświadczał:

„Trudno powiedzieć, czy doradcy (sowiecy) więcej pomagali czy przeszkadzali. W pierwszym okresie pomagali, w drugim zaszkodziли. Obecnie zmieniło się, usuwać ich na razie nie należy”.

H. Minc również uważał, że:

... „konieczne jest dokonanie pewnych przesunąć w stosunku do Armii Czerwonej, ale garnizonów sowieckich nie likwidować”.

Nikt z mówców nie kwestionował konieczności walki z „sekcjarstwem” w partii, które stale się w niej odradzało. W. Gomułka podkreślał, że:

... „niewola trójrozbiórowa sprawiła, że niektórzy widzą w Rosji dalszy ciąg dawnej, carskiej Rosji; wyłobiło to psychikę, jej przekształcenie nie jest łatwe. Sanacji udało się nastawić antysowiecko cały naród. Dlaczego PPS była wrogo nastawiona do Związku Sowieckiego? Nie próbowaliśmy zanalizować tego zagadnienia. Na pogłębienie nieufności wpływa również fakt zmiany granic. Jesteśmy marksistami, umiemy zrozumieć szereg zjawisk, ale przeciętny Polak wychodzi z założenia, że Rosja zabrała Polsce pokazną część ziem. Błędy jakie popełniły organa sowieckie w stosunku do Polaków, wywózki też wpłynęły na ukształtowanie się opinii”.

„U nas utarła się stara, zła KPP-owska metoda przedstawiania faktów nie we właściwym świetle, sprawozdania nie oddają nam nastrojów faktycznych. Albo się ich nie wyczuwa, albo świadomie ukrywa. W sytuacji poli-

tycznej w Polsce jest wiele poważnych niebezpiecznych elementów, są objawy nawet kryzysu politycznego. Brak jest u nas stabilizacji politycznej, nie umieliśmy jej wytworzyć... mimo, że w innych partiach orientujących się dotychczas na Londyn też są objawy kryzysu”.

„Jeśli niektóre kraje twierdzą, że wyszłyby zwycięsko z wyborów, to my wyszlibyśmy słabi, pokonani, ... bo nie ma u nas stabilizacji politycznej”.

„Agitacja o sowietyzacji wierci głęboko duszę Polaka, wierci pokąsną część narodu (...) Mamy nasilenie terroru. Dodatkowo, entuzjastyczne nastroje społeczeństwa w stosunku do Armii Czerwonej mocno opadają. Ale przy tych nastrojach grozi, że może się przyjąć zarzut o agenturze sowieckiej. Masy powinny nas uważać za polską partię, niech nas atakują jako polskich komunistów, a nie jako agenturę”.

„Drugą dziedziną gdzie w praktyce pojawiły się sekciarskie błędy to Bezpieczeństwo. Z natury rzeczy narażone jest ono na ujemną opinię, ale zaczyna w państwie naszym ponad naszymi głowami wyrastać drugie państwo. Organa Bezpieczeństwa same robią pewną politykę, do której nikt się nie ma wtrącać. Poprzez nasze organa Bezpieczeństwa realizuje swą politykę niejednokrotnie reakcja...”.

„Daje się u nas w więzieniach ludziom zwierzęce warunki. Ludzie w Bezpieczeństwie się demoralizują, odchodzą. Poszczególni urzędnicy nie podporządkowują się ministrowi... Jest to zejście na manowce polityczne, co nam przynosi polityczne szkody. Zmierzają do tego, że staniemy się NKWD-owską najgorszą agenturą”.

„Linia naszej partii nie zostaje zasadniczo zmieniona... Nie ma u nas zwrotu o 180 stopni, jest uznanie wypaczeń, głęboka analiza przyczyn, które je spowodowały. Linia z okupacji, linia Manifestu Lipcowego obowiązuje nadal”.

Dalej Gomułka dodaje, że:

... „w obozie reakcji jest kryzys, ale nie potrafiliśmy zwęzić jej bazy. W stosunku do Rządu Tymczasowego istnieje nieufność. Nie jesteśmy w stanie przeprowadzić walki z reakcją bez Armii Czerwonej. To coś mówi o bazie”.

„My nie budujemy władzy sowieckiej. Chcemy budować władzę koalicyjną i demokratyczną. Nie wpłynęło i nie było poruszone rozwiązanie zagadnienia Rządu Tymczasowego zgodnie z uchwałami Konferencji Krymskiej. W naszym interesie jest, by nastąpiło to jak najszybciej. Sprawa stosunku do Armii Czerwonej w związku z zakończeniem wojny: niesłuszne byłoby żądanie wycofania wojsk. Nie mielibyśmy swoich sił, aby je postawić na ich miejsce. Uregulować trzeba sprawę komendantów wojennych (...) Zwrócić się do dowództwa Armii Czerwonej o ostrzejsze sankcje wobec maruderów, aby społeczeństwo wiedziało, że się walczy z maruderstwem”.

„Nie zacieramy naszego samodzielnego oblicza... Tak jak szkody przynosi polityka sekciarska, tak również szkody przynosi odwrotne zjawisko. Podchodzić należy od strony ludzi i ich umiejętności, a nie klucza partyjnego. Rady Narodowe nie spełniają roli ośrodka frontu narodowego. Rdzeń frontu narodowego stanowią cztery partie, ale jest on pojęciem znacznie szerszym. Nie wiemy, jakie jest miejsce Rad Narodowych. Nie mamy koncepcji gospodarczej...”.

„Akcję pacyfikacyjną prowadzić trzeba wraz z akcją polityczną”.

W sprawach ekonomiki M. Spychalski stwierdzał, że:

... „jesteśmy nieukami dobrej woli na odcinku gospodarczym... U nas żyją towarzysze często polityką a nie gospodarką...”.

H. Minc podnosił zaś, że:

... „w przemyśle nastąpił błyskawiczny wzrost zatrudnienia... Z punktu widzenia ekonomiki jest to utrzymywanie przez państwo bezrobotnych... Bardzo niska jest wydajność pracy i całkowite rozluźnienie dyscypliny, średnio nieobecność sięga 10 % do 20 %”.

„Fabryki pracują deficytowo. Gdybyśmy chcieli pokrywać deficyty niektórych fabryk, musielibyśmy podnieść ceny 16-20 razy. Kwestia wydajności pracy to zagadnienie życia i śmierci gospodarki. Podnieść ją można jedynie przez system akordu i premiowania, stworzyć bodźce indywidualne. W klasie robotniczej występują dwie grupy — za i przeciw akordom...”.

„Planu gospodarczego nie mamy... Robimy deflację, aby móc zrobić inflację⁹”.

Wypowiedzi te najlepiej oddają warunki i okoliczności, w jakich powstawała Polska Ludowa. Sygnalizują też problemy, które często miały się odzywać i dawać o sobie znać w czasie kryzysów, które przyszło jej później przeżywać.

W wypowiedziach tych znajdujemy też chyba genezę „odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego” Gomułki i oddanych mu ludzi, a nawet przyczyn powrotu ich do władzy i wielkiej popularności w październiku 1956 roku.

Niestety wszystko to nie znajduje prawie żadnego odbicia w pracy Buszka, co podrywa do niej zaufanie i obniża jej poziom.

Trudno jest dzisiaj dochodzić, kto za to ponosi główną winę: sam autor czy rozpanoszona w drugiej połowie „mitotwórczych” rządów Gierka cenzura, o której ukrócenie zabiegają obecnie polscy robotnicy.

Chodzi głównie o to, aby takiego rodzaju „luki” i „niedomówienia” nie pojawiały się już więcej po „sierpniowej” odnowie w wydawanych w kraju pracach historycznych, gdyż to do niczego nie prowadzi i przynosi wręcz odwrotne do zamierzonych skutki. Budzi wśród ich czytelników poczucie zawodu i sprzeciwu, niesmaku i niedosytu. Podrywa zaufanie do oficjalnych wydawnictw. To po prostu marnowanie brakującego w kraju papieru.

A przecież na historię, szczególnie najnowszą, istnieje wśród Polaków ogromne zapotrzebowanie, gdyż może bardziej niż inne

9. Z protokołu Plenum KC PPR 20-21 maja 1945. A. Polonsky i B. Drukier, *The Beginnings of the Communist Rule in Poland: December 1943 - June 1945*. Routledge and Kegan Paul, London 1980, str. 424-428.

narodowości zdają sobie sprawę, że naród bez historii istnieć nie może. Podobnie jak człowiek pozbawiony pamięci, który nie wie kim jest, skąd się tu wziął, co tu robi i dokąd podąża.

To zapotrzebowanie na dobre prace historyczne dodatkowo świadczy o żywotności Polaków i czas już najwyższy w pełni je zaspokoić.

Jan CIECHANOWSKI

Adam BIELNICKI

LOTNICY POLSCY W DANII W LATACH DRUGIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ

Druga wojna światowa cieszy się po 40 latach niesłabnącym zainteresowaniem. Dla nas szczególnie interesujące są wszelkie publikacje, zajmujące się losami w niej Polaków. Celowe więc wydaje się zasygnalizowanie polskim czytelnikom kilku drobnych poloniców w interesującej pracy duńskiego pisarza Andersa Bjornvada pt. „*De fandt en vej*” („Znaleźli drogę”¹). Pisarz ten, który już poprzednio zajmował się sprawami Ruchu Oporu i okupacji Danii, dokonał tym razem iście mrówczej pracy w postaci kilkudziesięciu wywiadów ze świadkami historii, przeglądu pamiętników, ksiąg kościelnych, archiwów niemieckich i alianckich oraz dostępnych materiałów rządowych w Kopenhadze, dotyczących lat wojny. Owocem tych wysiłków jest 200-stronicowa książka, poświęcona losom lotników alianckich w Danii w latach 1940-1945. Jest ona zaopatrzona w bibliografię, indeks nazwisk, angielskie streszczenie oraz obszerne wprowadzenie w metodę przeprowadzonych przez autora badań. Dodać wypada, że autor, by lepiej wczuć się w sytuację ludzi, których losy przyszło mu opisywać, sam wykonał skok ze spadochronem i samotnie starał się uniknąć „pościgu” zorganizowanego przez odkomenderowanych do tego żołnierzy.

1. Anders Bjornvad, *De fandt en vej*, wyd. Odense University, Studies in History and Social Sciences. Vol. 1. Odense 1970, str. 205.

Pomijając jej polskie aspekty, o których mowa poniżej, książka Bjornvada pozwala nieobeznanym z najnowszą historią Danii na wgląd w bardzo specyficzną sytuację tego kraju w latach ubiegłej wojny. Czytelnikowi polskiemu, przywykłemu do opisów hitlerowskiego terroru wobec podbitej ludności, stosunki panujące w Danii w latach wojny wydadzą się idyllą.

Obsadzony (bo nie podbity) 9 kwietnia 1940 roku kraj (*nota bene* stało się to, według wszelkich dostępnych oznak, za uprzednią wiedzą ówczesnego rządu w Kopenhadze) po złożeniu protestu w Berlinie kontynuował swój wygodny i spokojny byt co najmniej do 29 sierpnia 1943 roku. Nawet jednak po ustąpieniu owego dnia legalnego rządu duńskiego i po ostatecznym rozbrojeniu resztek duńskiej armii, oraz po wyeliminowaniu w rok później duńskiej policji i zastosowaniu przez okupanta ograniczonych represji, przeżyli Duńczycy owych „pięć ciemnych lat” w komforcie, jaki nie zawsze był udziałem krajów wolnych i neutralnych.

Jednym z punktów zetknięcia Duńczyków z wojną był ich kontakt z alianckimi siłami lotniczymi. Poza lotami, których celem była sama Dania (bombardowanie baz niemieckich, minowanie wód oraz zrzuty dla powstałego z czasem Ruchu Oporu), nad krajem tym przebiegały trasy samolotów kurierskich do Polski oraz, przede wszystkim, masowych wypraw bombowych na Niemcy. Autor przyjmuje, iż około 40 tysięcy maszyn alianckich z 1/4 miliona ludzi na pokładzie dokonało przelotów nad Danią w czasie całej wojny. A 250 z nich zakończyło tam swą misję, pociągając za sobą śmierć wielu setek lotników. Pogrzebanych w ziemi duńskiej zostało 1.200, zaś nieznana bliżej liczba znalazła swój grób w otaczających morzach. Na tle 150 tysięcy lotników alianckich poległych w czasie drugiej wojny światowej przytoczona przez autora liczba 93 lotników, którym udało się uniknąć niewoli, nie jest zbyt imponująca; zwłaszcza gdy ją porównać z około 300 wziętymi do niewoli przez Niemców. Podstawowym czynnikiem, jaki na to wpływał, była postawa ludności, a zwłaszcza władz duńskich, współpracujących lojalnie, mniej więcej do połowy roku 1943, z Niemcami, szczególnie w dziedzinie tak drażliwej jak stosunek do lotników alianckich, przybyłych na teren Danii w trakcie wykonywania zadań bojowych. Autor lojalnie przytacza liczne przykłady oddawania w ręce niemieckie uratowanych lotników, tak przez ludność cywilną jak i przez rygorystycznie wykonującą swe obowiązki policję.

Chwalebny wyjątkiem była tu postawa Żandarmerii Granicznej, której szef, Paludan-Moller, w oświadczeniu przesłanym swym przełożonym bez ceregieli oświadczył, że podlegli mu ludzie

nie będą brali udziału w polowaniach na alianckich lotników, oraz wspomniał o ewentualności zasłużonych represji ze strony Brytyjczyków, gdy będą kiedyś do Danii wkraczali. Postawa Duńczyków, chociaż nie chwalebna, miała jednak i pewne skutki dodatnie. Jednym z nich była wyrozumiałość niemiecka w traktowaniu zestrzelonych lotników i kontaktującej się z nimi ludności. Zarówno w stosunku do żywych, którym pozwalano udzielać pierwszej pomocy, jak i poległych, gdy chodziło o ich pogrzeby. Po ujawnieniu kilku wypadków potajemnego i niegodnego grzebania poległych przez samych Niemców doszło do protestów zarówno pastorów jak i władz świeckich, w wyniku czego ustaliła się praktyka pogrzebów otwartych, uroczystych, nieraz przy udziale niemieckich oddziałów honorowych, które niekiedy nawet oddawały salwy nad trumnami polskich lotników, przystrojonymi w barwy biało-czerwone.

Zmiany w naszkicowanych powyżej stosunkach nastąpiły latem 1943 roku. Rosnące natężenie i efektywność nalotów na Rzeszę spowodowały wzrost wrogości Niemców, a ustąpienie rządu duńskiego oraz rosnąca aktywność organizującego się Ruchu Oporu wyznaczyły wyraźną linię podziału między okupantem a okupowanymi. Sprawilo to, że dotychczasowi „lojaliści” ujrzeli w alianckich lotnikach „swoich” i zaczęli im w coraz szerszym zakresie pomagać, tak indywidualnie, jak i w sposób zorganizowany. Powstały stałe drogi przerzutu do Szwecji, kierowane przez działaczy podziemia w porozumieniu z „wolnymi Duńczykami” w Sztokholmie i Londynie. Szczególną aktywność wykazywali tu wiejscy pastorzy, do których, zgodnie z instrukcjami regulaminu, zgłaszali się strąceni lotnicy. Wzrastała liczba tych, którzy „znaleźli drogę”, czasem nawet wkrótce po zestrzeleniu. Z wymienionej liczby 93 ocalonych, blisko połowa, bo 40, dotarła do Szwecji między czerwcem 1944 a majem 1945 roku.

Polonica w pracy Bjornvada są wcale liczne. Niektóre krótkie, lakoniczne, jak na przykład o sierżancie o nazwisku Blachowsky (!), członku załogi polskiego Wellingtona, zmarłym w szpitalu w Haderslev (płd. Jutlandia) dnia 12. X. 1942 roku. Lub o Polaku E. Kasprzaku, zmarłym w Ringsted (miasteczko w środkowej Zelandii) w wyniku „okropnych poparzeń”, czy o pogrzebie sześciu polskich lotników z załogi Wellingtona II, który rozbił się koło wsi Jejsing (płd. Jutlandia) dnia 5. III. 1942 roku. Trumny udekorowane były, za zgodą miejscowego dowódcy niemieckiego, białymi i czerwonymi goździkami, a w pogrzebie wziął udział niemiecki duchowny oraz niemiecki oddział, który oddał salwę honorową. Wśród złożonych na grobie wieńców był jeden

od niemieckiego komendanta miasta Aabenraa, czerwone wstęgi ze swastyką; inny pochodził od rady miejskiej, wstęgi białoczerwone; jeszcze inny od stowarzyszenia byłych żołnierzy armii niemieckiej, wstęgi białe (mamy tu prawdopodobnie do czynienia z organizacją Duńczyków zmuszonych niegdyś do służby w armii cesarskiej, jako że Aabenraa należało do Niemiec aż po rok 1920). Autor dodaje, że zaproszenia do udziału w pogrzebie wystosował komendant miasta, major Uetzman.

A oto inne polonicum: przytoczone w książce epitafium z nagrobka w miejscowości Aalestrup (płn. Jutlandia):

„M. Pretkiewicz. Urodzony 28. XII. 1905 w Lublinie. Student, absolwent szkoły handlowej. Służbę wojskową odbył w r. 1925. Główny księgowy w zakładach lotniczych. Żonaty od r. 1932. W r. 1939 uszedł z Polski przez Bliski Wschód do Francji, a następnie do Anglii. Dokonywał zrzutów nad Kontynentem w szeregach Polskich Sił Lotniczych P.A.F. Zginął nad Louns Bredning 30. VIII. 1944”.

A oto jeszcze jeden z żałobnych polskich epizodów, pośmierne losy załogi polskiego bombowca RAF'u. Dnia 18. IX. 1943 grabarz w małej wiosce Slaglille na Zelandii doniósł pastorowi o jakimś tajemniczym pogrzebie pięciu osób, urządzonym przez Niemców ubiegłej nocy. Nie mogło ulegać wątpliwości, że byli to lotnicy z bombowca RAF'u, który rozbił się w pobliżu poprzedniego dnia. Pastor nie ograniczył się do protestu wobec swych przełożonych, ale odprawił również nabożeństwo nad ukwieconym w międzyczasie grobem. Ciekawe, iż odczytał przy tym, między innymi, również „rzymską modlitwę”. W kilka dni później kazał otworzyć płytki i niedbale wykonany grób, znajdując istotnie pięć zagrzebanych byle jak zwłok. Lotnicy doczekali się przyzwoitego pogrzebu w trumnach, na koszt znanego przemysłowca duńskiego A. P. Mollera. Tymczasem drogą służbową, przez biskupa i kilka ministerstw, nadeszła wreszcie odpowiedź na pastorowy protest. Namiestnik Rzeszy w Danii dr W. Best zawiadamiał, że w wymienionym czasie i miejscu pochowanych zostało pięciu polskich lotników. Na podstawie zeznań jednego z członków załogi, który katastrofę przeżył, ustalono iż byli to: (w oryginalnej pisowni) Waselewski, Michalski, Barzdo, Kasprzak oraz Pachlewicz. Autor wyraża wątpliwości co do zapewnień Niemca odnośnie „godnej formy” pochowku.

A oto dwa najobszerniejsze opisy losów Polaków. Pierwszy z nich, zanotowany w księdze kościelnej miejscowości Slaglille (środkowa Zelandia), dotyczy niewątpliwie członka załogi, której pogrzeb opisano powyżej.

„W godzinach rannych 17 września 1943 r. kursem na zachód grzmiał nad Bałtykiem czteromotorowy Halifax. Wracał z wyprawy nad Warszawę. Cała załoga składała się z Polaków. Dowódca Tadeusz Mecznik (sic), zmęczony wielogodzinnym prowadzeniem maszyny, oddał stery drugiemu pilotowi E. Kasprzakowi, po czym udał się do „ogona” samolotu na odpoczynek. Słyszał później jakiś hałas i pamiętał wrażenie spadania. Następnym doznaniem było już przebudzenie w białym, przyzwoitym łóżku szpitalnym. Miał złamane prawe ramię i lewą nogę. W sąsiednim łóżku leżał drugi pilot, który zmarł w ciągu następnego dnia. Znajdował się w szpitalu miasteczka Ringsted, gdzie mu opowiedziano, że jego Halifax, trafiony przez nocnego myśliwca, próbował lądowania na północ od Slaglille. Przerażeni mieszkańcy widzieli jak maszyna, po kilkusetmetrowym poślizgu, uderzyła w dom robotnika L. Christensena, wznecając w nim pożar. On sam, jego żona, matka oraz dwoje z siedmiorga dzieci zginęli w płomieniach wraz z czterema lotnikami. Pięcioro dzieci i jeden wnuczek uszły cudem z trafionego domu. Proboszcz ze Slaglille, Svend Jacobsen, uzyskał pozwolenie odwiedzenia rannego Polaka w ringstedzkim szpitalu 2 października. On to, jak wiemy, zajął się uporządkowaniem grobów, a obecnie wdał się w rozmowę z Mecznikiem na temat szczegółów wydarzenia. Jak wynika z zapisu w księdze kościelnej, na pytanie, co lotnicy robili nad Polską Mecznik odpowiedział grzecznie, ale niewątpliwie nieprawdziwie. Wyjaśnił pastorowi, że za zgodą Rosjan polskie załogi, jako obeznane z terenem, bombardowały urządzenia niemieckie w Polsce. Mecznik odbywał prawdopodobnie misję dla brytyjskiego kierownictwa akcji podziemnej S.O.E., z bronią dla krajowego podziemia, ale miał powody, by tego pastorowi nie opowiadać. Omawiali natomiast losy tylnego strzelca, Romana Pochaty. Według pastora, strzelec wyskoczył z samolotu w czasie poślizgu na ziemi i odniósłszy jedynie lekkie obrażenia głowy, natychmiast zbiegł w pole. Na spotkanie wysłała mu żona Nielsa Rasmussena, Polka, i dogadawszy się z lotnikiem po polsku, wysłała go w towarzystwie miejscowego parobka do jego mieszkania. Jednakże po przespaniu tam kilku godzin Pochata dostał się do niewoli”.

Opisując drobiazgowo poszukiwania niemieckie, które doprowadziły do ujęcia Pochaty, autor nie bez satysfakcji dodaje i następujący epizod:

„Nocny myśliwiec, który zestrzelił Halifaxa, chcąc się upewnić co do swej zdobyczy, zaczął krążyć nad miejscem wypadku. Nie było to w owych czasach niczym niezwykłym. Tym razem jednak manewr miał zgubne skutki. Trzej członkowie załogi tak byli zajęci oglądaniem pożaru na ziemi, że nie zauważyli pobliskich masztów wysokiego napięcia. Myśliwiec uderzył w jeden z nich, odbił się i roztrzaskał o ziemię”.

Tymczasem grono osób w Ringsted rozpoczęło planowanie ucieczki dla rannego Mecznika. Lekarz, sklepikarz, kierownik pogotowia ratunkowego i policjant poczynili odpowiednie przygotowania.

„W szpitalu zaplanowano ucieczkę na 7 listopada, stosownie do możliwości Mecznika. Postarano się, by pacjenci w sąsiednich salach poszli spać wcześniej, ułatwiając przedsięwzięcie. Tuż przed godz. 22 M. Petersen i Wiibolt (sklepiarz i kierownik pogotowia, przyp. tłum.) weszli na teren szpitalny, przystawili drabinę do okna i zastukali. Mecznik otworzył natychmiast i przy pomocy swych 'porywaczy' wy dostał się na zewnątrz. Lotnik otrzymał cywilny płaszcz, po czym sam przeszedł 600 metrów dzielących go od stacji pogotowia. Stąd Wiibolt dostawił go natychmiast do Kopenhagi, do swego kolegi nazwiskiem Kisling. W kilka dni później polski pilot zjawił się na północnym wybrzeżu Zelandii”.

Dzięki dobrze zorganizowanej „trasie” następni pomocnicy czekali już z łodzią, dwaj policjanci wnieśli rannego na pokład i wkrótce był on już bezpieczny w neutralnej Szwecji.

A oto historia, która mogłaby posłużyć za scenariusz filmowy. Autor poświęca jej cały podrozdział zatytułowany „Angielski terrier”.

„Dnia 13 marca w małym miasteczku o 10 km na północ od Katowic urodził się chłopiec. Jako trzynastolatek poszedł do szkoły w Poznaniu, a w 1936 r. wstąpił na uniwersytet w Warszawie. Jego nazwisko brzmiało W. P. Wasik (prawdopodobnie Wąsik, przyp. tłum.). Student zmienił jednak niebawem zainteresowania, porzucił uniwersytet i został przyjęty do oficerskiej szkoły lotniczej. W 1939 r. zdał egzaminy i przydzielony został do 2 pułku lotniczego w Krakowie jako oficer techniczny. Gdy po najeździe niemieckim klęska stała się oczywista, Wasik przedostał się przez południową granicę aż na Bałkany. Stamtąd, wraz z wielu innymi, dalej, na Bliski Wschód, by w grudniu 1939 r. dotrzeć do Francji. Tu zgłosił się do wojsk francusko-angielskich, ale po kapitulacji Francji, latem 1940 r., musiał ponownie uchodzić. Przez Gibraltar i Afrykę Północną dotarł do Anglii, gdzie zgłosił się do polskich jednostek RAF'u, Polish Air Force (PAF). Po normalnym przeszkoleniu przydzielony został, w lutym 1942 r., jako pilot do dywizjonu 300. Podczas nalotu na Kolonię 27 kwietnia 1942 dwumotorowy Wellington Wasika został trafiony i załoga musiała skakać na spadochronach nad Belgią. Niemcy schwytali jednego z członków 6-osobowej załogi, a pięciu pozostałych udało się na piechotę przez Francję do Szwajcarii. Do Szwajcarii wprowadzili dotarli, ale zorientowawszy się że chcą ich tam na serio internować, „uciekli” z powrotem do Francji. Niestety, jeden z nich został przy tym ujęty. Wasik przeszedł następnie całą południową Francję, docierając do Hiszpanii, gdzie został natychmiast aresztowany przez frankistowską policję. Udało mu się uciec po przesiedzeniu 6 miesięcy. Podał się mianowicie za lotnika kanadyjskiego, mógł więc być, zgodnie z przepisami Konwencji Genewskiej, wydany Anglii. Po raz drugi dotarł Wasik zdrów do Anglii i został chwilowo instruktorem w Lotnictwie Polskim. Nie potrafił jednak usiedzieć spokojnie, nie biorąc udziału w wojnie, toteż w 1944 r. powrócił do swego dawnego dywizjonu 300. Nocą 30 sierpnia 1944 r., wraz z 600 innymi maszynami RAF'u, Wasik gnał nad Jutlandią swym czteromotorowym Lancasterem. Celem był tym razem Szczecin. Wasik

widział jak poprzedzający go Lancaster zwałił się w płomieniach, gdy nagle sam stał się celem ataku niemieckiego myśliwca. Zanurkował gwałtownie, lecz maszyna została trafiona i eksplodowała. Załoga Wasika, sześciu Polaków, zginęła, lecz jego samego wybuch wyrzucił z rozpadającej się maszyny. Machinalnie otworzył spadochron i opadał kilka kilometrów wśród bezksiężycowej nocy, by ostatecznie wodować w zatoce Louns Bredning (w pñ.-wsch. Jutlandii, przyp. tłum.). Płonące szczątki samolotu utrzymywały się na powierzchni wody; Wasik, po napełnieniu powierzem swej kamizelki ratunkowej, zaczął płynąć na północ. W tym bowiem kierunku dojrzał, opadając, biały wiejski kościół i tam też starał się kierować. We wczesnych godzinach rannych, trochę w stanie szoku, Wasik dobrnął do brzegu w pobliżu wioski Alstrup. Udał się w kierunku kościoła, szukając schronienia w kostnicy. Wyzymając swą przemoczoną odzież, począł lustrować teren.

Specjalista od ucieczek przybył do Danii. Co ma robić? Po włożeniu przemoczonego ubrania rozpoczął przeszukiwanie okolicy kościoła, natrafiając na rodzinę Gravesen-Nielsenów, którzy przyjeśli go posiłkiem. Zapamiętał omlot z sześciu jajek. Nielsenowie nie znali jednak angielskiego, toteż posłano po miejscowego nauczyciela E. Larsena. Ten dogadał się z Wasikiem i obiecał dostarczyć cywilne ubranie oraz nawiązać kontakt z Ruchem Oporu”.

W rezultacie licznych i wielostopniowych kontaktów, poprzez nauczyciela, hotelarza, handlowca i teologa, zorganizowano przerzut gościa w charakterze pacjenta z zapaleniem ślepej kiszki do szpitala w Aalborgu. Opowiada hotelarz Bjerrehus:

„Nazajutrz zadzwoniłem do domu w Bjerze, by dowiedzieć się kto to zazc, komu mam pomagać. Zapytałem przez telefon, czy chodzi o terriera angielskiego czy o niemieckiego 'ostrowłosa' (duńska nazwa odmiany terrierów, przyp. tłum.), by ustalić, czy mam do czynienia z Anglikiem czy z niemieckim dezerters. Dowiedziawszy się że to Anglik, ustaliłem że ma mnie spotkać przed spółdzielnią w wiosce Drastrup, około 15 km na południe od Aalborga”.

Dalsi pomocnicy zorganizowali transport ambulansem, lecz do umówionego miejsca trzeba było dotrzeć na rowerze. Tu miejsce na przytoczenie opinii Duńczyka, a więc rowerzysty od dziecka, o „fantastycznym wyczynie”, jakim było pokonanie przez rannego, i po przebyciu ostatniej nocy wstrząsie, odległości przeszło 60 kilometrów w ciągu jednego dnia. A oto przebieg kolejnego etapu ucieczki, w relacji Bjerrehusa:

„Po przybyciu ambulansu przed spółdzielnię w Drastrup okazało się, że ani Wasika ani towarzyszącego mu Dueholma (wspomniany wyżej nauczyciel-teolog, przyp. tłum.) jeszcze nie ma i niełatwo przyszło wytłumaczenie zgromadzonemu ciekawskim, co to za pacjent z ostrym zapaleniem, który nie czeka na przybywający z wyciem syreny ambulans. Niebawem jednak Wasik wraz z towarzyszem wynurzyli się z pobliskiego rowu, gdzie szukali ukrycia przed jakimiś Niemcami. Wasik wsiadł do pojazdu i odjechał do Aalborga”.

Po przybyciu do celu opatrzone wreszcie dość poważne rany głowy lotnika, po czym uradowani widokiem alianckiego pilota lokalni przywódcy Podziemia urządzili na jego cześć małe przyjęcie. Kolejną kryjówką naszego bohatera była plebania w Aalbek, miejsce wielokrotnie użytkowane w podobnych celach, po czym 8 września przetransportowano go do nadmorskiej miejscowości Saeby jako niedorozwiniętego-niemowę, pacjenta pobliskiego zakładu dla upośledzonych. Po kilku dniach spędzonych u „sympatycznej rodziny” strażnika portowego Poulsena, doszło do pierwszej próby przeprawy do odległej o sto kilometrów Szwecji. Niestety, próby musiano zaniechać niemal w ostatniej chwili ze względu na wzburzone morze. Wyjście z portu w podobną wicherę wydałoby się zbyt podejrzane. Po jeszcze jednym, pełnym napięcia, dniu łagodzone sobie owo napięcie kieliszkiem czegoś mocniejszego; nadszedł wreszcie czas udanej przeprawy. 9 września stanął Wasik na ziemi szwedzkiej, a w dwa tygodnie później był już z powrotem w Anglii, gdzie do końca wojny latał w angielskim *Transport Command*. Po wojnie pozostał w Anglii, gdzie odwiedziło go wielu poznanych w potrzebie Duńczyków.

Pośród rozlicznych dróg, którymi chadzali Polacy w latach Drugiej Wojny, duńskie zasługują na odnotowanie, już choćby ze względu na ich niezwykłość. Zaś pochlebne uwagi obcych niech wzbogacą i tak niemały wieniec sławy zdobiący polskie lotnictwo.

Adam BIELNICKI

Kopenhaga, 24. I. 1981

Józef ŁOBODOWSKI

FAŁSZYWA HISTORIA UKRAINY

Jeśli się nie mylę, duża praca Władysława A. Serczyka jest pierwszą, jaka ukazała się na ten temat*. Rok wcześniej ten sam autor wydał obszerną i dobrze udokumentowaną książkę

* Władysław A. Serczyk, *Historia Ukrainy*. Zakład Narodowy imienia Ossolińskich, 1979, str. 500.

pt. „Hajdamacy”, wydaną przez Wydawnictwo Literackie w Krakowie. Ale ta książka objęła jeden tylko wycinek z dziejów ukraińskich w wieku XVIII. Relacja jest w niej umiarkowana, zgrzytów przypominających że książka wyszła w kraju, podporządkowanym komunistycznej cenzurze, jest stosunkowo niewiele. Zresztą w dużym skrócie weszła ona do jednego z rozdziałów pracy, znacznie bardziej ambitnej.

„Historia Ukrainy” została potraktowana bardzo serio. Autor co chwila powołuje się na dokumenty, cytuje źródła, uwzględnia tematykę nie tylko polityczno-społeczną, również gospodarczą i kulturalną. Książkę zdobią dość liczne ilustracje i mapy. Nie brakuje indeksu nazwisk, oraz indeksu nazw geograficznych i etnicznych. Ale...!

Gdy chodzi o dawne czasy, Serczyk jest na ogół obiektywny i ilość błędów — zresztą stosunkowo niewielkich — zmieści się w pięciu palcach jednej dłoni. Wymieńmy te najważniejsze! Piszze Serczyk, że Tatarzy Batuchana ponieśli pod Legnicą tak poważne straty, że musieli się wycofać. Owszem, straty były poważne, ale nie na tyle, by się wycofali. Dopiero po nierozegranej bitwie pod Ołomuńcem, gdzie starli się z rycerstwem czeskomorawskim, Tatarzy zawrócili na Węgry i połączyli się z t u m e n a m i, które nieco wcześniej pokonały Madziarów nad rzeką Sajó. Razem przystąpili do nieudanego oblężenia Ostrzyhomia, którego obrońcy zniszczyli łód na Dunaju, co spowodowało masakrę wśród oblegających. Utonęło wtedy w zimnych nurtach bodaj parę tysięcy ordyńców.

Niesłusznie została przedstawiona bitwa nad Sołonicą przeciw Kozakom Łobody i Nalewajki. Hetman Żółkiewski, zgodnie z umową, wypuścił na Sicz kilka tysięcy Zaporozców, którzy skapitulowali. Gorzej było z „czernią”, nie objętą warunkami umowy; została zmuszona do powrotu do pańszczyzny. Hruszewskij, który zainicjował nieprzychylną dla Żółkiewskiego wersję, nie znał wszystkich dokumentów i świadectw.

Serczyk podał ilość Kozaków, biorących udział w pierwszej „potrzebie” chocimskiej, na czterdzieści tysięcy (słusznie), ale Polaków zredukował do trzydziestu pięciu tysięcy. Było ich (komput koronny i litewski) znacznie więcej, choć dokładnych danych nie ma. Historyk napisał o ugodzie w Ragnot, gdzie postanowiono rozbiór Rzeczypospolitej, ale nie wspomina co się stało dalej. Nie ma ani słowa o tym, że oddział kozacki, który miał brać udział w walce po stronie Siedmiogrodzian, zbuntował się, co z jednej strony spowodowało ich klęskę pod Magierowem, z drugiej przyspieszyło śmierć Chmielnickiego, który na wiadomość o buncie dostał ataku apoplektycznego.

Największy błąd Serczyk popełnił dając niewłaściwą ocenę Mazepy. Wynika z niej, że hetman ukraiński zdecydował się na wystąpienie przeciw Piotrowi I-mu w sojuszu ze Szwedami dopiero w ostatniej chwili. Postać Mazepy została przez Serczyka

zdecydowanie pomniejszona, najpewniej pod wpływem omówień rosyjskich. Także opis bitwy pod Połtawą wypadł niedostatecznie. Wprawdzie autor przyznaje, że przewaga liczebna Rosjan była niemal dwukrotna, ale zapomniiał stwierdzić, że o klęsce zadecydowała artyleria, której Szwedzi prawie nie mieli.

Wytknięte błędy nie kompromitowałyby pracy Serczyka, gdyby nie ostatnie dwieście stron, omawiające historię Ukrainy od pierwszej rosyjskiej rewolucji w roku 1905 aż po dzisiejszy dzień. A już zwłaszcza poczynając od wybuchu rewolucji październikowej (bolszewickiej) dotychczasowy obiektywizm autora znika bez śladu. Beznamiętny wykład historyczny zamienia się w propagitkę, wyciętą niemal żywcem z przemówień i proklamacji Centralnego Komitetu Partii, czy też Biura Politycznego.

Na przykład omówienie kolektywizacji przedstawia generalny opór chłopów jako akcję mniejszości „kułackiej”. O sprowokowaniu straszliwego głodu, który spowodował śmierć milionów chłopów, o masowych deportacjach Serczyk nic nie chce wiedzieć. To samo dotyczy terroru, który wyniszczył głównie inteligencję ukraińską. Z obszernego rozdziału, omawiającego kulturę narodu w ciągu sześćdziesięciolecia znikli bez śladu kijowscy „neoklasycy”, wyjąwszy Maksyma Rylskiego. Mykoła Zerow, Draj-Chmara, Fytypowycz nie istnieli! Jedyne, co przeciska się od czasu do czasu przez skurczone gardło „historyka”, to nieśmiała informacja, że ten i ów padł ofiarą skrajnego „lewactwa”, ale ofiary zostały wkrótce wynagrodzone „pośmiertną rehabilitacją”. Nie ma ani jednego słowa o bujnie rozwijającej się literaturze halickiej w latach 1921-1939, oraz o pisarzach-emigrantach. Ci w ogóle nigdy nie istnieli.

Serczyk zachłystuje się zachwytem, gdy pisze o sukcesach „budownictwa socjalistycznego” na Ukrainie. Po pewnych „trudnościach”, które towarzyszyły kolektywizacji, wieś ukraińska odżyła, jest zamożna i szczęśliwa, zaś jej produkcja wzrosła znacznie w stosunku do okresu indywidualnego posiadania i uprawiania roli. Odpowiednie liczby są bezkrytycznie podane, zgodnie z oficjalną statystyką sowiecką. O tym, co się działo w pierwszych miesiącach wojny sowiecko-niemieckiej, Serczyk także nie chce nic wiedzieć. UPA zjawia się, jako zjawisko, wywodzące się wyłącznie z nastrojów nacjonalistycznych faszystów i zdrajców.

Symonowi Petlurze poświęcone jest kilka wzmianek, ostatnie z nich mówią o jego śmierci, bez zająknięcia się o tym, kto ją spowodował, dlaczego, w jakich okolicznościach. Tyle tylko, że po śmierci Petlury stało się „to i tamto”, oraz, że śmierć ta zbiegła się prawie dokładnie z zamachem majowym. Równie daremnie szukać choćby krótkiej wzmianki o zgładzeniu Bandery, co zostało dokonane przez agenta sowieckiego w dobrych kilka lat po wojnie.

I tak stale. Celowe przeoczenia, a tam, gdzie przeoczenia nie

można się było dopuścić, przeinaczenia, bądź po prostu ordynarne fałsze. O licznych procesach politycznych po drugiej wojnie światowej Serczyk woli nie pisać, a gdy zabiera głos na niebezpieczne tematy, czyni to w sposób niewyraźny i niechętny. Z tych wzmianek więcej się trzeba domyślać, niż można się dowiedzieć. Na Ukrainie pod władzą sowiecką panuje prawdziwa sielanka: wszyscy są szczęśliwi i zadowoleni, produkcja się rozrasta z każdym rokiem, kultura, a zwłaszcza literatura narodowa, rozwija się bez najmniejszych przeszkód, wszystkie postulaty polityczne i społeczne są załatwiane zgodnie z wolą ludu i z całą dobrą wolą ze strony wadz. Utopia „socjalistyczna” osiągnęła pełną realizację.

Trudno zarzucać Serczykowi, że na ostatnich dwustu stronach opuścił go w sposób skandaliczny obiektywizm uczciwego historyka. Gdyby spróbował uratować choćby część prawdy, jego praca nie zostałaby zatwierdzona do druku. Ale mógł doprowadzić swoją relację do końca wieku XIX, albo do rewolucji bolszewickiej i zrezygnować z dalszego ciągu. Widocznie zamówienie, jakie otrzymał uniemożliwiło mu taką decyzję. Więc w drugiej części książki wyszedł ordynarny fałszyfik. Niestety, przyłożyła do tego rękę historyczna instytucja, w postaci nieposzlakowanego w ciągu przeszło stulecia wydawnictwa, noszącego nazwę „Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich”. Szkoda!

O fałszach Serczyka niech zaświadczy choćby następujący passus: „Warto podkreślić, że zupełnie spaliły na panewce hitlerowskie próby rozbicia zwartości narodów radzieckich. Przeciwnie, wspólna obrona ojczyzny przez najeżdżącą spowodowała jeszcze pełniejsze zrozumienie konieczności ścisłej współpracy i przyjaźni”. Tak! A było akurat odwrotnie. Przykładem zachowanie się Krymskich Tatarów, Kałmuków, Kozaków Dońskich i Kubańskich, Górali Północno-kaukaskich (Czeczeńców i Inguszów)... A na samej Ukrainie kołchoźnicy witali nadchodzące oddziały niemieckie chlebem i solą. Nastroje zmieniły się definitywnie dopiero wtedy, gdy rasistowskie postępowanie władz okupacyjnych i okrutne traktowanie ludności ukazały się w niedwuznaczny sposób. Niemcy nawet nie próbowali korzystać z antysowieckiej postawy narodów i ludów.

Serczyk jest zresztą nieuważny i coraz to sobie zaprzecza. Najpierw wychwala Ukraińców za ich prosowiecki patriotyzm, aż nagle puszcza farbę, pisząc o wydarzeniach na Łemkowszczyźnie i Bojkowszczyźnie w latach 1946-47. Cytuje: „Jednocześnie uznano za konieczne przesiedlenie wszystkich Ukraińców z południowo-wschodniej Polski na ziemie zachodnie. Chodziło o to, by pozbawić UPA oparcia w ludności cywilnej, której przeważająca część zaopatrywała członków band w żywność i udzielała im schronienia, a zarazem stanowiła bazę rekrutacyjną dla nacjonalistów”. A nie inaczej było poprzednio na Wołyniu i Polesiu. Więc jak z tymi prosowieckimi nastrojami?

Znany jest rozpaczliwy stan narodowej kultury ukraińskiej pod sowiecką władzą. „Zwycięstwo rewolucji socjalistycznej na Ukrainie spowodowało nie tylko zasadnicze przemiany ustrojowe — pisze Serczyk — ale wywarło również poważny wpływ na rozwój ukraińskiej kultury. Spadek, jaki odziedziczyła władza radziecka po rządach caratu, nie napawał optymizmem. Miliony analfabetów, brak wyszkolonych kadr pedagogicznych, zrusyfikowane szkolnictwo — to podstawowe trudności, które należało jak najszybciej przezwyciężyć” (str. 437). Po czym na bitych sześciu stronach Serczyk wylicza niesamowite dobrodziejstwa, jakie spłynęły na kulturę ukraińską po zwycięskiej rewolucji. I to są najbrzydsze moralnie stronicze całej książki. Ten podrozdział, zatytułowany „Oświata, nauka i kultura Ukrainy radzieckiej” dyskwalifikuje Serczyka absolutnie.

Nie ma prawa powoływać się na nieświadomość. Z książki wynika, że miał w rękach wydawnictwa emigracyjne, jak np. tom angielskiej encyklopedii o Ukrainie, wydany w kanadyjskim Toronto, czy też książkę Iwana Koszeliwca o „Mykole Skrypnyku”, wydaną w roku 1972 w Monachium. Miał więc dość rzetelnego materiału, by z niego skorzystać. Znowu ten sam argument: gdyby skorzystał, książka nigdy nie wyszłaby drukiem. Naturalnie, ale nie należało pisać świadomych fałszów. Trzeba było ograniczyć się do czasów przedrewolucyjnych.

Właściwie można stwierdzić, że ten potężny tom składa się z dwóch sprzecznych ze sobą części: pierwsze trzysta stron to solidnie opracowana historia Ukrainy, w której, jak napisałem na wstępie, ilość błędów, czy niewłaściwych ocen jest nieznaczna, więc wartości pracy nie podważa; natomiast cała reszta to propagitka, nie mająca nic wspólnego z rzeczywistością. Jak w osławionej piosence: *„Ja drugoj takoj strany nie znaju, gdzie tak wolno dyszyt czetawiek!”*. Tej drugiej części rozwleczonej na całe dwieście stron, lepiej w ogóle nie czytać. Jak słyszałem, dziesięciotysięczny nakład zniknął z półek księgarskich w ciągu paru dni, co by świadczyło o dużym zainteresowaniu polskiego społeczeństwa sprawami naszego wschodniego sąsiada.

Józef ŁOBODOWSKI

OKRUCHY HISTORII

Władysław ŻELEŃSKI

NIEDOSZŁY SOJUSZ POLSKI Z RUMUNIĄ PRZECIW AGRESJI NIEMIEC I WĘGIER W ROKU 1939

Poniżej zamieszczamy nieznaną dotąd francuską korespondencję dyplomatyczną z okresu od 6 marca do 19 września 1939, przeprowadzoną między Paryżem i Bukaresztem oraz Paryżem i Warszawą i ujawnioną świeżo we francuskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych w teczce noszącej tytuł *Dossier Georges Bonnet — Dossier Roumanie-Pologne*.

Depesze, które tu podajemy, prócz podpisu ministra Bonneta, noszą podpisy ambasadora Francji w Bukareszcie Thierry, ambasadora Francji w Warszawie Léon Noël, oraz w jednym wypadku ambasadora Francji w Stambule Massigliego.

Nie licząc pobocznych tematów, poruszonych na początku, poświęcone są staraniom o wyjednanie od Polski zobowiązania, że udzieli Rumunii pomocy wojskowej w razie zaatakowania jej przez Niemcy i Węgry. Przedmiotem tych zabiegów, przyjmujących ze strony Francji charakter ostrej presji, jest rozszerzenie sojuszu polsko-rumuńskiego z roku 1921, przewidzianego wyłącznie na wypadek wojny z ZSSR.

Gorączkowa akcja dyplomatyczna Londynu i Paryża, podjęta bezpośrednio po kapitulacji prezydenta Czechosłowacji Hachy w dn. 15 marca, wynikłej stąd aneksji Czech i gwarancji angielskiej i francuskiej dla Rumunii, jest już dziś dobrze znana i opracowana, ujawniono bowiem wiele dokumentów dyplomatycznych z tej epoki, szczególnie niemieckich i brytyjskich. Doskonałe studium poświęcił jej w nr. 13 *Zeszytów Historycznych* b. radca przedwojennego Ministerstwa Spraw Zagranicznych Jan Weinstein, który przytoczył i wybornie zanalizował całą wydaną do tego czasu (1968) literaturę tego przedmiotu, dorzucając ze swej strony nieznane przedtem dokumenty niemieckie.

Poddał on przy tym druzgocącej krytyce wiarygodność przekazu zawartego we wspomnieniach b. ministra spraw zagranicznych Rumunii Grégoire Gafenco — „Derniers jours de l'Europe, un voyage diplomatique en 1939” — książce ogromnie rozpowszechnionej w wielu wydaniach (pierwsze z roku 1944, następne, rozszerzone, 1945) i tłumaczeniach, i długi czas cytowanej jako poważne źródło.

Do bogatej bibliografii, wskazanej przez niego, warto dorzucić wspomnienia tegoż Georges Bonneta, ministra spraw zagranicznych Francji, „De Washington au Quai d'Orsay”, Constant Bourquin, Genewa 1946, obejmujące okres poprzedzający omawiane wydarzenia, ale gdzie jest już mowa o książce Gafenco. Bonnet bez żadnych zastrzeżeń ocenia książkę Gafenco jako „piękną” i podkreśla, że wiernie oddaje jego, Bonneta, myśli, wyrażone nawet w rozmowach prywatnych (str. 339).

Od tego czasu ukazały się ostatnie tomy polskiego, pełnego wydania „Diariusza i tek Jana Szembeka” (tom IV w r. 1972), które w tym przedmiocie przynoszą pewne uzupełnienia w stosunku do uprzedniego, skróconego wydania francuskiego z roku 1952 (str. 446).

W dokumentach które dziś ogłaszamy szczególnie jasno występuje gra Francji na rzecz Rumunii, jakby w przewidywaniu, że agresja Niemiec skierowana będzie, z pomocą Węgier, przeciw niej a nie przeciw Polsce, a w każdym razie jakby los Rumunii był dla Francji ważniejszy od losu Polski.

Gafenco ze swej strony wyraźnie ociąga się początkowo z zacieśnieniem stosunków z Warszawą, w obawie że sprowokuje tym Niemcy (tym bardziej, że zawarł z nimi właśnie umowę gospodarczą, której sens zataja przed Francją i Anglią), następnie zaś, przyciśnięty przez Francję, podejmuje starania w Warszawie o gwarancje polskie. I choć Beck, oczywiście sceptyczny co do wartości ewentualnej pomocy rumuńskiej i mający na oku własne zagrożenie odmawia zawarcia konwencji i poprzestaje na wyrażeniu zapewnienia, że alians będzie rozszerzony „w danym razie”, tj. w obliczu agresji, Gafenco triumfalnie daje w Paryżu i w Londynie, w czasie swej podróży, zapewnienie, że układ już od Becka uzyskał.

Wobec tej oczywistej rozbieżności sprawozdań dyplomatycznych Bonnet, który przez cały czas odnosi się ze znacznie większym zaufaniem (!) i życzliwością do Gafenki niż do Becka, poleca Noëlowi by się domagał w Warszawie jasnego zobowiązania na rzecz Bukaresztu, które to zobowiązanie ma stanowić istotny element w budowie systemu zbiorowego bezpieczeństwa, sięgającego aż po Turcję i ZSSR.

Z przytoczonych tu dokumentów, bardzo niepełnych (są i luki w odszyfrowaniu pewnych grup), gdyż większość uległa zniszczeniu w czasie wojny, nie wynika, jak brzmiała odpowiedź polskiego ministra dana Noëlowi. Znamy ją jednak pośrednio

z faktu, że do podpisania konwencji nigdy nie doszło, zapewnienia Gafenki były niezgodne z prawdą. Znamy zresztą również bardzo zacieśniającą interpretację, jaką tej sprawie dał sam Beck bezpośrednio po rozmowie z Gafenco wiceministrowi Szembekowi (*Diariusz*, tom IV, str. 564/565), identyczną z tą którą przekazał już wcześniej swemu sekretarzowi Starzeńskiemu (Weinstein, str. 157) i ambasadorowi Wielkiej Brytanii Kennardowi (Weinstein, str. 156). Nie inaczej zresztą przedstawił rzecz sam Gafenco zastępcy Litwinowa Potiemkinowi (Gafenco, *op. cit.*, II wyd., str. 251).

Tak czy tak, mimo wyraźnych luk w zachowanym zestawie dokumentów, stanowisko Polski nie ulega wątpliwości i można tylko podziwiać upór i zaślepienie Bonnetta, próbującego odwieść ją z jej pozycji. Nie kto inny jak sam Noël w swych wspomnieniach z Warszawy („L'Agression allemande contre la Pologne”, Flammarion, Paryż 1946) daje w tym względzie świadectwo całkowicie zgodne z przekazem pozostawionym przez Becka w jego „Dernier Rapport”, cytowanym już przez Weinsteina. Noël pisze, że Beck zapytany przez niego o zgodę na rozszerzenie przymierza z Rumunią rozwiął wszelkie nadzieje w tej sprawie. Odmowę motywował zarówno stosunkami z Węgrami i obawą odepchnięcia ich w stronę Niemiec, jak i brakiem zaufania do armii rumuńskiej — zobowiązanie do udzielenia pomocy na rzecz Rumunii mogłoby Polskę tylko osłabić (str. 351). Odnosnej depeszy w przytoczonym tu zbiorze brak, można jednak przyjąć za oczywiste, że odpowiedź na depeszę nr 204-207 z 4 maja była Bonnetowi przesłana.

Od samego początku zresztą stanowisko Becka było jasne i konsekwentne. Już na miesiąc przed tym zapytaniem Bonnetta, Beck wyraził swe zdanie w decydującej rozmowie z Halifaxem w Londynie w dn. 4 kwietnia. Wynika to z materiałów brytyjskiego archiwum Foreign Office, co notuje Tadeusz Piszczkowski w swym cennym źródłowym opracowaniu „Anglia i Polska 1914-1939 w świetle dokumentów” (Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1975): „Omawiana też była sprawa Rumunii, tutaj Beck przypominał tylko, że Polska posiada z nią specjalne stosunki i zapowiedział, że będzie rozmawiał z rumuńskim ministrem spraw zagranicznych (Gafenco). Nie chciałby natomiast uczynić niczego, co mogłoby popchnąć Węgry w ramiona Niemiec” (str. 421).

Zadziwiające jest, że Bonnet zrozumiał tę wypowiedź Becka, przekazaną poufnie przez Anglików, tylko jako wyraz oczekiwania na „formalną prośbę Rumunii do Polski”, bez żadnych innych zastrzeżeń i ograniczeń — jak to wynika z depeszy Bonnetta do Thierry z 10 kwietnia...

W toku wszczętych za sugestią Francji (i w dokumentach streszczonych) rozmów z Polską, prowadzonych w Warszawie a następnie w czasie podróży Gafenki 16 kwietnia przez Polskę do Berlina (opisanych zgodnie z prawdą przez Weinsteina a

fantazyjnie, wręcz kłamliwie przez Gafenkę) — stanowisko Polski było niezmiennie w ten sam sposób formułowane i nie mogło budzić wątpliwości, bo stale przewijała się identyczna argumentacja, podyktowana interesem obu i wszystkich stron. Doszła do tego jeszcze rozmowa Gafenki z ambasadorem Łukasiewiczem w Paryżu dn. 28 kwietnia w czasie wizyty Gafenki u Bonnetta. Przedstawioną w tej rozmowie pozycję Polski wyraził Łukasiewicz może najpełniej, opatrując ją bardzo wnikliwymi komentarzami w swych zapiskach i wspomnieniach, wydanych pośmiertnie przez Wacława Jędrzejewicza („Diplomat in Paris 1936-1939”, Columbia University Press, New York and London, 1970, str. 203-205).

Z opisu tej rozmowy wynika że Gafenco w pełni podzielał skrupuły i opory Polski, zajmując postawę całkowicie zgodną. Najwidoczniej jednak, jak świadczą dokumenty, wypowiadał się wobec naciskających Francuzów inaczej...

Wspomniana rozmowa Łukasiewicza z Gafenką pozwala nam przygwoździć jeszcze jedną nieprawdę, tym razem Bonnetta. W depeszy do Noëla z 4 maja, Bonnet powołując się na zapewnienie Gafenki co do rzekomo zawartej umowy z Beckiem w przedmiocie zasięgu polsko-rumuńskich zobowiązań sojuszniczych na wypadek agresji Niemiec (o Węgrzech już się nie mówi), dodaje, że „ambasador polski (w Paryżu, czyli Łukasiewicz) ze swej strony wypowiedział się wobec mnie w tym samym duchu”. Przypomnijmy: w kilka dni po znanej rozmowie Łukasiewicza z Gafenką! Twierdzenie to — już w samym założeniu niewiarygodne, bo implikujące wypowiedź ambasadora sprzeczną ze zdaniem jego ministra, czego ten wytrawny dyplomata, zaufany rzecznik Becka nigdy by nie zrobił — trzeba oczywiście uznać za bezspornie niezgodne z prawdą. A ponieważ jakieś nieporozumienie też nie mogło wchodzić w rachubę, gdyż Łukasiewicz był znany z twardego i kategorycznego stawiania sprawy, bez owijania prawdy w bawełnę — co mu u niektórych Francuzów wyrobiło opinię „aroganta” — jedynym wnioskiem jaki się z tej sprzeczności daje wysnuć jest to że Bonnet chciał tym świadomie niezgodnym z prawdą dodatkowym argumentem, obliczonym zresztą na krótką metę, boć łatwo sprawdzalnym, pobudzić Noëla do ostrego nacisku na Becka. Być może wyczuwał, że sam Noël, mimo swej antypatii do Becka, w tym wypadku podziela jego zdanie i rozumie raczej jego wstrzemięźliwość... (Ten osobliwy „fortel” Bonnetta przywodzi na myśl zdanie przypisywane premierowi Daladierowi, że „Bonnet kłamie tak łatwo jak od-dycha”!).

Warto dodać, że w swych wspomnieniach Noël i Bonnet nie szczędzą sobie ukłuc (w najlepszym stylu zawodowym). Noël skarży się, że nie był przez swego ministra dostatecznie informowany, Bonnet broniąc się cytuje depesze, które nie zachowały

się w papierach (i pamięci) Noëla. Czyżby rozporządzali odmiennymi, prywatnymi zestawami dokumentów?

Bonnet niewątpliwie nie może być dumny z całej tej swojej akcji na rzecz rozszerzenia przymierza. Tym zapewne się tłumaczy, iż w swej drugiej książce sprawozdawczej („*De Munich à la guerre*”, Plon, Paryż, 1967) sprawę tę traktuje nader pobieżnie, zaledwie na marginesie gwarancji danych przez Anglię i Francję. Warte przypomnienia jest natomiast stwierdzenie, że w toku rokowań prowadzonych przez Anglię i Francję z ZSSR, Moskwa także upomniała się 19 kwietnia o rozszerzenie przez Polskę i Rumunię ich sojuszu, obliczonego dotąd tylko na wypadek agresji niemieckiej, przez rozciągnięcie go „przeciw wszelkiemu agresorowi” (str. 343). Stalin oczywiście żadnych skrupułów i zastrzeżeń nie miał, zmierzając za kulisami prostą drogą do układu z Hitlerem w dn. 23 sierpnia...

Tak czy owak, misterna a przy tym brutalna gra Paryża nie dała w praktyce żadnych rezultatów. Polska została zaatakowana sama i pomocy od nikogo nie doznała, a Rumunia, niezwiązana w tym wypadku zobowiązaniem sojuszniczym z Polską, pozostała neutralna. Co więcej, nie spełniła niewątpliwych zobowiązań względem Polski po agresji ZSSR, z czego jednak Gafenco tłumaczy się trafnie i przekonywująco ambasadorowi Francji w ostatnim, przytoczonym tu dokumencie. Rumunia wcale nie była do tego przez rząd polski wezwana, a zresztą nie mogłaby tego zrobić, zagrożona bezpośrednio przez Niemcy i Rosję...

Znaczenie przedstawionych tu dokumentów polega przede wszystkim na odsłonięciu charakteru i bystrości występujących w nich aktorów dramatu. W zestawieniu z Bonnetem i Gafenco strona polska nie wychodzi z tej próby najlepiej...

Władysław ŻELEŃSKI

Dla wierności przekładu z dokumentów i opracowań, nazwisko rumuńskiego ministra spraw zagranicznych przytoczone tu jest w brzmieniu francuskim: Gafenco, a nie oryginalnym rumuńskim: Gafencu.

SPIS RZECZY NA OKŁADCE TECZKI:

RUMUNIA — POLSKA

(6 marca - 19 września 1939)

- Wysiłki sprzymierzonych zmierzające do ustalenia w ramach ogólnego systemu bezpieczeństwa dla Europy Wschodniej (traktaty z Polską, za-deklarowanie gwarancji dla Rumunii, trójęzyczny pakt z Moskwą)

zasad wzajemnej pomocy między Rumunią i Polską, związanymi już układem, ale tylko przeciwko ZSSR.

- Wizyta Gafenco w Warszawie (6 marca).
- P. Beck nadaje układowi zawężoną interpretację i żąda, aby Rumunia poczyniła pierwsze kroki. Usilne *démarches* rządu francuskiego i angielskiego u rządu rumuńskiego, równoczesne z udzieleniem gwarancji pomocy Rumunii (15 kwietnia). Zastrzeżenia p. Becka, spowodowane jak się zdaje obawą, że przymierze ważne *erga omnes* wciągnie Polskę w wojnę przeciwko Węgrom. Rozbieżności między informacjami otrzymanymi z Bukaresztu i z Warszawy. Wątpliwości co do zasięgu przymierza (maj).
- Rumuńskie przymierze nie gra przeciwko Niemcom 1 września.
- 18 września próby rządu rumuńskiego, aby wyjaśnić, dlaczego przymierze zawiodło także wobec ZSSR. Fakty dostarczają zresztą tegoż dnia wystarczającego wyjaśnienia (tel. z Bukaresztu 19 września). Wobec napływających do Rumunii Polaków stanowisko neutralne (internowanie etc.).

Dossiers Georges Bonnet

Dossier Rumunia - Polska, 6 marca - 19 września 1939

Nr 303-306

Noël do Bonneta, Warszawa, 6 marca 1939

Wczoraj wieczorem ponownie spotkałem p. Gafenco w ambasadzie rumuńskiej.

Poinformował mnie o niektórych szczegółach swoich rozmów z p. Beckiem, z których był bardzo zadowolony.

1) Ruś Podkarpacka

Zgodnie z tym co mi zapowiedział, p. Gafenco powiadomił p. Becka, że Rumunia nie będzie zgłaszać zasadniczych obiekcji w sprawie wspólnej granicy między Polską i Węgrami. Mając na względzie uspokojenie nastrojów w tej części Europy, Rumunia gotowa byłaby ponownie rozpatrzyć tę kwestię w wypadku gdyby Niemcy zmieniły swoje stanowisko i gdyby okazało się, że Węgry zadowolają się przyznaniem im Rusi Podkarpackiej i rezygnują z innych rewindykacji.

P. Gafenco uzyskał od p. Becka zapewnienie, że Polska nie ucieknie się do załatwiania tej sprawy siłą.

2) Stosunki polsko-rumuńskie

Obaj ministrowie doszli do porozumienia w kwestii kanału mającego połączyć Wisłę z Dunajem. Wydaje się, że rozmowy

na ten temat zaszły dość daleko. Ambasador Rumunii powiedział mi, że obydwie strony bardzo rychło przystąpią do robót. Nie udzielono mi żadnych informacji co do źródeł z jakich mają być finansowane te wielkie roboty. Skądinąd rozważano również budowę autostrady mającej ułatwić połączenie między tymi dwoma krajami.

3) Podróż hr. Ciano

P. Beck zapewnił swego rumuńskiego kolegę, że hr. Ciano wydał mu się uspokojony bardzo „pacyfistycznie” i że powiedział mu, że spór francusko-włoski z pewnością da się załatwić polubownie.

4) Stosunki polsko-francuskie

P. Beck powtórzył p. Gafenco to co powiedział i mnie i paru moim kolegom: „Kwestie w których się z Francją nie zgadzaliśmy zniknęły z międzynarodowego porządku dnia; nic zatem nie stoi na przeszkodzie, aby współpraca między naszymi krajami rozwijała się teraz w lepszych warunkach”. Wspomniałem p. Gafenco, który być może przed wyjazdem z Warszawy będzie miał okazję zwrócić na to uwagę p. Beckowi, że rząd polski, pozwalając aby się rozwijała — żeby nie użyć mocniejszego słowa — propaganda na rzecz ustąpienia Polsce kolonii może na nowo utrudnić pełną zaufania współpracę, jakiej ustalenia między Paryżem i Warszawą tak bardzo pragniemy.

Nr 308

Noël do Bonneta, Warszawa, 6 marca 1939

Przyjęcie zgotowane p. Gafenco przez rząd i opinię znacznie odbiega od tego, jakiego doznali tu p. von Ribbentrop i hr. Ciano.

Minister spraw zagranicznych Rumunii, mający w Warszawie licznych osobistych przyjaciół, umiał z dużym taktem i inteligencją — przy wydatnej pomocy swej małżonki — pozyskać sobie ogólną sympatię.

Nr 192-198

Thierry do Bonneta, Bukareszt, 8 marca 1939

Zależało mi na zobaczeniu p. Gafenco dziś wieczór, zaraz po jego powrocie do Bukaresztu. Przekazał mi trochę ogólnych

wrażen ze swego pobytu w Warszawie. Zapewniwszy mnie, że niezmiernie się cieszy z poznania p. Leona Noëla, z którym prowadził długie rozmowy, minister spraw zagranicznych oświadczył, że jeśli chodzi o wzmocnienie sojuszu polsko-rumuńskiego wrócił z podróży w nastroju zdecydowanie optymistycznym. „Doznałem serdecznego przyjęcia — powiedział — nie tylko ze strony pana Becka, z którym mnie wiąże dawna przyjaźń, ale także ze strony opozycji, która liczyła na moją obecność aby skłonić ministra spraw zagranicznych Polski do zmiany stanowiska wobec Niemiec”.

Wobec tego, że w rzeczywistości taktyka polega na tym, że wszystko co dotyczy Gdańska i mniejszości opiera się na słownych obietnicach przywódców Rzeszy, polityka Polski będzie w tym kraju coraz ostrzej atakowana i p. Gafenco wyznał mi nawet, ściśle prywatnie, że jego zdaniem p. Beck jako minister nie ma przed sobą długiej przyszłości. Polacy w istocie pragną, żeby wyjaśnienie ich stosunków z Francją, to znaczy wzmocnienie sojuszu, pozwoliło im na wsparcie gwarancji uzyskanych w Berlinie gwarancjami Zachodu.

Składiną p. Gafenco znalazł swego kolegę zmęczonym i wyczerpanym siedmioma latami władzy, nie uważa jednak, aby leżało w naszym interesie przyczynianie się do jego upadku czy choćby dawanie do zrozumienia, że chcielibyśmy się do tego przyczynić. Opublikowanie w opozycyjnej prasie polskiej artykułów przypisujących jego podróży wpływ na dalszy rozwój polityki rządu warszawskiego minister uważa za niezręczność. P. Gafenco z naciskiem zwrócił moją uwagę na potrzebę jak największej rezerwy prasy francuskiej w tej materii, iżby nie spowodować raptownej zmiany nastrojów na korzyść proniemieckiej polityki p. Becka.

Jeśli natomiast pozwolimy rozwinąć się tendencji jaka się w tym kraju zarysowuje — dodał minister — z pewnością będziemy świadkami jasno wyrażonego pragnienia zbliżenia z Paryżem i Londynem. Polacy pozostają wierni wskazówkom Marszałka Piłsudskiego, który pragnął przede wszystkim zachować niepodległość swego kraju wobec jego dwóch potężnych sąsiadów; ta polityka skłoniła Polskę w 1934 roku do zbliżenia z Niemcami, wkrótce zaś zmusi Polskę roku 1939 do szukania oparcia na Zachodzie.

P. Gafenco starał się zatem przypisywać mniejsze znaczenie konkretnym problemom jakie rozważał z p. Beckiem, a większe przejawom uczuć z jakimi go przywitano w Polsce, zniemiennym

choćby przez kontrast z chłodem jaki panował w Warszawie podczas wizyty hr. Ciano. Tym niemniej poinformował mnie o pewnych szczegółach swych rozmów.

1° Kwestia żydowska na planie międzynarodowym: w Londynie p. Beck będzie uprawniony do przemawiania w imieniu obu państw, z tym jednak, że rozmowy jego winny się ściśle ograniczyć do tego przedmiotu i nie zbaczać na sprawę kolonii.

2° Punkt widzenia ekonomiczny: należy dołożyć usilnych starań dla ożywienia wymiany handlowej między obu krajami. Rumunia zgodzi się na to tym chętniej, że pragnie rozwinąć swą rolę kraju tranzytowego między północą i południem Europy Wschodniej. Opracowane zostaną projekty ulepszenia połączeń kolejowych i stworzenia kanału łączącego Wisłę z Prutem, który to kanał miałby przyciągnąć transport rzeczny płynący ku Morzu Czarnemu na terytorium Rumunii i z góry stworzyć przeciwwagę dla sowieckiego projektu kanału Wisła-Dniepr. I wreszcie podjęto ponoć zobowiązania dotyczące mostu rumuńsko-bułgarskiego na Dunaju, mającego pozwolić na przewóz towarów kolonialnych transportem kolejowym w kierunku Morza Egejskiego. W sumie sytuacja obu krajów jest w obecnej chwili pod wieloma względami analogiczna. Rząd warszawski powinien się „zdystansować” wobec Niemiec, rząd bukareszteński winien stonować nieco swoje życziwe stanowisko wobec mocarstw zachodnich. Ta podwójna konieczność prowadzi ich do wspólnego punktu „równowagi”, który nazywają swoją „polityką niezawisłości”, chociaż nie mogą jeszcze nawet marzyć o jej prowadzeniu bez oparcia z zewnątrz. Stąd wypływa ich potrzeba wzajemnego wspierania się poprzez wzmacnianie sojuszu i ich skłonność do kierowania wzroku na Zachód, z konieczną jednak ostrożnością.

Nr 396-397

Noël do Bonneta, Warszawa, 18 marca 1939

W wyniku *démarche* przedstawiciela Rumunii u Lorda Halifaxa, przedstawionej wczoraj wieczór, Sir Howardowi Kennardowi poruczono, by spytał p. Becka, jakie stanowisko zajmie Polska jeśli potwierdzą się pogłoski według których Rzesza ma zaatakować Rumunię.

Nie został [on] jeszcze przyjęty przez ministra spraw zagranicznych, ale wczoraj podczas rozmowy dotyczącej podróży Mi-

nistra do Londynu zapytał o rozpiętość zobowiązań wiążących Polskę z Rumunią. P. Beck odpowiedział mu, że wiążące oba kraje traktaty polityczne i wojskowe przewidują wyłącznie wypadek agresji sowieckiej, co jest prawdą w przypadku tych drugich, ale nie jeśli idzie o traktat polityczny.

Mój rumuński kolega ze swej strony stwierdził, że od pewnego czasu p. Beck z naciskiem mu przypomina, że Polska będzie się czuła zobowiązana do pomocy Rumunii tylko w razie gdyby została ona zaatakowana przez ZSSR.

P. Franassovici jest zaniepokojony, p. Gafenco zdaje się po dzielać jego obawy.

Nr 228

Bonnet do Thierry, Paryż, 10 kwietnia 1939

Do wyłącznej wiadomości ambasadora francuskiego w Bukareszcie.
Tajne.

Z rozmów jakie Lord Halifax odbył z p. Beckiem w Londynie wynika, że rząd polski nie zgodzi się na udzielenie gwarancji Rumunii jeśli rząd Rumunii nie wystosuje formalnej o nie prośby i nie przeprowadzi z Polską bezpośrednich rokowań.

Powinien Pan zwrócić rządowi rumuńskiemu uwagę na pilność takich rokowań. Niebezpieczeństwo rychłej ogólnej zawieruchy jest oczywiste. Układ między Polską i Rumunią zdaje się sprawą podstawowej wagi.

Nr 431-435

Thierry do Bonneta, Bukareszt, 14 kwietnia 1939

(Do użytku wewnętrznego)

Natychmiast po otrzymaniu dziś popołudniu telefonicznych instrukcji Waszej Ekscelencji odnośnie wzajemnych gwarancji polsko-rumuńskich zainterweniowałem ponownie z całym naciskiem u ministra spraw zagranicznych.

Zwróciłem mu uwagę, że wobec wagi propozycji francusko-angielskiej, której walory Rumunia powinna doceniać bardziej niż jakiegokolwiek inne państwo, wahania rządu bukareszteńskiego co do konsultowania się z Warszawą zrobią w stolicach zachodnich

nie tylko jak najgorsze wrażenie, ale również utrudnią poważnie to skromne poparcie, do jakiego gotowe są Paryż i Londyn.

Raz jeszcze zwróciłem p. Gafenco uwagę, że o ile nieufność Rumunii wobec sprzymierzonej z nią Polski i obawa, że nie uzyskując na czas spodziewanego poparcia stanie bez osłony wobec Niemiec mogły stanowić wystarczające wytłumaczenie kiedy niebezpieczeństwo było mniej bezpośrednie, o tyle sprawa przedstawia się inaczej z chwilą gdy szybkość decyzji staje się podstawowym warunkiem sukcesu. Dalsza gra na zwłokę byłaby równoznaczna z kręceniem się w błędnym kole, z którego wszak trzeba jak najszybciej wyjść, jeśli plan obmyślony przez rządy Francji i Anglii nie ma spełznąć na niczym.

P. Gafenco uznał wagę naszych argumentów i odstępując od części swoich zastrzeżeń zdecydował w końcu przystąpić do negocjacji z p. Beckiem; dziś wieczór ambasador Rumunii spotka się z ministrem spraw zagranicznych Polski, powołując się na oświadczenie rządu polskiego w Pałacu Sturza w sprawie środków zastosowanych przez Rumunię (p. mój telegram Nr 425-428).

P. Franassovici polecono powiedzieć, że w obliczu stanowiska Węgier rząd Jego Królewskiej Mości czuje się zmuszony przypomnieć Warszawie art. 1 traktatu z 1921 roku, stanowiący że „Rumunia i Polska zobowiązują się do wzajemnego poszanowania i obrony ich integralności terytorialnej i ich obecnej niezależności politycznej przed wszelką agresją zewnętrzną”.

Ponieważ art. 2 par. 4 tegoż traktatu przewiduje, że „sposoby wprowadzenia w życie tych zobowiązań będą przedmiotem technicznych postanowień”, rząd bukareszteński podkreśla, że nie istnieją żadne postanowienia tego rodzaju odnoszące się do zagrożonej obecnie zachodniej granicy Rumunii i proponuje swemu sprzymierzeńcowi rozmowy międzysztabowe dla rozwiązania tej kwestii.

Nie omieszkalem zaznaczyć, że taka procedura jest o tyle niekorzystna, że ogranicza i rozbija na części problem, którego rozwiązanie będzie w pełni zadowalające tylko jeśli przybierze formę ogólną i wolną od wszelkich zbędnych komplikacji.

P. Gafenco odparł, że chodzi przede wszystkim o „wszczęcie” negocjacji, aby zmusić Polskę do zajęcia jednoznacznego stanowiska. Rumuńska *démarche* stanowi zatem, nie wykluczając możliwości ogólnie pojętej pomocy, pierwszy krok w kierunku takiej formuły. Minister spraw zagranicznych dorzucił, że wybrał tę procedurę, aby osiągnąć najpierw zgodę co do punktów, w

których obydwie armie mogą udzielić sobie nawzajem skutecznej pomocy.

Minister spraw zagranicznych spodziewa się zresztą, że w odpowiedzi na rumuńską prośbę o poparcie przeciwko Węgrom Polska wysunie podobną prośbę o pomoc przeciw Rzeszy Niemieckiej, do której to prośby rząd rumuński nie omieszką się przychylić. W takim przypadku podstawy układu, którego życzy sobie Paryż i Londyn, byłyby już stworzone.

Nr 606-608

(Do użytku wewnętrznego)

Noël do Bonneta, Warszawa, 15 kwietnia 1939

Wczorajem spotkałem się ponownie z p. Beckiem, aby zgodnie z Pana wskazówkami zawartymi w telegramach 323 i 327 raz jeszcze zwrócić mu uwagę na pilną konieczność dodatkowego układu polsko-rumuńskiego.

Minister udzielił mi następujących wyjaśnień: po przyjeździe z Bukaresztu ambasador Rumunii przedłożył mu minionej nocy pierwszą propozycję, co do której nie podał mi zresztą żadnych bliższych szczegółów, ale która, jak mi powiedział, budzi pewne zastrzeżenia rządu polskiego i Marszałka. Pp. Beck i Franassovici postanowili zgodnie, że Rumunia i Polska bezzwłocznie zaproponują inną formułę.

Ponadto minister spraw zagranicznych zwierzył mi, prosząc o zachowanie tajemnicy co do tego punktu, że chciałby porozmawiać z p. Gafenco gdy ten będzie w drodze do Berlina przejeżdżać pociągiem przez terytorium Polski.

Odniosłem jednak wrażenie, że wbrew deklarowanej dobrej woli w stosunku do Rumunii i zapewnieniom, że pragnie doprowadzić sprawę do pozytywnego rezultatu, p. Beck w gruncie rzeczy niezbyt sobie życzy, aby *jego kraj zobowiązał się z góry do poparcia Rumunii* przeciw węgierskiej agresji.

P. Beck wyraził zastrzeżenia natury taktycznej — powiedział to również memu angielskiemu koledze, który w podobnym co ja duchu mówił mu o francusko-brytyjskim oświadczeniu dającym gwarancje dla Rumunii.

Oświadczeniu temu zarzuca, że ma charakter czysto platoniczny (gdyż niezbyt wierzy w opór Rumunii) i obawia się, że może ono spowodować tylko brutalną reakcję Niemiec; argumentuje, powołując się na świeżo otrzymaną lecz jeszcze niepotwierdzoną

informację z Berlina, jakoby rząd niemiecki przygotowywał się do ogłoszenia przymierza wojskowego z Węgrami.

Zwróciłem mu m.in. uwagę, że jeśli to odpowiadało prawdzie, potwierdziłoby tylko opinię, jaką dość dawno już wyrobiliśmy sobie o polityce węgierskiej, i że udzielenie Rumunii bezwzględnej pomocy wydaje się tym niezbędniesze.

Nr 615-616

(Do użytku wewnętrznego. Bardzo poufne)

Noël do Bonneta, Warszawa, 15 kwietnia 1939

Oto jaką wersję rozmów polsko-rumuńskich podaje mi pan Franassovici: rząd rumuński proponuje p. Beckowi, aby mimo ograniczonego charakteru wojskowej konwencji polsko-rumuńskiej, przewidującej wyłącznie wypadek agresji sowieckiej, z uwagi na bardzo ogólnikowe sformułowania umowy politycznej łączącej Polskę i Rumunię oba te kraje uważały się i bez nowego układu za zobowiązane do udzielenia sobie pomocy w razie napaści niemieckiej.

P. Beck odparł, że w chwili kiedy podpisywano umowę polityczną układające się strony nie brały pod uwagę hipotezy agresji niemieckiej, że obecna interpretacja rumuńska stanowi nowy element wymagający zastanowienia, że inny tryb postępowania wydaje mu się w każdym razie bardziej wskazany, że gotów jest zastanowić się nad inną formułą i jak najchętniej podejmie rozmowy z p. Gafenco.

P. Gafenco przyjął tę sugestię: obaj ministrowie wspólnie opracują [...] i układ.

Mój rumuński kolega odniósł wrażenie, że p. Beck jest w pełni świadom, że w każdym razie od czasu najnowszych układów i deklaracji Paryża i Londynu Polska w razie napaści Niemiec na Rumunię musiałaby jej pomóc, ale że minister spraw zagranicznych wolałby nie wiązać się z góry i uniknąć na razie nowych zobowiązań, mogących zirytować kanclerza Hitlera.

Nr 624-625

(Do użytku wewnętrznego)

Noël do Bonneta, Warszawa, 18 kwietnia 1939

Zgodnie z informacjami pochodzącymi z ambasady rumuń-

skiej p. Beck we wczorajszej rozmowie z p. Gafenco powtórzył tylko to, co powiedział był już p. Franassovici (mój telegram 615-616), tj. że wzajemne [polityczne] zobowiązania polsko-rumuńskie mają charakter całkowicie ogólny, że rząd polski gotów jest wziąć pod uwagę zastosowanie ich w praktyce także i w innych wypadkach aniżeli agresja sowiecka, że jednak dla tego celu niezbędne są pertraktacje.

P. Beck zadeklarował gotowość do pertraktacji na tych zasadach.

Jeśli tak jest rzeczywiście, staje się zrozumiałe, że — jak informuje strona rumuńska — wczorajsze rozmowy nie doprowadziły do żadnych pozytywnych wyników. Niektóre uwagi towarzyszące informacjom które niniejszym przekazuję Waszej Ekscelencji sprawiają wrażenie, że p. Gafenco nie nalegał zbyt na natychmiastowe rozpoczęcie rozmów, do których p. Beck jest w zasadzie gotów.

Nr 494-495-496

(Do użytku wewnętrznego)

Thierry do Bonneta, Bukareszt, 27 kwietnia 1939

Korzystając z okazji jaką mi dała rozmowa dziś wieczór z premierem, podjąłem kwestię układu rumuńsko-polskiego w duchu Pańskich telegramów Nr 280-281.

P. Calinesco wyraża pełne zadowolenie z zasadniczej umowy, na jaką zgodziły się oba rządy a która jego zdaniem stanowi najlepsze rozwiązanie tego problemu. Upatruje w niej podwójną korzyść, tę mianowicie, że nie podważa ona traktatów z 1921 i [1931] roku, i że pozwala uniknąć wszelkiego rozgłosu wokół zawartego przez pp. Gafenco i Becka układu.

Nie omieszczałem jednak ponownie podkreślić, że Rumunia i Polska winny być jak najżywiej zainteresowane w bezzwłocznym zawarciu umowy wykonawczej uwzględniającej ewentualność agresji niemieckiej, umowy analogicznej do tej jaka istnieje na wypadek agresji sowieckiej. Jednak premier uważa, że taki układ nie jest w tej chwili ani niezbędny ani [wskazany]. Ponieważ kontakty między sztabami obu krajów są bliskie, można by go w razie konieczności zawrzeć — jak powiedział — w ciągu 24 godzin.

Zaniepokojony przeciekami do prasy o toczących się rokowa-

niach między Polską i Rumunią, przeciekami które wywołały pewną irytację u przywódców Rzeszy, p. Calinesco obawia się co więcej, że Niemcy, które wcześniej czy później dowiedzą się o istnieniu nowego tekstu, wykorzystają go jako argument dla uzasadnienia groźnej reakcji, tak że wzmocnienie przymierza między obu krajami paradoksalnie może sprowokować wojnę, której usiłuje zapobiec.

Nr 703-704

(Do użytku wewnętrznego)

Noël do Bonneta, Warszawa, 2 maja 1939

Skorzystałem z rozmowy z p. Beckiem aby poruszyć kwestie o których mowa w Pańskim telegramie Nr 373-375.

Minister spraw zagranicznych w rozmowie ze mną nie potwierdził tego, co zostało powiedziane Waszej Ekscelencji. Przeciwnie, powtórzył mi niemal dosłownie wersję jaką przekazałem w telegramach Nr 624-625 oraz po rozmowach z jego głównymi współpracownikami i p. Franassovici.

Obawiam się więc, że wnioski jakie p. Gafenco wysnuł z rozmowy idą dalej niż to, co chciał mu dać do zrozumienia p. Beck, [który] powiedział tylko, że w razie konieczności obydwaj zaprzyjaźnione kraje nie omieszkają natychmiast uzgodnić, co należy robić.

Zbyteczne dodawać, że p. Beck nadal nie zamierza podpisać nowej umowy wykonawczej.

Nr 404-407

Bonnet do Noëla, Paryż, 4 maja 1939

Zobowiązania polsko-rumuńskie.

Nawiązuję do Pańskiego telegramu Nr 703.

To co Panu p. Beck powiedział o zasięgu polsko-rumuńskich zobowiązań na wypadek niemieckiej agresji przeciw jednemu z tych krajów nie pokrywa się bynajmniej z dokładnymi informacjami jakich p. Gafenco udzielił w Londynie i w Paryżu. Rumuński minister spraw zagranicznych potwierdził mi bowiem w sposób nie pozostawiający wątpliwości oświadczenia, jakie w tej

kwestii poczynił mi p. Tararesco (mój telegram Nr 373 i 375) i które ściśle poufnie uzyskał również p. Corbin od swego rumuńskiego kolegi. P. Gafenco sprecyzował, że o umowie jaką w tej sprawie zawarł z p. Beckiem informuje mnie oficjalnie, podobnie jak to zrobił w Londynie, i że zastrzega sobie prawo do przekazywania poufnie tej samej informacji Ankarze.

Ambasador polski ze swej strony wypowiedział się wobec mnie w tym samym duchu.

Niedomówienia p. Becka nadają treści i zasięgowi tego układu charakter dwuznaczny, który należy koniecznie wyjaśnić. Polsko-rumuńskie zobowiązanie do wzajemnej pomocy w razie agresji niemieckiej stanowi zasadniczy element systemu bezpieczeństwa, do którego stworzenia zmierzają Francja i Wielka Brytania. Pewne szczególne względy mogą wymagać od Polski i Rumunii nadania temu układowi charakteru tajnego. Jest jednak ważne, aby ani Francja, ani Anglia, ani w dalszym planie Turcja i ZSSR nie miały wątpliwości co do istnienia i wagi zobowiązań, na których będzie musiał się oprzeć ich dyplomatyczny i wojskowy system bezpieczeństwa.

Będę Panu zobowiązany, jeśli nie zaniedba Pan niczego aby skłonić p. Becka do jasnego sprecyzowania swej myśli i stanowiska w tej kwestii. Z pewnością uzna Pan za wskazane, aby w jego obecności nie poddawać w wątpliwość wartości zobowiązań, o których nas oficjalnie poinformował p. Gafenco, i powiadomić go tylko, że pragnęlibyśmy być bardziej szczegółowo poinformowani, jaki jest jego zdaniem zasięg tych zobowiązań. Już warunki na jakich Wielka Brytania i Francja zobowiązały się udzielić Polsce pomocy uprawniają je do nadziei, że rząd polski zrobił ze swej strony wszystko co było w jego mocy aby układom uzupełniającym jakie zawarł nadać pożądaną jasność i skuteczność.

(Nota wewnętrzna bez numeru)

Paryż, 5 maja 1939.

Rumunia - Polska. — P. Gafenco potwierdził, nalegając na *ściśle tajny* charakter tej informacji, że w rozmowach z p. Beckiem ustalił z nim że ogólnopolityczny układ, którego ostrze skierowane było dotychczas tylko przeciwko ZSSR, traktowany będzie na mocy samego układu technicznego jako skierowany *erga omnes*.

Rumuński minister zastrzega sobie prawo do poufnego informowania zainteresowanych rządów o istnieniu między nim i p. Beckiem powyższej umowy.

Nr 1281-1282

Massigli do Bonneta, Stambuł, 15 sierpnia 1939

Nawiązuję do mego telegramu Nr 1250-1252.

Na pytanie p. Saraçoglu, jakie stanowisko zajmie Polska w razie ataku niemieckiego na Rumunię, p. Sokolnicki odparł tylko, że nie ma instrukcji w tej kwestii; oświadczył jednak „we własnym imieniu i jako ambasador Polski”, że uważa za niemożliwe, aby kraj jego pozostał bierny w obliczu takiej ewentualności.

Spytałem mego kolegę, czy od tego czasu otrzymał już z Warszawy jakieś dodatkowe instrukcje. Odpowiedź była negatywna; dodał, w najlepszym „beckowskim” stylu, że rząd polski, uważając stan alarmu panujący w Bukareszcie za przesadny, uznał z pewnością za zbędne potwierdzanie lub dementowanie oświadczeń swego ambasadora.

Nr 1000-1003

Thierry do Bonneta, Bukareszt, 19 września 1939

Minister spraw zagranicznych uważał za swój obowiązek wyłożyć mi racje dla których układ polsko-rumuński nie wszedł wczoraj w życie po pogwałceniu granicy polskiej przez Rosjan [...]. Powoływał się na to, że rząd polski nie [przedstawił] żadnej prośby w tym duchu i że w obecnej chwili znajduje się on w całości, z Prezydentem Rzeczypospolitej i Marszałkiem Rydzem-Śmigłym włącznie, na terytorium Rumunii.

Exodus ten stanowi zresztą problem, który bardzo niepokoi rząd Jego Królewskiej Mości. Minister Rzeszy powiadomił mianowicie p. Gafenco, [że] uważa, że neutralność nakłada na Rumunię nie tylko obowiązek internowania wojskowych, ale też obowiązek przeciwstawienia się przejazdowi pp. Mościckiego, Becka i ich kolegów przez terytorium rumuńskie do kraju sprzymierzonego, gdzie odtworzy[liby] rząd.

Wobec tego rząd rumuński zamierza na razie „internować”

— z zachowaniem wszelkich należnych mu względów — Marszałka Rydza-Śmigłego w zamku w Craiowej. Nie podjął natomiast jeszcze decyzji co do drugiego [punktu], w sprawie którego dyskutuje z p. Beckiem. P. Gafenco uważa, że ministrowie polscy powinni oświadczyć że przestali sprawować swe funkcje i że zamierzają wycofać [się] do neutralnego kraju; pod tymi dwoma warunkami pozwoli im przejechać. Tak przynajmniej powiedział wczoraj wieczorem ambasadorowi Polski. Tymczasem oddano do dyspozycji Prezydenta Rzeczypospolitej zamek w Biczaz.

W rzeczywistości przy[wódcy] państwa wydają się absolutnie bezradni wobec sytuacji jaka się wytworzyła na ich północnej granicy. Minister spraw zagranicznych zgodził się, że presja niemiecka bezustannie [rośnie] i na moje pytanie, jakim argumentem Rzesza się posługuje, odparł: „20 dywizji na granicy, z tego osiem zmotoryzowanych, i na dodatek Rosjanie”. Ponieważ mojemu brytyjskiemu koledze polecono wyrazić nadzieję, że rząd rumuński udzieli rządowi polskiemu wszelkich udogodnień umożliwiających wyjazd, wdzięczny będę Waszej Ekscelencji za wskazanie mi, czy mam oficjalnie nalegać na to samo.

Tadeusz WYRWA

POLSKA IDEA FEDERACJI PAŃSTW EUROPY ŚRODKOWO-WSCHODNIEJ W OCZACH „WOLNEJ FRANCJI” GENERAŁA DE GAULLE’A

W ubóstwie myśli politycznej, jakie charakteryzowało działalność rządu polskiego w okresie drugiej wojny światowej, koncepcja federacji i poczynione w tym kierunku kroki należą chyba do najważniejszych wydarzeń jeśli chodzi o projektowany układ stosunków międzynarodowych w Europie środkowo-wschodniej. Była to koncepcja polityki gen. Sikorskiego, który przewidywał dwa możliwe rozwiązania. Pierwsze, polegające na utworzeniu związku państw między Bałtykiem i Morzem Czar-

nym, i drugie — zorganizowanie dwu federacji: jednej obejmującej Czechosłowację, Litwę, Polskę, Rumunię i Węgry, i drugiej, która połączyłaby Albanię, Bułgarię, Grecję, Jugosławię i ewentualnie Turcję. Głównym celem federacji było zabezpieczenie się na przyszłość przed agresją Niemiec i Rosji, punktem wyjścia natomiast miał być związek polsko-czechosłowacki. Wstępną rozmowę na ten temat przeprowadził amb. Edward Raczyński z prezydentem Edwardem Beneszem w Londynie w grudniu 1939 r.¹ Rokowania polsko-czeskie zaczęły się od obiadu, na którym amb. Raczyński i W. W. Kułski spotkali się 18 września 1940 roku z Jurajem Slavikiem i Hubertem Ripką, zaufanymi ludźmi Benesza².

Deklaracja podpisana przez przedstawicieli rządów Polski i Czechosłowacji (E. Raczyńskiego - H. Ripkę) została ogłoszona 11 listopada, w dniu święta odrodzenia Polski. Oba rządy wyraziły gotowość wejścia ze sobą, po zakończeniu wojny, „w ściślejszy związek polityczny i gospodarczy, który stałby się podstawą nowego porządku rzeczy w Europie środkowej oraz gwarancją jego trwałości”. W wyniku dalszych rokowań ogłoszono 24 stycznia 1942 roku oświadczenie, będące pewnego rodzaju paktem, którego pierwszy punkt stwierdzał, że „oba rządy pragną, aby konfederacja polsko-czechosłowacka objęła także inne państwa tego obszaru europejskiego, z którym związane są żywotne interesy Polski i Czechosłowacji. Jak widzimy, zamiast o federacji mowa jest na razie o konfederacji; ta zmiana formy związku państwowego dokonana została na skutek nalegań Benesza. Za przykładem Polski i Czechosłowacji rządy Jugosławii i Grecji zawarły umowę, mającą dać podstawę unii bałkańskiej.

Koncepcja federacji czy konfederacji Polski i Czechosłowacji, podobnie jak federacji innych państw Europy środkowo-wschodniej, spotkała się z gwałtownym atakiem Moskwy, popieranej przez Roosevelta, któremu z kolei ulegał Churchill — co jest rzeczą ogólnie wiadomą. Mniej są natomiast znane opinie na ten temat w środowisku „Wolnej Francji”.

W przeciwieństwie do rządu polskiego i rządów innych państw, które schroniły się w Londynie, „Wolna Francja” nie utworzyła początkowo rządu, który byłby uznany przez aliantów, a to chociażby tylko z tego powodu, że w pierwszej fazie wojny przytłaczająca większość Francuzów uznawała rząd Pétaina, powszechnie zwany rządem Vichy, podobnie zresztą jak Stany Zjed-

1. Patrz Edward Raczyński, *Od Narcyza Kulikowskiego do Winstona Churchilla*, PFK, Londyn 1976, str. 95-99.

2. W. W. Kułski w *Zeszytach Historycznych* nr 43, str. 155.

noczone i wiele innych państw. Stopniowo stosunek Francuzów do de Gaulle'a ulegał zmianie na jego korzyść, co jednak nie rozwiązało problemu uznania za rząd przedstawicielstwa „Wolnej Francji”, reprezentowanej przez „Komitet” o zmieniającej się nazwie, ale nie kierownictwie, które bez przerwy należało niepodzielnie do generała de Gaulle'a.

Długotrwałe utarczki de Gaulle'a z Rooseveltem i Churchilllem o uznanie „Komitetu”, przekształconego później w rząd tymczasowy, za jedyne legalne władze Francji, zaciążyły w dużym stopniu na charakterze polityki „Wolnej Francji”. To też częściowo tłumaczy pojednanie de Gaulle'a z francuską partią komunistyczną w 1943 roku dla której był on w okresie przymierza sowiecko-niemieckiego „lokajem imperializmu i finansjery londyńskiej”. Jedną z przyczyn zbliżenia de Gaulle'a do Moskwy był również nieprzychylny stosunek Waszyngtonu i Londynu do niego. Ponad tym wszystkim jednak myślą przewodnią polityki de Gaulle'a była zawsze idea Francji mocarstwowej, która miała być osią równowagi europejskiej i czynnikiem pośredniczącym między anglosaskim Zachodem i Rosją sowiecką. W tym kontekście należy odczytywać opinie środowiska „Wolnej Francji” na temat polskiej koncepcji federacji. Niżej podane jest tłumaczenie not-memoriałów, jakie znajdują się w archiwach „Wolnej Francji” we francuskim ministerstwie spraw zagranicznych. Treść tych dokumentów jest pod wieloma względami pouczająca. W przekładzie starałem się być jak najbardziej wierny tekstowi francuskiemu, co nie zawsze wyszło na dobre formie języka polskiego.



Nota składająca się z dwu stron maszynopisu, podpisana przez Dayeta³ i przeznaczona dla René Plevena, komisarza „Wolnej Francji” do spraw międzynarodowych. Londyn, 26 października 1940 roku.

„Od jakiegoś czasu, Polacy podjęli próbę polityki na wielką skalę, która odpowiada ich ambicjom i pozwala odkryć u nich niepokojące apetyty.

Główne aspekty tej polityki są następujące:

1. Stanąć na czele wszystkich komisji, w których zasiadają, i usiłować odgrywać tam rolę wielkiego mocarstwa.

3. Dla ogólnej orientacji warto nadmienić, że Dayet, po próbach organizowania w 1941 działalności politycznej we Francji, znalazł się w 1943 w Peru jako przedstawiciel „Wolnej Francji”.

2. Zgromadzić wokół siebie małe mocarstwa europejskie, przejmując w ten sposób tradycyjną politykę francuską.

3. Różne rozmowy wykazują istniejące u nich pragnienie rozszerzenia swych wpływów na wschodzie i zachodzie. W związku z tym tematem, ostatni incydent jaki miał miejsce między Polakami i Francuskim Komitetem Narodowym na skutek złożenia przez ten Komitet deklaracji rządowi Czechosłowacji odnośnie nieważności układów zawartych w Monachium jest dowodem, że Polska chce zatrzymać terytorium Cieszyna.

4. W ciągu ostatnich tygodni Polacy podjęli inicjatywy tzw. obiadów międzysojuszniczych, które dają sposobność wygłaszania przemówień mających na celu rozpowszechnianie w środowiskach politycznych tez i propagandy polskiej.

5. Różne oznaki pozwalają wnioskować, że Polacy uważają dzisiaj Francję, jeśli chodzi o jej rolę w przyszłości, za definitywnie zredukowaną do mocarstwa drugiego rzędu i pragną zająć jej miejsce na kontynencie.

6. Można zadać sobie pytanie, do jakiego stopnia Polacy działają w porozumieniu z rządem brytyjskim. Ten punkt nie jest jeszcze wyjaśniony; trzeba jednak zwrócić uwagę, że na różnych wyżej wspomnianych obiadach osobistości brytyjskie zabierały głos, ażeby zaangażować aliantów w unię, która w umyśle Polaków może istnieć jedynie pod egidą odbudowanej Polski.

7. Ogólnym celem tych wszystkich intryg, po zważeniu wszystkiego, wydaje się być utworzenie na wschodzie Europy rozległej federacji pod kierownictwem państwa polskiego”.



Drugim dokumentem jest siedmiostronicowy maszynopis bez podpisu, zredagowany — jak wynika ze wstępu — przez Maurice Dejeana i wysłany do Algieru, gdzie miała wówczas swą siedzibę „Wolna Francja”, przemianowana 29 lipca 1942 roku na „Francję Walczącą”. Jeśli chodzi o Dejeana, to sprawował on funkcje komisarza „Wolnej Francji” do spraw międzynarodowych, a następnie był oddelegowany do reprezentowania „Wolnej Francji” przy rządach sojuszniczych w Londynie. To on był główną figurą w stosunkach między „Wolną Francją” de Gaulle’a i rządem polskim w Londynie i do dziś zachowała się w archiwach korespondencja między nim a amb. E. Raczyńskim. Do Dejeana należało informowanie kierownictwa „Wolnej Francji” o rządzie polskim w Londynie, jego stosunkach z Rosją i polityce brytyjskiej. Podane niżej tłumaczenie memoriału Dejeana (z minimalnymi

skrótami) jest jednym z przykładów opinii, jakie przeważały w środowisku gen. de Gaulle'a.

Memoriał Dejeana nosi datę 29 października 1943 (dopisana ołówkiem; chodzi chyba o datę otrzymania raportu w Algierze), czyli jest to okres kiedy federacja polsko-czeska — z uwagi na podporządkowanie polityki Benesa Rosji — nie miała już szans realizacji, ale koncepcja federacji Europy środkowo-wschodniej była jeszcze silnie atakowana przez Moskwę. Autor raportu robi na wstępie aluzję do broszury, którą streścił w swoim raporcie, wysłanym do Algieru 18 października 1953 roku, wydanej pt. „Central Union” przez British Continental Syndicate Cheapside, z figurującymi na okładce nazwiskami George'a Harrisona i Petera Jordana. Następnie w memoriale Dejeana czytamy:

„Niedawno został lansowany w Londynie z inspiracji polskiej projekt utworzenia wielkiej federacji rozciągającej się od Bałtyku do Morza Egejskiego i Morza Czarnego, która obejmowałaby państwa bałtyckie, Polskę, Czechosłowację, Węgry, Rumunię, Jugosławię, Bułgarię i Grecję.

... Interesujące byłoby zbadać przede wszystkim, jakim pobudkom odpowiada idea takiej federacji. Łatwiej będzie wówczas dostrzec jej korzyści, a zwłaszcza jej ujemne strony. Utworzenie wielkiego państwa, którego oś biegłaby od północy do południa między Niemcami i Rosją, odnoszącego się z nieufnością [do obydwu tych państw], uważanych za jednakowo niebezpieczne i trzymającego obydwu w karchach, jest dążeniem specyficznym i tradycyjnie polskim. Dążenie to zostało istotnie zrealizowane w Królestwie Jagiellonów, gdy wstąpienie na tron tej dynastii litewskiej w 1386 zestawilo dwa państwa już powiększone podbojami, jakich każde z nich dokonało. Trochę później ten imponujący zespół przyciągnął ku sobie prowincje mołdawsko-wołoskie, które w pewnym stopniu były podobnie zainteresowane w zabezpieczeniu się jednocześnie od wschodu i od zachodu. Fakt, że unia polsko-litewska utrzymała się bez większych trudności przez dwa wieki pobudził z kolei mężów stanu z Warszawy do wzięcia za wzór polityki, która zapewniła ich ojczyźnie dość długi okres sławy i bezpieczeństwa. Przyjaźń polsko-madziarska była następnie jednym z ogniw tej polityki, a przyjaźń polsko-turecka była — z drugiej strony — jak gdyby jej przedłużeniem ku południu.

Po 1918 porozumienie z Rumunią i zainteresowanie Becka sprawami Finlandii i Szwecji wywodzi się z tych samych koncepcji.

Ta też idea przyswieca zapewne projektowi „Unii centralnej”, wysuniętemu przez publicystów polskich. Oś Bałtyk - Bałkany jest jej nowoczesną reedycją, lekko przesuniętą ku południu do osi Wisły - Dniepru, która była dawniej normalnym kierunkiem ekspansji polskiej. Ma się wrażenie, że przywódcy polscy, nauczeni doświadczeniem porażek ich polityki, powracają do „tradycji jagiellońskiej”, dochodząc do wniosku, że ta tradycja winna być po prostu przystosowana, to znaczy przywrócona do linii północ-południe.

Kłeska Niemiec wydaje się im sprzyjającą bez wątpienia okazją, którą trzeba by wykorzystać ażeby zbudować to wielkie państwo-tampon, uwalniając się w ten sposób od groźby jednego przynajmniej potężnego sąsiada.

Jeden z autorów broszury opublikowanej w Londynie jest Anglikiem i ten szczególnie daje do myślenia, że niektóre środowiska brytyjskie są przychylne „Unii”.

Rzeczywiście reprezentant rządu polskiego w Algierze oświadczył w związku z tym, że niektórzy agenci z *City* kilkakrotnie poruszali tego rodzaju projekty, czyniąc nawet obietnice w otoczeniu generała Sikorskiego „Ale — dodał p. Morawski — polskie koła oficjalne narzuciły sobie przezorność, żeby nie robić wrażenia, iż zmuszają rząd brytyjski do działania”.

Refleksja wskazująca, że rząd ten jest raczej ostrożny.

Jakby nie było, postawa *City* jest do wytłumaczenia, jeżeli się pamięta, że kapitaliści z Zachodu (angielscy, amerykańscy i francuscy) zainwestowali znaczne sumy w kraju, o który chodzi: port w Gdyni, kolej Śląsk-Bałtyk, przemysłowe zagłębie Śląska, ciężki przemysł Czech, banki Pesztu, banki i nafta Rumunii etc. Nie jest przeto niespodzianką, że bankierzy i przemysłowcy z Londynu, Nowego Jorku i Paryża chcą ustrzec te kraje od kolektywistycznego wpływu ZSSR i zamierzają utworzyć z nich przedmurze przeciw ekspansji komunizmu.

Pozostało do rozpatrzenia, czy ta metoda jest naprawdę zreczną i dogodną i czy taktyka która chciałaby z „rycerstwa polskiego” zrobić obrońcę kapitalizmu, tak jak dawniej chrześcijaństwa, nie mija się z celem w Europie, w której stosunki sił nie są bynajmniej takie, jak były w epoce anarchii rosyjskiej od XIV do XV wieku.

Należy przede wszystkim przypomnieć warunki, w jakich mogło powstać wielkie państwo polsko-litewskie z końca średniowiecza. Słabość Rosji była wówczas widoczna. Państwo ukraińskie zanikało, podczas gdy Wielka Rosja, ciągle pod zwierzchnictwem Złotej Ordy, nie osiągnęła jeszcze swojej jedności i nie

wyszła z waśni między książętami z Moskwy i z Tweru (dawna nazwa miasta Kalinin).

Co się tyczy Niemiec, to nie były one oczywiście w takiej samej sytuacji, ale trochę później, po wojnach religijnych i po wojnie trzydziestoletniej, zebrały swoje siły, odciągnęły Prusy od penetracji ku północnemu wschodowi i zaangażowały Szwecję, innego nieprzyjaciela Polski, w konflikt Świętego Cesarstwa.

Wielka Polska wykorzystała ten zbieg okoliczności, jaki się już nigdy nie powtórzył w jej historii. Kiedy w końcu XVI wieku, a zwłaszcza w wieku XVII Rosja podjęła na nowo parcie ku zachodowi, tym razem w sposób systematyczny, gdy Prusy, już wzmocnione wewnątrz Niemiec, powróciły do swych ambicji bałtyckich, Polska, która wierzyła że będzie już zdolna w sposób trwały stawić czoło dwóm sąsiadom, przeżyła najbardziej ponure dni w swojej historii. Od 1655 roku najazd rosyjsko-prusko-szwedzki grozi jej rozbiorem, który etapami doprowadzi aż do całkowitego jej wchłonięcia.

Wznowienie dzisiaj, z tą samą bujną wyobraźnią, polityki Jagiellonów opiera się na idei, że Rosja, zmęczona działaniami wojennymi i nawet swoimi sukcesami, zaakceptuje chcąc nie chcąc klauzule podobne do tych zawartych w traktacie ryskim i że Niemcy nie wchodzą przez jakiś czas w rachubę.

Pierwszemu przypuszczeniu zaprzeczył swoją postawą rząd moskiewski. Co się tyczy drugiego domniemania, to wywodzi się ono z tego optymistycznego stanu umysłu, który wierzy w możliwość zmienienia polityki albo mentalności germańskiej. Takie jest przynajmniej przekonanie zapuszczające zawsze łatwo korzenie u liberałów albo Izraelitów z *City*, którzy sądzą, iż mogą zbudować Niemcy, o jakich marzą.

Co się tyczy Polaków, to nie mają oni złudzeń. Ale jeżeli pamięta się niektóre aspekty polityki Becka, który pragnął „zastąpić Francję w przyszłej Europie”, zrozumie się, że ta polityka nie bierze pod uwagę naszych interesów i gotowa jest ofiarować Niemcom kompensatę na zachodzie. W każdym wypadku byłaby to logiczna konsekwencja „polityki Jagiellonów”, dzień kiedy pangermanizm odzyskałby siłę i zuchwałość.

W interesie Wielkiej Brytanii byłoby więc, żeby przy ocenie projektu polskiego wzięła od teraz pod uwagę to zderzenie z imperializmem niemieckim.

... W obecnej Europie, gdzie Niemcy i Rosja nabrały znacznej siły, nie ma jednocześnie miejsca na potężną Francję i na „Królestwo Jagiellonów”.

Projekt „Unii centralnej” nasuwa zresztą zasadnicze pytanie. Jaka jest opinia narodu polskiego? Prawdą jest, że środowiska polskie w Anglii są w większości przychylne projektowi, ale jest też pewne, że Komitet „Wolna Polska” (nazwa w oryginale napisana po polsku — T.W.) jest temu przeciwny. Otóż ten Komitet reprezentuje bez wątpienia odłamy narodu polskiego co najmniej tak ważne jak jego antagoniści w Londynie. Fakt, że mógł on utworzyć dwie dywizje, które walczą przy boku armii sowieckiej wzmacnia jego pozycję moralną i jego rzeczywistą siłę w oswobodzeniu ojczyzny.

Projekt, który ma poparcie rządu polskiego w Londynie nie ma więc większego znaczenia niż idee przeciwnie. Ponadto jest to ryzyko budowania na piasku. Unia centralna i polityka jaką zamierzają prowadzić jej promotorzy są w istocie narażone na wywołanie silnej opozycji w krajach, które by ją tworzyły. Znaczy to, że „przedmurze” byłoby podminowane od wewnątrz i zamiast być czynnikiem porządku, doprowadziłoby do mętnej sytuacji. Uwaga ta dotyczy nie tylko Polski, ale również państw sąsiedzkich. Do koncepcji, których bronią publicyści polscy w Wielkiej Brytanii przychylają się także Kallaya, Antonescu i Filof, tzn. kolaboranci, którzy za pomocą tego środka usiłują uratować się sami albo przynajmniej uratować ze skutków klęski niemieckiej to, co jest istotne z ich idei. Być może trzeba zestawić to spostrzeżenie z podwójną działalnością Węgrów, Rumunów i Bułgarów, którzy proklamują się „wolni”, ale których nawrócenie jest zbyt świeżej daty, żeby nie pobudzało do zastanowienia się. Ludzie, którzy w tych krajach walczyli przeciwko zaborowi niemieckiemu nie zrozumieliby, że nie liczą się ich wysiłki i ich opinia.

Nie jest przeto przesadą wniosek, że federacja rozciągająca się od Bałtyku do Morza Czarnego pociągnęłaby za sobą wcześniej czy później komplikacje, z których korzyści nie przypadłyby oczywiście mocarstwu zachodnim”.



Powracając do polskiej koncepcji federacji, warto również przytoczyć wyjątek z telegramu Roger Garreau, przedstawiciela „Wolnej Francji”, wysłanego dnia 21 lipca 1943 roku z Kujbyszewa, ówczesnej siedziby placówek dyplomatycznych. Trzeba jednocześnie zaznaczyć, że Garreau skrzętnie donosił wszelkie bzdury zaślyszane lub drukowane w prasie sowieckiej, opatrując je czasami komentarzami świadczącymi o braku rozeznania w pro-

blemach polsko-rosyjskich. Oto paragraf z telegramu, zawierający przedruk z gazety sowieckiej „Wojna i klasa robotnicza”: „Jeśli chodzi o projekt federacji Europy wschodniej, pismo stwierdza najpierw, że jej główni zwolennicy są elementem reakcyjnym emigracji polskiej w Londynie i że ma on przede wszystkim za cel ustanowienie hegemonii polskiej nad Europą środkową, nad Bałtykiem i Morzem Czarnym, skierowanej wyłącznie przeciwko Związkowi Sowieckiemu i polegającej na przywróceniu do życia osławionego kordonu sanitarnego”. Tak więc stanowiska Rosji i Francji w ocenie federacji Europy środkowo-wschodniej były na ogół zbieżne, obawiając się „hegemonii” Polski, a ściślej — zagrożenia dla ich aspiracji mocarstwowych.

Trzy miesiące wcześniej, w telegramie z 20 kwietnia, Garreau donosił że: „*Prawda* przedrukowała w numerze z 17 kwietnia artykuł Lauschmanna [nie miałem możliwości sprawdzenia, czy nazwisko zostało poprawnie podane — T.W.], wiceprzewodniczącego Narodowej Rady Czechosłowackiej, opublikowany w *Nova Svoboda*, który streszczam w tym ustępie: zagraniczna polityka ZSSR usiłowała systematycznie realizować wzniosłe ideały moralne, dla których była gotowa ponieść najwyższe ofiary. Związek Sowiecki pozostał nam wierny do końca. Zachowanie się Moskwy w stosunku do nas było lojalne. ZSSR kilkakrotnie proponował Polsce pokojową współpracę. Ale antynarodowy rząd Polski wolał Berlin od Moskwy, Pragi i Paryża. Jeżeli w 1938 roku nie mogliśmy skorzystać z pomocy sowieckiej, to dlatego, że Beck z góry odmówił przemarszu Armii Czerwonej przez Polskę. Historia nie znałaby tragedii Czechosłowacji, Polski i w końcu całej Europy, gdyby miano na czas zaufanie do ZSSR. Polityka Becka wyrządziła straszne zło”.

Jeśli chodzi o politykę Benesza, to uległa ona zmianie od wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej, czego pierwszym dowodem był układ, jaki podpisał rząd czechosłowacki z Moskwą już 17 lipca 1941, nie oglądając się na rząd polski, z którym był związany wzajemnymi zobowiązaniami. Później presja sowiecka i uległość Benesza⁴ doprowadziły do rezultatu, który zbyt dobrze jest dzisiaj znany, żeby trzeba było go tutaj przypominać. To co warte jednak przypomnienia, to przepaść jaka istniała mimo wszystko między tym co mówili i robili politycy czechosłowaccy, chętnie drukowani na łamach prasy sowieckiej, a uczuciami, jakie wyrazili żołnierze czechosłowaccy w piśmie wydawanym w Wielkiej

4. Patrz Tadeusz Piszczyński *Między Lizboną a Londynem*, Instytut Polski i Muzeum im. Gen. Sikorskiego, Londyn 1979 r., oraz recenzję z tej książki Anny M. Cienciąły w *Zeszytach Historycznych* nr 53, str. 216-220.

Brytanii i co jest jeszcze jednym dowodem, że politycy i żołnierze innym na ogół przemawiają językiem. Za przykład niech posłuży odbijane na powielaczu pismo czechosłowackie pt. *Naše Noviny*, noszące w nagłówku wzmiankę: „Dziennik dla wojska w Wielkiej Brytanii”. W czterostronicowym numerze z 12 listopada 1941 (jeden egzemplarz znajduje się w archiwach Instytutu Polskiego i Muzeum im. Gen. Sikorskiego w Londynie) na wstępie, w artykule napisanym po polsku czytamy: „Z okazji rocznicy polskiej niepodległości zasyłają wszyscy czechosłowaccy żołnierze braterskiej Armii Polskiej i całemu narodowi polskiemu, który opłaca krwią swą przyszłą wolność oraz lepszą przyszłość całej Europy, serdeczne życzenia najrychlejszego zwycięstwa i powrotu do oswobodzonej Polski. Historia nas nauczyła, że wolność naszych narodów zależy od naszej współpracy. Gdyśmy się sprzeniewierzyli temu przyrodzonemu prawu, lub usłuchali chytrych podszeptów zagranicy, które nasze narody umyślnie, dla swej korzyści, skłóciły, wcześniej czy później tak Czesi jak Polacy tracili swą niepodległość. W nieszczęściu jednak znów odnaleźliśmy się... Tak jak w dziejach zawsze mieliśmy powodzenie, gdyśmy jednoczyli swe siły, tak i dziś zwyciężymy i zabezpieczymy wolność i szczęście naszym narodom przez ścisłą współpracę i wzajemne porozumienie”.

Tadeusz WYRWA

SPIS TREŚCI

Janusz Rakowski: <i>Zetowcy i Piłsudczycy</i> (dok.)	3
Piotr Wandycz: <i>Historia Polski od 1863 roku</i>	74
ZK: <i>Historia najnowsza i historycy</i>	93
Płk prof. dr hab. Kazimierz Sobczak: <i>O całą prawdę dla historii</i>	115

WSPOMNIENIA

Gen. dyw. Michał Tokarzewski-Karaszewicz: <i>U podstaw tworzenia Armii Krajowej</i>	124
Maria Trojanowska, mjr: <i>Nieudana wyprawa kurierska i jej skutki</i>	157

DOKUMENTY

Jan Ciechanowski: <i>Aliancka pomoc lotnicza dla Warszawy</i>	182
	237

RECENZJE

Jan Ciechanowski: <i>Zmarnowana okazja (Refleksje i uwagi do trzeciego tomu „krakowskiej” Historii Polski)</i> ..	187
Adam Bielnicki: <i>Lotnicy polscy w Danii w latach drugiej wojny światowej</i>	198
Józef Łobodowski: <i>Fałszywa historia Ukrainy</i>	205

OKRUCHY HISTORII

Władysław Żeleński: <i>Niedoszły sojusz Polski z Rumunią przeciw agresji Niemiec i Węgier w roku 1939</i>	210
Tadeusz Wyrwa: <i>Polska idea federacji państw Europy środkowo-wschodniej w oczach „Wolnej Francji” generała de Gaulle’a</i>	227

ACHÈVE D'IMPRIMER
LE 4 MAI 1981
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e).

Dépôt légal : 2^e trim. 1981.

F. 45,00